

PHILIP KERR

BLADY PRZESTĘPCA

Przełożyła Barbara Kopeć-Umiastowska

Tytuł oryginału: *The Pale Criminal*



Mary Read

Dla Jane

Wiele z waszego dobra budzi we mnie wstręt, i zaprawdę nie ich zło. Chciałem wszak, abyście mieli obłąd, który by was do zaguby dowiódł, jako tego bladego przestępcę! Zaprawdę chciałem, aby się ten obłąd wasz prawdą zwał lub wiernością, lub też sprawiedliwością: lecz wy macie waszą cnotę, aby długo żyć, w własnym żyć zadowoleniu.

Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. Wacław Berent

Część pierwsza

Kiedy człowiek się odchudza, tort truskawkowy w kawiarni Kranzlera nadzwyczajnie przyciąga jego uwagę.

No więc, ostatnio zacząłem mieć podobne odczucia w kwestii kobiet. Tylko że ja nie jestem na diecie, po prostu odnotowałem, że kelnerki mnie ignorują. Takie są ładne i tyle ich wokół. To znaczy, kobiet w ogóle, choć z pewnością kelnerkę też mógłbym wydupczyć, jak zresztą każdą inną babę. Kilka lat temu nawet znałem taką jedną. Kochałem ją, ale zniknęła, jak to się często zdarza ludziom w tym mieście. I od tamtej pory nic, tylko przygodne romanse. W dodatku, gdyby ktoś teraz zobaczył, jak latam w tę i we w tę po Unter den Linden, pomyślałby, że się zagapiłem na zegarek hipnotyzera. Sam nie wiem, może to przez ten upał? W końcu w tym roku w Berlinie jest gorąco jak u piekarza pod pachą. A może to ze mną coś się dzieje – jak by nie było, czterdziestka na karku, więc trochę głupieję przy babach. Tak czy owak, mój pęd do prokreacji jest wprost bestialski, co kobiety naturalnie poznają po oczach i trzymają się ode mnie jak najdalej.

Albowiem owego długiego lata 1938 roku bestialskość miała się dobrze i przeżywała okrutny aryjski renesans.

piątek, 26 sierpnia

Jak jakaś jebana kukułka.

– Co? – spytałem.

Bruno Stahlecker podniósł wzrok znad gazety.

– Jak to co, Hitler!

Poczułem, że wszystko mi opada: oto mój wspólnik zaraz wygłosi kolejną kwiecistą kwestię w sprawie nazistów.

– No tak, jasne – przytaknąłem energicznie, z nadzieją, że okazując pełne zrozumienie, powstrzymam go od szczegółowych komentarzy. Nic z tego.

– Ledwie zdołał wypchnąć austriackie pisklę z gniazda Europy, a już zabiera się do Czechosłowacji. – Trzepnął grzbietem dłoni w gazetę. – Widziałeś to, Bernie? Ruchy wojsk niemieckich na granicy Kraju Sudeckiego.

– Tak, domyśliłem się o czym mówisz. – Wziąłem poranną pocztę i usiadłem, żeby ją przejrzeć. Znalazłem kilka czeków, co trochę złagodziło moją złość na Brunona. Trudno w to uwierzyć, ale najwyraźniej już zdążył się napić. Bruno, który normalnie wypowiada się nieledwie monosylabami (co mi bardzo odpowiada, bo sam należę do mruków), po wódzie robi się gadatliwy jak włoski kelner.

– Najdziwniejsze, że przybrani rodzice nic nie widzą. Kukułka pozbywa się kolejnych pisklaków, a oni wciąż ją karmią.

– Może mają nadzieję, że wreszcie się zamknie i sobie pójdzie – odparłem kąśliwie, lecz futerko Brunona było za grube, by to doń dotarło. Rzuciłem okiem na jeden z listów i przeczytałem go ponownie, tym razem uważniej.

– Po prostu nie chcą nic widzieć. Coś przyszło?

– Hm? Aa, tak, jakieś czeki.

– Szczęsny to dzień, gdy przychodzą czeki. Coś jeszcze?

– List. Z tych anonimowych. Ktoś chce się ze mną spotkać o północy w Reichstagu.

– Pisze po co?

– Twierdzi, że ma informacje o jednej z moich spraw. Pewna osoba zaginęła i pozostaje zaginiona.

– Jasne. Pamiętam je wszystkie, tak jak pamiętam, że pies ma ogon. A to dopiero dziwo. Pójdiesz?

Wzruszyłem ramionami.

– Ostatnio marnie śpiam, więc czemu nie?

– To znaczy, nie licząc faktu, że to wypalona ruina i wejście do środka grozi śmiercią?

Hm, po pierwsze, to może być pułapka. Niewykluczone, że ktoś zamierza cię zabić.

– A może ty to przysłałeś?

Zaśmiał się nerwowo.

– Chyba powinienem pójść z tobą. Spróbuję być niewidoczny, lecz w zasięgu głosu.

– Albo strzału? – Pokręciłem głową. – Kiedy ktoś chce kogoś zabić, to nie zaprasza go w miejsce, gdzie ten z natury rzeczy będzie się miał na baczności.

Otworzyłem szufladę biurka.

Z wyglądu mauzer i walther niewiele się różnią, lecz wziąłem mauzera. Kąt chwytu i sposób, w jaki pistolet układa się w dłoni, sprawiają, że jest solidniejszy od trochę mniejszego walthera; nic mu również nie brakuje, jeśli chodzi o siłę rażenia. Wsunęty do kieszeni jak tłusty czek zawsze dawał mi poczucie spokojnej pewności siebie. Machnąłem lufą w stronę Brunona.

– Człowiek, który zaprosił mnie na przyjęcie, będzie wiedział, że mam przy sobie zapalniczkę.

– A jeśli będzie ich więcej?

– Bruno, psia krew, nie taki diabeł straszny! Wiem, czym to grozi, ale taką mamy pracę. Dziennikarze dostają depesze, żołnierze rozkazy, a prywatni detektywi anonimy. Gdybym chciał mieć na listach woskowe pieczęcie, tobym, kurwa, został prawnikiem.

Bruno kiwnął głową, poprawił opaskę na oku i zirytowany zajął się swoją fajką – symbolem klęski naszej spółki. Nienawidzę akcesoriów fajczarza: tych wszystkich kapciuchów, wyciorów, szpikulców i specjalnych zapalniczek. Fajczarze to arcymistrzowie sztuki gmerania i grzebania, plaga naszej planety, równie nieznośna jak misjonarze, przybywający na Tahiti z kufrem biustonoszy. Nie miałem pretensji do Brunona – pomimo pijaństwa i irytujących nawyków wciąż był to ten sam dobry detektyw, którego ocalałem od zapomnienia na zabitym dechami posterunku Kripo w Spreewald. Nie, problem tkwił we mnie, odkryłem bowiem, że z natury i temperamentu nie nadaję się na niczyjego współnika, tak samo jak nie nadaję się na prezesa Deutsche Banku.

Ale patrząc na niego, zacząłem się czuć winny.

– Pamiętasz, jak mówiliśmy na wojnie? „Jeśli jest na nim twoje nazwisko i adres, to na pewno zostanie doręczony”.

– Pamiętam – powiedział, zapalając fajkę i wracając do „Völkischer Beobachter”.

Zdeprymowany patrzyłem, jak czyta.

– Prędzej doczekasz się herolda miejskiego, niż dowiesz się czegoś z tej szmaty.

– To prawda. Ale lubię rano poczytać gazetę, nawet jeśli jest to kupa gówna. Weszło mi to w nawyk. – Obaj milczeliśmy przez chwilę. – O, kolejne ogłoszenie: „Rolf Vogelmann, prywatny detektyw, specjalność: osoby zaginione”.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Ależ tak. W zeszły piątek w ogłoszeniach drobnych. Czytałem ci, nie pamiętasz? – Wyjął fajkę z ust i wycelował we mnie ustnik. – Wiesz, Bernie, może i my powinniśmy się reklamować?

– Po co? Mamy więcej spraw, niż możemy obsłużyć. Interes kręci się jak nigdy dotąd, po co nam dodatkowe koszty? Poza tym, w tej branży liczy się opinia, a nie skrawek szpalty w partyjnej gazecie. Ten Rolf Vogelmann najwyraźniej nie ma pojęcia, co robi. Pomyśl, ile spraw dostajemy od Żydów. Żaden nasz klient nie czyta tego szajsu.

– No, Bernie, skoro sądzisz, że to niepotrzebne...

– Jak trzeci sutek.

– Kiedyś niektórzy ludzie uważali, że to szczęśliwy znak.

– A zdaniem innych był to dostateczny powód, by spalić kogoś na stosie.

– Diabelskie znamię, co? – Zaśmiał się. – Hej, może Hitler takie ma?

– Z pewnością, tak jak Goebbels ma diabelskie kopyto. Wszyscy oni razem są z piekła rodem. I każdy, psiakrew, z osobna.

Szedłem ku ruinom Reichstagu przy wtórze własnych kroków, które donośnych echem rozbrzmiewały na wyludnionym Königplatz. Moją obecność mógł zakwestionować jedynie Bismarck z szablą w dłoni, patrzący na mnie z cokołu przed zachodnim wejściem. Ale pewnie by tego nie zrobił; przypominałem sobie, że kanclerz nie należał do wielkich entuzjastów niemieckiego parlamentu i jego noga nigdy tu nie postąpiła, wątpiełem zatem, czy byłby szczególnie skłonny bronić instytucji, do której jego pomnik, być może znacząco, stał odwrócony plecami. Zresztą w tym dość przeładowanym gmachu w renesansowym stylu niewiele rzeczy zasługiwało teraz na obronę. Reichstag, z czarną od dymu fasadą, wyglądał

jak wulkan, który ostatnią, najbardziej widowiskową erupcję ma już za sobą. Jego pożar był czymś więcej niż tylko całopalną ofiarą republiki utworzonej w 1918 roku: stanowił również najdobitniejszy przykład piromancji – wróżby, przepowiadającej Niemcom przyszłość, jaką Hitler ze swoim trzecim sutkiem chciał nam zafundować.

Kierowałem się do Portalu V, północnej bramy przeznaczonej dla publiczności, którą przechodziłem tylko raz, razem z matką, ponad trzydzieści lat temu.

Latarkę zostawiłem w kieszeni marynarki. Człowiek, który w nocy trzyma w ręku zapaloną latarkę, byłby wyraźniejszym celem chyba tylko z namalowaną na piersi kolorową tarczą. A poza tym, księżyc świecący przez zrujnowany dach dość dobrze oświetlał mi drogę. Niemniej, w północnym westybulu, prowadzącym do niegdysiejszej poczekalni, ze szczękiem odwiódłem i zwolniłem zamek mauzera, dając w ten sposób znać człowiekowi, który na mnie czekał, że jestem uzbrojony. W niesamowitej, pełnej ech ciszy dźwięk ten zabrzmiał głośniejsz niż szarża pruskiej kawalerii.

– Nie będzie ci to potrzebne – odezwał się głos z galerii nade mną.

– Mimo to zatrzymam go przez chwilę. Mogą tu być szczury.

Mężczyzna zaśmiał się drwiąco.

– Szczury już dawno opuściły to miejsce. – Na twarz padł mi promień latarki. – Chodź na górę, Günther.

– Wydaje mi się, że powinienem rozpoznać twój głos – powiedziałem, wchodząc na schody.

– Mnie też się tak wydaje. Czasem rozpoznaję własny głos, chociaż nie znam już człowieka, który go używa. Nie ma w tym nic niezwykłego, prawda? Nie w dzisiejszych czasach.

Wyjąłem latarkę i oświetliłem mężczyznę, który teraz oddalał się ode mnie w stronę sąsiedniego pomieszczenia.

– Słucham cię z ciekawością. Szkoda, że nie mówiłeś takich rzeczy na Prinz Albrecht Strasse.

Znów się roześmiał.

– A więc jednak mnie poznajesz.

Dogoniłem go przy ogromnym marmurowym posągu cesarza Wilhelma I, zajmującym środek wielkiej ośmiokątnej sali, i wreszcie dostrzegłem w mroku jego rysy. Miały w sobie coś kosmopolitycznego, chociaż mówił z berlińskim akcentem. Niektórzy mogliby wręcz uznać, że wygląda na Żyda, naturalnie, gdyby sądzić po wielkości nosa. Wznosił się on nad jego twarzą niczym gnomon zegara słonecznego, ciągnąc do góry wargę, wygiętą w

szyderczym uśmiešku. Miał krótko obcięte siwiejące blond włosy, co podkreślało jeszcze wysokość czoła. Była to chytra, przebiegła twarz, i świetnie do niego pasowała.

– Zdziwiony? – zapytał.

– Że komendant berlińskiej policji kryminalnej przysłał mi anonim? Skądże, wciąż mi się to zdarza.

– Przyszędłbyś, gdybym się podpisał?

– Pewnie nie.

– A gdybym ci zaproponował, żebyś przyszedł nie tutaj, ale na Prinz Albrecht Strasse? Przyznaj, że byłbyś ciekawy.

– Od kiedy to Kripo cokolwiek ludziom „proponuje”, żeby ich ściągnąć do Komendy Głównej?

– Niby racja. – Arthur Nebe uśmiechnął się szerzej i wyjął z kieszeni piersiówkę. – Napijesz się?

– Dzięki, czemu nie. – Pociągnąłem łyk czystej żytniówki, tak życzliwie zaoferowanej przez Reichskriminaldirektora, po czym wyjąłem papierosy. Przypaliłem nam obu i na kilka sekund uniosłem zapałkę.

– Niełatwo podpalić takie miejsce – powiedziałem. – Jeden człowiek, w pojedynkę. Koleś musiał niezłe się uwijać. Na mój rozum Van der Lubbe musiał rozpalać ten ogieniek przez całą noc. – Zaciągnąłem się papierosem i dodałem: – Krążą wieści, że maczał w tym palce Gruby Hermann. To znaczy, trzymał w tych palcach płonąca żagiew.

– Jestem wstrząśnięty, wstrząśnięty! To skandaliczne, podejrzewać naszego ukochanego premiera o takie rzeczy! – Ale Nebe śmiał się, mówiąc te słowa. – Biedny Hermann nieoficjalnie uznany winnym, coś podobnego! Och, owszem, przystał na podpalenie, ale to nie on stał za tą zabawą.

– A więc kto?

– Kulawy Józek. Ten biedny holenderski skurwiel. To mu dopiero się trafiło, jak ślepej kurze ziarno! Van der Lubbe miał pecha, że postanowił podpalić ten lokal akurat tego dnia, co chłopcy Goebbelsa. Józek jakby dostał prezent na urodziny, zwłaszcza kiedy Lubbe okazał się bolszewikiem. Zapomniał tylko, że zatrzymanie sprawcy oznacza proces, a ten z kolei pociąga za sobą irytującą konieczność przedstawienia dowodów. A oczywiście nawet dla skończonego kretyna od początku było jasne, że Lubbe nie mógł działać samodzielnie.

– To czemu ten Lubbe nic nie powiedział na rozprawie?

– Napakowali go jakimś świństwem, żeby był cicho, postraszyli, że zrobią coś rodzinie. Wiesz, jak to jest. – Nebe okrążył olbrzymi, pogięty żyrandol z brązu, leżący na

brudnej marmurowej posadzce. – Chodź tutaj, coś ci pokażę.

Poprowadził mnie do wielkiej sali posiedzeń, gdzie Niemcy po raz ostatni oglądały jakiś pozór demokracji. Wysoko nad nami wznosił się szkielet tego, co ongiś było szklaną kopułą Reichstagu. Całe szkło wyleciało w powietrze i miedziane dźwigary na tle księżycy przypominały sieć gigantycznego pająka. Nebe wskazał latarką na osmalone, spękane belki wokół sali.

– Mocno ucierpiały w czasie pożaru, ale te półpostacie, podtrzymujące belki: widzisz, że niektóre z nich podpierają litery alfabetu?

– Ledwie, ledwie.

– No tak, niektórych nie da się już odczytać. Ale jeśli przyjrzy się dokładniej, to może zobaczysz, że wciąż układają się w dewizę.

– Nic nie zobaczę o pierwszej w nocy.

Nebe zignorował moje słowa.

– Napis mówi: *Erst das Vaterland, dann die Partei*, Najpierw Ojczyzna, potem Partia.

– Niemal nabożnie powtórzył hasło, po czym spojrzał na mnie znacząco.

Westchnąłem i pokręciłem głową.

– To naprawdę szczyt wszystkiego! Ty? Arthur Nebe? Reichskriminaldirektor? Beefsteak-Nazi? Na zewnątrz brunatny, w środku czerwony? A niech mnie!

– Na zewnątrz brunatny, owszem – odparł. – W środku nie wiem, jaki mam kolor, ale na pewno nie czerwony. Żaden ze mnie bolszewik. Ale brunatny też nie jestem. Przestałem być nazistą.

– Kurwa, w takim razie niezły z ciebie aktor.

– Teraz tak. Muszę grać, żeby przeżyć. Rzecz jasna, nie zawsze tak było. Policja to moje życie, Günther, ja to kocham. Kiedy zobaczyłem, jak ją zżera liberalizm epoki weimarskiej, pomyślałem, że narodowy socjalizm przywróci jakiś szacunek dla prawa i porządku w tym kraju. Ale jest gorzej niż kiedykolwiek. Pomogłem wyrwać gestapo spod władzy Dielsa tylko po to, by zastąpili go Himmler i Heydrich, i...

– ...i wtedy naprawdę trafiłeś z deszczu pod rynnę. Wszystko jasne.

– Zbliża się chwila, gdy każdy będzie musiał się określić. W Niemczech, które zaplanowali dla nas Himmler i Heydrich, nie ma miejsca na agnostycyzm. Trzeba będzie bronić swoich przekonań albo ponieść konsekwencje. Kiedy nadejdzie właściwa pora, będą nam potrzebni tacy ludzie jak ty. Funkcjonariusze, którym można zaufać. Dlatego poprosiłem cię o spotkanie... chcę cię przekonać, żebyś wrócił.

– Ja? Mam wrócić do Kripo? Arthur, chyba żartujesz! Posłuchaj, zbudowałem sobie

niezły interes i całkiem dobrze zarabiam. I miałbym to wszystko rzucić dla przyjemności służby w policji? Znowu? A po co?

– Może nie będziesz miał wiele do gadania w tej kwestii. Heydrich uważa, że byłbyś dla niego użyteczny w Kripo.

– Rozumiem. Jakiś konkretny powód?

– Jest taka sprawa, którą chce, żebyś się zajął. Z pewnością nie muszę ci mówić, że dla Heydricha faszyzm to rzecz bardzo osobista. I zazwyczaj osiąga to, czego chce.

– O co chodzi konkretnie?

– Nie wiem, jakie Heydrich ma zamiary; on mi się nie zwierza. Chciałem cię tylko uprzedzić, żebyś był przygotowany i nie palnął jakiegoś głupstwa, na przykład, żebyś nie posłał go do diabła, co mógłbyś zrobić w pierwszym odruchu. Obaj bardzo cenimy twoje zdolności śledcze. I w dodatku ja też chciałbym mieć w Kripo kogoś zaufanego.

– No, no, to się nazywa popularność.

– Pomyśl o tym.

– Nie wiem, jak mógłbym tego uniknąć. Z pewnością to jakaś odmiana po rozwiązywaniu krzyżówek. Tak czy inaczej, dzięki za ostrzeżenie, Arthur. Jestem ci bardzo wdzięczny. – Nerwowo otarłem suche wargi. – Masz jeszcze trochę tej lemoniadki? Potrzebuję się napić. Nie codziennie słyszy się takie dobre wieści.

Nebe wręczył mi piersiówkę, do której przyssałem się jak niemowlę do cycka. Była mniej przyjemna w dotyku, ale prawie tak samo podnosząca na duchu.

– W liściku wspomniałeś, że masz informacje o jakiejś starej sprawie. A może chciałeś mnie tylko znęcić, jak pedofil wabi dziecko na szczeniaczka?

– Jakiś czas temu poszukiwałeś pewnej kobiety. Dziennikarki.

– Faktycznie, to było jakiś czas temu. Prawie dwa lata. Nie znalazłem jej. Zawiodłem, to mi się często zdarza. Może powinieneś powiedzieć o tym Heydrichowi. To mogłoby go przekonać, żeby mi odpuścił.

– Chcesz się czegoś dowiedzieć czy nie?

– Nie każ mi się wdzięczyć, Arthur.

– Niewiele tego, ale proszę bardzo. Jakies dwa miesiące temu właścicielka domu, w którym mieszkała twoja klientka, postanowiła wyremontować kilka mieszkań, w tym i jej lokal.

– Co za szlachetność.

– W toalecie znalazła ukryte za kafelkiem przybory narkomanki. Wszystko, czego trzeba do uprawiania nałogu, z wyjątkiem samych narkotyków: strzykawki, igły, cały

komplet. Otóż po zniknięciu twojej klientki następnym lokatorem mieszkania został ksiądz, więc mało prawdopodobne, że to jego rzeczy, czyż nie? A jeśli ta pani była morfinistką, to wiele wyjaśnia, nie sądzisz? To znaczy, nigdy nie przewidzisz, co taki ćpun zrobi.

Pokręciłem głową.

– To nie ten typ. Przecież coś bym zauważył, prawda?

– Niekoniecznie. Nie, gdyby próbowała je odstawić. Nie, gdyby miała silny charakter. No cóż, taki dostaliśmy meldunek i uznałem, że zechcesz o tym wiedzieć. Żeby móc zamknąć akta sprawy. Skoro ukrywała przed tobą coś takiego, to nie wiadomo, co jeszcze mogła zataić.

– Wszystko w porządku, Arthur. Dokładnie obejrzałem sobie jej sutki.

Nebe zachichotał nerwowo, niepewny, czy aby nie opowiadam mu sprośnego kawału.

– Niezłe były?

– Miała tylko dwie, Arthur. Ale za to piękne.

poniedziałek, 29 sierpnia

W innym mieście każdy dom na Herbertstrasse byłby otoczony kilkoma hektarami trawnika i gęstwą kwitnących krzewów. Ale tutaj, w Berlinie, budynki ciasno upchnięte na parcelach nie zostawiały wiele miejsca na trawę czy bruk, a niektóre z nich dzieliła od chodnika zaledwie głębokość bramy wejściowej. Architektonicznie stanowiły mieszaninę stylów, od palladiańskiego po neogotycki i wilhelmiński, czasem o niezwykle regionalnych cechach. Herbertstrasse jako całość przypominała zgromadzenie starych feldmarszałków i admirałów, ubranych w galowe mundury, których zmuszono do siedzenia na maleńkich, niewygodnych stołkach polowych.

Dom, do którego zostałem wezwany, przypominał wielki tort weselny i właściwie powinien się znajdować na plantacji w stanie Missisipi. Wrażenie było tym silniejsze, że drzwi otworzyła mi czarna służąca gruba jak beczka. Pokazałem jej legitymację i wyjaśniłem, że jestem oczekiwany. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w dokument z podejrzliwością samego Himmlera:

– Frau Lange nic nie mówiła.

– Pewnie zapomniała – powiedziałem. – Proszę posłuchać, nie minęło jeszcze pół godziny, jak zadzwoniła do mojego biura.

– No dobra – zgodziła się niechętnie. – Niech wejdzie.

Zaprowadziła mnie do salonu, który mógłby uchodzić za elegancki, gdyby nie spora, częściowo ogryziona psia kość, leżąca na środku dywanu.

– Niech niczego nie rusza – zarządziła czarna beczka. – Powiem, że przyszedł. – I wytoczyła się w poszukiwaniu swej pani, mamrocząc i stękając, jakbym wyciągnął ją z wanny.

Usiadłem na mahoniowej kanapie z poręczami rzeźbionymi w delfiny. Obok stał podręczny stolik w podobnym stylu, o blacie wspartym na delfinich ogonach. Delfiny jako element komiczny stanowiły ulubiony motyw niemieckich stolarzy artystycznych, choć moim zdaniem więcej poczucia humoru dałoby się znaleźć na znaczku za trzy fenigi. Po około

pięciu minutach oczekiwania beczka znów się przyturlała i oznajmiła, że Frau Lange mnie przyjmie.

Ruszyliśmy długim, ponurym korytarzem, zamieszkanym przez liczne wypchane ryby, wśród których zauważyłem pięknego łososia. Przystanąłem.

– Ładna ryba – powiedziałem z podziwem. – Ktoś w domu był rybakiem?

Odwróciła się zniecierpliwiona.

– Nie ma rybaka – rzuciła. – Tylko ryby. Co za dom, same ryby, psy i koty. Koty najgorsze. Ryby przynajmniej nieżywe. Psów i kotów nie można odkurzyć.

Niemal odruchowo przeciągnąłem palcem po gablocie łososia. Niewiele wskazywało na to, że odbywało się tu jakieś odkurzanie; co więcej, nawet podczas swego względnie krótkiego pobytu w domostwie Lange zdołałem dostrzec, że dywany czyści się tu rzadko, jeśli w ogóle. Po błocie okopów odrobina kurzu i garść okruchów na podłodze nieszczególnie mnie razi. Niemniej w najgorszych slumsach Neukölln i Weddingu widywałem lepiej utrzymane domy.

Beczka otworzyła szklane drzwi i odsunęła się na bok. Wszedłem do zagraconego pokoju, który najwyraźniej częściowo pełnił funkcję biura, i drzwi zamknęły się za mną.

Frau Lange była dużą, mięsistą kobietą w typie orchidei. Jej brzoskwiniowa twarz i ramiona tonęły w fałdach tłuszczu, nadających jej wygląd głupiego pieska, z takich, jakie się hoduje po to, aby ich sierść stała się o kilka rozmiarów za duża. Sama przypominała bezkształtnego sharpei, a jej głupi piesek był jeszcze bardziej rozlany niż ona.

– To miło, że zechciał pan wpaść i zobaczyć się ze mną bez uprzedzenia – powiedziała.

Wydałem kilka ugrzecznionych pomruków; w końcu dysponowała siłą przebicia, którą zyskuje się, jedynie mieszkając pod ekskluzywnym adresem, takim jak Herbertstrasse.

Frau Lange usiadła na zielonym szezlongu, a psa i jego futro rozpostarła na rozłożystym podołku niczym robótkę na drutach, której nie zamierzała przerywać, przedstawiając mi swój problem. Na oko przekroczyła już pięćdziesiątkę, co naturalnie nie miało żadnego znaczenia. Kiedy kobieta kończy pięćdziesiąt lat, jej wiek przestaje interesować kogokolwiek prócz niej samej. Z mężczyzną sprawy mają się dokładnie odwrotnie.

Wyjęła papierośnicę i poczęstowała mnie, zastrzegając:

– To mentolowe.

Wziąłem chyba z ciekawości, ale po pierwszym sztachu aż się wzdrygnąłem; po prostu zapomniałem, jak ohydnie smakuje mentolowy papieros. Widząc moją jawną odrazę, Frau

Lange zachichotała.

– Och, na litość boską, niechże pan go zgasi. Smakują okropnie. Nie mam pojęcia, dlaczego je palę, naprawdę. Proszę zapalić własnego, bo inaczej nigdy się pan nie skupi.

– Dziękuję – rzekłem, gasząc papierosa w popielniczce wielkości dekla. – Chyba tak zrobię.

– A skoro o tym mowa, proszę nalać drinka nam obojgu. Nie wiem jak panu, ale mnie alkohol z pewnością się przyda.

Wskazała mi wielką biedermeierowską sekretkę, której górna część, ozdobiona jońskimi kolumnkami z brązu, była miniaturą starożytnej greckiej świątyni.

– W tym meblu schowana jest butelka dżinu – powiedziała. – Niestety, mogę panu do niego zaproponować tylko sok z limonki. Nie piję nic innego.

Jak dla mnie było trochę za wcześnie, ale posłusznie zmieszałem drinki. Spodobało mi się, że klientka robi, co może, bym poczuł się swobodnie. To podobno jedna z moich własnych umiejętności zawodowych, lecz w odróżnieniu ode mnie, Frau Lange nie denerwowała się ani trochę; wyglądała na damę, której pod względem umiejętności zawodowych nic nie brakuje. Wręczyłem jej drinka i usiadłem na trzeszczącym skórzanym fotelu obok szezlongu.

– Jest pan człowiekiem spostrzegawczym, Herr Günther?

– Widzę, co się dzieje w Niemczech, jeśli pani o to pyta.

– Niezupełnie, ale i tak miło mi to słyszeć. Nie, pytam o to, czy pan potrafi dostrzec to i owo.

– Ależ Frau Lange, nie ma potrzeby, żeby skradała się pani jak kot do miski z mlekiem. Niech pani podejdzie i śmiało pije. – Oczekałem chwilę, lecz widząc, że się speszyła, dodałem: – Proszę bardzo, wyręczę panią. Pyta pani, czy jestem dobrym detektywem.

– Obawiam się, że niewiele wiem o tych sprawach.

– Nie ma powodu, żeby pani wiedziała.

– Ale jeśli mam powierzyć panu tajemnicę, to chyba powinnam mieć jakieś pojęcie o pańskich kwalifikacjach.

Uśmiechnąłem się.

– Pani rozumie, że w takiej branży jak moja nie da się przedstawić referencji od zadowolonych klientów. Poufność jest dla nich równie ważna jak tajemnica spowiedzi. Może nawet ważniejsza.

– Ale skąd w takim razie mam wiedzieć, że zapewniam sobie usługi kogoś, kto dobrze

wykonuje swój zawód?

– Frau Lange, ja wykonuję swój zawód bardzo dobrze. Mam ugruntowaną reputację. Kilka miesięcy temu ktoś nawet złożył ofertę kupienia mojej firmy. Całkiem dobrą ofertę, jeśli chce pani wiedzieć.

– Czemu pan jej nie sprzedał?

– Po pierwsze, firma nie jest na sprzedaż. Po drugie, byłbym równie złym pracownikiem, jak pracodawcą. Niemniej, pochlebia mi, że do tego doszło. Naturalnie, to nie ma nic do rzeczy. Ludzie, pragnący skorzystać z usług prywatnego detektywa, na ogół nie muszą kupować całej firmy; zwykle proszą swego adwokata, żeby im kogoś znalazł. Przekona się pani, że moje usługi poleca wiele kancelarii prawniczych, również takich, w których mój akcent i maniere nie budzą entuzjazmu.

– Pan wybaczy, Herr Günther, ale moim zdaniem zawód prawnika jest mocno przeceniany.

– O to nie będę się z panią spierać. Jeszcze nie spotkałem prawnika, który nie byłby w stanie okraść swojej matki z oszczędności, a nawet odebrać jej materaca, pod którym je ukryła.

– Przekonałam się, że w większości spraw zawodowych lepiej polegać na własnej ocenie.

– A jaki właściwie jest pani zawód?

– Jestem właścicielką i dyrektorką firmy wydawniczej.

– Wydawnictwo Lange?

– Herr Günther, powiedziałam już, że polegając na własnej ocenie, nieczęsto się mylę. W działalności wydawniczej gust jest wszystkim; żeby ocenić, co się sprzedaje, trzeba coś wiedzieć o gustach ludzi, którym się to sprzedaje. Otóż jestem w każdym calu berlinką i sądzę, że znam to miasto i jego mieszkańców lepiej niż ktokolwiek inny. Wracając zatem do mego pierwotnego pytania o pańską spostrzegawczość, niech mi pan powie: gdybym była w Berlinie kimś obcym, to jak opisałby mi pan mieszkańców naszego miasta?

– Hm, co to znaczy berlińczyk? – Uśmiechnąłem się. – Dobre pytanie. Żaden klient nie kazał mi dotąd skakać przez kółka, żeby sprawdzić, czy jestem mądrym pieskiem. Wie pani, zwykle nie wykonuję sztuczek, ale dla pani zrobię wyjątek. Berlińczycy lubią, kiedy się robi dla nich wyjątki. Więc mam nadzieję, że pani uważnie słucha, bo mój występ właśnie się zaczyna. Tak jest, berlińczycy lubią się czuć wyjątkowi, choć równocześnie bardzo dbają o pozory. Na ogół wyglądają podobnie: szalik, kapelusz oraz buty, w których można by iść do Szanghaju i nie nabawić się odcisków. Tak się składa, że berlińczycy lubią chodzić, toteż

wielu z nich ma psy: złe dla mężczyzn, milusie dla całej reszty. Mężczyźni przyczesują włosy częściej niż kobiety i hodują wasy, w których można polować na dzikie świnie. Turyści myślą, że mężczyźni w Berlinie lubią przebierać się za kobiety, ale to tylko brzydkie kobiety robią mężczyznom złą opinię. Chociaż ostatnio nie ma zbyt wielu turystów. Przez ten narodowy socjalizm turysta to widok rzadszy niż Fred Astaire w oficerkach. Ludzie w tym mieście dodają śmietanki do wszystkiego, łącznie z piwem, ale picie piwa traktują bardzo poważnie. Kobiety, podobnie jak mężczyźni, wołają piwo z dziesięciminutową pianą i nie przeszkadza im, że same za nie płacą. Prawie wszyscy kierowcy jeżdżą za szybko, ale nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby przejechać na czerwonym świetle. Mają zniszczone płuca, bo powietrze jest brudne, oraz dlatego, że za dużo palą. Ich dowcipy wydają się okrutne, kiedy się ich nie rozumie, i jeszcze okrutniejsze, kiedy wreszcie się je pojmie. Za ciężkie pieniądze kupują kredensy masywne jak bunkry w stylu biedermeier, a potem wieszają w oszklonych drzwiczkach firaneczki, żeby ukryć, co jest w środku. Są typową, specyficzną mieszaniną ostentacji i prywatności. Jak mi idzie?

Frau Lange skinęła głową.

– Nieźle pan sobie radzi, jeśli nie liczyć uwagi o brzydkich berlinkach.

– To nie jest istotne.

– I tu pan się myli. Proszę się tylko nie wycofywać, bo przestanę pana lubić. To jest jak najbardziej istotne. Za chwilę zobaczy pan, dlaczego. Jakie ma pan stawki?

– Siedemdziesiąt marek dziennie plus wydatki.

– A jakież to wydatki?

– Trudno powiedzieć. Przejazdy. Łapówki. Cokolwiek, z czego można wycisnąć informację. Dostarczę pani pokwitowania na wszystko, z wyjątkiem łapówek. Obawiam się, że w kwestii tych ostatnich musi mi pani wierzyć na słowo.

– Cóż, miejmy nadzieję, że potrafi pan ocenić, za co warto płacić.

– Nie miewam reklamacji.

– Przypuszczalnie chce pan zaliczkę. – Wręczyła mi kopertę. – Znajdzie pan tutaj tysiąc marek w gotówce. Czy to pana satysfakcjonuje? – Przytaknąłem. – Oczywiście poproszę o pokwitowanie.

– Oczywiście – odrzekłem i podpisałem przygotowany przez nią świstek. Bardzo rzeczowa osoba, pomyślałem. Tak, niewątpliwie kobieta godna uwagi.

– Na marginesie, jak to się stało, że pani na mnie trafiła? Chyba nie pytała pani adwokata, a ja – dodałem z namysłem – oczywiście się nie ogłaszam.

Frau Lange wstała i podeszła do biurka, wciąż trzymając psa w objęciach.

– Miałam pańską wizytówkę – powiedziała, podając mi kartonik. – A przynajmniej mój syn ją miał. Wyjęłam ją ponad rok temu z kieszeni jego starego garnituru, który chciałam oddać na Pomoc Zimową. – Miała na myśli akcję dobroczynną, organizowaną przez Front Pracy, DAF. – Zatrzymałam ją, bo chciałam mu ją zwrócić. Lecz kiedy o niej wspomniałam, kazał mi ją wyrzucić. Ale nie wyrzuciłam. Pewnie sądziłam, że na jakimś etapie może się przydać. No i nie myliłam się, prawda?

Była to stara firmowa wizytówka, pochodząca z czasów, kiedy nie byłam jeszcze w spółce z Brunonem Stahleckerem. Na odwrocie widniał nawet mój dawny domowy numer telefonu.

– Ciekawe, skąd ją miał – mruknąłem.

– Wydaje mi się, że powiedział, że od doktora Kindermanna.

– Kindermanna?

– Zaraz do tego dojdziemy, jeśli pan pozwoli.

Wyciągnąłem z portfela nową wizytówkę.

– To nie jest takie ważne, ale mam teraz współnika, więc lepiej dam pani nową.

Wręczyłem jej wizytówkę, którą odłożyła na biurko przy telefonie. Następnie usiadła i jakby przekręcając w głowie wyłącznik, przybrała poważny wyraz twarzy.

– A teraz chyba powinnam już panu powiedzieć, po co pana wezwałam – rzekła z ponurą miną. – Chcę, żeby pan się dowiedział, kto mnie szantażuje. – Urwała i nerwowo poprawiła się na szezlongu. – Przepraszam, to nie jest dla mnie łatwe.

– Proszę się nie spieszyć. Szantaż każdego wytrąca z równowagi.

Kiwnęła głową i pociągnęła łyk dzinu.

– No więc trochę ponad miesiąc temu otrzymałam kopertę, zawierającą dwa listy, napisane przez mojego syna do pewnego mężczyzny. Do doktora Kindermanna. Oczywiście rozpoznałam pismo syna i chociaż ich nie czytałam, zorientowałam się, że mają intymny charakter. Mój syn jest homoseksualistą, Herr Günther. Wiem o tym od jakiegoś czasu, więc wstrząs nie był dla mnie taki straszny, choć z załączonego liściku wywnioskowałam, że ten zły człowiek zapewne na to liczył. Pisał również, że jest w posiadaniu kilku innych podobnych listów i że mi je odda, jeśli zapłacę mu tysiąc marek. Jednak gdybym odmówiła, nie będzie miał innego wyjścia, jak przekazać je gestapo. Z pewnością nie muszę panu mówić, Herr Günther, że obecny rząd nie ma do tych młodych nieszczęśników tak oświeconego stosunku jak republika. Każdy kontakt między mężczyznami, choćby najbardziej przelotny, traktowany jest jak przestępstwo. Ujawnienie homoseksualizmu Reinharda oznaczałoby dlań nawet dziesięć lat w obozie koncentracyjnym. A więc

zapłaciłam, Herr Günther. Mój szofer zostawił pieniądze we wskazanym miejscu i po mniej więcej tygodniu dostałam przesyłkę – nie paczkę korespondencji, jakiej się spodziewałam, lecz jeden, jedyny list. Oraz kolejną anonimową notatkę, w której autor powiadamiał mnie, że zmienił zdanie, że jest człowiekiem ubogim, że będę musiała wykupywać listy po jednym i że ma ich jeszcze dziesięć. Od tamtej pory, kosztem prawie pięciu tysięcy marek, odzyskałam cztery, za każdym razem płacąc więcej niż poprzednio.

– Czy pani syn o tym wie?

– Nie. I na razie nie widzę powodu, żebyśmy oboje cierpieli.

Westchnąłem i już chciałem głośno wyrazić swój sprzeciw, gdy mi przerwała:

– Tak, zapewne powie pan, że to utrudnia wykrycie sprawcy i że Reinhard może wiedzieć coś, co byłoby dla pana pomocne. Oczywiście ma pan absolutną rację. Ale proszę pana, mam swoje powody. Po pierwsze, mój syn jest chłopcem porywczym. W pierwszym odruchu zapewne kazałby mi posłać tego szantażystę do diabła i przestać płacić. To niemal na pewno skończyłoby się jego aresztowaniem. Reinhard to moje dziecko i jako matka bardzo go kocham, ale to głuptas, pozbawiony poczucia pragmatyzmu. Przypuszczam, że człowiek, który mnie szantażuje, jest przenikliwym sędzią ludzkiej psychologii. Dobrze rozumie, co matka i wdowa czuje do swego jedynaka. Zwłaszcza bogata i dość samotna wdowa, taka jak ja. Po drugie, ja sama też dość dobrze rozumiem świat homoseksualistów. Zmarły doktor Magnus Hirschfeld napisał kilka książek na ten temat, z których jedną miałam zaszczyt osobiście wydać. To świat tajemny i raczej zdradziecki, Herr Günther, mekka szantażystów. Niewykluczone więc, że ten niegodziwiec jest wręcz znajomym mojego syna. Przecież podstawą szantażu może stać się nawet miłość między mężczyzną i kobietą, zwłaszcza gdy w grę wchodzi cudzołóstwo albo skalanie rasy, co najwyraźniej spędza tym nazistom sen z powiek. Z powyższych powodów zamierzam powiedzieć Reinhardowi o tym wszystkim dopiero, gdy pan odkryje tożsamość szantażysty. Wówczas sam zadecyduje, co robić, tymczasem jednak o niczym nie może się dowiedzieć. – Spojrzała na mnie pytająco. – Zgoda?

– Frau Lange, pani logika jest bez zarzutu. Wydaje mi się, że dokładnie wszystko pani przemyślała. Mogę zobaczyć listy pani syna?

Kiwnęła głową i sięgnęła po teczkę leżącą obok szezlonga, ale zawahała się.

– Czy to konieczne? Żeby pan czytał jego listy?

– Owszem, tak – rzekłem stanowczo. – Zachowała pani kartki od szantażysty?

Podawała mi teczkę.

– Wszystko tu jest – powiedziała. – Korespondencja i anonimowe listy.

– Nie kazał pani nic zwrócić?

– Nie.

– To dobrze. To znaczy, że mamy do czynienia z amatorem. Ktoś, kto robił to już przedtem, przy każdej płatności kazałby pani zwracać swoje listy. Żeby pani nie mogła zbierać dowodów przeciwko niemu.

– Tak, rozumiem.

Zerknąłem na to, co optymistycznie określiłem jako dowody. Anonimy na przyzwoitym papierze bez żadnych cech szczególnych zostały napisane i zaadresowane na maszynie. Wysłano je z różnych dzielnic zachodniego Berlina – W.35, W.40, W.50 – i ofrankowano znaczkami upamiętniającymi piątą rocznicę dojścia nazistów do władzy. To mi coś mówiło; rocznica ta przypadała 30 stycznia, więc szantażysta pani Lange najwyraźniej nie kupował znaczków zbyt często.

Reinhard Lange skreślił swoje listy na mięsistym papierze, jaki kupują tylko zakochani – kosztuje tak dużo, że po prostu trzeba go traktować serio. Pismo było schludne i staranne, a nawet ostrożne, czego nie można już powiedzieć o treści. Zapewne kąpielowy w łaźni tureckiej nie dostrzegłby w nich nic szczególnie zdrożnego, lecz w nazistowskich Niemczech przesyłki miłosne Reinharda Langego z pewnością gwarantowały ich bezwstydnemu autorowi przejazd do kacetu z całym rzędem różowych trójkątów na piersi.

– Ten doktor Lanz Kindermann – zagadnąłem, czytając nazwisko na pachnącej limetką kopercie. – Co dokładnie pani o nim wie?

– Na pewnym etapie udało mi się namówić Reinharda, żeby zaczął leczyć swój homoseksualizm. Na początku próbował kilku preparatów hormonalnych, ale okazały się nieskuteczne i uznałam, że psychoterapia rokuje lepiej. Podobno kilku wysokich funkcjonariuszy partyjnych i chłopców z Hitlerjugend przeszło taką kurację. Kindermann jest psychoterapeutą i Reinhard zobaczył go po raz pierwszy, kiedy przekroczył próg jego kliniki w Wannsee. Szukał pomocy, a zamiast tego nawiązał z Kindermannem, który sam jest homoseksualistą, stosunek intymny.

– Proszę mi wybaczyć moją niewiedzę, ale co to właściwie jest psychoterapia? Sądziłem, że takie rzeczy nie są już dozwolone.

– Nie wiem dokładnie. – Frau Lange pokręciła głową. – Ale myślę, że nacisk kładzie się tutaj na leczenie zaburzeń psychicznych jako części ogólnego zdrowia fizycznego człowieka. Niech pan nie pyta, czym to się różni od pomysłów tego całego Freuda poza tym, że to Żyd, a Kindermann to Niemiec. Klinika Kindermanna też jest tylko dla Niemców. Bogatych Niemców z problemem alkoholowym i narkotykowym, których interesują bardziej ekscentryczne obrzeża medycyny, chiropraktyka, te rzeczy. Albo dla takich, którzy szukają

luksusowego miejsca na odpoczynek. Jednym z pacjentów Kindermanna jest zastępca Führera Rudolf Hess.

– Spotkała pani doktora Kindermanna?

– Tylko raz. Nie spodobał mi się. To dość arogancki Austriak.

– Jak oni wszyscy – mruknąłem. – Pani zdaniem to typ, który nie wzgardziłby drobnym szantażem? W końcu to on jest adresatem listów. Jeśli nie Kindermann, to musi być ktoś, kto go zna. Albo przynajmniej ktoś, kto miał sposobność wykraść mu te listy.

– Przyznaję, że nie podejrzewałam Kindermanna z tego prostego powodu, że listy obciążają ich obu. – Zamyśliła się. – Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale nigdy się nie zastanawiałam, jak ten ktoś wszedł w posiadanie tych listów. Ale teraz, gdy pan o tym mówi, podejrzewam, że musiały zostać skradzione. Sądzę, że Kindermannowi.

Kiwnąłem głową.

– No dobrze – powiedziałem. – A teraz zadam pani trudniejsze pytanie.

– Chyba wiem, o co pan zapyta, Herr Günther. – Westchnęła ciężko. – Czy biorę pod uwagę możliwość, że winowajcą jest mój syn? – Spojrzała na mnie krytycznie i dodała: – Nie myliłam się co do pana, prawda? To właśnie takie cyniczne pytanie, jakie miałam nadzieję usłyszeć. Teraz wiem, że mogę na panu polegać.

– Cynizm u detektywa, Frau Lange, to jak u ogrodnika dobra ręka do roślin. Czasem ta cecha pakuje mnie w kłopoty, lecz przede wszystkim nie pozwala mi nikogo lekceważyć. Mam zatem nadzieję, że wybaczy mi pani, kiedy powiem, że to najlepszy powód, by nie powiadamiać pani syna o śledztwie, i że pani już o tym pomyślała. – Widząc, że się uśmiecha, dodałem: – No więc sama pani widzi, Frau Lange, że pani nie lekceważę. – Skinęła głową. – Sądzi pani, że brakuje mu pieniędzy?

– Nie. Jako prezes zarządu Wydawnictwa Lange pobiera sporą pensję. Czerpie również dochody z dużego funduszu powierniczego, który ustanowił dlań jego ojciec. Lubi hazard, to prawda. Ale co gorsza, z mojego punktu widzenia, jest właścicielem całkowicie zbędnego tytułu „Urania”.

– Tytułu?

– Czasopisma. O astrologii i innych bzdurach. Od dnia, kiedy je kupił, tylko traci pieniądze. – Zapaliła kolejnego papierosa i zaciągnęła się, ściągając usta, jakby zamierzała zagwizdać jakąś melodię. – Przecież wie, że gdyby naprawdę zabrakło mu pieniędzy, może zawsze przyjść i mnie poprosić.

Uśmiechnąłem się z pewną zazdrością.

– Wiem, że nie jestem, jak to mówią, śliczny, ale myślała pani kiedyś, żeby

zaadoptować kogoś takiego jak ja? – Roześmiała się, więc dodałem: – Ten młody człowiek ma wiele szczęścia.

– Jest kompletnie zepsuty, ot co! I już nie jest taki młody. – Wpatrywała się w przestrzeń, wodząc wzrokiem za smugą dymu z papierosa. – Dla bogatej wdowy, którą jestem, Reinhard to coś, co w interesach nazywamy *loss-leader*, atrakcyjny towar sprzedawany poniżej kosztów. Nie ma takiego rozczarowania, które dałoby się porównać z rozczarowaniem, jakie może nam sprawić jedyny syn.

– Doprawdy? A ja słyszałem, że dzieci to na starość błogosławieństwo.

– Wie pan, jak na cynika, robi się pan całkiem sentymentalny. Widać, że nie ma pan własnych dzieci. Pozwoli pan, Herr Günther, że wyprowadzę pana z błędu. Dzieci to odbicie naszej starości. To najszybszy znany mi sposób, żeby się zestarzeć. Lustrzane odbicie naszego upadku. A mojego zwłaszcza.

Piesek ziewnął i zeskoczył jej z kolan, jakby słyszał to już wiele razy przedtem. Na podłodze przeciągnął się i podbiegł do drzwi, gdzie przystanął, by spojrzeć wyczekująco na swoją panią. Frau Lange, niespeszona tym pokazem psiej pychy, wstała i wypuściła zwierzaka z pokoju.

– Co teraz? – zapytała, wracając na szezlong.

– Czekamy na kolejny list. Zajmę się dostarczeniem pieniędzy. A tymczasem, sądzę, że to niezły pomysł, bym na kilka dni położył się w klinice doktora Kindermanna. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o przyjacielu pani syna.

– Pewnie mówiąc o wydatkach, to właśnie miał pan na myśli?

– Postaram się, żeby mój pobyt był jak najkrótszy.

– Niech pan tego dopilnuje – rzekła, przyjmując belferski ton. – Klinika Kindermanna kosztuje sto marek dziennie.

Gwizdnąłem.

– Pokażna sumka.

– A teraz już muszę pana przeprosić, Herr Günther – powiedziała. – Powinam się przygotować do zebrania.

Wsadziłem gotówkę do kieszeni, po czym podaliśmy sobie dłonie, a następnie wzięłem teczkę, którą dla mnie przygotowała, i skierowałem się ku drzwiom.

Ruszyłem z powrotem zakurzoną korytarzem do holu. Gniewny głos warknął:

– Zaraz, niech zaczeka. Muszę otworzyć drzwi. Frau Lange nie lubi, kiedy nie wypuszczam gości osobiście.

Położyłem rękę na klamce i poczułem pod palcami coś lepkiego.

– To pewnie twój ciepły charakter – warknąłem z rozdrażnieniem i nie czekając, aż czarna beczka przeczłapie przez hol, rozwarłem drzwi na oścież. – Nie fatyguj się – powiedziałem, przyglądając się swojej dłoni. – Wracaj do swojej roboty, cokolwiek robisz w tym chlewiku.

– Długo jestem u Frau Lange – burknęła. – Nigdy się nie skarżyła.

Zastanowiło mnie, czy przypadkiem tu również w grę nie wchodzi szantaż. W końcu, jeśli ktoś trzyma w domu psa, który nie szczeka, to musi mieć jakiś powód. Nie wydawało mi się, by przywiązanie odgrywało w tej sytuacji jakąś rolę, nie w wypadku tej kobiety. Już prędzej można by się przywiązać do rzecznego krokodyla. Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę, po czym zapytałem:

– Czy twoja pani zawsze tyle pali?

Czarna służąca zasepiła się, wężąc podchwytliwe pytanie. W końcu uznała jednak, że nie ma się czego obawiać.

– Faktycznie, zawsze ma peta w gębie.

– No, to wszystko wyjaśnia – rzekłem. – Założę się, że przez te kłęby dymu z papierosów nawet nie widzi, że tu jesteś.

Zakłęła zjadliwie pod nosem i zatrzasnęła za mną drzwi.

Jadąc Kurfürstendamm w stronę centrum, miałem o czym myśleć. Rozmyślałem o sprawie Frau Lange i o tysiącu marek w swojej kieszeni. Rozmyślałem o tym, że spędzę na jej koszt krótki urlop w przyjemnym sanatorium, co da mi szansę przynajmniej chwilowo uciec od Brunona i jego fajki, nie wspominając już o Arthurze Nebe i Heydrichu. Może nawet zrobię porządek ze swoją bezsennością i depresją.

Ale najwięcej rozmyślałem o tym, jak to się stało, że moja firmowa wizytówka i numer telefonu znalazły się w posiadaniu jakiegoś austriackiego kwiatuszka, o którym nawet nie słyszałem.

środa, 31 sierpnia

Okolice Wannsee, leżące na południe od Königstrasse, to siedlisko najrozmaitszych klinik i szpitali – modnych i błyszczących zakładów, gdzie do mycia szyb i podłóg zużywa się tyle samo eteru, co na potrzeby pacjentów. Pod względem medycznym są one dość egalitarne. Nawet człowiek o kondycji afrykańskiego słonia zostanie tu radośnie przyjęty jako poważny przypadek nerwicy frontowej, a wymalowane pielęgniarki pomogą mu dźwigać cięższe gatunki pasty do zębów i papieru klozetowego, pod warunkiem, że zdoła za to zapłacić. W Wannsee stan konta znaczy więcej niż ciśnienie krwi.

Klinika Kindermanna stała przy cichej uliczce w sporym i grzecznym ogrodzie, opadającym do zatoczki głównego jeziora. Oprócz gęsto rosnących wiązów i kasztanowców było tu jeszcze moło z kolumnadą, hangar dla łodzi oraz gotycki pawilon ogrodowy – ten ostatni zbudowany tak solidnie, że swym poważnym wyglądem nasuwał na myśl jakąś średniowieczną budkę telefoniczną.

Budynek kliniki stanowił zlepek wykuszów, szachulców, słupków, blanek i wieżyczek, bardziej przypominający zamczysko nad Renem aniżeli sanatorium. Niemal spodziewałem się zobaczyć szubienice na dachu albo dosłyszeć z piwnicy stłumiony krzyk. Ale panowała tu cisza, nikt się nie kręcił. Jedynie gdzieś z jeziora za drzewami dobiegały głosy czteroosobowej osady łodzi wiosłowej, na które wrony odpowiadały wrzaskliwym komentarzem.

Wchodząc do środka, pomyślałem jeszcze, że o zmierzchu, gdy nietoperze zaczną rozważać wypad na nocne łowy, być może łatwiej napotkam pensjonariuszy, przekradających się na zewnątrz.

Z mojego pokoju, który mieścił się na trzecim piętrze, roztaczał się wspaniały widok na kuchnię. Za osiemdziesiąt marek dziennie było to najtańsze lokum, jakie posiadali, lecz stojąc niemalże na jednej nodze w ciasnym pomieszczeniu, nie mogłem oprzeć się myśli, że po zapłaceniu dodatkowych pięćdziesięciu marek zasłużyłbym na coś więcej, na przykład klitkę wielkości kosza do bielizny. Ale klinika była pełna i został im tylko ten pokój, jak

wyjaśniła pielęgniarka, która mnie tu przyprowadziła.

Rozkoszna była. Jak nadbałtycka handlarzka ryb, tylko bez wesołej wiejskiej gadki. Kiedy posłała łóżko i poleciła mi się rozebrać, z podniecenia prawie przestałem oddychać. Najpierw pokojówka pani Lange, a teraz ta osoba, mająca tyleż pojęcia o szmince, co pterodaktyl! A przecież nie brakowało tu ładnych pielęgniarek, sam widziałem ich mnóstwo na dole. Pewnie kombinowali, że skoro dali mi taki mały pokój, to przynajmniej pielęgniarkę przydzielą mi dużą.

– O której otwierają bar? – zapytałem.

Jej poczucie humoru dorównywało urodzie.

– Tu nie wolno pić alkoholu – rzekła, wrywając mi z ust nie zapalonego papierosa. – A palenie jest surowo wzbronione. Doktor Meyer zaraz do pana przyjdzie.

– A to kto, jakiś drugi sort? Gdzie jest doktor Kindermann?

– Doktor jest na konferencji w Bad Neuheim.

– Co on tam robi, pojechał do sanatorium? Kiedy wraca?

– Pod koniec tygodnia. Pan jest pacjentem doktora Kindermanna, Herr Strauss?

– Nie, nie jestem. Ale za osiemdziesiąt marek dziennie miałem nadzieję, że nim zostanę.

– Zapewniam pana, że doktor Meyer to bardzo kompetentny lekarz.

Zmarszczyła brew, zniecierpliwiona, że nie wykonałem jeszcze żadnego ruchu, by się rozebrać, i zaczęła na mnie cmokać, jakby obłaskawiała papugę. Następnie klasnęła w dłonie, każąc mi się pospieszyć i czym prędzej kłaść do łóżka, żeby doktor Meyer mógł mnie zbadać. Ocenilem, że jest gotowa sama zedrzeć ze mnie ubranie, postanowiłem więc dłużej się nie ociągać. Ta pielęgniarka była nie tylko brzydka – jej stosunek do pacjentów również był rodem z bazaru.

Kiedy wyszła, ułożyłem się, żeby poczytać w łóżku, swojej lektury wszakże nie uznałbym za wciągającą, prędzej już za niesamowitą. Tak, to właściwe określenie: niesamowita. W Berlinie zawsze ukazywały się dziwne okultystyczne periodyki, takie jak „Zenit” i „Hagal”, lecz od brzegów Mozy po fale Niemna chyba nikt nie mógł dorównać szalbierzom, których „twórczość” publikowało czasopismo Reinharda Langego „Urania”. Wystarczył mi kwadrans pobieżnego kartkowania stron, by nabrać przekonania, że Lange to skończony kanciarz. Były tu artykuły zatytułowane: *Wotanizm a prawdziwe pochodzenie chrześcijaństwa*, *Nadludzkie moce zaginionych mieszkańców Atlantydy*, *Teoria światowego złodowacenia wyjaśniona*, *Ezoteryczne ćwiczenia oddechowe dla początkujących*, *Spirytualizm a pamięć rasowa*, *Antysemityzm jako spuścizna teokracji*, itp. Dla człowieka,

który drukuje podobne bzdury, pomyślałem, szantażowanie własnej matki zapewne stanowi przyziemny przerywnik między objawieniami ariozofii.

Nawet doktor Meyer, sam nie będący osobnikiem przeciętnym, uznał za stosowne skomentować mój czytelniczy gust.

– Często pan czyta takie rzeczy? – zapytał, obracając pismo w rękach, jakby było dziwnym wykopaliskiem, wydobytym z ruin Troi przez Heinricha Schliemanna.

– Nie, właściwie nie. Kupiłem z ciekawości.

– To dobrze. Nienormalne zainteresowanie okultyzmem nierzadko świadczy o rozchwianej osobowości.

– Wie pan, ja też tak sobie pomyślałem.

– Oczywiście, nie wszyscy się ze mną zgodzą. Ale wizje, doświadczane przez wiele postaci religijnych, choćby Świętego Augustyna czy Lutera, prawdopodobnie miały podłoże neurotyczne.

– Ach, tak?

– O, tak.

– A co o tym sądzi doktor Kindermann?

– Och, doktor Kindermann wyznaje różne niezwykle teorie. Nie jestem pewien, czy rozumiem jego prace, ale to genialny człowiek. – Ujął mój przegub. – Tak, genialny.

Doktor, Szwajcar z pochodzenia, nosił trzyczęściowy garnitur z zielonego tweedu, wielką jak ćma muszkę, okulary i długą, siwą brodę świętobliwego indyjskiego ascety. Najpierw podwinął mi rękaw pizamy i nad wewnętrzną stroną nadgarstka zawiesił malutkie wahadło. Przez pewien czas obserwował jego obroty i drgania, po czym oznajmił, że ilość wydzielanej przeze mnie elektryczności oznacza, że jestem czymś niezwykle przygnębiony i zaniepokojony. Był to przekonujący mały spektakl, niemniej zawsze się sprawdzał, zważywszy na to, że większość ludzi przyjmowanych do kliniki zapewne czymś się niepokoila i martwiła, choćby rachunkiem za pobyt.

– Jak pan sypia? – zapytał.

– Marnie. Kilka godzin w ciągu nocy.

– Miewa pan koszmary?

– Tak, a nawet nie tykam sera.

– Jakież sny się powtarzają?

– Nic konkretnego.

– A pański apetyt?

– Nie ma o czym mówić.

- Życie płciowe?
- Takie jak apetyt. Szkoda gadać.
- Dużo pan myśli o kobietach?
- Bez przerwy.

Nabazgrał w notesie kilka uwag, pogładził bródkę i powiedział:

– Zapiszę panu dodatkowe witaminy i minerały, zwłaszcza magnez. Zastosujemy dietę bezcukrową, dużo surowych warzyw i wodorostów. Dawka tabletek oczyszczających krew pomoże panu pozbyć się toksyn. Zalecam również ćwiczenia. Mamy tu świetny basen, a gdyby pan zechciał spróbować kąpieli w deszczówce, zobaczy pan, że to bardzo pana pobudzi. Pali pan? – Przytaknąłem. – Niech pan spróbuje na chwilę odstawić. – Zamknął notes. – Cóż, to wszystko sprawi, że na pewno fizycznie poczuje się pan lepiej. A równocześnie zobaczymy, czy nie uda się poprawić pańskiego stanu psychicznego za pomocą psychoterapii.

– Panie doktorze, czym dokładnie jest psychoterapia? Pan wybaczy, ale sądziłem, że nasiłci napiętnowali ją jako dekadencją.

– Ależ nie, nie. Psychoterapia to nie psychoanaliza. Nie opiera się na badaniu podświadomości. Takie rzeczy są dobre dla Żydów, ale dla Niemców nie mają znaczenia. Jak pan za chwilę sam zobaczy, żadnej kuracji psychoterapeutycznej nie da się przeprowadzić w oderwaniu od ciała. Naszym celem jest usunięcie objawów zaburzeń psychicznych przez modyfikację postaw, które doprowadziły do ich wystąpienia. Postawy są uwarunkowane osobowością i stosunkiem osobowości do otoczenia. Pańskie sny interesują mnie tylko w tym sensie, że pan w ogóle je miewa. Leczenie polegające na próbie interpretacji pańskich snów i odkrywanie ich seksualnych znaczeń, to, szczerze mówiąc, czysty absurd. To jest dopiero dekadencja. – Zaśmiał się serdecznie. – Ale to problem Żydów, nie pański, Herr Strauss. W tej chwili najważniejsze jest, żeby pan się porządnie wyspał tej nocy. – To mówiąc, otworzył torbę lekarską, wyjął z niej strzykawkę i ampułkę i położył je na nocnym stoliku.

– Co to jest? – zapytałem niepewnie.

– Hioscyna – odparł, pocierając moje ramię watką nasączoną spirytusem.

Poczułem, jak zastrzyk pełźnie w górę, chłodny niczym płyn do balsamowania. Zdażyłem jeszcze sobie uprzytomnić, że będę musiał znaleźć inny wieczór, aby powęszyć po klinice Kindermanna, a potem cumy łączące mnie ze świadomością rozluźniły się i odpłynąłem, z wolna oddalając się od ładu. Przez chwilę gonił mnie jeszcze głos Meyera, ale już nie słyszałem, co mówi.

Po czterech dniach spędzonych w klinice czułem się lepiej niż kiedykolwiek przez ostatnie cztery miesiące. Oprócz witamin oraz diety z wodorostów i surowych warzyw wypróbowałem także hydroterapię, naturoterapię oraz kurację w solarium. Stan mojego zdrowia poddany został dalszej diagnozie za pomocą badania tęczynek, dłoni i paznokci, co ujawniło u mnie niedobór wapnia. Nauczono mnie również techniki relaksu autogennego. Doktor Meyer robił postępy ze swoim jungowskim „podejściem totalnym”, jak je nazywał, i zamierzał zaatakować moją depresję elektroterapią. I chociaż na razie nie udało mi się dotrzeć do gabinetu doktora Kindermanna, to miałem nową pielęgniarkę, prawdziwą piękność imieniem Marianne, która pamiętała, że Reinhard Lange przebywał w klinice przez kilka miesięcy, i kilkakrotnie już udowodniła, że jest skłonna dyskutować o sprawach swojego pracodawcy i jego firmy.

Obudziła mnie o siódmej, przynosząc szklanekę soku grejpfrutowego i końską dawkę pigułek.

Z zachwytem patrzyłem na krągłość jej pośladków i bujnych piersi, gdy odsuwała zasłony, za którymi ukazał się jasny, słoneczny dzień. Jaka szkoda, myślałem, że nie może z równą łatwością ukazać mi swego nagiego ciała.

– I jak się masz w ten piękny dzień? – zapytałem.

– Fatalnie – skrzywiła się.

– Marianne, przecież wiesz, że powinno być na odwrót, prawda? To ja powinienem czuć się fatalnie, a ty powinnaś pytać mnie o zdrowie.

– Przykro mi, Herr Strauss, ale to miejsce piekielnie mnie nudzi.

– No to chodź, połóż się przy mnie i wszystko mi opowiedz. Świetnie umiem słuchać historii o cudzych problemach.

– Założę się, że umie pan świetnie robić także inne rzeczy. – Roześmiała się. – Będę musiała dodać bromu do pańskiego soku.

– A po co? Mam już w brzuchu całą aptekę. Nie przypuszczam, by kolejny środek chemiczny coś zmienił.

– To by się pan zdziwił.

Była wysoką, wysportowaną blondynką z Frankfurtu o kapryśnym poczuciu humoru i nieśmiałym uśmiechu, wskazującym na brak pewności siebie. Co było dziwne u tak ponętnej dziewczyny.

– Całą aptekę! – zakpiła. – Trochę witamin i coś, żeby pan spał w nocy. To nic w porównaniu z tym, co biorą inni.

– Co na przykład?

Wzruszyła ramionami.

– Leki, żeby się rano obudzić, antydepresanty...

– A pedziom co dają?

– A, o nich panu chodzi. Kiedyś leczyli ich hormonami, ale to nie działało. Więc teraz stosują terapię awersyjną. Chociaż w Instytucie Göringa uważają, że to uleczalne, prywatnie większość lekarzy mówi, że trudno jest wpłynąć na pierwotne skłonności. Kindermann na pewno coś o tym wie. Moim zdaniem, on też jest trochę ciotowaty. Słyszałam, jak mówił pacjentowi, że psychoterapia pomaga jedyne w leczeniu neurotycznych reakcji na homoseksualizm. Żeby pacjent przestał się oszukiwać.

– To nie ma się czym martwić, z wyjątkiem paragrafu sto siedemdziesiąt pięć.

– Co to takiego?

– Paragraf niemieckiego kodeksu karnego, według którego homoseksualizm jest przestępstwem. Czy to właśnie spotkało Reinharda Langego? Leczone go tylko na związane z homoseksualizmem reakcje neurotyczne? – Kiwnęła głową i przysiadła na krawędzi łóżka. – Opowiedz mi o tym Göringu i jego instytucie. To jakiś krewny Grubego Hermanna?

– Matthias Göring to jego stryjeczny brat. Zakład istnieje, żeby zapewniać leczenie psychoterapeutyczne pod ochroną nazwiska Göringa. Gdyby nie to, w Niemczech niewiele byłoby zdrowia psychicznego, godnego tego miana. Naziści gotowi są zniszczyć całą psychiatrię tylko dlatego, że jej najwybitniejszy przedstawiciel jest Żydem. To wszystko jedna wielka obłuda. Prywatnie wielu z nich wciąż wierzy we Freuda, ale publicznie go potępiają. Nawet tak zwany Szpital Ortopedyczny SS pod Ravensbrück to nic innego, jak zakład psychiatryczny dla esesmanów. Kindermann jest tam konsultantem, a także jednym z założycieli Instytutu Göringa.

– A kto finansuje Instytut?

– Front Pracy i Luftwaffe.

– No jasne. Podręczna kasa premiera.

Marianne zmrużyła oczy.

– Wiesz, zadajesz mnóstwo pytań. Szpicel jesteś, czy co?

Wstałem z łóżka i nałożyłem szlafrok.

– Czy co – rzuciłem.

– Pracujesz nad jakąś sprawą? – Z podniecenia szeroko otworzyła oczy. – Kindermann jest w coś zamieszany?

Otworzyłem okno i wychyliłem się na moment. Dobrze było oddychać porannym

powietrzem, nawet wyziewami z kuchni. Ale papieros był jeszcze lepszy. Wziąłem z parapetu ostatnią paczkę i zapaliłem. Marianne z dezaprobataą popatrzyła na moje palce.

– Nie powinienes palić, wiesz o tym?

– Nie wiem, czy Kindermann jest w to zamieszany – powiedziałem. – Miałem nadzieję się tego tutaj dowiedzieć.

– No, jeśli chodzi o mnie, to nie musisz się martwić o dyskrecję – powiedziała z wściekłością. – Wszystko mi jedno, co się z nim stanie. – Założyła ręce z nieprzejednanym wyrazem twarzy. – Ten człowiek to drań. Dopiero co tydzień temu przepracowałam cały weekend, bo nikogo innego nie było. Obiecał, że zapłaci podwójnie, gotówką. Ale do tej pory nie dał mi ani grosza, taka z niego świnią. Kupiłam sukienkę. Głupio zrobiłam, powinnam była poczekać. No i teraz zalegam z czynszem.

Zastanawiałem się w duchu, czy nie próbuje wziąć mnie na litość, lecz zobaczyłem w jej oczach łzy. Jeśli grała, to cholernie dobrze. Tak czy inaczej, zasługiwała na nagrodę.

Wytarła nos i poprosiła:

– Mógłby mnie pan poczęstować papierosem?

– Jasne. – Podałem jej paczkę i potarłem zapałkę o paznokieć kciuka.

– Wie pan, Kindermann poznał kiedyś Freuda – powiedziała, zaciągając się i pokasłując. – Na studiach w Akademii Medycznej w Wiedniu. Po ukończeniu studiów pracował przez jakiś czas w szpitalu dla obłąkanych w Salzburgu. On w ogóle pochodzi z Salzburga. W 1930 roku zmarł jego stryj i zostawił mu ten dom. Kindermann postanowił zamienić go w klinikę.

– Najwyraźniej nieźle go znasz.

– Latem w zeszłym roku jego sekretarka przez dwa tygodnie była chora. Kindermann wiedział, że pracowałam już w sekretariacie, i poprosił mnie o zastępstwo, póki Tarja nie wróci. Poznałam go wtedy dość dobrze. Na tyle dobrze, żeby go znieubić. Nie zostanę tu długo. Chyba mam dość. I proszę mi wierzyć, jest tu wiele osób, które czują to samo.

– Ach tak? Myślisz, że ktoś chce się na nim odegrać? Że ktoś ma mu coś za złe?

– Mówimy o poważnych pretensjach, prawda? Nie o jakichś niezapłaconych nadgodzinach?

– Tak mi się wydaje – odrzekłem i pstryknięciem wyrzuciłem niedopałek za okno.

Marianne pokręciła głową.

– Nie... – Zawahała się. – Zaraz, zaraz, był taki ktoś. Jakieś trzy miesiące temu Kindermann zwolnił jednego z pielęgniarzy za pijaństwo. To był paskudny typ i chyba nikt nie żałował, że odchodzi. Nie było mnie przy tym, ale mówiono, że na odchodnym użył

wobec Kindermanna mocnych słów.

– Jak się ten pielęgniarz nazywał?

– Hering, chyba Klaus Hering. – Spojrzała na zegarek. – Hej, muszę wziąć się do pracy. Nie mogę rozmawiać z tobą przez cały ranek.

– Jeszcze jedno – zatrzymałem ją – muszę się rozejrzeć w gabinecie Kindermanna. Mogłabyś mi pomóc? – Zaczęła kręcić głową. – Nie zrobię tego bez twojej pomocy, Marianne. Dziś wieczorem?

– No, nie wiem. A jak nas złapią?

– Nie ma żadnych „nas”. Będziesz stać na czatach, a jeśli ktoś cię zauważy, powiesz, że usłyszałaś hałas i poszłaś sprawdzić. Będę musiał zaryzykować. Może powiem, że jestem lunatykiem?

– Świetny dowcip.

– Proszę, Marianne, co ty na to?

– Dobrze, zgoda. Ale trzeba poczekać do północy, bo wtedy wszystko zamykamy. Spotkajmy się w solarium około wpół do pierwszej.

Widząc, że wyciągam z portfela pięćdziesiątkę, zmieniła się na twarzy. Wepchnąłem banknot do kieszonki na piersi jej białego, wykrochmalonego fartucha. Wyjęła go.

– Nie mogę tego przyjąć – oznajmiła. – Nie powinienes.

Zacisnąłem jej palce na banknocie, by nie mogła mi go zwrócić.

– Posłuchaj, to tylko parę groszy na przetrwanie, przynajmniej dopóki nie dostaniesz wynagrodzenia za te nadgodziny.

Spojrzała na mnie z wahaniem.

– No, nie wiem – powtórzyła. – To jakoś nie w porządku. To tyle, ile zarabiam przez tydzień. Znacznie więcej niż na przetrwanie.

– Marianne – rzekłem – miło jest wiązać koniec z końcem, ale jeszcze milej jest móc zawiązać kokardkę.

poniedziałek, 5 września

Lekarz powiedział, że chwilowe zaburzenia pamięci to przejściowy skutek uboczny elektroterapii. Poza tym czuję się świetnie – powiedziałem.

– Jesteś pewien? – Bruno spojrział na mnie wyraźnie zaniepokojony.

– Nigdy nie czułem się lepiej.

– No, ja tam bym nie dał się podłączyć do prądu! – parsknął. – Więc na razie wszystko, co zdołałeś wywęszyć podczas pobytu w zakładzie Kindermanna, chwilowo zawieruszyło ci się gdzieś w mózgu, tak?

– Nie jest aż tak źle. Udało mi się zajrzeć do jego gabinetu. I jedna bardzo ponętna pielęgniarka wszystko mi o nim opowiedziała. Kindermann jest wykładowcą w Akademii Medycznej Luftwaffe i konsultantem w prywatnej klinice partyjnej na Bleibtreustrasse. Nie wspominając o członkostwie w Związku Lekarzy Nazistowskich i Herrenklubie.

Bruno wzruszył ramionami.

– Facet jest nadziany. I co z tego?

– Nadziany, ale nie całkiem ceniony. Personel nie bardzo go lubi. Znam nazwisko człowieka, którego Kindermann niedawno zwolnił z pracy, podobno to typ, który mógłby chować urazę.

– To miałyby być powód? Zwolnienie?

– Zdaniem Marianne, mojej pielęgniarki, w powszechnej opinii facet został wylany, bo kradł narkotyki z ambulatorium w klinice. Prawdopodobnie sprzedawał je na ulicy. Więc raczej nie należał do Armii Zbawienia, co?

– No, to jak brzmi to nazwisko?

Przez chwilę zastanawiałem się intensywnie, lecz w końcu wyjąłem z kieszeni notes.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Zapisałem sobie.

– Detektyw z felerną pamięcią. Po prostu świetnie!

– Weź na wstrzymanie, znalazłem. Nazywa się Klaus Hering.

– Dowiem się, czy Alex coś na niego ma. – Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Rozmowa trwała dwie minuty. Za tę usługę płaciliśmy naszej wtyczce pięćdziesiąt marek miesięcznie. Ale Klaus Hering był czysty.

– To gdzie trzeba przekazać pieniądze?

Bruno zadzwonił do mnie do kliniki, kiedy poprzedniego dnia Frau Lange otrzymała kolejny anonim, i teraz przyjechał, żeby go doręczyć.

– Szofer tej pani przywiózł go osobiście – wyjaśnił, kiedy czytałem najświeższy zlepek gróźb i poleceń, skomponowany przez szantażystę. – Tysiąc marek w torbie od Gersona należy umieścić dzisiaj po południu w koszu na śmieci przed Kurnikiem w Zoo.

Zerknąłem przez okno. Kolejny ciepły dzień; niewątpliwie w Zoo panował spory ruch.

– Wybrał dobre miejsce – odparłem. – Trudno będzie go zauważyć i jeszcze trudniej śledzić. O ile dobrze pamiętam, do Zoo prowadzą cztery bramy. – Odszukałem w szufladzie plan Berlina i rozpostarłem na biurku. Bruno podszedł i popatrzył mi przez ramię.

– To jak to rozegramy? – zapytał.

– Ty zajmiesz się doręczaniem, ja będę udawać turystę.

– Chcesz, żebym potem zczekał przy którymś wyjściu?

– Masz jedną szansę na cztery. Którą bramę byś wybrał?

Przez chwilę wpatrywał się w plan, po czym wskazał bramę od strony kanału.

– Most Liechtenstein. Zostawiłbym samochód na drugim brzegu, na Rauch Strasse.

– Więc ty również lepiej zostaw tam samochód.

– Jak długo mam czekać? Na litość boską, przecież Zoo jest otwarte do dziewiątej!

– Bramę przy Akwarium zamykają o szóstej, więc według mnie on zjawi się wcześniej, choćby po to, żeby mieć wybór. Jeśli do tej pory nas nie zobaczysz, wracaj do domu i czekaj na mój telefon.

Opuściłem szklany hangar Dworca Zoo i skierowałem się przez Hardenbergplatz ku głównej bramie berlińskiego ogrodu zoologicznego, nieco na południe od Planetarium. Kupiłem bilet, obejmujący wstęp do Akwarium, przewodnik, żeby bardziej przypominać turystę, i udałem się do Słoniarni. Siedzący obok zagrody dziwny człowiek ze szkicownikiem w ręku spłoszył się na mój widok i pospieszenie zakrył rysunek. Oparty o balustradę patrzyłem, jak powtarza te osobliwe gesty przy każdym kolejnym zwiedzającym, aż w końcu znów znalazł się obok mnie. Rozzłościłem się – czyżby podejrzewał, że interesuje mnie jego nędzny szkic? Wyciągnąłem rękę ponad jego ramieniem i podetknąłem mu pod nos aparat fotograficzny.

– Może powinien pan zająć się fotografią – powiedziałem wesoło.

Warknął coś niezrozumiale i wycofał się, skulony. Ale okaz, pomyślałem, w sam raz dla doktora Kindermanna. Prawdziwy pomyleniec. Na każdej wystawie, na każdym przedstawieniu najlepszego widowiska zawsze dostarczają ludzie.

Zobaczyłem Brunona dopiero po kwadransie. Przeszedł obok, omiatając niewidzącym spojrzeniem mnie i słonie, z małą torbą ze sklepu Gersona pod pachą. Dałem mu się porządnie wyprzedzić, po czym ruszyłem w ślad za nim.

Dotarłszy do Kurnika, małego szachulcowego domku z czerwonej cegły, który wyglądał bardziej na wiejską piwiarnię niż na schronienie dla dzikiego ptactwa, Bruno przystanął, rozejrzał się i wrzucił torbę do kosza na śmieci obok ławki ogrodowej. Następnie szybkim krokiem odszedł na wschód, w stronę wybranego przez siebie stanowiska przy wyjściu na kanał Landwehr.

Naprzeciwko Kurnika wznosiła się wysoka skała, niemal urwisko z piaskowca, gdzie zamieszkiwało stado berberyjskich owiec. Według przewodnika był to jeden z charakterystycznych punktów Zoo, moim zdaniem jednak wyglądał zbyt teatralnie, aby mógł dobrze naśladować miejsca, w których te kopytne brudaski zamieszkiwały na wolności. Już bardziej przywodził na myśl dekorację do jakiegoś monstrualnego przedstawienia *Parsifala* – jeśli coś takiego w ogóle było w ludzkiej mocy. Pokręciłem się przez chwilę, czytając ulotki o owcach, a w końcu nawet zrobiłem kilka zdjęć tych stworzeń, w najwyższym stopniu nieciekawych.

Z wieży widokowej za Owczą Skałą fronton Kurnika, a nawet całe Zoo, były doskonale widoczne; ktoś, kto chciałby się upewnić, że nie wpadnie w pułapkę, bez wahania wydałby dziesięć fenigów na wstęp. Wiedziony tą myślą, zacząłem oddalać się od Kurnika krętą ścieżką w stronę jeziora, gdy zza budynku wybiegł mniej więcej osiemnastoletni młodzieniec o ciemnych włosach, ubrany w szarą sportową kurtkę. Nawet się nie rozglądając, szybko sięgnął do kosza, wyjął torbę od Gersona i włożył ją do innej torby, tym razem ze sklepu Ka-De-We. Potem minął mnie pędem, odczekałem więc stosowną chwilę i podążyłem za nim.

Chłopak dotarł do Domu Antylop w mauretańskim stylu i przystanął przy stojącej tam grupie centaurów z brązu, udałem więc, że pochłania mnie lektura bedekera, i podszedłem do Chińskiej Świątyni, gdzie ukryty za garstką zwiedzających zatrzymałem się, żeby zerknąć nań z ukosa. Kiedy ruszył z miejsca, odgađłem, że zmierza do Akwarium i południowej bramy.

Ryby to ostatnia rzecz, jakiej człowiek mógł się spodziewać w wielkim zielonym gmachu pomiędzy Zoo a Budapester Strasse. Nad wejściem drapieźnie górował naturalnej

wielkości iguanodon, nad nim wznosił się łeb innego dinozaura. Wszystkie ściany Akwarium pokrywały płaskorzeźby i freski, przedstawiające prehistoryczne bestie, z których każda byłaby w stanie pożreć rekina w całości. Ale w gruncie rzeczy wolałem te przedpotopowe dekoracje aniżeli gady, również mieszkające w Akwarium.

Widząc, że młodzieniec znika w głównym wejściu, przyspieszyłem kroku; w półmroku Akwarium byłoby łatwo go zgubić. Wewnątrz jednak zorientowałem się, że jest to więcej niż prawdopodobne, tak duża była liczba odwiedzających.

Zakładając najgorsze, pędem skierowałem się do drugiego wyjścia, prowadzącego na ulicę – i cudem uniknąłem zderzenia ze ściganym, który właśnie odwrócił się od akwarium, zamieszkanego przez istotę bardziej podobną do pływającej miny niż do ryby. Przez chwilę chłopak jakby się zastanawiał, przystanąwszy u stóp wielkich marmurowych schodów, prowadzących do gadów na piętrze, ale potem ruszył do wyjścia i opuścił Akwarium oraz Zoo.

Na zewnątrz celowo zostałem w tyle, kryjąc się za grupą uczniów, idących Budapester Strasse. Przy Ansbacher Strasse pozbyłem się przewodnika, włożyłem prochowiec, który dotąd niosłem na rękę, i podwinąłem rondo kapelusza. Gdy się kogoś śledzi, trzeba koniecznie wprowadzać drobne zmiany w wyglądzie. To po pierwsze, a po drugie: nie wolno się kryć. Dopiero człowiek czający się w bramach wzbudza podejrzenia osoby śledzonej. Ale mój młodzieniec nawet się nie obejrzał, tylko pomaszzerował przez Wittenberg Platz i wszedł głównym wejściem do Kaufhaus des Westens, Ka-De-We, największego domu towarowego w Berlinie.

Poprzednio sądziłem, że użył torby z Ka-De-We tylko po to, by zmylić pościg, wprowadzić w błąd każdego, kto wypatrywałby człowieka z torbą od Gersona. Ale teraz zdałem sobie sprawę, że chodzi o zamianę.

Restauracja piwna na trzecim piętrze Ka-De-We była pełna. Wszędzie siedzieli piwosze, tępo wpatrzeni w stosy kiełbas na talerzach i kufle piwa wysokości lamp stołowych. Chłopak krążył przez chwilę wśród stolików, jakby kogoś szukał, aż wreszcie usiadł naprzeciw samotnego mężczyzny w granatowym garniturze. Torbę z pieniędzmi umieścił na podłodze, tuż obok drugiej takiej samej torby.

Znalazłem wolny stolik w zasięgu wzroku, usiadłem i wziąłem do ręki jadłospis. Pojawił się kelner; powiedziałem, że nie mogę się zdecydować, więc odszedł.

Niebawem mężczyzna w garniturze wstał, położył na stole kilka monet i schylił się, biorąc torbę z gotówką. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Kiedy granatowy garnitur wyszedł z restauracji, poszedłem za nim, stosując się do

kardynalnej zasady we wszystkich sprawach, gdy w grę wchodzi okup: zawsze podążaj za pieniędzmi. Potężny portyk i podobne do minaretów bliźniacze wieżyczki nadawały Teatrowi Metropol na Nollendorfplatz monolityczny, nieledwie bizantyński charakter. Na płaskorzeźbach u podstawy wielkich przypór wiło się co najmniej dwadzieścia splecionych, nagich postaci – idealne miejsce, żeby przymierzyć się do złożenia małej ofiary z jakiejś dziewicy. Z prawej strony budynku znajdowała się duża drewniana brama, za którą rozciągał się parking wielkości boiska piłkarskiego, otoczony wysokimi czynszówkami.

Właśnie do jednej z tych okazałych kamienic doprowadził mnie pościg za pieniędzmi i granatowym garniturem. Sprawdziłem nazwiska na skrzynkach na listy w holu na parterze i z niekłamaną przyjemnością odkryłem, że pod numerem dziewiątym rezyduje niejaki K. Hering. Potem poszedłem do telefonu na stacji kolejki po drugiej stronie ulicy i zadzwoniłem do Brunona.

Kiedy pod drewnianą bramę podjechała stara dekawka mojego współnika, usadowiłem się na miejscu pasażera i wskazałem palcem drugą stronę parkingu, bliżej kamienic, gdzie pozostało sporo wolnych miejsc. Przestrzeń pod teatrem zajmowały auta widzów, przybyłych na spektakl o ósmej.

– To lokal naszego faceta – powiedziałem. – Na drugim piętrze. Numer dziewięć.

– Masz nazwisko?

– To nasz znajomy z kliniki, Klaus Hering.

– Jak to ładnie i schludnie się składa. Rysopis?

– Mniej więcej mojego wzrostu, szczupły, żyłasty, jasne włosy, okulary bez oprawek, około trzydziestki. Kiedy wchodził, miał na sobie granatowy garnitur. Jeśli znów wyjdzie, spróbujesz się tam dostać i znaleźć listy tego pedzia. Inaczej po prostu zostań na miejscu. Ja udam się do klientki po dalsze instrukcje. Jeśli czegoś się dowiem, wrócę wieczorem. Jeśli nie, zmienię cię jutro o szóstej rano. Jakies pytania? – Bruno pokręcił głową. – Chcesz, żebym zadzwonił do twojej żony?

– Nie, Bernie, dzięki. Katia już się przyzwyczaiła, że mam dziwny czas pracy. Poza tym moja nieobecność może trochę oczyścić atmosferę. Po powrocie z Zoo znowu pokłóciłem się z Heinrichem.

– O co tym razem?

– O nic takiego, tylko poszedł i zapisał się do zmotoryzowanej Hitlerjugend, ot co!

Wzruszyłem ramionami.

– Prędzej czy później i tak musiałyby wstąpić do zwykłej Hitlerjugend.

– Nie musiał się tak cholernie spieszyć z tym wstąpieniem, prawda? Mały świntuch.

Mógł czekać, jak inni chłopcy z jego klasy, aż go zwerbują.

– Daj spokój, to ma swoje dobre strony. Nauczą go prowadzić auto i konserwować silnik. Oczywiście, że zamienią go w nazistę, ale przynajmniej będzie nazistą, który coś potrafi.

Jadąc taksówką na Alexanderplatz, gdzie zostawiłem samochód, doszedłem jednak do wniosku, że dla człowieka, który w wieku Heinricha był mistrzem kolarstwa juniorów, myśl, że jego syn nabędzie technicznych umiejętności, zapewne jest niewielką pociechą. Pod jednym względem Bruno miał absolutną rację: Heinrich naprawdę był skończonym świntuchem.

Nie zadzwoniłem do Frau Lange, żeby ją uprzedzić, że przyjdę, więc chociaż dotarłem na Herbertstrasse zaledwie o ósmej wieczorem, dom był ciemny i odpychający, jakby mieszkańcy wyszli albo udali się na spoczynek. Ale to jedna z jaśniejszych stron mojego zawodu: po rozwiązaniu sprawy zawsze można być pewnym ciepłego powitania, nieważne, jak bardzo nie w porę się przychodzi.

Zaparkowałem samochód, wszedłem po schodkach od frontu i pociągnąłem za dzwonek. Niemal natychmiast w oknie nad drzwiami zapaliło się światło, a po minucie drzwi się uchyliły, ukazując wściekłą twarz czarnej beczki.

– Wie pan, która jest godzina?

– Właśnie minęła ósma – odparłem. – We wszystkich berlińskich teatrach kurtyny idą w górę, goście w restauracjach wciąż jeszcze czytają menu, a matki dochodzą do wniosku, że pora, by ich pociechy znalazły się w łóżku. Czy zastałem Frau Lange?

– Nie jest ubrana, żeby przyjmować wizyty dżentelmenów.

– A to w porządku. Nie przyniosłem kwiatów ani czekoladek, a już z pewnością nie jestem dżentelmenem.

– O, co prawda to prawda.

– To prezent dla ciebie. Dla poprawienia humoru, żebyś robiła, co ci każą. Mam do niej sprawę, pilną sprawę, i ona na pewno zechce się ze mną widzieć, inaczej będzie pytała, z jakiego powodu nie zostałem wpuszczony. Więc biegnij i powiedz jej, że tu jestem.

Zaczekałem w tym samym pokoju co przedtem, na tej samej kanapie z poręczami w kształcie delfinów. Za drugim razem podobała mi się jeszcze mniej, zwłaszcza że teraz pokrywała ją sierść ogromnego rudego kota, który spał na poduszce pod długim dębowym kredensem. Wciąż zbierałem włosy ze spodni, kiedy do pokoju weszła Frau Lange. Miała na

sobie zielony szlafrok, spod którego, jak podwójny garb różowego morskiego potwora, wzywały górne części jej piersi. Na nogach zaś miała domowe pantofle w tym samym kolorze. W palcach trzymała niezapalonego papierosa; przy jej zrogowaciałej pięcie stał osłupiały pies, marszcząc pysk od przemożnego zapachu lawendy, który włókł się za nią niczym stare boa z piór. Jej głos był bardziej męski, niż zapamiętałem.

– Niech pan po prostu powie, że Reinhard nie ma z tym nic wspólnego – zażądała.

– Absolutnie nic – odparłem.

Odetchnęła z ulgą i potwór morski nieco opadł.

– Dzięki Bogu – powiedziała. – I dowiedział się pan, Herr Günther, kim jest człowiek, który mnie szantażuje?

– Tak. Były pracownik kliniki Kindermanna. Pielęgniarski, niejaki Klaus Hering. Jego nazwisko pewnie nic pani nie powie, ale kilka miesięcy temu Kindermann musiał go zwolnić. Domyślałam się, że kiedy tam pracował, wykradł listy, które pisał do Kindermanna pani syn.

Usiadła i zapaliła papierosa.

– Ale skoro miał pretensję do Kindermanna, czemu przyczepił się do mnie?

– Oczywiście zgaduję, rozumie pani, ale sądzę, że chodziło o pani majątek. Kindermann jest zamożny, wątpię jednak, by miał choćby dziesięć procent tego, co pani, Frau Lange. Co więcej, większość jego pieniędzy jest ulokowana w klinice. Poza tym ma sporo znajomych w SS, więc Hering mógł dojść do wniosku, że bezpieczniej będzie przycisnąć panią. A może już przymierzał się do Kindermanna i nic z tego nie wyszło? Doktor jako psychoterapeuta z łatwością byłby w stanie wytłumaczyć listy pani syna jako majaczenia byłego pacjenta. W końcu pacjenci nierzadko przywiązują się do lekarzy, nawet tak paskudnych jak Kindermann.

– Pan go poznał?

– Nie, ale słyszałem co nieco od pracowników kliniki.

– Rozumiem. I co teraz?

– O ile pamiętam, powiedziała pani, że zdecyduje o tym pani syn.

– Dobrze. Przypuszczalnie zechce, aby pan dalej zajmował się naszą sprawą. W końcu jak na razie, uwinął się pan błyskawicznie. Jakie działania zamierza pan podjąć?

– W tej chwili mój wspólnik, Herr Stahlecker, pilnuje naszego znajomego Heringa w jego mieszkaniu na Nollendorfplatz. Kiedy Hering wyjdzie, Herr Stahlecker spróbuje się tam włamać i odzyskać pani listy. Potem będzie pani miała trzy wyjścia. Po pierwsze, zapomnieć o sprawie. Po drugie, przekazać sprawę policji, ale wówczas ryzykuje pani, że Hering oskarży pani syna. I w końcu może pani się postarać, żeby Heringowi spuszczone staromodne manto.

Nic poważnego, rozumie pani. Po prostu, żeby go porządnie nastraszyć i dać mu nauczkę. Osobiście skłaniam się ku temu trzeciemu rozwiązaniu. Kto wie? Może nawet odzyska pani część pieniędzy?

– Och, chciałabym dostać tego niegodziwca w swoje ręce.

– Niech pani lepiej zostawi to mnie, co? Zadzwoń jutro i wtedy powie mi pani, co postanowiliście zrobić. Przy odrobinie szczęścia może do tej pory odzyskamy listy.

Nie trzeba mnie było specjalnie zmuszać, żebym wypił kieliszek brandy, którą poczęstowała mnie, by uczcić sukces. Trunek był świetny i zasługiwał na to, by delektować się nim jak najdłużej. Ale byłem zmęczony, więc kiedy ona i jej morski potwór usiedli przy mnie na kanapie, uznałem, że czas się wynieść.

Mieszkałem wtedy w wielkim locum na Fasanenstrasse, nieco na południe od Kurfürstendamm, w pobliżu tych wszystkich teatrów i lepszych restauracji, do których nigdy nie chodziłem.

Była to przyjemna, cicha uliczka – białe, gipsowe portyki i atlanci, podtrzymujący wymyślne fasady na umiejętnionych barkach. Nie było tu tanio. Ale mieszkanie oraz wspólnik to jedyne luksusy, na jakie pozwoliłem sobie od dwóch lat.

Pierwsze okazało się lepszą inwestycją niż drugie. Imponująca klatka schodowa, wyłożona marmurem niczym świątynie Pergamonu, prowadziła na pierwsze piętro, gdzie znajdował się mój apartament – amnlada pokoiów, w których zmieściłby się niejeden tramwaj. Niemieccy architekci i budowniczowie nigdy nie odznaczyli się powściągliwością.

Nogi miałem obolałe jak serce kochanka, więc zrobiłem sobie gorącą kąpiel.

Długo leżałem w wannie, gapiąc się w zupełnie zbędne witrażowe okno, zawieszzone wysoko pod sufitem jako estetyczne urozmaicenie górnych partii łazienki. Nie mogłem pojąć, z jakiego powodu je tam umieszczono.

Za oknem, na samotnym wysokim drzewie rosnącym na podwórku, dostrzegłem słowika. Bardziej wierzyłem w jego prostą piosnkę niż w melodię, którą śpiewał Hitler.

Prostackie porównanie, pomyślałem, takie właśnie, w jakich lubuje się mój ukochany wspólnik, palacz fajki.

wtorek, 6 września

W ciemności rozległ się dzwonek. Nieprzytomny i zaspany sięgnąłem po budzik na nocnej szafce. Wskazywał 4:30 rano i miał mnie obudzić dopiero za godzinę. Dzwonek znów zadzwieczał, tym razem jakby bardziej natarczywie. Zapaliłem światło i wyszedłem do holu.

– Kto tam? – zapytałem, doskonale świadomy, że tylko gestapo z taką przyjemnością wrywa ludzi ze snu.

– Hajle Sellasje – powiedział głos. – A jak myślisz, kurwa? No już, Günther, otwieraj, nie będziemy tu stać całą noc.

O tak, to było gestapo. Tych wytwornych manier nie dało się z niczym pomylić.

Otworzyłem drzwi i do mieszkania wtargnęły dwa piwne antały w płaszczach i kapeluszach.

– Ubieraj się – warknął jeden. – Masz spotkanie.

– Cholera, chyba muszę poważnie porozmawiać z moją sekretarką – ziewnąłem. – Całkiem o tym zapomniałem.

– Dowcipniś – wtrącił drugi.

– I to według Heydricha ma być przyjacielskie zaproszenie?

– Lepiej zachowaj swoje uwagi na potem, dobra? Teraz wskakuj w ubranko, kurwa, albo wywlecemy cię stąd w pidżamie.

Ubrałem się starannie, wybierając najtańszy sportowy garnitur i stare buty. Wepchnąłem do kieszeni papierosy, wziąłem nawet egzemplarz „Berliner Illustrierte Zeitung”. Kiedy Heydrich zaprasza na śniadanie, dobrze być przygotowanym na to, że wizyta okaże się nieprzyjemna i nie wiadomo, jak długo potrwa.

Z południowej strony Alexanderplatz, przy wylocie Dircksenstrasse patrzyły na siebie spode łba dwa budynki: prezydium cesarskiej policji i najwyższy sąd karny, władza wykonawcza versus sprawiedliwość. Przypominały dwóch pięściarzy wagi ciężkiej, którzy

stoją nos w nos, mierząc się wzrokiem przed walką, aby się wzajemnie zastraszyć.

Z tych dwóch brutalniejsze wrażenie robił gmach „Alex”, znany również jako Grauelend, Szare Nieszczęście, zbudowany na wzór gotyckiej twierdzy, z kopulastymi basztami w narożnikach i dwiema mniejszymi wieżami nad południową i północną fasadą. Zajmował szesnaście tysięcy metrów kwadratowych i choć bezwartościowy architektonicznie, stanowił świetny przykład demonstracji siły. Najważniejszy sąd Berlina mieścił się w nieco mniejszym budynku, znacznie przyjemniejszym dla oka. W jego neobarokowej fasadzie z piaskowca było coś subtelnego i inteligentnego, czego zabrakło molochowi naprzeciw.

Trudno ocenić, który z tych gigantów wyszedłby zwycięsko z ewentualnego starcia; ale jeśli wiemy, że obu zawodników przekupiono, by oddali walkę, to nie ma sensu czekać, aż mecz się skończy.

Kiedy samochód wjechał na środkowy dziedziniec Alex, wstawał świt. Było za wcześnie, bym w ogóle zadawał sobie pytanie, dlaczego Heydrich kazał mnie przywieźć tutaj, a nie do głównej komendy Służby Bezpieczeństwa, Sipo, na Wilhelmstrasse, gdzie mieściło się jego biuro.

Moi dwaj strażnicy wprowadzili mnie do sali przesłuchań i zostawili samemu sobie. Z sąsiedniego pokoju dobiegały straszne wrzaski, dające mi mocno do myślenia. Skurwiel z tego Heydricha. Zawsze postępował trochę inaczej, niż się człowiek spodziewał. Wyjąłem papierosa i nerwowo zapaliłem. Czułem kwaśny smak w ustach. Z papierosem przyklejonym w kąciku warg podniosłem się z krzesła i podszedłem do brudnego okna, ale zobaczyłem jedynie inne okna, takie jak moje, oraz radiową antenę policyjną na dachu. Rozgniotłem niedopałek w puszcze po kawie Mieszanka Meksykańska, która służyła tu za popielniczkę, i znowu usiadłem.

Miałem się zdenerwować. Miałem poczuć, kto tu ma władzę. Dzięki temu stałbym się bardziej podatny na perswazję Heydricha, znaczy, kiedy ten wreszcie raczyłby się pokazać. Ale pewnie jeszcze spał smacznie we własnym łóżku.

Skoro zaplanowano, że tak się pocuję, to postanowiłem zrobić całkiem co innego. Zamiast na śniadanie obgryzać paznokcie i chodzić po pokoju, niszcząc tanie obuwie, spróbowałem się odrobinę zrelaksować, czy jak to tam zwał doktor Meyer. Zamknąłem oczy, zacząłem powoli oddychać przez nos i skupiłem umysł na prostym kształcie. Ogarnął mnie spokój. Uspokoilem się do tego stopnia, że nawet nie usłyszałem skrzypienia drzwi. Kiedy bez pośpiechu otworzyłem oczy, ujrzałem nachylającą się nade mną twarz funkcjonariusza.

– No, no, twardy z ciebie gość. – Pokiwał wolno głową, biorąc moją gazetę.

– Prawda? – Spojrzałem na zegarek. Upłynęło pół godziny. – Nie spieszyłeś się.

– Nie? A to przepraszam. Cieszę się, że mimo to się nie nudziłeś. Widzę, że spodziewałeś się trochę tu pobyc.

– Jak wszyscy, czyż nie? – Wzruszyłem ramionami, wpatrując się w czyrak wielkości orzecha nad krawędzią jego przetłuszczonego kołnierzyka.

Jego głos wydawał się wrywać z głębi płuc; poorany bliznami podbródek opadał na szeroką pierś niczym u kabaretowego tenora.

– O tak – potwierdził. – Jesteś prywatnym detektywem, prawda? Zawodowym mądrąłą. Pozwolę sobie zapytać, jakie wy, ludzie, macie dochody?

– A co, za mało regularnie bierzesz w łapę? – zaszydziłem, lecz zniósł obelgę z wymuszonym uśmiechem. – Jakoś sobie radzę – powiedziałem.

– A nie czujesz się czasem samotny? Znaczy, przecież pracowałeś tutaj, wciąż masz tu przyjaciół.

– Nie rozśmieszaj mnie, dobra? Mam współnika, mogę mu się wyplakać na ramieniu, kiedy tylko zechcę.

– A tak. Twój współnik. To Bruno Stahlecker, tak?

– Tak jest. Dam ci jego adres, jeśli chcesz, ale chyba jest żonaty.

– No dobra, Günther. Udowodniłeś, że się nie boisz. Nie musisz się popisywać. Zabrali cię o 4:30, teraz jest siódma...

– Chcesz wiedzieć, która godzina, zapytaj gliniarza.

– ...a ty jeszcze nikogo nie zapytałeś, dlaczego tu jesteś.

– Myślałem, że cały czas o tym mówimy.

– Ach, tak? Przypuśćmy, że nic o tym nie wiem. To nie powinno być zbyt trudne dla takiego mądrali jak ty. A co takiego mówiliśmy?

– Cholera jasna, to twój cyrk, a nie mój, więc nie oczekuj, że będę włączał światła i obsługiwał kurtynę. Odwalaj dalej swoje numery, kurwa, a ja spróbuję śmiać się i klaskać we właściwych miejscach.

– Proszę bardzo – rzekł, poważniejąc. – A więc gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– W domu.

– Masz alibi?

– Tak. Misia. Byłem w łóżku, spałem.

– A przedtem?

– U klientki.

– Mógłbyś powiedzieć, u kogo?

– Słuchaj, nie podoba mi się to. Czego konkretnie szukasz? Gadaj albo nie powiem ani

słowa więcej.

– Mamy na dole twojego współnika.

– A co on niby zrobił?

– Zrobił tyle, że dał się zabić.

Pokręciłem głową.

– Zabić?

– Zamordować, ściślej mówiąc. Tak to zwykle nazywamy w tych okolicznościach.

– O kurwa – wykrztusiłem, zaciskając powieki.

– Taki jest mój numer, Günther. I spodziewam się, że mi pomożesz ze światłami i kurtyną. – Dźgnął mnie paluchem w zdrętwiałą pierś. – Więc oczekuję, kurwa, jakichś odpowiedzi, no?

– Ty głupi gnoju. Chyba nie sądzisz, że mam z tym coś wspólnego! Chryste, byłem jego jedynym przyjacielem. Tylko ja go poparłem, kiedy ty i twoi rozkoszni kumple wygoniliście go z Alex na jakieś zadupie w Spreewaldzie. Tylko ja doceniłem, jaki to dobry gliniarz, chociaż dziwnie nie przepadał za nazistami. – Z goryczą pokręciłem głowę i znów zakląłem.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś?

– Wczoraj około ósmej. Zostawiłem go na parkingu na tyłach Metropolu na Nollendorfplatz.

– Pracował?

– Tak.

– Co robił?

– Śledził kogoś. Nie, obserwował.

– Kogoś z teatru czy mieszkańca kamienicy?

Kiwnąłem głową.

– No, kogo?

– Nie mogę powiedzieć. A przynajmniej muszę to najpierw omówić z klientką.

– O której też nie możesz nic powiedzieć. Kto ty niby jesteś, ksiądz? Günther, to jest morderstwo. Nie chcesz złapać człowieka, który zabił twojego współnika?

– A jak sądzisz?

– Sądzę, że powinieneś wziąć pod uwagę, że twoja klientka może być w to zamieszana. Przypuśćmy, że powie: „Günther, zabraniam ci rozmawiać z policją o tej nieszczęsnej sprawie”. Co nam z tego przyjdzie? – Potrząsnął głową. – Nie będzie umowy, Günther. Albo powiesz to nam, albo sądziemu. – Wstał i podeszedł do drzwi. – To twoja

decyzja. Nie spiesz się. Mamy czas.

Zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie z poczuciem winy, że kiedykolwiek życzyłem źle Brunonowi i jego nieszkodliwej fajce.

Mniej więcej godzinę później drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wkroczył oficer SS wysokiej rangi.

– Ciekaw byłem, kiedy się pojawisz – rzekłem.

Arthur Nebe westchnął i pokręcił głową.

– Przykro mi z powodu Strahleckera – powiedział. – To był dobry człowiek. Oczywiście, zechcesz go zobaczyć. – Gestem nakazał mi, żebym szedł za nim. – A potem, niestety, będziesz musiał stanąć przed Heydrichem.

Za biurem i salą sekcyjną, w której patolog obrabiał nagie ciało kilkunastoletniej dziewczyny, znajdowało się długie, chłodne pomieszczenie z ciągnącymi się w nieskończoność rzędami stołów. Na niektórych leżały ludzkie zwłoki, jedne nagie, inne przykryte prześcieradłami, a czasem, tak jak Bruno, w ubraniach. Bardziej przypominały zgubione bagaże niż prawdziwych ludzi.

Podszedłem i długo patrzyłem na zmarłego współnika. Jego koszula z przodu wyglądała tak, jakby wylał na siebie butelkę czerwonego wina, otwarte usta wskazywały, że ktoś go dźgnął, kiedy siedział na fotelu dentystycznym. Spółka może się zakończyć na wiele sposobów, ale chyba trudno o bardziej ostateczne rozwiązanie.

– Nie wiedziałem, że nosił protezę – powiedziałem z roztargnieniem, dostrzegając w ustach Brunona metaliczny błysk. – Rana kluta?

– Jeden cios, prosto w serce. Oceniają, że ostrze weszło pod żebra i do góry przez jamę brzuszną.

Podniosłem dłonie Brunona i uważnie je obejrzałem, jedną po drugiej.

– Żadnych cięć. Nie bronił się – powiedziałem. – Gdzie go znaleźli?

– Na parkingu teatru Metropol – odparł Nebe.

Odchyliłem połę marynarki, zwracając uwagę na pustą kaburę pod jego pachą, po czym rozpiąłem guziki koszuli, wciąż lepkiej od krwi, żeby lepiej przyjrzeć się ranie. Ciało nie zostało umyte, więc nie bardzo mogłem to ocenić, ale wlot rany wyglądał na rozdarty, jakby ktoś obracał i poruszał narzędziem zbrodni.

– Sprawca wiedział, jak zakłuć człowieka ostrym narzędziem – oznajmiłem. – To mi wygląda na bagnet. – Westchnąłem i pokręciłem głową. – Wystarczy. Ja sam dokonam formalnej identyfikacji, nie ma potrzeby narażać na to jego żony. Czy ktoś ją zawiadomił?

Nebe wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. – Ruszył z powrotem przez salę sekcyjną. – Ale spodziewam się, że ktoś niebawem jej powie.

Patolog, badający ciało dziewczyny, młody mężczyzna o wielkich wusach, zrobił sobie przerwę na papierosa. Poplamił bibułkę zakrwawioną rękawiczką, ślad krwi widniał również na jego dolnej wardze. Nebe przystanął i przyjrzał się tej scenie z wyraźnym niesmakiem.

– I co? – zapytał gniewnie. – Jeszcze jedna?

Patolog leniwie wydmuchał dym i skrzywił się.

– Na to na razie wygląda – odparł. – Są wszystkie stosowne akcesoria.

– Jasne. – Rzuciło się w oczy, że Nebe nie bardzo lubi młodego lekarza. – Liczę, że pański raport będzie bardziej rozbudowany niż poprzedni. Nie mówiąc już o tym, że dokładniejszy. – Odwrócił się raptownie i głośno rzucił przez ramię: – I niech się pan postara, żebym jak najszybciej go dostał.

Na Wilhelmstrasse, jadąc samochodem służbowym Nebego, zapytałem, o co w tym wszystkim chodziło.

– To znaczy tam, na sali sekcyjnej.

– Kolego – odrzekł – myślę, że zaraz się tego dowiesz.

Komenda główna stworzonej przez Heydricha służby bezpieczeństwa SD przy Wilhelmstrasse 102 na zewnątrz prezentowała się całkiem niewinnie. Na obu końcach jońskiej kolumnady wznosiły się kwadratowe piętrowe wartownie, zwieńczona łukiem brama pośrodku wiodła na dziedziniec. Szpaler drzew zasłaniał to, co znajdowało się w głębi, i tylko obecność dwóch umundurowanych wartowników wskazywała na to, że mamy do czynienia z budynkiem rządowym.

Przejechaliśmy przez bramę i okrążywszy schludny, okolony krzewami trawnik wielkości kortu tenisowego, stanęliśmy przed pięknym, dwupiętrowym budynkiem o łukowatych oknach w iście słoniowych rozmiarach. Szturmowcy rzucili się gorliwie, aby otworzyć nam drzwi. Wysiedliśmy.

Wnętrze nie całkiem odpowiadało moim wyobrażeniom o komendzie Sipo. Główną ozdobę holu, w którym polecono nam poczekać, stanowiły schody, kapiące od połączanych

elementów i ozdobione kariatydami naturalnej wielkości. Nad naszymi głowami wisiał ogromny żyrandol. Zerknąłem na Nebego, informując go ruchem brwi, że jestem pod wrażeniem i jest ono wielce korzystne.

– Niezłe, co? – mruknął i ująwszy mnie pod ramię, podprowadził do szeregu porte-fenêtre'ów, wychodzących na wspaniały ogród krajobrazowy. Nieco dalej na zachód rysowała się nowoczesna sylweta Europa Haus Gropiusa; na północy, znacznie bliżej, wznosiło się południowe skrzydło Komendy Głównej Gestapo na Prinz Albrecht Strasse. Miałem dość danych, by je rozpoznać: kiedyś z rozkazu Heydricha siedziałem tam przez jakiś czas.

Jednak rozróżnienie między SD, czyli Sipo, jak czasem nazywano służbę bezpieczeństwa, a gestapo, uchodziło za rzecz subtelną i ulotną, nawet dla osób, które pracowały dla obu tych instytucji. Z mojego punktu widzenia różniły się od siebie mniej więcej tak, jak bockwurst różni się od frankfurtera – nazwy są inne, ale wygląd i smak dokładnie taki sam.

Nie ulegało natomiast wątpliwości, że obejmując gmach Prinz Albrecht Palais, Reinhard Heydrich świetnie się urządził. Może nawet lepiej niż jego domniemany szef Himmler, który obecnie zajmował budynek sąsiadujący z komendą gestapo – dawny hotel na Prinz Albrecht Strasse. Stary hotel, obecnie zwany SS-Haus, niewątpliwie był większy niż ten pałac. Ale podobnie jak w wypadku kielbasy, smak rzadko idzie w parze z wielkością.

Usłyszałem, że Nebe strzela obcasami, i obejrzałem się. Za nami stał książę terroru Rzeszy.

Heydrich – wysoki, chudy jak kościotrup mężczyzna o twarzy nieruchomej niczym gipsowa maska pośmiertna i lodowatych palcach, splecionych za prostymi jak deska plecami – przez kilka chwil nieruchomo patrzył na zewnątrz, nie odzywając się do żadnego z nas.

– Chodźmy, panowie – powiedział w końcu – dzień jest piękny. Przejdźmy się trochę. – Otworzył porte-fenêtre i ruszył przodem do ogrodu. Zwróciłem uwagę, że ma wielkie stopy i pałkowate nogi, jakby dużo jeździł konno; sądząc po srebrnej odznace jeździeckiej wpiętej w kieszeń munduru, zapewne tak było.

Na powietrzu i słońcu ożywił się trochę, niby jakiś gad.

– Tu była letnia rezydencja Fryderyka Wilhelma I – rzekł, omiatając ogród szerokim gestem. – Potem republika podejmowała tutaj ważnych gości, na przykład króla Egiptu i brytyjskiego premiera, naturalnie mówię o Ramsayu MacDonaldzie, nie o tym idiocie z parasolem. Uważam, że spośród starych pałaców ten jest najpiękniejszy, i często tu spaceruję. Ogród łączy się bezpośrednio ze sztabem gestapo, więc to dla mnie wielka wygoda. Bardzo tu

ładnie, zwłaszcza o tej porze roku. Pan ma ogród, Herr Günther?

– Nie – odparłem. – Zawsze wydawało mi się, że to mnóstwo roboty. Kiedy kończę pracę, to chcę naprawdę ją zakończyć, a nie zaczynać kopanie w ogródku.

– Szkoda. W moim domu w Schlactensee mamy piękny ogród i własny trawnik do krokiet. Czy któryś z panów zna tę grę?

– Nie – odrzekliśmy chórem.

– To ciekawa gra; podobno w Anglii jest bardzo popularna. Stanowi ciekawą metaforę nowych Niemiec. Prawa to jedynie bramki, przez które trzeba pędzić ludność, uderzając z różną siłą. Ale bez młotka nie ma żadnego ruchu; doprawdy, krokiet to znakomita gra dla policjanta.

Nebe w zamyśleniu skinął głową, sam Heydrich natomiast robił wrażenie zadowolonego z tego porównania. Rozkręcił się i zaczął swobodniej wyliczać wszystko, czego nienawidzi – wolnomularzy, katolików, świadków Jehowy, homoseksualistów, generała Canarisa, szefa Abwehry, czyli niemieckiego wywiadu wojskowego – oraz rozwodzić się nad tym, co mu sprawia przyjemność – fortepian, wiolonczela, fechtunek, ulubione kluby nocne oraz rodzina.

– Rozumiecie panowie – mówił – w nowych Niemczech chodzi o to, by powstrzymać upadek rodziny i ustanowić narodową wspólnotę krwi. Sytuacja się zmienia. Na przykład w tej chwili przebywa w Niemczech tylko 22 787 włościan, o pięć i pół tysiąca mniej niż na początku roku. Wzrosła liczba ślubów i urodzeń, o połowę spadła liczba rozwodów. Zapytacie, czemu rodzina jest dla partii taka ważna. No więc powiem wam. Im lepsze będą nasze dzieci, tym lepsza przyszłość czeka Niemcy. Więc kiedy coś tym dzieciom zagraża, musimy reagować błyskawicznie.

Znalazłem papierosa i wsłuchałem się uważniej. Wyglądało na to, że nareszcie zamierza przejść do rzeczy. Zatrzymaliśmy się przy ławce, a gdy usiedliśmy, znalazłem się między Heydrichem i Nebem: kurza wątróbka między kromkami razowca.

– Nie lubi pan ogrodów – powiedział z namysłem. – A co z dziećmi? Lubi je pan?

– Lubię.

– To dobrze – rzekł. – Moim osobistym zdaniem trzeba je lubić, kiedy się robi to, co my, nawet rzeczy, które robimy z konieczności, mimo że napawają nas niesmakiem, w przeciwnym razie nie mielibyśmy jak wyrazić swego człowieczeństwa. Rozumie pan, o czym mówię?

Nie byłem tego pewny, ale przytaknąłem.

– Mogę być z panem szczery? – zapytał. – W zaufaniu?

– Proszę bardzo.

– Herr Günther, na ulicach Berlina grasuje potwór.

Wzruszyłem ramionami.

– A to dopiero nowina.

Heydrich pokręcił niecierpliwie głową.

– Nie, nie chodzi o to, że jakiś szturmowiec znów pobił jakiegoś starego Żyda. Chodzi o mordercę. Człowieka, który w ciągu czterech miesięcy zgwałcił, okaleczył i zabił cztery niemieckie dziewczyny.

– W gazetach nic o tym nie czytałem.

– Gazety piszą to, co się im każe – Heydrich zaśmiał się – a na tę konkretną sprawę wprowadziliśmy zakaz.

– Przez Streichera i tę jego antysemitkę szmatę znów oskarżenie padłoby na Żydów – wtrącił Nebe.

– Właśnie – zgodził się Heydrich. – A antysemitki rozruchy w mieście to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył. Coś takiego obraża moje poczucie porządku publicznego. Jako policjant uważam to za afront. Kiedy postanowimy pozbyć się Żydów, zrobimy to porządnie, bez pomocy motłochu. Są też konsekwencje handlowe. Kilka tygodni temu jacyś idioci w Norymberdze postanowili zburzyć synagogę. Akurat taką, która była wysoko ubezpieczona w niemieckim towarzystwie asekuracyjnym. Odszkodowanie wyniosło tysiące marek. Sam pan widzi, że rozruchy na tle rasowym są bardzo niedobre dla interesów.

– Więc czemu mi pan to mówi?

– Herr Günther, chcę, żeby ten szaleniec został schwytany, i to szybko. – Obrzucił Nebego oschłym spojrzeniem. – Zgodnie z najlepszą tradycją Kripo już zatrzymało pewnego Żyda, który przyznał się do tych zbrodni. Ale ponieważ w chwili, gdy popełniono ostatnie morderstwo, prawie na pewno przebywał w areszcie, to może nawet jest całkiem niewinny, a zrobił go jakiś nadgorliwiec z ukochanej przez Nebego policji. Ale pan, Günther, nie ma żadnej pieczeni do upieczenia, ani rasowej, ani politycznej. Co więcej, ma pan spore doświadczenie w dochodzeniach tego rodzaju. W końcu to pan schwycił tego dusiciela, Gormanna, prawda? Przyznaję, to było dziesięć lat temu, ale wszyscy wciąż pamiętają tę sprawę. – Urwał i spojrzał mi prosto w oczy. Poczułem się nieswojo. – Innymi słowy, Günther, chcemy, żeby pan wrócił. Żeby pan wrócił do Kripo i pomógł nam wytropić tego potwora, zanim znów kogoś zabije.

Pstryknąłem niedopałkiem w krzaki i wstałem. Arthur Nebe przyglądał mi się beznamietnie, prawie jakby nie podzielał życzenia Heydricha, żebym wrócił do służby i

poprowadził dochodzenie zamiast któregoś z jego ludzi. Zapaliłem kolejnego papierosa i zamyśliłem się.

– Do diabła, przecież są inni gliniarze – powiedziałem w końcu. – A ten, który dopadł Kürtena, Bestię z Düsseldorfu? Czemu go nie weźmiecie?

– Już go sprawdziliśmy – wyjaśnił Nebe. – Wygląda na to, że Peter Kürten sam oddał się w ręce władz. Śledztwo w tej sprawie nie należało do najskuteczniejszych.

– Nie ma nikogo poza tym?

Nebe potrząsnął głową.

– No widzi pan, Günther – rzekł Heydrich – znów wracamy do pana. Mówiąc zupełnie szczerze, wątpię, czy w całych Niemczech znalazłbym lepszego policjanta.

Roześmiałem się z niedowierzaniem.

– Dobry pan jest. Bardzo dobry. To przemówienie, które pan wygłosił o dzieciach i rodzinie, naprawdę było bardzo ładne, ale oczywiście obaj wiemy, że pan, panie generale, trzyma całą sprawę w tajemnicy z całkiem innego powodu: po prostu przy tej okazji cała ta wasza nowa policja wychodzi na kupę niekompetentnych dupków. Niedobrze dla nich i niedobrze dla pana. W gruncie rzeczy chce pan, żebym wrócił, wcale nie dlatego, że jestem taki świetny, ale dlatego, że reszta jest taka marna. Jedyne zbrodnie, jakie dzisiejsze Kripo potrafi wyśledzić, to bzdury, jakieś skalania rasy albo opowiadanie dowcipów o Führerze.

Heydrich uśmiechnął się niepewnie, lecz oczy mu się zwężyły.

– Pan mi odmawia, Günther? – zapytał spokojnie.

– Naprawdę chciałbym wam pomóc, ale moment wybraliście fatalnie. Widzi pan, właśnie się dowiedziałem, że wczoraj został zamordowany mój współnik. Może pan uzna, że jestem staroświecki, jednak chciałbym się najpierw dowiedzieć, kto go zabił. Normalnie zostawiłbym to chłopcom z wydziału zabójstw, ale zważywszy na to, co pan mi przed chwilą powiedział, to w sumie niedorzeczne, prawda? Niemal oskarżyli mnie o to zabójstwo, więc kto wie? Może nawet mnie zmuszą, żebym przyznał się do winy na piśmie, a wtedy rzeczywiście będę musiał zacząć dla pana pracować, choćby po to, żeby uniknąć gilotyny.

– Oczywiście słyszałem o nieszczęśliwej śmierci Herr Stahleckera – rzekł Heydrich, wstając z ławki. – To naturalne, że chce pan się czegoś dowiedzieć. Jeśli moi ludzie mogą panu pomóc, choćby niezbyt kompetentnie, proszę pytać bez wahania. Jednakże gdybyśmy założyli, że ta przeszkoda została usunięta, to jaka byłaby pańska odpowiedź?

Wzruszyłem ramionami.

– Przy założeniu, że gdybym odmówił, straciłbym licencję prywatnego detektywa...

– Naturalnie...

– ...pozwolenie na broń, prawo jazdy...
– Z pewnością znaleźlibyśmy jakiś pretekst...
– ...to prawdopodobnie byłbym zmuszony się zgodzić.
– Znakomicie.
– Pod jednym warunkiem.
– Niech pan mówi.
– Że na czas trwania dochodzenia otrzymam stopień komisarza kryminalnego i że będę mógł prowadzić śledztwo dokładnie w taki sposób, jak zechcę.

– Zaraz, chwileczkę – wtrącił Nebe. – Nie odpowiada ci dotychczasowy stopień inspektora?

– Całkiem niezależnie od wysokości uposażenia – wyjaśnił Heydrich – Herr Günther niewątpliwie pragnie w miarę możliwości uwolnić się od ingerencji wyższych rangą funkcjonariuszy. Oczywiście, ma całkowitą rację. To stanowisko będzie mu potrzebne, żeby uporać się z uprzedzeniami, które bez wątpienia napotka, wracając do Kripo. Powinienem być sam o tym pomyśleć. Zgoda.

Zawróciliśmy. Przy drzwiach pałacu funkcjonariusz SD wręczył Heydrichowi kartkę, ten zaś przeczytał ją i się uśmiechnął.

– Co za zbieg okoliczności! Herr Günther, moja niekompetentna policja najwyraźniej znalazła człowieka, który zabił pańskiego współnika. Ciekawe, czy nazwisko Klaus Hering coś panu mówi?

– Kiedy Stahlecker został zabity, prowadził obserwację jego mieszkania.

– To dobra nowina. Łyżkę dziegciu stanowi fakt, że ten cały Hering podobno popełnił samobójstwo. – Heydrich zerknął z uśmiechem na Nebego. – Cóż, chyba powinniśmy rzucić na to okiem, co, Arthur? Inaczej Herr Günther mógłby pomyśleć, że zmyślamy jak najęci.

O wisielcu trudno powiedzieć coś, co nie zatrałobyby groteską. Język, obrzękły i wydatny niczym trzecia warga, oczy wypuczone jak psie jaja – wszystko to jakby trochę mąci umysł. Wyjawszy zatem przemożne uczucie, że Klaus Hering nigdy już nie zdobędzie nagrody miejscowego towarzystwa dyskusyjnego, niewiele dało się o nim powiedzieć, oprócz tego, że miał około trzydziestki, jasne włosy, szczupłą sylwetkę oraz – po części dzięki stryckowi – był dość wysokiego wzrostu.

Sprawa wyglądała na jednoznaczną. Z doświadczenia wiedziałem, że śmierć przez powieszenie to prawie zawsze samobójstwo – kiedy chce się kogoś zabić, istnieją łatwiejsze

sposoby. Widziałem wprawdzie kilka wyjątków, ale wszystko to były wypadki: ofiara po prostu miała pecha i udusiła się podczas perwersyjnych igraszek sado-maso. Owych seksualnych nonkonformistów zazwyczaj znajduje się nagich albo ubranych w damską bieliznę, z plikiem pornograficznej literatury w lepkiej dłoni – i zawsze są to mężczyźni.

W przypadku Heringa nic jednak nie wskazywało na to, że przyczyną zgonu była niefortunna zabawa seksualna. Ubranie wyglądało, jakby wybrała mu je mamusia, ręce zaś zwisały luźno, co stanowiło niezbity dowód, że śmierć zadał sobie sam.

Inspektor Strunck, gliniarz, który przesłuchiwał mnie w komendzie na Alexanderplatz, wprowadził Heydricha i Nebego w szczegóły sprawy.

– Nazwisko i adres faceta znaleźliśmy w kieszeni Strahleckera – wyjaśnił. – W kuchni leży bagnet zawinięty w gazetę. Jest cały we krwi; na moje oko Strahlecker został zabity właśnie tym narzędziem. Mamy również zakrwawioną koszulę, w którą prawdopodobnie był wtedy ubrany Hering.

– Coś jeszcze? – zapytał Nebe.

– Panie generale, kabura pod pachą Strahleckera jest pusta – powiedział Strunck. – Może Günther zechce nam powiedzieć, czy ten pistolet należał do jego współnika. Znaleźliśmy go w papierowej torbie razem z koszulą.

Podał mi walthera PPK. Przytknąłem do nosa wylot lufy i poczułem zapach oleju. Potem wysunąłem magazynek i zobaczyłem, że choć jest pełny, to w lufie nie ma naboju. Następnie odsunąłem osłonę spustu. Na czarnym metalu, starannie wyryte, widniały inicjały Brunona.

– Tak jest, to pistolet Brunona – powiedziałem. – Najwyraźniej nawet nie miał go w ręku. Teraz chciałbym obejrzeć tę koszulę, jeśli można.

Strunck spojrzał pytająco na Nebego.

– Niech mu pan pokaże, inspektorze – zarządził Reichskriminaldirektor.

Koszula pochodziła z C&A; wielkie plamy krwi na brzuchu i na prawym mankiecie potwierdzały pierwsze przypuszczenia.

– No tak – rzekł Heydrich. – Herr Günther, wygląda na to, że znaleźliśmy człowieka, który zamordował pańskiego współnika. Wrócił do domu, żeby się przebrać, ale tymczasem przemyślał sobie to, co zrobił. I powiesił się w przyпіlywie skruchy.

– Tak by się wydawało – powiedziałem tonem, z którego jak sądzę, udało mi się wyeliminować nieufność. – Ale jeśli można, panie generale, chciałbym jednak trochę się tu rozejrzeć. Samodzielnie. Po prostu chciałbym zaspokoić swoją ciekawość w niektórych kwestiach.

– Niech będzie. Tylko niech pan zbytnio nie marudzi, dobrze?

Kiedy Heydrich, Nebe i policjanci opuścili budynek, dokładniej przyjrzałem się zwłokom Klause Heringa. Istotnie, wszystko wskazywało na to, że wyszedł na schody, przywiązał do poręczy kawałek kabla, założył sobie pętlę na szyję i po prostu zszedł ze stopnia. Ale tylko staranne zbadanie stanu jego dłoni, nadgarstków i samej szyi mogło wyjaśnić, co zaszło. W okolicznościach jego śmierci było coś, czego nie umiałem określić, co jednak budziło moje wątpliwości. Na przykład fakt, że Hering, zanim się powiesił, postanowił zmienić koszulę.

Stanąłem na poręczy i klęknąłem na małym występie w ścianie klatki schodowej. Wychylony, miałem dobry widok na węzeł na szyi Heringa, tuż za prawym uchem. W przypadku powieszenia ślad zadzierzgnięcia pętli na szyi zawsze wypada nieco wyżej niż przy uduszeniu. Tymczasem tutaj poniżej kabla widniał drugi ślad, ułożony znacznie bardziej poziomo. Poczulem się jeszcze bardziej nieswojo – najwyraźniej Klaus Hering, zanim zawisł, został uduszony.

Sprawdziłem, czy rozmiar kołnierzyka Heringa jest taki sam jak rozmiar zakrwawionej koszuli, którą przed chwilą oglądałem. Zgadzało się. Przelazłem z powrotem przez poręcz, zszedłem kilka stopni i stanąłem na palcach, żeby obejrzeć dłonie i nadgarstki zabitego. Siłą rozwarłem zaciśnięte palce prawej ręki. Na dłoni od wewnątrz widniała plama skrzepłej krwi oraz błyszczący przedmiot, jakby wbity w skórę. Wyciągnąłem go i obejrzałem. Był pogięty, zapewne w pięści Heringa, jednak mimo krwawej skorupy, którą był oblepiony, z łatwością dało się dostrzec motyw trupiej główki. Miałem w ręku znaczek z esesmańskiej czapki.

Przystanąłem na chwilę, próbując sobie wyobrazić przebieg wydarzeń; byłem już zupełnie pewien, że maczał w tym palce Heydrich. Przecież jeszcze w ogrodzie Prinz Albrecht Palais zapytał, co bym odpowiedział na jego propozycję, gdyby „przeszkoda” – mój obowiązek, by schwytać mordercę Brunona – została, jak to ujął, „usunięta”. I czyż nie została usunięta najskuteczniej, jak to było możliwe! Niewątpliwie przewidział moją reakcję i zlecił zabicie Heringa, zanim jeszcze poszliśmy na przechadzkę.

Te i inne myśli towarzyszyły mi podczas przeszukiwania pokoju Heringa. Zrobiłem to szybko, lecz dokładnie – uniosłem materac, odsunąłem dywan, zajrzałem do rezerwuaru nad sedesem, a nawet przekartkowałem zbiór podręczników medycyny. Udało mi się znaleźć cały arkusz starych znaczków, upamiętniających piątą rocznicę dojścia nazistów do władzy, takich samych, jakie pojawiały się na anonimach otrzymywanych przez Frau Lange. Po listach jej syna do doktora Kindermanna nie było ani śladu.

piątek, 9 września

Dziwnie się czułem, znów uczestnicząc w odprawie na Alex, a jeszcze dziwniej, gdy Arthur Nebe zaczął mnie tytułować „Kommissar” Günther. Pięć lat minęło od owego dnia w czerwcu 1933 roku, kiedy nie mogąc już znieść czystek, jakie Göring przeprowadzał w policji, złożyłem wymówienie ze stanowiska inspektora kryminalnego i zostałem detektywem w Hotelu Adlon. Jeszcze kilka miesięcy, a i tak by mnie wylali. Gdyby ktoś powiedział mi wówczas, że wrócę do Alex za rządów narodowych socjalistów jako jeden z wyższych funkcjonariuszy Kripo, uznałbym, że oszalał.

Gdyby sędzić po minach siedzących wokół stołu ludzi, większość z nich prawie na pewno była podobnego zdania: Hans Lobbes, Reichskriminaldirektor numer trzy i szef egzekutywy Kripo; hrabia Fritz von der Schulenberg, zastępca komendanta głównego berlińskiej policji, wódz mundurowych chłopaków z Orpo. Nawet trzech funkcjonariusze Kripo – jeden z obyczajówki, dwóch z wydziału zabójstw – skierowani do ekipy śledczej, na moją prośbę niezbyt licznej, spoglądali na mnie z mieszaniną strachu i odrazy. Nie dziwiłem się im zresztą. Z ich punktu widzenia byłem wtyczką Heydricha. Na ich miejscu też pewnie bym tak sędził.

Na moje zaproszenie w zebraniu uczestniczyły jeszcze dwie inne osoby, co pogłębiało atmosferę wzajemnej nieufności. Jedna z nich, Frau Marie Kalau von Hofe, pracowała na stanowisku psychiatry sądowego w berlińskim szpitalu Charité. Zaprzyjaźniona z Arthurem Nebe, też niezłym kryminologiem, pełniła funkcję oficjalnego konsultanta policji do spraw psychologii kryminalnej. Drugi gość, Hans Illman, profesor medycyny sądowej na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma w Berlinie, był niegdyś zatrudniony w Alex jako główny patolog, dopóki jego zimna niechęć do nazistów nie zmusiła Nebego do zwolnienia go z posady. Nawet sam Nebe przyznawał, że Illman jest lepszym fachowcem niż którykolwiek z patologów zatrudnionych obecnie przez komendę policji, więc nie robił problemów, kiedy go poprosiłem, by to właśnie profesor zajął się medyczną stroną dochodzenia.

Szpieg, kobieta i dysydent. Pięknie. Gdyby jeszcze protokolantka wstała i zaśpiewała

Czerwony sztandar, moi nowi koledzy byliby już całkiem przekonani, że ktoś najzwyczajniej robi ich w balona.

Nebe zakończył rozwlekłą prezentację mojej osoby i oddał mi głos.

Pokręciłem głową.

– Nienawidzę biurokracji – oświadczyłem. – Nie znoszę jej. Ale tutaj potrzebna jest biurokracja informacji. Później się okaże, co jest istotne. Informacja to siła żywotna każdego dochodzenia, więc jeśli jest skażona, to zatrute zostaje całe dochodzeniowe ciało. Nie przeszkadza mi, że ktoś się pomyli. W tej zabawie mylimy się prawie zawsze, dopóki nie nadejdzie moment, gdy wreszcie mamy rację. Lecz jeśli odkryję, że ktoś z was świadomie przekazuje mi błędną informację, to nie oddam go pod sąd dyscyplinarny. Nie, ja go zabiję. Na tej informacji możecie polegać. I jeszcze jedno. Nie obchodzi mnie, kim jest sprawca. Żydem, czarnuchem, ciotą, szturmowcem, przywódcą Hitlerjugend, urzędnikiem państwowym, robotnikiem drogowym, wszystko mi jedno. Pod warunkiem, że naprawdę jest winien. I tu dochodzimy do sprawy Josefa Kahna. Na wypadek, gdyby ktoś z was zapomniał: to jest ten Żyd, który przyznał się do zamordowania Brigitte Hartmann, Christiane Schulz i Zarah Lischki. W tej chwili podpada pod paragraf pięćdziesiąt jeden w miejskim szpitalu dla obłąkanych w Herzeberge, a jednym z celów tego zebrania jest ocena jego zeznań w świetle śmierci czwartej dziewczyny, Lotte Winter. Teraz pozwolę sobie przedstawić wam profesora Hansa Illmana, który uprzejmie zgodził się objąć funkcję patologa w tej sprawie. Tych z was, którzy go nie znają, informuję, że profesor Illman należy do najlepszych fachowców w kraju, więc mamy sporo szczęścia, że zechciał z nami pracować.

Illman skinął głową, zajęty produkowaniem kolejnego doskonałego skręta. Był to drobny mężczyzna w okularach bez oprawek, z rzadkimi, ciemnymi włosami i małą bródką. Polizał bibułkę i wsadził do ust papierosa równie zgrabnego, jak te wyprodukowane fabrycznie. Zachwyciłem się w duchu. Geniusz medyczny był niczym w porównaniu z pokazem tak subtelnej zręczności.

– Profesor Illmann opowie nam o swoich odkryciach, ale najpierw Kriminalassistent Korsch zreferuje dotychczasową dokumentację sprawy. – Skinąłem na krępego, ciemnowłosego młodzieńca, siedzącego naprzeciw. Jego twarz miała w sobie coś sztucznego, jakby została stworzona przez rysownika ze służb technicznych Sipo i zredukowana do trzech wyrazistych elementów: zrosniętych brwi, które straszyły się na wydatnej kości czołowej niczym zrywający się do lotu jastrzęb, wąskiego podbródka przebiegłego czarodzieja i małego wąsika w stylu Douglasa Fairbanka. Korsch odkaszlnął i zaczął mówić głosem o oktawę wyższym, niż się spodziewałem.

– Brigitte Hartmann – przeczytał. – Lat piętnaście, z rodziny niemieckiej. Zaginęła 23 maja 1938. Ciało znaleziono 10 czerwca w worku po kartoflach na działce w Siesdorf. Mieszkała z rodzicami na osiedlu Britz na południe od Neukölln. Wyszła z domu, aby wsiąść do U-Bahnu przy Parchimerallee i pojechać do ciotki w Reinickdorf. Ciotka wyszła po nią na stację Holzhauser Strasse, ale Brigitte się nie zjawiła. Zawiadowca z Parchimer nie pamięta, żeby wsiadała do pociągu, ale zeznał, że cały wieczór pił piwo, więc pewnie i tak by nie zauważył. – Tu zebrani parsknęli śmiechem.

– Pijany skurwiel – parsknął Hans Lobbes.

– To tylko jedna z dziewcząt, które zdążyliśmy już pochować – powiedział cicho Illmann. – Nie sądzę, żebym mógł cokolwiek dodać do wyników sekcji. Proszę, Herr Korsch, niech pan mówi dalej.

– Christiane Schulz. Lat szesnaście, z rodziny niemieckiej. Zaginęła 8 czerwca 1938. Ciało znaleziono 2 lipca w tunelu tramwajowym, łączącym park Treptower na prawym brzegu Szprewy ze wsią Stralau na drugim brzegu. W połowie długości tunelu znajduje się punkt techniczny, właściwie wnęka. Tam znalazł ją torowiec, zawiniętą w starą brezentową płachtę. Podobno lubiła śpiewać i często występowała w wieczornym programie radiowym BDM-u, Ligi Dziewcząt Niemieckich. Wieczorem w dniu zaginięcia była w Studiu Funkturm na Masuren-Strasse, gdzie o dziewiętnastej wykonała solo hymn Hitlerjugend. Ojciec dziewczyny, zatrudniony jako inżynier w Fabryce Samolotów Arado w Brandenburg-Neuendorf, miał po nią podjechać około dwudziestej w drodze powrotnej z pracy. Ale złapał gumę i spóźnił się dwadzieścia minut. Kiedy wreszcie dotarł do studia, Christiane już nie było, więc uznał, że pewnie wyruszyła do domu sama, i wrócił do Spandau. Ale kiedy o dwudziestej pierwszej trzydzięci nadal nie zjawiła się w domu, a najbliższe przyjaciółki nic o niej nie wiedziały, zawiadomił policję.

Korsch zerknął na Illmanna, a potem na mnie. Pretensjonalnym gestem przyglądził wąsiki i spojrzął na kolejną kartkę w teczce, którą miał przed sobą.

– Zarah Lischka – przeczytał. – Lat szesnaście, z rodziny niemieckiej. Zaginęła 6 lipca 1938. Ciało znaleziono 1 sierpnia w ścieku w Tiergarten, w pobliżu Siegessäule. Rodzina mieszka przy Antonstrasse w Wedding. Ojciec pracuje w rzeźni przy Landsbergerallee. Matka dziewczyny posłała ją do sklepów na Lindowerstrasse przy stacji S-Bahn. Sklepikarz pamięta, że ją obsługiwał. Kupiła papierosy, chociaż żadne z rodziców nie pali, margarynę Blueband i bochenek chleba. Potem poszła do apteki obok, właściciel też ją zapamiętał. Kupiła farbę do włosów Schwarzkopf Extra Blond.

Używa jej sześćdziesiąt na sto niemieckich dziewcząt, pomyślałem niemal

automatycznie. Aż dziwne, jakie śmieci utkwiły mi ostatnio w pamięci. Przypuszczalnie nie umiałbym wiele powiedzieć o ważnych wydarzeniach na świecie, może z wyjątkiem rejonu niemieckich Sudetów, gdzie doszło do rozruchów podczas konferencji w Pradze, dotyczącej narodowości. Zobaczymy, pomyślałem, czy to, co dzieje się w Czechosłowacji, w końcu okaże się najistotniejsze.

Illmann zgasił papierosa i zaczął czytać sprawozdanie.

– Dziewczyna była naga, a na nogach miała ślady po więzach. Zadano jej dwa ciosy nożem w krtań, jednak wiele świadczy o tym, że przedtem ktoś ją dusił, być może, żeby ją uciszyć. Prawdopodobnie była nieprzytomna, kiedy morderca podciął jej gardło. Wskazuje na to zasinienie w miejscach, gdzie ją pocięto. I rzecz najbardziej interesująca. Z ilości krwi pozostałej w stopach oraz z tego, że w nozdrzach i we włosach znaleziono zaschniętą krew, jak również z faktu, że kostki były bardzo mocno związane, wnioskuję, że zanim dziewczynie poderżnięto gardło, podwieszono ją do góry nogami. Jak świnię.

– Jezu – szepnął Nebe.

– Po lekturze raportów z sekcji dwóch poprzednich zabójstw z dużym prawdopodobieństwem mogę stwierdzić, że w tamtych wypadkach *modus operandi* był identyczny. Sugestia mojego poprzednika, że dziewczynom podcięto gardło, kiedy leżały na wznak na ziemi, to jawna bzdura, nie uwzględniająca otarć na kostkach ani ilości krwi, pozostałej w stopach. Prawdę mówiąc, to zwykłe niedbalstwo.

– Odnotowano – rzekł Arthur Nebe, zapisując. – Podzielam zdanie, że pański poprzednik jest niekompetentny.

– Pochwa dziewczyny nie została uszkodzona, do penetracji nie doszło – ciągnął Illmann. – Ale odbył był szeroko rozwarty i pozwolił na wsunięcie dwóch palców. Próby na obecność nasienia dały dodatnie wyniki.

Ktoś jęknął.

– Żołądek był zwiotczały i pusty. Podobno przed wyruszeniem na stację Brigitte zjadła drugie śniadanie, złożone z przecieru jabłkowego i kilku kromek chleba z masłem. W chwili śmierci cały pokarm został już strawiony. Ale jabłko nie jest lekkostrawne, wchłania za dużo wody. To wskazuje, że śmierć dziewczyny nastąpiła sześć do ośmiu godzin po posiłku, a więc dwie godziny po zgłoszeniu jej zaginięcia. Nasuwa się wniosek, że najpierw ją uprowadzono, a dopiero potem zabito.

Spojrzałem na Korsch.

– I ostatni przypadek, proszę, Herr Korsch.

– Lotte Winter – oznajmił. – Lat szesnaście, z rodziny niemieckiej. Zaginęła 18 lipca

1938, ciało znaleziono 28 sierpnia. Mieszkała na Pragerstrasse i chodziła do miejscowego gimnazjum, gdzie miała robić małą maturę. Wyszła z domu na lekcję jazdy konnej w Tattersalls w Zoo, ale nigdy tam nie dotarła. Jej ciało leżało na dnie starego kajaka w hangarze dla łodzi nad jeziorem Muggel.

– Nasz człowiek nieźle się uwija, co? – mruknął cicho hrabia von der Schulenberg.

– Jak Czarna Śmierć – powiedział Lobbes.

Illmann kontynuował:

– Udużona. Ucisk spowodował pęknięcie krtani, kości gnykowej oraz chrząstki i płatów tarczycy, co by wskazywało na użycie większej siły niż w przypadku Schulz. Ta dziewczyna była silniejsza i ogólnie bardziej wysportowana. Mogła stawiać większy opór. W jej wypadku przyczyną śmierci było uduszenie, chociaż prawa tętnica szyjna została przecięta. Na stopach, tak jak poprzednio, odkryłem ślady więzów oraz krew w nosie i na włosach. Niewątpliwie ofiara wisiała głową w dół, kiedy podcięto jej szyję. Jej ciało było tak samo pozbawione krwi.

– Kurwa, to jakiś wampir! – wykrzyknął śledczy z wydziału zabójstw, po czym zerknąwszy na Frau Kalau von Hofe, dodał: – Przepraszam.

Pokręciła głową.

– Jakież czynności seksualne? – zapytałem.

– Z powodu przykrego zapachu pochwy dziewczyny musieliśmy irygować – oznajmił Illmann przy wtórze dalszych jęków – więc nie znaleziono śladów nasienia. Niemniej przedsionek pochwy nosił ślady zadrapania, a kość łonowa była nieco zasiniona, więc wszystko wskazuje na to, że dokonano penetracji, i to siłą.

– Zanim podcięto jej gardło? – upewniłem się.

Illmann przytaknął. Zebrani zamilkli. Illman wziął się do zwijania kolejnego skręta.

– A teraz zaginęła kolejna dziewczyna – powiedziałem. – Tak, inspektorze Deubel?

Deubel poprawił się niepewnie na krześle. Był to duży blondyn o szarych, znękanych oczach, które najwyraźniej zbyt często oglądały nocne działania policji: takie, do jakich trzeba wkładać grube gumowe rękawice.

– Tak jest. Nazywa się Irma Hanke.

– A więc skoro prowadzi pan dochodzenie, może zechce pan coś nam o niej powiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Pochodzi z przyzwoitej niemieckiej rodziny. Ma siedemnaście lat, mieszka na Schloss Strasse w Steglitz – urwał i rzucił okiem na notatki. – Zaginęła w środę 24 sierpnia,

kiedy wyszła z domu, żeby w imieniu BDM-u przeprowadzić zbiórkę na rzecz Programu Gospodarczego Rzeszy. – Znów urwał.

– A co zbierała? – zapytał hrabia.

– Tubki po paście do zębów. Zdaje się, że ten metal...

– Dziękuję, inspektorze, wiem, jaka jest wartość złomu z tubek po paście.

– Tak jest. – Deubel ponownie zerknął do notatek. – Dostaliśmy zgłoszenie, że widziano ją na Feuerbachstrasse, Thorwaldsenstrasse i Munster Damm. Południowy odcinek Munster Damm biegnie obok cementarza i tamtejszy kościelny zeznał, że widział dziewczynę w mundurze BDM-u o wyglądzie odpowiadającym rysopisowi Armii, idącą tamtędy około dwudziestej trzydzieści. Wydawało mu się, że zmierzała na zachód, w stronę Bismarckstrasse. Zapewne szła do domu, bo zapowiedziała rodzicom, że wróci o dwudziestej czterdzieści pięć. Oczywiście nigdy do domu nie dotarła.

– Jakież tropy? – zapytałem.

– Żadnych, panie komisarzu – odparł stanowczo.

– Dziękuję, inspektorze. – Zapaliłem papierosa, po czym tą samą zapałką przypaliłem skręta Illmannowi. – No dobrze. – Zaciągnąłem się. – Mamy więc pięć dziewcząt, mniej więcej w tym samym wieku, w tym samym klasycznym typie aryjskim, który znamy i tak bardzo kochamy. Innymi słowy, wszystkie miały jasne włosy, naturalne albo i nie. I nagle nasz Josef Kahn, który rzekomo zamordował już trzy dziewczęta Renu, daje się aresztować za usiłowanie gwałtu na prostytutce. Innymi słowy, za próbę wyjścia bez płacenia.

– Typowy Żyd – wtrącił Lobbes. Rozległy się chichoty.

– Tak się złożyło, że Kahn miał przy sobie nóż, i to ostry, a ponadto był karany za drobne przestępstwa, kradzieże i czyny lubieżne. Co za cudowny zbieg okoliczności! Toteż funkcjonariusz, który dokonał zatrzymania, niejaki inspektor Willi Oehme z posterunku na Grolmanstrasse, postanowił pójść na skróty. A nuż da się coś ugrać? Pogawędził sobie z młodym Josefem, który ma trochę nie po kolei, i za pomocą słodkich słówek oraz twardych pięści jakoś przekonał biedaka, żeby podpisał przyznanie się do winy. Panowie, w tym miejscu chciałbym panów przedstawić Frau Kalau von Hofe. Mówię „Frau”, albowiem chociaż posiada ona tytuł doktora, to nie wolno jej się tak tytułować; ponieważ oczywiście jest też kobietą, a wszyscy wiemy, nieprawdą, że miejsce kobiety jest w domu, gdzie powinna zajmować się produkcją rekrutów na potrzeby partii i gotowaniem obiadów mężczyźni. W rzeczywistości Frau Kalau von Hofe jest psychoterapeutką i uznaną specjalistką w owej niezgłębionej i tajemniczej materii, którą określamy jako umysł przestępcy.

Zwróciłem wzrok ku pysznej kremowej blondynce, siedzącej u szczytu stołu. Miała na sobie spódnicę barwy magnolii i białą krepową bluzkę, jasne włosy na zgrabnej głowie upięte były w ciasny kok. Słyszając moje wprowadzenie, uśmiechnęła się i położyła przed sobą wyjętą z aktówki teczkę.

– Jako dziecko – powiedziała – Josef Kahn zapadł na ostre śpiączkowe zapalenie mózgu, które w latach 1915-1926 występowało wśród dzieci w Europie Zachodniej w formie epidemicznej. Spowodowało ono gruntowną zmianę jego osobowości. W następstwie ostrego stadium choroby dzieci stają się niespokojne, drażliwe, nawet agresywne, a także wyraźnie tracą zmysł moralny. Kradną, żebrzą, kłamią i bywają okrutne. Mówią bez przerwy i ani w szkole, ani w domu nie można sobie z nimi poradzić. Często obserwuje się u nich nienormalną nadpobudliwość seksualną i problemy płciowe. Bywa, że po zapaleniu mózgu młodzież jeszcze w wieku dojrzewania wykazuje pewne objawy, takie jak brak powściągliwości seksualnej, co z pewnością ma miejsce w wypadku Josefa Kahna. Zaczęła się u niego także rozwijać choroba Parkinsona, która skutkuje rosnącym upośledzeniem ruchowym.

Hrabia von der Schulenberg ziewnął i spojrzął na zegarek. Ale pani doktor się nie zniechęciła; przeciwnie, ten pokaz złych manier wyraźnie ją rozbawił.

– Pomimo przypisywanych Josefowi skłonności przestępczych – ciągnęła – nie sądzę, aby zabił którąś z tych dziewcząt. Omówiłam wyniki ekspertyzy sądowej z profesorem Illmannem i jestem zdania, że te zabójstwa wskazują na poziom premedytacji, do którego Kahn po prostu nie jest zdolny. Stać go jedynie na morderstwo w ataku szału, po którym zapewne porzuciłby ofiarę, gdziekolwiek by upadła.

Illmann przytaknął.

– Analiza jego zeznań wykazała kilka sprzeczności ze znanymi nam faktami – uzupełnił. – Twierdzi na przykład, że do duszenia ofiar używał pończochy, tymczasem dowody wyraźnie świadczą o tym, że dziewczęta uduszono gołymi rękami. Mówi, że dźgnął ofiary nożem w brzuch. Ale wykryliśmy, że żadnej nie zadano takiego ciosu, natomiast wszystkim poderżnięto gardło. No i faktem jest, że kiedy popełniono ostatnie morderstwo, Kahn przebywał w areszcie. Czy akurat ta zbrodnia mogła być dziełem naśladowcy, kogoś, kto wzorował się na poprzednich trzech? Nie. Bo nie było żadnych doniesień prasowych, na których sprawca mógłby się wzorować. To po pierwsze. Po drugie wszystkie cztery morderstwa cechuje niezwykle podobieństwo. Popełnił je jeden i ten sam człowiek. – Illmann uśmiechnął się do Frau Kalau von Hofe. – Czy chciałaby pani coś dodać?

– Tylko tyle, że tym człowiekiem w żaden sposób nie może być Josef Kahn. I że Josef

Kahn padł ofiarą matactwa, które jak sądziłam, nie jest możliwe w Trzeciej Rzeszy. – Z uśmiechem na ustach zamknęła teczkę i usiadła wygodniej, otwierając papierośnicę. Palenie nikotyny, podobnie jak doktorat, było kolejną rzeczą, której niemiecka kobieta robić nie powinna, ale najwyraźniej Frau Kalau von Hofe niezbyt się przejmowała takimi przesądami.

– W świetle powyższej informacji – odezwał się hrabia – pozwolę sobie na pytanie. Herr Reichskriminaldirektor, czy zakaz publikacji prasowych w tej sprawie zostanie cofnięty? – Pochylił się nad stołem, skrzypiąc skórzanym pasem, jakby nie mógł się doczekać odpowiedzi Nebeego. Jako syn znanego generała, aktualnego ambasadora w Moskwie, młody von der Schulenberg miał nieskazitelne koneksje. – Nie mogę sobie wyobrazić – ciągnął – w jaki sposób bez jakiegoś oficjalnego komunikatu w prasie można przekonać rodziców berlińskich dziewcząt, żeby wykazali większą ostrożność. Naturalnie dopilnuję, żeby każdy mundurowy Anwärter uświadomił sobie konieczność zachowania czujności na ulicach. Ale przy wsparciu Ministerstwa Propagandy Rzeszy moi ludzie z Orpo mieliby łatwiejsze zadanie.

– Jest znanym w kryminologii faktem – odparł gładko Nebe – że rozgłos może podziałać zachęcająco na zbrodniarza takiego jak ten, z którym mamy do czynienia. Frau Kalau von Hofe z pewnością to potwierdzi.

– Zgadza się – powiedziała pani doktor. – Seryjni mordercy naprawdę lubią czytać o sobie w gazetach.

– Niemniej – podjął Nebe – postaram się zadzwonić dzisiaj do gmachu Muratti, żeby się dowiedzieć, czy może da się użyć propagandy w celu nakłonienia młodych dziewcząt, żeby były ostrożniejsze. Zaznaczam, że każda taka kampania będzie musiała uzyskać aprobatę Obergruppenführera. Bardzo zależy mu na tym, by do prasy nie przedostało się nic, co mogłoby wzbudzić panikę wśród niemieckich kobiet.

Hrabia kiwnął głową.

– A teraz – rzekł, patrząc na mnie – mam pytanie do pana komisarza.

Uśmiechał się, ale nie zamierzałem przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi. Sprawiał wrażenie, jakby ukończył tę samą szkołę wyniosłego sarkazmu co Obergruppenführer Heydrich. W duchu przyjąłem postawę obronną, gotów na pierwszy atak.

– Może pan komisarz, który tak inteligentnie rozwiązał słynną sprawę dusiciela Gormanna, zechce podzielić się pierwszymi wrażeniami o tym konkretnym przypadku?

Rozciągał wargi w bezbarwnym, wysilonym uśmiechu, jakby zmagał się z zaciśniętym zwieraczem. To znaczy, przypuszczalnie zaciśniętym. Albowiem Schulenberg, jako zastępca byłego SA-mana, hrabiego Wolfa von Helldorfa, o którym mówiono, że podobnie jak jego

zmarły szef, Ernst Röhm, jest homoseksualistą, mógł posiadać odbyt, który byłby pokusą dla krótkowzrocznego kieszonkowca.

Wyczuwając, że te nieszczerze dociekania mogą jednak przynieść jakiś efekt, poszedł za ciosem:

– Może jakieś wskazówki, z jakim typem mamy tu do czynienia?

– Myślę, że tu mogę pomóc panu komendantowi administracyjnemu – wtrąciła Frau Kalau von Hofe. Hrabia z rozdrażnieniem szarpnął głową w jej stronę.

Sięgnęła do teczki i położyła na stole grubą książkę. A potem jeszcze jedną, i jeszcze, i jeszcze, aż powstał stosik wyższy od wyglansowanych oficerek von der Schulenberg.

– Spodziewając się takiego właśnie pytania, pozwoliłam sobie przynieść kilka podręczników, dotyczących psychologii przestępcy – oznajmiła. – *Zawodowy przestępca* Heindla, znakomita książka Wulffena *Podręcznik wykroczeń seksualnych*, *Patologia seksualna* Hirschfelda, *Przestępca i jego sędzia* F. Alexandra...

Tego było dla hrabiego za wiele. Zebrał swoje papiery i wstał, uśmiechając się nerwowo.

– Może innym razem, Frau von Hofe – uciął, strzelił obcasami, ukłonił się sztywno zebranym i wyszedł.

– Dupek – mruknął Lobbes.

– Wszystko w porządku – rzekła pani doktor, kładąc na stosie książek kilka egzemplarzy policyjnego pisma „Deutsches Polizeiblatt”. – Nie da się niczego nauczyć Jasia, skoro Jaś nie chce się niczego nauczyć. – Uśmiechnąłem się, podziwiając jej chłód i spokój, jak również piękne piersi pod napiętym materiałem bluzki.

Po zebraniu ociągałem się trochę z wyjściem, licząc, że zostaniemy sam na sam.

– Jego pytanie miało sens – powiedziałem. – Nie bardzo potrafiłem na nie odpowiedzieć. Dziękuję, że pani przyszła mi z odsieczą.

– Ależ nie ma za co – odparła, układając książki w aktówce. Wziąłem jedną z nich i przerzuciłem kartki.

– Wie pani, interesuje mnie pani odpowiedź. Mogę panią zaprosić na drinka?

Spojrzała na zegarek.

– Tak – uśmiechnęła się. – Będzie mi bardzo miło.

Bar Die Letzte Instanz mieścił się na końcu Klosterstrasse, w cieniu starych murów miejskich. Bywali tam gliniarze z Alexanderplatz oraz urzędnicy pobliskiego sądu ostatniej

instancji, od którego lokal wzięł swoją nazwę.

W mrocznym wnętrzu, wyposażonym w ciemnobrązowe boazerie i kamienne posadzki, obok baru z wielką, żółtą ceramiczną beczką, zwieńczoną siedemnastowieczną figurką żołnierza, stało wielkie siedzisko z zielonych, niebieskich i żółtych kafli, wyglądające jak bardzo zimny i niewygodny tron. Zasiadał na nim właściciel baru, Warnstoff, blade, ciemnowłosego mężczyzna w koszuli bez kołnierzyka, ubrany w obszerny skórzany fartuch, który służył również jako torba na drobne monety. Powitał nas ciepło i wskazał stolik w głębi sali, gdzie przyniósł nam dwa piwa. Przy stoliku nieopodal jakiś człowiek energicznie rozprawiał się z największą gołonką, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Jest pani głodna? – zapytałem.

– Teraz, kiedy zobaczyłam tego gościa, już nie – odparła.

– Tak, rozumiem, co pani ma na myśli. Trochę to zniechęcające, prawda? Tak zaciekle walczy z tym mięsem, jakby ze wszystkich sił starał się zdobyć Żelazny Krzyż.

Uśmiechnęła się i umilkliśmy. Po chwili zapytała:

– Sądzi pan, że będzie wojna?

Zapatrzyłem się w kufel, jakbym oczekiwał, że odpowiedź wypłynie na powierzchnię. W końcu wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

– Właściwie ostatnio nie bardzo nadążam za biegiem wydarzeń – wyjaśniłem. Opowiedziałem jej o Brunonie Stahleckerze i swoim powrocie do Kripo. – Ale chyba to ja powinienem o to zapytać? Jako znawca przestępczego umysłu ma pani pewnie lepszy wgląd w mózg Hitlera niż większość z nas. Powiedziałaaby pani, że zachowuje się kompulsywnie, wiedziony przemożnym popędem, w rozumieniu paragrafu pięćdziesiąt jeden kodeksu karnego?

Teraz z kolei ona zaczęła szukać natchnienia w kuflu piwa.

– Właściwie nie znamy się aż tak dobrze, żeby prowadzić tego rodzaju rozmowy, prawda? – zauważyła.

– Chyba nie.

– Ale jedno mogę powiedzieć – rzekła nieco ciszej. – Czytał pan *Mein Kampf*?

– Tę dziwną książkę, którą rozdają za darmo nowożeńcom? To najlepszy powód, żeby pozostać kawalerem, jaki przychodzi mi do głowy.

– No więc ja ją przeczytałam. I między innymi zauważyłam długi fragment, ponad siedmiostronicowej długości, w którym Hitler wielokrotnie wspomina o chorobach wenerycznych i ich skutkach. W rzeczy samej, mówi wręcz, że wyrugowanie chorób wenerycznych jest Głównym Zadaniem, przed jakim stoi Naród Niemiecki.

– Dobry Boże, chce pani powiedzieć, że to syfilityk?

– Nic nie chcę powiedzieć. Powtarzam tylko, co wyczytałam w wielkim dziele Führera.

– Ależ ta książka krąży od połowy lat dwudziestych. Jeśli wtedy się zaraził, to musi mieć trzecie stadium kiły!

– Może zainteresuje pana fakt – odrzekła – że wielu współpacjentów Josefa Kahna w szpitalu Herzeberge to ludzie, u których demencja organiczna jest bezpośrednim skutkiem zachorowania na syfilis. Wygłaszają sprzeczne opinie, a także takie opinie akceptują. Cierpią na silne wahania nastroju, od euforii do apatii, i są ogólnie niestabilni emocjonalnie. Klasyczne przypadki charakteryzują się obłąkańczą euforią, manią wielkości i atakami skrajnej manii prześladowczej.

– Chryste, chyba brakuje tylko tego wściekłego wąsika – rzuciłem ponuro i zapaliłem papierosa. – Na litość boską, zmieńmy temat. – Zaciągnąłem się. – Porozmawiajmy o czymś weselszym, na przykład o naszym przyjacielu, seryjnym mordercy. Wie pani, naprawdę zaczynam rozumieć, o co mu chodzi. Przecież te dziewczęta, które zabija, to jutrzejsze młode matki. Kolejne maszyny do rodzenia dzieci na potrzeby partyjnej rekrutacji. Ja tam jestem za produktami ubocznymi cywilizacji asfaltu, o której tak w kółko gadają: za bezdzietnymi rodzinami i bezwartościowymi eugenicznie kobietami, przynajmniej dopóki nie pozbedziemy się tych rządów gumowych pałek. Czym jest jeden więcej psychopata pośród tak wielu?

– Nawet pan nie wie, co pan powiedział – odrzekła. – Wszyscy jesteśmy zdolni do okrucieństwa. Każdy z nas jest utajonym przestępcą. Życie to jedynie walka o zachowanie naskórka cywilizacji. Który od czasu do czasu znika, jak odkryło wielu sadystycznych zabójców, na przykład Peter Kürten. Podobno był człowiekiem o tak dobrotliwym usposobieniu, że nikt, kto go znał, nie chciał uwierzyć, by mógł być zdolny do tych wszystkich straszliwych zbrodni, które popełnił.

Pogrzebała w aktówce i przetański stół, położyła między naszymi kuflami cienką niebieską książkę.

– To książka Carla Berga, patologa sądowego, który miał możliwość obserwować Kürtena przez dłuższy czas po jego aresztowaniu. Poznałam Berga i szanuję jego pracę. Jest założycielem Instytutu Medycyny Prawnej i Społecznej w Düsseldorfie i przez pewien czas był tam koronerem przy sądzie karnym. Ta praca, *Sadysta*, to zapewne najlepsza analiza stanu umysłu mordercy, jaka kiedykolwiek została napisana. Mogę ją panu pożyczyć, jeśli pan chce.

– Dziękuję, chętnie przeczytam.

– Dzięki niej łatwiej będzie panu coś zrozumieć – powiedziała. – Ale żeby naprawdę wniknąć w umysł człowieka w rodzaju Kürtena, powinien pan przeczytać jeszcze to. – I znów sięgnęła do torby z książkami.

– *Les fleurs du mal* – przeczytałem – autor Charles Baudelaire. – Otworzyłem tomik i rzuciłem okiem na stronicę. – Wiersze?

– Och, komisarzu, niech pan nie robi takiej podejrzliwej miny. Mówię całkowicie poważnie. To dobry przekład i znajdzie pan w nim więcej, niż się wydaje, proszę mi wierzyć. – Uśmiechnęła się do mnie.

– Nie czytałem wierszy, odkąd w szkole uczyli nas Goethego.

– I jakie jest pana zdanie o nim?

– Czy prawnik z Frankfurtu może być dobrym poetą?

– Interesujący punkt widzenia – powiedziała. – Cóż, miejmy nadzieję, że o Baudelaire będzie pan lepszego zdania. A teraz niestety muszę już iść. – Wstała i ucisnęła mi dłoń. – Kiedy pan przeczyta te książki, może mi je pan przynieść do Instytutu Göringa na Budapeststrasse. Mieścimy się dokładnie naprzeciwko Akwarium w Zoo. Na pewno z ciekawością wysłucham opinii detektywa o Baudelaire.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A pani mi powie, co pani sądzi o doktorze Lanza Kindermannie.

– O Kindermannie? Pan zna Lanza Kindermanna?

– Poniekąd.

Obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Wie pan, jak na komisarza policji, rzeczywiście ma pan w zanadrzu mnóstwo niespodzianek. Naprawdę.

niedziela, 11 września

Wolę, kiedy pomidory są jeszcze trochę zielone – słodkie i jędrne, o gładkiej, chłodnej skórce, takie, jakie wybiera się na sałatkę. Kiedy pomidor trochę poleży, tworzą się na nim zmarszczki, zaczyna się robić miękki w dotyku i nabiera kwaśnego smaku.

Podobnie jest z kobietami. Tyle że ta była trochę zbyt zielona nawet jak dla mnie, a także trochę zbyt chłodna i nonszalancka, żeby mogło jej to wyjść na dobre. Stała pod moimi drzwiami i lustrowała mnie impertynenckim spojrzeniem od stóp do głów i z powrotem, jakby chciała ocenić moją sprawność lub jej brak w roli kochanka.

– Tak? – zapytałem. – O co chodzi?

– Zbieram dla Rzeszy – oznajmiła, figlarnie mierząc mnie wzrokiem, i wyciągnęła ku mnie torbę materiałów, które miały potwierdzić jej wersję. – Gospodarczy Program Partii. Och, dozorczyńni mnie wpuściła.

– Właśnie widzę. Czego właściwie sobie życzysz?

W odpowiedzi uniosła brew, a ja zacząłem się zastanawiać, czy jej ojciec przypadkiem nie uważa, że wciąż jest małą dziewczynką, której można dać klapsa.

– A co pan ma? – W jej głosie zabrzmiała nuta lekkiej drwiny. Była ładna, urodą zmysłową i chmurną. W „cywilnym” stroju mogłaby uchodzić za dwudziestolatkę, ale z włosami zaplecionymi w warkocze, ubrana w ciężkie buty, długą granatową spódnicę, schludną białą bluzkę i skórzaną kurtkę BDM-u, Ligi Niemieckich Dziewcząt, wyglądała co najwyżej na szesnaście lat.

– Rozejrzę się i zobaczę, może coś się znajdzie – powiedziałem, lekko rozbawiony jej dorosłą manierą, która zdawała się potwierdzać pogłoski o rozwiązłości dziewcząt z BDM-u, którym na obozach Hitlerjugend ciąża przychodziła z równą łatwością, jak nauka szydełkowania, pierwszej pomocy i ludowej historii Niemiec. – Może lepiej wejść do środka.

Przekroczyła próg niespieszonym, rozkołysanym krokiem, jakby ciągnęła za sobą etolę z norek. Obrzuciła hol spojrzeniem.

– Milutko tu – mruknęła. Nie wyglądała na specjalnie zachwyconą.

Zamknąłem za nią drzwi i odłożyłem papierosa do popielniczki na stoliku.

– Zaczekaj tutaj – poleciłem.

Poszedłem do sypialni i zacząłem grzebać pod łóżkiem, gdzie trzymałem walizkę ze starymi koszulami i przetartymi ręcznikami, że nie wspomnę o straszliwym kurzu i kłakach z dywanu. Gdy w końcu wstałem i otrzępałem się, zobaczyłem, że stoi w drzwiach, wsparta o futrynę, zaciągając się moim papierosem. Bezczelnie puściła w moją stronę kółko z dymu.

– Myślałem, że wam, dziewczynkom od Wiary i Piękna, nie wolno palić – rzekłem, próbując ukryć rozdrażnienie.

– Co pan powie? – zadrwiła. – Jest wiele rzeczy, do których nas się zniechęca. Tego nie wolno, tamtego nie wolno. W dzisiejszych czasach prawie wszystko uważa się za grzech, no nie? Ale zawsze powtarzam, że jeśli nie można popełniać grzechów w młodości, kiedy ma się z nich jakąś przyjemność, to jaki jest sens w ogóle je popełniać? – Gwałtownie odepchnęła się od ściany i wyszła.

A to dopiero pindulka, pomyślałem, idąc za nią do salonu.

Zaciągnęła się hałaśliwie, jakby siorbała zupę z łyżki, i puściła mi w twarz kolejne kółko z dymu. Gdybym umiał je złapać, owinąłbym je wokół jej zgrabnej szyjki.

– W każdym razie – podjęła – nie sędzę, by coś miało się zawalić od jednego peta, a pan?

Roześmiałem się.

– Czy ja wyglądam na gamonia, który pali jakieś tanie papierosy?

– Nie, raczej nie – przyznała. – Jak panu na imię?

– Platon.

– Platon. Pasuje do pana. No, Platon, to możesz mnie pocałować, jeśli chcesz.

– Nie owijasz w bawełnę, co?

– Nie słyszałeś, jak mówią na BDM? Bundes Materace? Bardzo Dobre dla Mężczyzn?

– Zrzuciła mi ręce na szyję i zrobiła kilka kokieteryjnych min, które zapewne długo ćwiczyła przed lustrem na toalecie.

Jej gorący, młodzieńczy oddech był trochę nieświeży, pozwoliłem sobie jednak, po prostu z życzliwości, dorównać jej kompetencją w pocałunku. Położyłem ręce na jej młodych piersiach, ugniatając palcami brodawki, potem zaś chwyciłem spotniałymi dłońmi jędrne pośladki i przyciągnąłem ją do miejsca, które coraz bardziej zaprzętało moją uwagę. Przywarła do mnie i szeroko otworzyła szelmowskie oczęta. Nie mogę powiedzieć: kusiło mnie.

– No co, Platonie – zachichotała – znasz jakieś dobre bajki do poduszki?

– Nie – odparłem, ściskając ją mocniej. – Ale znam mnóstwo złych. Takich, w których piękna, lecz zepsuta królewna zostaje ugotowana żywcem i pożarta przez niegodziwego trolla.

W jasnoniebieskich tęczęwkach rozwydrzonych oczu zamigotały pierwsze ogieńki wątpliwości, uśmiech stracił na pewności siebie. Zadarłem jej spódnice i zacząłem ściągać majtki.

– Och, mógłbym ci opowiedzieć wiele takich bajek – ciągnąłem posepnie. – Bajek, jakie policjanci opowiadają swoim córkom. Okropnych, makabrycznych historii, od których dziewczęta mają koszmary, ku zadowoleniu swoich ojców.

– Przestań – zaśmiała się nerwowo. – Zaczynam się ciebie bać. – Dotarło już do niej, że sprawy nie toczą się zgodnie z planem, i rozpaczliwie usiłowała podciągnąć majtki, które szarpnąłem w dół, obnażając jej nogi i piskłący puch w kroku.

– Są zadowoleni, bo to oznacza, że ich śliczne córeczki już zawsze będą się bały pójść do mieszkania obcego mężczyzny, z którego mógłby wyleźć okrutny troll.

– Nie! Proszę pana, nie! – pisnęła.

Dałem jej klapsa w tyłek i odepchnąłem od siebie.

– Więc masz szczęście, królewno, że jestem policjantem, a nie trollem, bo inaczej zrobiłbym z ciebie marmoladę.

– Pan jest gliniarzem? – wyszeptała, przetykając łzy.

– Owszem, jestem gliniarzem. I jeśli jeszcze kiedyś zobaczę, że się bawisz w małą zdzirę, to dopilnuję, żeby twój ojciec przyłożył ci kijem, rozumiesz?

– Tak – wymamrotała, podciągając majtki.

Podniosłem z podłogi stos starych koszul i ręczników i wepchnąłem go jej w ramiona.

– A teraz wynoś się stąd, zanim osobiście spuszczę ci lanie. – Przerażona wybiegła do holu, uciekając z mieszkania, jakby gonił ją Nibelung we własnej osobie.

Zatrzasnąłem drzwi, lecz pozostał ze mną zapach i dotyk jej rozkosznego ciała, a także niespełnione pożądanie, które przestałem odczuwać, dopiero gdy nalałem sobie drinka i wzięłem zimną kąpiel.

Wydawało się, że we wrześniu tamtego roku podniecenie było wszędzie i tliło się jak zepsuty bezpiecznik, gotowe wybuchnąć w każdej chwili. Żałowałem tylko, że wzburzenie sudeckich Niemców w Czechosłowacji nie dało się ugasić tak łatwo, jak moja żądza.

Jako policjant człowiek uczy się, że podczas upałów należy oczekiwać wzrostu

przestępczości. W styczniu i lutym nawet najbardziej zagorzali kryminaliści grzeją się przy domowym ognisku.

Tego samego dnia, czytając *Sadystę* profesora Berga, zacząłem się zastanawiać, ilu ludzi ocaliło życie tylko dlatego, że było za zimno lub za mokro, aby Kürtenowi chciało się wyjść na dwór. Niemniej dziewięć morderstw, trzy usiłowania zabójstwa i czterdzieści podpaień i tak stanowiło imponujący rekord.

Zdaniem Berga, Kürten, wychowany w domu pełnym przemocy, wczesnie wszedł na drogę przestępstwa, popełniając szereg drobnych wykroczeń i kilkakrotnie odsiadując wyroki więzienia. Zawsze miał sadystyczne skłonności, lubił dręczyć koty i inne zwierzęta, jednak kiedy w wieku lat trzydziestu ośmiu poślubił kobietę o silnym charakterze, musiał powściągnąć swoje straszliwe upodobania. Niestety, pod nieobecność żony nie zawsze umiał się oprzeć złemu duchowi, który władał jego psychiką. Był to zew zbyt potężny, by nad nim zapanować, i pod jego wpływem Kürten zaczął popełniać okrutne, sadystyczne zbrodnie, które stały się głośne w całych Niemczech.

Sadyzm Kürtena miał podłoże seksualne, wyjaśniał Berg. Warunki, w jakich dorastał przestępca, pobudziły jego predyspozycje do dewiacji płciowych, dodatkowo wzmocnione i ukierunkowane przez przeżycia z młodości.

W ciągu roku między schwytaniem Kürtena a jego egzekucją Berg często się z nim widywał, widząc w nim człowieka obdarzonego charakterem i talentem. Kürten miał wdzięk, nieprzeciętną inteligencję, doskonałą pamięć i wyostrzony zmysł obserwacji; w rzeczy samej Berg wręcz podkreślał jego otwartość. Inną znaną cechą Kürtena była próżność, która przejawiała się dbałością o schludny wygląd oraz zachwytem nad własną chytryością, która pozwoliła przestępcy bawić się w kotka i myszkę z policją w Düsseldorfie właściwie bez końca.

Wnioski Berga nie mogły napawać otuchą żadnego cywilizowanego członka zbiorowości: Kürten nie był szalony w sensie paragrafu pięćdziesiąt jeden; nie popełniał swoich czynów wiedziony nieodpartym przymusem czy przemożną siłą, ale z czystego okrucieństwa.

Na domiar złego zacząłem czytać wiersze Baudelaire'a i po ich lekturze poczułem się mniej więcej tak komfortowo jak byczek w rzeźni. Nie trzeba było szczególnej wyobraźni, by zgodzić się z sugestią Frau Kalau von Hofe, że ten niemal gotycki poeta francuski z przeraźliwą jasnością wyraził stan umysłu wszystkich Landru, Gormannów i Kürtenów.

Niemniej istniało tu coś więcej, coś głębszego i bardziej uniwersalnego niż zwykły klucz do psyche masowego mordercy. W zainteresowaniu Baudelaire'a przemocą, w jego

tęsknocie za przeszłością, w odkrytym przezeń świecie śmierci i zepsucia dosłyszałem echo szatańskiej litanii o znacznie bardziej współczesnym rodowodzie i dostrzegłem cień innego typu przestępcy – takiego, którego splin przekładał się na obowiązujące prawo.

Nie mam zbyt dobrej pamięci do słów, ledwie pamiętam tekst hymnu narodowego. Ale niektóre wersy tych utworów utkwiły mi w głowie niczym uporczywa woń piżma, zmieszanego ze smołą.

Tego wieczoru pojechałem do dzielnicy Berlin-Zehlendorf odwiedzić Katię, wdowę po Brunonie. Była to druga moja wizyta od śmierci współnika i wiozłem ze sobą kilka jego rzeczy z biura, jak również list z towarzystwa ubezpieczeniowego, potwierdzający otrzymanie wniosku o wypłatę odszkodowania, który złożyłem w jej imieniu.

Miałem jeszcze mniej do powiedzenia niż poprzednim razem, lecz spędziłem godzinę, trzymając Katię za rękę i usiłując rozluźnić ściśnięte gardło za pomocą sznapsa.

– Jak Heinrich to znosi? – zapytałem zakłopotany, słysząc z sąsiedniego pokoju głośny śpiew chłopaka.

– Na razie o tym nie rozmawiamy – odrzekła Katia z zażenowaniem, na chwilę zapominając o smutku. – Myślę, że śpiewa, bo chce odsunąć moment, kiedy będzie musiał się z tym zmierzyć.

– Ludzie przeżywają żałobę w rozmaity sposób – powiedziałem, rozpaczliwie szukając jakiegoś wytłumaczenia. Ale moim zdaniem, wcale nie była to prawda. Brutalnym następstwem przedwczesnej śmierci mojego własnego ojca, a byłem wtedy niewiele starszy od Heinricha, okazał się nieuchronny wniosek, że ja także nie jestem nieśmiertelny. Jednak normalnie nie byłbym aż tak nieczuły na przeżycia chłopaka. – Tylko dlaczego on musi śpiewać takie piosenki?

– Wbił sobie do głowy, że śmierć jego ojca to sprawa Żydów.

– Bzdura.

Katia westchnęła i pokręciła głową.

– Mówiłam mu, Bernie, ale on nie chce słuchać.

Wychodząc, przystanąłem pod drzwiami chłopaka, aby posłuchać jego silnego, młodzieńczego głosu:

– „Załaduj pustą broń / I naostrz dobrze nóż / Zabijmy wszystkich Żydów / Bo trują nas i już!”.

Przez chwilę miałem ochotę otworzyć drzwi i przyłożyć gówniarzowi w szczękę. Ale

jaki by to miało sens? Jaki sens miały jakiegokolwiek działania? Należało po prostu zostawić go w spokoju. Człowiek ucieka od tego, czego się boi, na wiele sposobów, z których nie najrzadszym jest nienawiść.

poniedziałek, 12 września

Odznaka, legitymacja, pokój na trzecim piętrze – gdyby nie liczba wszechobecnych mundurów SS, czułbym się jak za dawnych czasów. Wprawdzie nie miałem wielu radosnych wspomnień, ale radość zawsze była w Alex towarem deficytowym, chyba że ktoś świetnie się bawi, bijąc ludzi po nerkach nogą od krzesła. Kilka razy zatrzymywali mnie na korytarzu dawni znajomi, żeby się przywitać i wyrazić współczucie z powodu Brunona. Ale głównie napotykałem spojrzenia, które sprawiały, że czułem się jak przedsiębiorca pogrzebowy na oddziale chorych na raka.

Deubel, Korsch i Becker czekali w moim gabinecie. Deubel wyjaśniał swoim młodszym kolegom subtelną technikę „walenia w szluga”.

– Tak jest – mówił – delikwent wkłada peta do gęby i wtedy walicie go hakiem. Otwarta szczęka łatwiej się łamie.

– Jak miło słyszeć, że techniki dochodzeniowe nadążają za duchem czasów – rzekłem, stając w drzwiach. – Deubel, pewnie nauczyliście się tego we Freikorps.

Uśmiechnął się.

– Czytał pan wyniki moich egzaminów.

– Ostatnio w ogóle dużo czytam – odparłem, siadając za biurkiem.

– Ja tam nie jestem miłośnikiem czytania.

– Jestem zdumiony.

– A czytał pan książki tej kobiety? – zapytał Korsch. – Te, które objaśniają umysł przestępcy?

– Tu nie ma co objaśniać – wtrącił Deubel. – Ten nasz facet to zwykły czubek.

– Możliwe – powiedziałem. – Ale nie złapiemy go za pomocą pałek i kastetów. Zapomnijcie o zwykłych metodach, takich jak bicie w szczękę. – Wlepiłem wzrok w Deubla. – Zabójcę tego typu trudno schwytać, bo przez większość czasu zachowuje się i wygląda jak zwykły obywatel. A ponieważ nie przejawia żadnych typowych cech przestępczych oraz brak mu wyraźnego motywu, nie możemy liczyć na to, że jakiś informator naprowadzi nas na jego

ślad.

Kriminalassistent Becker, wypożyczony z Wydziału VB3, obyczajówki, pokręcił głową.

– Pan wybaczy, komisarzu, ale to nie całkiem prawda. Mamy kilku informatorów w środowisku zbrojców. Ciągną lachę i dupczą od tyłu, ale czasem się przydają.

– Mogę się założyć – mruknął Deubel.

– Dobra – powiedziałem. – Pogadamy z nimi. Ale sprawa ma dwa aspekty, nad którymi byłoby dobrze się najpierw zastanowić. Po pierwsze, dziewczyny znikają, po czym ich ciała znajdujemy w całym mieście. To nam mówi, że sprawca używa samochodu. Po drugie, o ile mi wiadomo, nie ma żadnych meldunków, żeby ktoś był świadkiem uprowadzenia ofiary. Nikt nie widział, żeby wpychano do samochodu krzyczącą i opierającą się dziewczynę. Według mnie to oznacza, że szły z zabójcą z własnej woli; że się nie bały. Mało prawdopodobne, żeby wszystkie знаły zabójcę, ale być może wzbudził ich zaufanie ze względu na to, kim jest.

– Na przykład księdzem – powiedział Korsch. – Albo przywódcą młodzieżowym.

– Albo gliniarzem – dodałem. – Całkiem możliwe, że to taki ktoś albo wszyscy na raz.

– Sądzi pan, że występuje w przebraniu? – zapytał Korsch. Wzruszyłem ramionami.

– Sądzę, że powinniśmy zachować czujność i się nie uprzedzać. Korsch, chciałbym, żebyście sprawdzili w aktach, czy wśród notowanych za przestępstwa seksualne nie ma kogoś, kto jest związany ze służbami mundurowymi lub z Kościołem, i kto ma zarejestrowany samochód. – Korsch znieruchomiał. – Wiem, że to dużo pracy, ale rozmawiałem z Lobbesem w administracji Kripo, obiecał, że załatwi wam jakąś pomoc. – Spojrzałem na zegarek. – Kriminaldirektor Müller oczekuje was w VC1 za dziesięć minut, więc lepiej się pospieszcie.

– Nie ma nic w sprawie tej małej Hanke? – zapytałem Deubla, kiedy Korsch wyszedł.

– Moi ludzie wszystko sprawdzili – powiedział. – Nasypy kolejowe, parki, wysypiska. Dwa razy przeszukaliśmy kanał Teltow. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. – Zapalił papierosa i skrzywił się. – Ona już nie żyje. Wszyscy to wiemy.

– Chciałbym, żebyście przeszli się od drzwi do drzwi w całej dzielnicy, gdzie zaginęła. Przepytajcie wszystkich, naprawdę wszystkich, a zwłaszcza jej koleżanki. Ktoś musiał coś widzieć. Pokażcie fotografie, może to uruchomi im pamięć.

– Pan wybaczy, panie komisarzu – warknął – ale to chyba zadanie dla mundurowych z Orpo.

– Te zakute łby umięją tylko zatrzymywać pijaków i alfonsów – odparłem. – A do tej

pracy trzeba inteligencji. To wszystko.

Deubel znów się skrzywił i gwałtownie zgniótł papierosa, dając do zrozumienia, że najchętniej użyłby jako popielniczki mojej twarzy, po czym niechętnie wyszedł.

– Lepiej uważać, co pan mówi do Deubla o Orpo, panie komisarzu – zauważył Becker.
– To kolega Durnia Daluege. Służyli w tym samym pułku Freikorps Stettin. – Freikorps, paramilitarna organizacja byłych żołnierzy, została utworzona po wojnie światowej, aby wyeliminować z Niemiec bolszewizm i bronić niemieckich granic przed zakusami Polaków. „Dureń” Daluege był dowódcą Orpo.

– Dzięki, czytałem jego akta.

– Kiedyś to był niezły gliniarz. Ale teraz pracuje tylko na dzienną zmianę i po służbie zmywa się do domu. Dotrwać do emerytury i doczekać ślubu córki z dyrektorem miejscowego banku, to wszystko, czego Eberhardt Deubel pragnie od życia.

– W Alex jest pełno takich jak on – powiedziałem. – Wy też macie dzieci, Becker, prawda?

– Syna, panie komisarzu – odparł z dumą. – Norfried. Ma prawie dwa latka.

– Norfried? Hm. To brzmi bardzo niemiecko.

– To pomysł mojej żony, panie komisarzu. Bardzo się przejmuje aryjskimi teoriami doktora Rosenberga.

– A co sądzi o tym, że pracujecie w obyczajówce?

– Nie rozmawiamy zbyt wiele o tym, co się dzieje w mojej pracy. Jeśli o nią chodzi, to jestem po prostu gliniarzem.

– No to opowiedzcie mi o tych informatorach zboczeńcach.

– Kiedy pracowałem w wydziale M2, w brygadzie kontroli burdeli, mieliśmy co najwyżej jednego, góra dwóch – wyjaśnił. – Ale pedalska brygada Meisingera używa ich przez cały czas. Cała robota opiera się na kapusiach. Kilka lat temu była taka organizacja homoseksualistów, nazywała się Liga Przyjaźni, która liczyła ponad trzydzieści tysięcy członków. No więc Meisinger zdobył skądś pełną listę i od czasu do czasu przyciska któregoś z nich, żeby się czegoś dowiedzieć. Ma również skonfiskowane spisy prenumeratorów czasopism pornograficznych oraz nazwiska ich wydawców. Możemy zajrzeć tu i ówdzie. No i jest jeszcze diabelski młyn Reichsführera Himmlera. To obrotowy indeks fiszek, zasilany elektrycznie, mieszczący tysiące nazwisk. Zawsze możemy sprawdzić, co z tego wyjdzie.

– To mi wygląda na jakieś cygańskie wróżby.

– Powiadają, że Himmler bardzo się do tego zapalił.

– A co robi człowiek, który się podniecił do bzykanka? Gdzie są najlepsze pszczołki w

mieście, skoro pozamykano wszystkie burdele?

– W salonach masażu. Chce pan dziewczynę wydymać, musi pan najpierw pozwolić, żeby pomasowała panu plecy. Kuhn, szef M2, nie bardzo się ich czepia. Życzy pan sobie wypytać dziwki, czy masowały ostatnio jakichś opętańców?

– Od czegoś trzeba zacząć, moim zdaniem.

– Będzie potrzebny nakaz E, poszukiwanie zaginionej osoby.

– Więc lepiej idźcie to załatwić, Becker.

Becker był wysokim mężczyzną o znudzonych niebieskich oczkach pod szopą cienkich, żółtych włosów, z nosem jak pies i szyderczym, wręcz maniakalnym uśmiechem. Miał twarz cynika, co zresztą odpowiadało rzeczywistości: podczas codziennych rozmów popełniał więcej błuznierstw przeciwko boskiej urodzie życia, niż dałoby się usłyszeć w stadzie głodnych hien.

Uznawszy, że na sztukę masażu jest jeszcze za wcześnie, postanowiliśmy spróbować szczęścia w branży sprośnych książek i pojechaliśmy z Alex na południe, do Hallesches Tor.

Wende Hoas był to szary, wysoki budynek w pobliżu kolejki S-Bahn. Kiedy weszliśmy na samą górę, Becker, z maniakalnym uśmiechem wciąż przyklejonym do warg, kopniakiem otworzył drzwi z korytarza.

Pękaty, afektowany człowieczek z monoklem i wąsikami, który siedział przy biurku, na nasz widok drgnął raptownie, po czym uśmiechnął się nerwowo.

– Aa, Herr Becker – powiedział. – Proszę, proszę wejść. I przyprowadził pan znajomego. Wspaniale.

W zatęchłym pokoiku nie było wiele miejsca; biurko i szafka na dokumenty tonęły w stosach książek i czasopism. Wziąłem jedno z pisemek i przerzuciłem kartki.

– Cześć, Helmut – zachichotał Becker, biorąc drugie. Przewrócił stronicę i aż stęknął z zadowolenia. – Ale ohyda. – Roześmiał się.

– Proszę się częstować, panowie – rzekł mężczyzna imieniem Helmut. – Jeśli szukacie czegoś specjalnego, wystarczy zapytać. Nie ma się czego wstydić.

Odchylił się na krześle i z kieszonki brudnej kamizelki wyjął tabakierkę, którą otworzył pstryknięciem brudnego kciuka. Następnie zażył szczyptę tabaki – przyjemność, która raniła uszy co najmniej w takim samym stopniu, jak leżące wokół druki obrażały zmysł wzroku.

Pisemko, które przeglądałem, oprócz marnych zbliżeń detali ginekologicznych,

zawierało tekst, obliczony na napięcie w okolicach rozporoka. Jeśli dać mu wiarę, młode niemieckie pielęgniarki oddawały się kopulacji równie chętnie jak bezpańskie koty.

Becker rzucił swoje pismo na podłogę i wziął do ręki następne.

– „Noc poślubna dziewicy” – przeczytał.

– To nie dla pana, Herr Becker – ostrzegł Helmut.

– „Historia dildo”?

– A, to całkiem niezłe.

– „Zgwałcona w U-Bahnie”.

– Ach, to jest świetne. Występuje tam dziewczyna z najbardziej soczystą śliweczką, jaką kiedykolwiek widziałem.

– A widziałeś ich sporo, co, Helmut?

Mężczyzna uśmiechnął się skromnie i zerkając ponad ramieniem Beckera, z większą uwagą przyjrzał się fotografiom.

– Dość miły typ dziewczyny z sąsiedztwa, nie sądzi pan?

Becker parsknął.

– Jeśli przypadkiem, kurwa, masz w sąsiedztwie psią budę.

– A, to dobre! – Helmut zaśmiał się i zaczął przecierać monokl. Długi siwy kosmyk jego prostych myszatyh włosów odkleił się od słabo zamaskowanej łysinki i zawisł idiotycznie nad czerwonym przezroczystym uchem, niczym kołdra, zsuwająca się z łóżka.

– Szukamy człowieka, który lubi kaleczyć młode dziewczyny – powiedziałem. – Czy macie coś, co byłoby przeznaczone dla takich zboczeńców?

Helmut uśmiechnął się i ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie, proszę pana, niestety. Nie lubimy obsługiwać sadystycznego sektora rynku. Bicze, kajdanki i okrucieństwo zostawiamy innym.

– Akurat! – sarknął Becker.

Spróbowałem otworzyć szafkę na dokumenty, ale była zamknięta na klucz.

– Co tu macie?

– Papiery. Kasę podręczną. Księgi rachunkowe, takie rzeczy. Nic, co by pana zainteresowało, jak sądzę.

– Otwierać.

– Doprawdy, proszę pana, tu nie ma nic ciekawego... – Słowa uwięzły mu w krtani, kiedy dostrzegł, że wyjmuję zapalniczkę. Potarłem kciukiem śrubkę i przytknąłem do pisemka, które czytałem przed chwilą. Papier zapalił się leniwym błękitnym płomieniem.

– Becker, ile waszym zdaniem kosztuje to pismo?

– Och, bardzo są drogie, panie komisarzu. Co najmniej dziesięć marek za egzemplarz.

– W tej norze musi być towaru za kilka tysięcy.

– Co najmniej. Byłoby szkoda, gdyby wybuchł pożar.

– Mam nadzieję, że jest ubezpieczony.

– Chce pan zobaczyć, co jest w szafce? – zawołał Helmut. – Wystarczy poprosić. –

Wręczył Beckerowi klucz, a ja unieszkodliwiłem płonące pismo, wrzucając je do metalowego kosza na śmieci.

W górnej szufladzie faktycznie nie było nic oprócz kasetki na pieniądze, jednak w dolnej znalazłem kolejny stos pism pornograficznych. Becker wyjął jedno z nich i otworzył okładkę ze zwykłego, szarego papieru.

– „Ofiara dziewicy” – przeczytał na stronie tytułowej. – Niech pan spojrzy na to, panie komisarzu.

Wskazał szereg fotografii, na których stary, brzydki mężczyzna w niedopasowanej peruczce poniżał i bił młodą dziewczynę, sądząc z wyglądu, w wieku licealnym. Krwawe pręgi, jakie jego trzcinka zostawiała na jej nagim tyłku, robiły wrażenie nader prawdziwych.

– Paskudne – powiedziałem.

– Proszę pana, jestem tylko dystrybutorem – rzekł Helmut, wydmuchując nos w wyświnioną chustkę – a nie wydawcą.

Jedna z fotografii była szczególnie interesująca. Przedstawiała nagą dziewczynę, ze związanymi rękami i nogami, leżącą na ołtarzu kościoła jak ludzka ofiara. Z jej pochwy sterczał ogromny ogórek. Becker spojrzał na Helmuta strasznym wzrokiem.

– Ale wiesz, kto to produkuje, prawda? – Helmut milczał; przemówił dopiero gdy Becker chwycił go za gardło i zaczął bić po ustach.

– Proszę, nie bij!

– Pewnie cię to bawi, ty wstrętny, zboczony gnojku! – warknął Becker, wyraźnie rozgrzany. – No już, gadaj, bo inaczej pogadasz z tym! – Wyrwał z kieszeni krótką gumową pałkę i wgniół ją Helmutowi w twarz.

– Poliza! – krzyknął Helmut. Becker ścisnął go za policzki.

– Co mówisz?

– Theodor Poliza! To fotograf. Ma studio na Schiffbauerdamm, obok teatru Komedia. To o niego wam chodzi.

– Helmut, jeśli nas okłamałeś – wycodził Becker, wciskając gumę mocniej w policzek Helmuta – to wrócimy tutaj. I wtedy podpalimy nie tylko twój towar, ale ciebie razem z nim. Mam nadzieję, że zrozumiałeś. – Odepchnął mężczyznę od siebie.

– Tak jest, proszę pana. – Helmut przetarł chustką krwawiącą wargę. – Zrozumiałem.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, splunąłem do rynsztoka.

– Po czymś takim aż robi się niedobrze, co, panie komisarzu? Naprawdę, cieszę się, że nie mam córki.

Chciałem powiedzieć, że w tej kwestii się z nim zgadzam. Ale nie powiedziałem.

Pojechaliśmy na północ.

Cóż to było za miasto, pełne gmachów publicznych, ogromnych jak szare, granitowe góry. Wielkich budowli, wzniesionych, by przypominać ludziom, że państwo jest ważne, jednostka zaś – prawie nieistotna. Od razu było widać, skąd się wziął ten cały narodowy socjalizm. Trudno nie odczuwać onieśmienia wobec rządu – dowolnego rządu – który ma siedzibę w tak gigantycznych budynkach. Długie, szerokie, proste aleje, prowadzące z jednej dzielnicy do drugiej, wyglądały, jakby zbudowano je wyłącznie dla kolumn maszerujących żołnierzy.

Szybko odzyskałem apetyt, kazałem więc Beckerowi zatrzymać samochód przy masarni na Friedrichstrasse, gdzie kupiłem zupę z soczewicy dla nas obu. Stojąc przy małym, wysokim stoliku, patrzyliśmy, jak berlińskie gospodynie ustawiają się w ogonku po kiełbasy, których pęta leżały na długim, marmurowym kontuarze niczym zardzewiałe resory jakiegoś olbrzymiego samochodu bądź wyrastały ze ścian, tworząc wielkie kiście, na podobieństwo przejrzałych bananów.

Becker, chociaż żonaty, nadal czuł słabość do pań i prawie każdą kobietę, wchodzącą do sklepu, opatrywał sprośnym komentarzem. Nie umknęło również mojej uwadze, że „pożyczył sobie” kilka pism pornograficznych. Jakżeby inaczej! Nie usiłował ich ukryć. Dać człowiekowi w twarz, rozbić mu usta do krwi, zagrozić mu pałką, wyzwąć od ohydnych zwyrodnialców, po czym przywłaszczyć sobie jego nieprzyzwoite pisemka – na tym właśnie polegała praca w Kripo.

Wróciliśmy do auta.

– Znacie tego typa Polizę? – zapytałem.

– Poznałem go – odparł. – Co mam panu powiedzieć, oprócz tego, że jest jak gówno na bucie?

Teatr Komedia na Schiffbauerdamm, na północnym brzegu Szprewy, zwieńczony wieżą i zdobny w alabastrowe trytony, delfiny i gołe nimfy najrozmaitszego autoramentu, był reliktem minionej epoki. Studio Polizy mieściło się w suterenie obok.

Zeszliśmy po schodkach i znaleźliśmy się w długim zaułku. Pod drzwiami studia stał człowiek w kremowym zakiecie, zielonych spodniach i cytrynowym krawacie. W butonierce

miał czerwony goździk. Najwyraźniej nie szczędził grosza na swój strój, niemniej przejawiał taki brak gustu, że przypominał cygański nagrobek.

Jeden rzut oka wystarczył Polizy, by uznać, że raczej nie sprzedajemy odkurzaczy. Biegacz był z niego marny; miał za duży tyłek, za krótkie nogi, a płuca zapewne zbyt zasmolone. Lecz zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje, zdążył się oddalić o dziesięć metrów.

– A to gnój – warknął Becker.

Głos rozsądku zapewne podpowiedział Polizie, że postępuje głupio, że Becker i ja z łatwością go dogonimy, lecz ów głos musiał być tak ochrypliwy ze strachu, że nie stanowił żadnej atrakcji, podobnie zresztą jak my sami.

Żaden głos, nieważne, jak ochrypliwy, nie zdołałby powściągnąć Beckera. Krzyknął do Polizy, żeby się zatrzymał, po czym rzucił się w pogoń szybkim, płynnym biegiem. Próbowałem dotrzymać mu kroku, ale po kilku metrach znacznie mnie wyprzedził. Jeszcze kilka sekund, a dopadłby zbiega.

Wtem dostrzegłem w jego ręce broń, długolufę parabellum. Wrzasnąłem, by obaj natychmiast się zatrzymali.

Poliza stanął prawie od razu. Uniósł ręce, jakby zakrywał uszy przed hukiem wystrzału, a następnie wykonał półobrót i padł. Z rany wylotowej w jego oku trysnęła galaretowata masa krwi i wodnistej tkanki.

Dogoniłem Beckera nad ciałem.

– Co się z wami dzieje? – wybuchnąłem, dysząc ciężko. – Odciski macie? Buty was uwierają? A może sądziliście, że nie wytrzymają wam płuca? Słuchajcie, Becker, jestem od was starszy o dziesięć lat, a złapałbym tego człowieka nawet ubrany w kostium płetwonurka!

Becker westchnął i pokręcił głową.

– Chryste, przepraszam, panie komisarzu – powiedział. – Chciałem go tylko powstrzymać. – Spojrzał z zakłopotaniem na pistolet, zupełnie jakby nie wierzył, że właśnie zabił nim człowieka.

– Powstrzymać? I w coście celowali, w ucho? Słuchajcie, Becker, kiedy chcecie kogoś powstrzymać, to celujecie w nogi! Nie próbujcie zmienić mu fryzury, chyba że jesteście Buffalo Billem! – Rozejrzałem się, niemal spodziewając się zbiegowiska, lecz zaułek wciąż był pusty. – A w ogóle, co to za armata? – Wskazałem pistolet ruchem głowy.

Becker podniósł broń.

– Artyleryjskie parabellum, panie komisarzu.

– Kurwa, nie słyszeliście o konwencji genewskiej? Można by tym robić odwierty!

Kazałem mu zadzwonić po ambulans, a pod jego nieobecność rozejrzałem się po studiu Polizy.

Niewiele było do obejrzenia. Urozmaicone zdjęcia rozwartych kroczy, schnące na sznurku w ciemni. Kolekcja biczy, szpicrut, łańcuchów, kajdan oraz wyposażony w świeczniki ołtarz, taki sam, jaki widziałem na fotografii dziewczyny z ogórkiem. Sterty czasopism, podobnych do znalezionych w biurze Helmuta. Nic, co by wskazywało, że Poliza zamordował pięć uczennic.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, zobaczyłem, że Becker wrócił, prowadząc mundurowego w randze sierżanta. Stali i gapili się na ciało Polizy jak dwaj chłopcy, patrzący na zdechłego kota w rynsztoku; sierżant nawet poszturchiwał zwłoki czubkiem buta.

– Prosto w oko. – W jego głosie dosłyszałem coś w rodzaju podziwu. – Nie zdawałem sobie sprawy, że tam jest tyle galarety.

– Ale szajs – powiedział Becker bez entuzjazmu.

Gdy podszedłem, unieśli głowy.

– Ambulans jedzie? – Becker skinął głową. – Dobrze. Możecie złożyć meldunek później. – Sierzancie – zwróciłem się do policjanta – zaczekacie tutaj na karetkę?

Wyprężył się.

– Tak jest.

– Skończyliście podziwiać swoje dzieło, Becker?

– Tak jest – odparł.

– To idziemy.

Wróciliśmy do samochodu.

– Dokąd teraz?

– Chciałbym sprawdzić te salony masażu.

– Trzeba pogadać z Iwoną Wyleżyńską. To właścicielka kilku zakładów. Bierze dwadzieścia pięć procent od tego, co zarobią dziewczyny. Pewnie jest u siebie, na Richard Wagner Strasse.

– Richard Wagner Strasse? – zapytałem. – A gdzie to jest, do cholery?

– Dawna Sesenheimerstrasse, przecznica Spreestrasse. Wie pan, tam, gdzie opera.

– Przypuszczalnie mamy szczęście, że Hitler kocha operę, a nie futbol.

Becker wyszczerzył zęby. Podczas jazdy częściowo odzyskał animusz.

– Mogę panu zadać naprawdę osobiste pytanie?

Wzruszyłem ramionami.

– Proszę bardzo. Ale jeśli traficie, to może będę musiał włożyć odpowiedź w kopertę i

wysłać wam pocztą.

– No więc pytanie jest takie: dupczył pan kiedyś Żydówkę?

Zerknąłem na niego, usiłując spojrzeć mu w oczy, ale uparcie patrzył przed siebie.

– Nie, muszę powiedzieć, że nie. Ale na pewno nie z szacunku dla praw rasowych.

Chyba nie spotkałem żadnej, która by chciała dupczyć się ze mną.

– Więc nie miałby pan zastrzeżeń, gdyby była taka szansa?

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie nie. – Urwałem, czekając, co jeszcze powie, ale milczał, zapytałem więc: – Właściwie czemu pytacie?

Becker uśmiechnął się znad kierownicy.

– W tym lokalu, do którego jedziemy, jest taka jedna Żydóweczka – powiedział z entuzjazmem. – Prawdziwa diaboliczna. Ma cipkę jak wnętrze węgorka, jeden długi, ssący mięsień. Taki, co wessie pana jak płótkę i wypluje dupcią. Najlepsza cipka, jaką w życiu miałem. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Na mój rozum nie ma nic lepszego, niż dorodna, młoda Żydóweczka. Nic jej nie dorówna, ani czarnulka, ani Chinka.

– Nie wiedziałem, Becker, że macie takie szerokie horyzonty – powiedziałem – i że jesteście takim kosmopolitą. Chryste, założę się, że nawet czytacie Goethego.

Becker się roześmiał. Najwyraźniej całkiem zapomniał o Polizy.

– Co się tyczy Iwony, jedna sprawa – powiedział. – Nie powie ani słowa, jeśli nie będziemy się zachowywać swobodnie, rozumie pan, o co chodzi? Musimy coś wypić, rozluźnić się. Żadnego pośpiechu. Jak tylko zaczniemy się panoszyć jak sztywni oficjele, ona zamknie okiennice i zacznie czyścić lustra w sypialniach.

– Cóż, ostatnio jest wiele takich osób. Zawsze powtarzam: nikt nie pcha palców w garnek, jeśli widzi, że rosół się gotuje.

Iwona Wyleżyńska była Polką uczesaną na chłopczycę, lekko pachniała olejkiem z Makasaru i miała głęboką szczelinę między piersiami. Chociaż ledwie minęło południe, ubrana była w brzoskwiniowy peniuar z gazy, narzucony na jedwabną koszulkę w tym samym kolorze, i ranne pantofle na wysokich obcasach. Powitała Beckera, jakby przyszedł zaproponować jej obniżkę czynszu.

– Emil, kochany – zagruchała. – Tak dawno cię u nas nie było. Gdzie się ukrywałeś?

– Chwilowo nie pracuję w obyczajówce – wyjaśnił, całując ją w policzek.

– Jaka szkoda. Tak świetnie ci szło. – Obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem,

jakbym był czymś, co mogłoby zaplamiać jej dywan. – A kogóż to nam przyprowadziłeś?

– W porządku, Iwona. To przyjaciel.

– Ten przyjaciel ma jakieś imię? Czy on nie wie, że trzeba zdjąć kapelusz, kiedy się wchodzi do mieszkania damy?

Poszedłem na ustępstwo i zdjąłem kapelusz.

– Bernhard Günther, Frau Wyleżyńska – przedstawiłem się i uściśnałem jej dłoń.

– Ależ miło mi cię poznać, kochanie.

Jej leniwy głos z silnym obcym akcentem zdawał się wydobywać gdzieś spod dolnej części gorsetu, którego kształt niewyraźnie dostrzegałem pod koszulką. Wędrując do jej odętych ust, głos ten nabierał kokieterii i wdzięczył się bardziej niż kotek pedała. Same usta też sprawiały mi pewien kłopot. Były to usta, które potrafiły pochłonąć obiad z pięciu dań u Kempiańskiego, nie rozmazując przy tym szminki, tyle że tym razem ja byłem obiektem zainteresowania kubków smakowych ich właścicielki.

Zaprowadziła nas do przytulnego saloniku, którego nie powstydziliby się prawnik z Poczdamu, i podeszła do ogromnej tacy z drinkami.

– Panowie, czego się napijecie? Mam absolutnie wszystko.

– Nie wątpię. – Becker głośno parsknął.

Uśmiechnąłem się bez przekonania. Becker zaczął mnie straszliwie irytować. Poprosiłem o szkocką whisky. Iwona wręczyła mi szklanekę, muskając mnie zimnymi palcami.

Upiła duży łyk, jakby to było lekarstwo, które trzeba przełknąć jak najszybciej, i pociągnęła mnie za sobą na wielką skórzaną kanapę.

– A jak się czuje mój dobry znajomy Arthur Nebe? – zapytała. I widząc moje zaskoczenie, dodała: – Ależ tak, znamy się z Arthurem od wielu lat. Prawdę mówiąc, od 1920 roku, kiedy wstąpił do Kripo.

– Niewiele się zmienił.

– Powiedz mu, żeby przyszedł kiedyś mnie odwiedzić – powiedziała. – Może wziąć mnie szturmem, kiedy zechce. Albo zrobię mu miłe nacieranie. Tak, to jest to. Przekaż mu, żeby przyszedł na rozkoszny masaż. Wykonam go osobiście. – Roześmiała się głośno i zapaliła papierosa.

– Przekażę – obiecałem, zastanawiając się, czy istotnie to zrobię i czy naprawdę ją to obchodzi.

– A ty, Emilu? Miałbyś ochotę na towarzystwo? Może obaj chcecie, żeby was ponacierać, co?

Zamierzałem wspomnieć o prawdziwej przyczynie naszej wizyty, jednak Becker już zaklaskał w dłonie i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No właśnie – zawołał – zabawmy się trochę! Niech będzie miło i przyjaźnie – zerknął na mnie znacząco. – Bez pośpiechu, dobrze, panie komisarzu?

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

– Po prostu nie zapominajmy, po co tu jesteśmy – powiedziałem łagodnie, usiłując nie wyjść na formalistę.

Iwona Wyleżyńska wstała, żeby nacisnąć dzwonek ukryty na ścianie za zasłoną. Kilka razy cmoknęła zniecierpliwiona, po czym rzekła:

– Może czasem trzeba o wszystkim zapomnieć? Po to przychodzi tutaj większość panów: żeby zapomnieć o swoich troskach.

Za jej plecami Becker skrzywił się i potrząsnął głową. Nie byłem pewien, o co właściwie mu chodzi.

Iwona chwyciła mnie za kark i zaczęła go ugniatać palcami silnymi jak kowalskie szczypce.

– Masz tu dużo napięcia, Bernhardt – powiadomiła mnie uwodzicielsko.

– W to nie wątpię. Powinnaś zobaczyć, do jakiego wozu zaprzęgli mnie na Alexanderplatz. Że nie wspomnę, ilu pasażerów kazano mi zabrać. – Tym razem ja spojrzałem znacząco na Beckera. Następnie oderwałem palce Iwony od swej szyi i pocałowałem je przyjaźnie. Pachniały mydłem jodynowym; istnieją wonie bardziej działające na zmysły.

Wolno, niczym trupa cyrkowych koni, do salonu wkroczyły dziewczyny Iwony. Niektóre miały na sobie koszulki i pończochy, ale większość była rozebrana do naga. Rozsiadły się wokół Beckera i mnie, po czym zaczęły nalewać trunki i przypalać papierosy, zupełnie jakby nas nie było. Od dawna nie widziałem takiej ilości damskiego ciała i muszę przyznać, że na skórze zwykłych kobiet moje spojrzenie na pewno zostawiłoby ślady. Ale te dziewczyny były przyzwyczajone do tego, że są oglądane, i nasz lubieżny wzrok nie zakłócał ich chłodnego spokoju. Jedna chwyciła krzesło i usiadła na nim okrakiem tuż przede mną, ukazując mi genitalia tak dokładnie, jak jej zdaniem sobie życzyłem. Następnie, dla zwiększenia efektu, zaczęła rytmicznie napręzać spoczywające na krześle pośladki.

Becker prawie natychmiast poderwał się na nogi i zatarł ręce niczym najgorliwszy z ulicznych handlarzy.

– No, robi się bardzo przyjemnie, prawda? – Zaczerwieniony z podniecenia otoczył ramionami dwie dziewczyny. Rozejrzał się po pokoju i nie widząc twarzy, której szukał,

zwrócił się do Iwony:

– Powiedz mi, gdzie jest ta śliczna żydowska maszynka do robienia dzieci, która kiedyś dla ciebie pracowała?

– Chodzi ci o Esther? Niestety, musiała odejść. – Czekaliśmy na ciąg dalszy, ale z ust Iwony nie wydobyło się już nic z wyjątkiem dymu.

– Wielka szkoda – powiedział Becker. – Właśnie opowiadałem koledze, jaka była miła. – Wzruszył ramionami. – No trudno. Jest tego jeszcze dużo w zapasie, co? – Odwrócił się, ignorując moją minę, po czym, wciąż podtrzymywany przez dwie dziwki, ruszył długim korytarzem w stronę sypialni. Zostałem sam z pozostałymi.

– A ty, Bernhard, jakie masz upodobania? – Iwona strzeliła palcami i gestem przywołała jedną z pracownic. – Ta jest bardzo podobna do Esther – powiedziała, chwytając dziewczynę za obnażony tyłek i obracając go ku mnie. – Ma o dwa kręgi za dużo, więc jej zadek – pogładziła go dłonią – jest bardzo daleko od talii. Piękna, nie sądzisz?

– Bardzo piękna – odparłem i uprzejmie poklepałem chłodną jak marmur pupę. – Ale prawdę mówiąc, jestem typem dość staromodnym. Lubię, kiedy dziewczyna skupia się na mnie, a nie na moim portfelu.

– Tak właśnie sądziłam. – Iwona uśmiechnęła się i dała dziewczynie klapsa, jakby to był jej ulubiony pies. – No już, idź sobie. Idźcie stąd wszystkie.

Patrzyłem, jak posłusznie wychodzą z pokoju, jakby trochę rozczarowane, że nie jestem bardziej podobny do Beckera. Iwona najwyraźniej wyczuła moją rozterkę.

– Nie jesteś taki jak Emil. On poleci na każdą dziewczynę, wystarczy, że pokaże mu paznokieć. Czasem myślę, że wydupczyłby kota ze złamanym kręgosłupem. Smakuje ci moja whisky?

Demonstracyjnie zakręciłem płynem w szklance.

– Znakomita – odrzekłem.

Poczułem, że jej biust napiera mi na ramię, i uśmiechnąłem się na widok tej ekspozycji. Zapaliłem papierosa i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Nie udawaj rozczarowania, kiedy ci powiem, że chodzi mi tylko o informację.

Uśmiechnęła się, sprawdzając efekty swoich zabiegów, po czym sięgnęła po szklankę.

– Jaką informację?

– Poszukuję pewnego mężczyzny, a zanim zaczniesz robić sobie z tego dowcipy, dodam, że ten człowiek to zabójca z czterema trafieniami na koncie.

– Jak mam ci pomóc? Prowadzę przecież burdel, a nie agencję detektywistyczną.

– Nierzadko zdarza się, że mężczyźni traktują twoje dziewczyny brutalnie.

– Żaden nie działa w jedwabnych rękawiczkach, tyle ci powiem. Wielu z nich najwyraźniej sądzi, że skoro zapłacili za usługę, to mają prawo drzeć na dziewczynie bieliznę.

– W takim razie to ktoś, kto posunął się dalej, niż przewiduje normalne ryzyko zawodowe. Może któraś z nich miała takiego klienta. Albo słyszała o czymś takim.

– Powiedz mi więcej o tym zabójcy.

– Wiele więcej nie wiem – westchnąłem. – Nie wiem, jak się nazywa, ani gdzie mieszka, ani skąd pochodzi, ani jak wygląda. Wiem tylko, że lubi wiązać uczennice.

– Wielu mężczyzn lubi związywać kobiety – odparła Iwona. – Nie pytaj mnie, co oni z tego mają. Są nawet tacy, którzy lubią dziewczyny chłostać, ale ja nie pozwalam tu na takie rzeczy. Taką świnię trzeba zamknąć.

– Słuchaj, pomoc może cokolwiek. W chwili obecnej nie mamy zbyt wiele danych.

Iwona wzruszyła ramionami i zgmiotła niedopałek.

– Cholera, a co tam – powiedziała. – Ja też byłam kiedyś uczennicą. Cztery, powiedziałaś?

– Może nawet pięć. Wszystkie w wieku piętnastu, szesnastu lat. Dobre rodziny, świetlana przyszłość, aż tu nagle jakiś szaleniec je porywa, gwałci, podcina im gardła, a nagie ciała porzuca byle gdzie.

Iwona zamyśliła się.

– Było coś takiego – powiedziała ostrożnie. – Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że mało prawdopodobne, by człowiek, który korzysta z takiego miejsca jak moje, był typem, który poluje na młode dziewczęta. Przecież w takich zakładach chodzi właśnie o to, żeby zaspokajać męskie potrzeby.

Przytaknąłem, ale pomyślałem o Kürtenie i o tym, że jego przypadek przeczył jej słowom. Postanowiłem jednak się nie spierać.

– Jak mówiłem, to strzał w ciemno.

Iwona wstała i przeprosiła mnie na chwilę. Wróciła, prowadząc dziewczynę, której podłużną pupę byłem niedawno zmuszony podziwiać. Tym razem miała na sobie szlafrok i sprawiała wrażenie bardziej zdenerwowanej niż wówczas, kiedy była naga.

– To jest Helene – rzekła Iwona, siadając przy mnie. – Helene, usiądź i opowiedz panu komisarzowi o gościu, który próbował cię zabić.

Dziewczyna przysiadła na krześle, na którym przedtem siedział Becker. Była ładna, urodą znużoną i zużytą, jakby spała za mało albo brała jakieś prochy. Ledwie ośmielała się spojrzeć mi w oczy; gryzła wargę i szarpała palcami kosmyk rudawych włosów.

– No, mów – popędziła ją Iwona. – On cię nie zje. Już miał taką szansę.

– Człowiek, którego szukamy, lubi związywać kobiety – rzekłem, pochylając się ku niej zachęcająco. – Potem je dusi albo podrzyna im gardła.

– Przepraszam – szepnęła dziewczyna po dłuższej chwili. – To dla mnie bardzo trudne. Chcę o tym wszystkim zapomnieć, ale Iwona mówi, że zamordowano jakieś uczennice. Chciałabym pomóc, bardzo bym chciała, ale to naprawdę dla mnie trudne – powtórzyła.

Zapaliłem papierosa i podałem jej paczkę. Pokręciła głową.

– Helene, nie spiesz się. Mówimy o którymś z klientów? O kimś, kto przyszedł na masaż?

– Ale nie trzeba będzie zeznawać w sądzie? Nie powiem ani słowa, jeśli przez to będę musiała stanąć przed sędzią i przyznać, że jestem dziewczynką do zabawy.

– Nie będziesz musiała nikomu nic mówić, tylko mnie.

Dziewczyna bez entuzjazmu pociągnęła nosem.

– No dobra, pan jest chyba w porządku. – Zerknęła na papierosa w moich palcach. – Mogę zmienić zdanie co do tego szluga?

– Jasne – powiedziałem i podałem jej paczkę.

Po pierwszym sztachu wyraźnie się ożywiła, jednak swoją historię opowiadała niechętnie, jakby zażenowana i trochę przestraszona.

– Jakiś miesiąc temu miałam wieczorem klienta. Zrobiłam mu masaż, a potem zapytałam, czy chce cały numer, na co on pyta, czy może mnie związać, a ja mu zrobię francuza. „To będzie kosztowało jeszcze dwudziestkę” mówię, a on się zgodził. No więc leżę, związana jak pieczony kurczak, kończę francuza i proszę go, żeby mnie rozwiązał. On patrzy na mnie dziwnie i mówi „ty wstrętna kurwo” czy coś w tym rodzaju. No, przyzwyczaiłam się, że goście robią się wredni, kiedy skończą, jakby się czegoś wstydzili, ale widzę, że ten jest jakiś inny, więc staram się leżeć spokojnie. Wtedy on wyciąga nóż i przykłada mi do szyi, jakby chciał, żebym zaczęła się bać. No to się bałam. Tak się bałam, że byłabym wykrzyczała płuca, tylko że nie chciałam go wystraszyć, żeby mnie od razu nie zarżnął. Miałam nadzieję, że mu to jakoś wyperswaduję. – Zadygotała i zaciągnęła się głęboko. – Ale to był dla niego sygnał, żeby zacząć mnie dusić. Pewnie pomyślał, że będę krzyczeć. Chwycił mnie za krtań i przycisnął. Byłby mnie załatwił, bez dwóch zdań, tylko że inna dziewczyna weszła przez pomyłkę do pokoju. Przez tydzień miałam siniaki.

– Co się stało, kiedy weszła ta dziewczyna?

– Nie mogę powiedzieć na pewno. Bardziej się przejmowałam, żeby złapać oddech, niż żeby sprawdzać, czy on złapie taksówkę do domu, kapuje pan? O ile wiem, chwycił swoje rzeczy i wyleciał za drzwi.

– Jak wyglądał?

– Był w mundurze.

– W jakim mundurze? Możesz mówić konkretniej?

Wzruszyła ramionami.

– Co to ja jestem Hermann Göring? Kurwa, nie wiem, jaki to był mundur.

– No, zielony, czarny, brunatny czy jaki? Dziewczyno, zastanów się, to ważne.

Sztachnęła się wściekle i ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową.

– Stary. Taki, jak kiedyś nosili.

– Znaczący kto, weterani wojenni?

– Tak, coś w tym rodzaju, tylko trochę bardziej... jakby pruski? Wie pan, wypomadowane wąsy, buty z cholewami. A tak, byłabym zapomniała, nosił ostrogi.

– Ostrogi?

– Tak, jakby do jazdy konnej.

– Pamiętasz coś jeszcze?

– Miał manierkę, przewieszoną na sznurku przez ramię, na jego biodrze wyglądała jak trąbka. Tylko że powiedział, że ma tam pełno wódki.

Skinąłem głową, zadowolony, i usiadłem wygodnie na kanapie, zastanawiając się, jak by to było, gdybym jednak ją miał. Dopiero teraz zauważyłem żółtawe odbarwienia na jej rękach, które nie powstały wskutek nikotyny, żółtaczkę czy temperamentu, lecz wskazywały na to, że pracowała w fabryce amunicji. W ten sam sposób zidentyfikowałem kiedyś zwłoki wyłowione z Landwehry. Kolejna rzecz, której nauczył mnie Hans Illmann.

– Hej, słuchaj pan – powiedziała Helene – jak pan złapie tego skurwysyna, niech pan dopilnuje, żeby dostał od gestapo, co mu się należy, dobra? Miażdżenie palców, gumowa pałka, te rzeczy?

– Kochana pani – rzekłem, unosząc się z miejsca – może pani na mnie polegać. I dzięki za pomoc.

Helene też wstała i założyła rękę.

– No, wie pan. – Wzruszyła ramionami. – Też kiedyś chodziłam do szkoły, kapuje pan?

Zerknąłem z uśmiechem na Iwonę.

– Kapuję. – Oстрым ruchem głowy wskazałem sypialnię przy korytarzu. – Kiedy ten Don Juan skończy swoje dochodzenie, powiedzcie mu, że poszedłem wypytać kelnerów u Pelzera. Potem spróbuję pogadać z kierownikiem Ogrodu Zimowego, zobaczę, co da się od niego wyciągnąć. A potem wrócę do Alex i wyczyszczę pistolet. Kto wie, może nawet po

drodze znajdę trochę czasu na pracę policyjną.

piątek, 16 września

Skąd jesteś, Gottfried? – spytałem.

– Z Egeru* [*czech. Cheb (przyp. tłum.)], w Kraju Sudeckim. – Mężczyzna uśmiechnął się z dumą. – Jeszcze kilka tygodni i będzie się nazywał Niemcy.

– Będę to nazywał wariactwem – powiedziałem. – Jeszcze kilka tygodni i wasza Sudetendeutsche Partei wplącze nas wszystkich w wojnę. W większości okręgów SDP już teraz ogłoszono stan wojenny.

– Mężczyźni muszą umierać za to, w co wierzą. – Odchylił się na krześle i przeciągnął ostrogą po podłodze w sali przesłuchań. Wstałem i poluzowałem kołnierzyk, unikając wpadającej przez okno smugi słońca. Dzień był gorący – za gorący, by nosić marynarkę, nie mówiąc już o dawnym mundurze pruskiego oficera kawalerii. Ale Gottfried Bautz, aresztowany wcześniej tego ranka, wyraźnie nie zwracał uwagi na upał, tylko jego wypomadowane wąsy zaczęły wykazywać skłonność do postawy na spocznij.

– A kobiety? – zapytałem. – Też muszą umierać?

Jego oczy zwięzły się w szparki.

– Chyba jednak powinien mi pan powiedzieć, po co mnie tu przyprowadzono, prawda, Herr Kommissar?

– Byłeś kiedyś w salonie masażu na Richard Wagner Strasse?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Gottfried, trudno zapomnieć takiego człowieka jak ty. Wątpię, czy bardziej rzucałbyś się w oczy, wjeżdżając po schodach na białym koniu. A tak przy okazji, dlaczego nosisz ten mundur?

– Służyłem Niemcom i jestem z tego dumny. Czemu mam nie nosić munduru?

Zacząłem mówić coś o tym, że wojna się skończyła, ale nie miało to większego sensu; następna zbliżała się wielkimi krokami, a z Gottfrieda był niezły czubek.

– Więc byłeś w salonie masażu na Richard Wagner Strasse czy nie?

– Możliwe. Nie zawsze się pamięta takie adresy. Nie mam zwyczaju...

– Proszę, oszczędź mi tych referencji. Jedna z tamtejszych dziewczyn mówi, że chciałeś ją zabić.

– To niesłychane.

– Obawiam się, że stanowczo się upiera.

– Czy ta dziewczyna złożyła na mnie skargę?

– Owszem.

Gottfried Bautz zaśmiał się, zadowolony z siebie.

– No, no, panie komisarzu, obaj wiemy, że to nieprawda. Po pierwsze, nie było okazania. A po drugie, żadna dziwka jak Niemcy długie i szerokie nie zgłosiłaby nawet, że zginął jej pudelek. Nie ma skargi, nie ma świadków, więc nie pojmuję, dlaczego w ogóle prowadzimy tę rozmowę.

– Ona mówi, że związałeś ją jak prosię, poszturchałeś ją w usta, a potem próbowałeś ją udusić.

– Ona mówi, ona mówi... Słuchaj pan, co to za bzdury? To jej słowo przeciwko mojemu.

– Zapomniałeś o świadku, co, Gottfried? O dziewczynie, która weszła, kiedy dusiłeś tę pierwszą? Jak powiedziałem, niełatwo cię zapomnieć.

– Jestem gotów. – Wyprostował się. – Niech sąd zdecyduje, kto mówi prawdę w tej sprawie; ja, człowiek, który walczył za swój kraj, czy dwie głupie kurewki. Czy one gotowe są zrobić to samo? – Zaczął krzyczeć, pot załśnił na jego czole jak lukier. – Maca pan na oślepa w główne i wie pan o tym.

Usiadłem i wycelowałem palec w środek jego twarzy.

– Gottfried, przestań się mądrzyć. Nie tutaj. Alex potrafi spuścić większe manto niż Max Schmeling, a po walce nie zawsze można wrócić do szatni i włożyć szlafrok. – Założyłem ręce za głowę i beztrąsko zagapiłem się w sufit. – Uwierz mi na słowo, Gottfried. Ta mała kurewka nie jest taka głupia, i będzie robić dokładnie to, co jej każę. Jeśli każę jej obciągnąć ławnikom na sali sądowej, to tak zrobi. Rozumiesz?

– Tym bardziej niech się pan odwali – warknął. – Skoro chce mnie pan wsadzić do klatki na miarę, to nie wiem, czemu mam panu jeszcze dawać klucz. Po jaką cholere miałbym odpowiadać na pańskie pytania?

– Jak sobie życzysz, mnie się nie spieszy. Ja pójdę sobie do domu, wezmę gorącą kąpiel, porządnie się wyśpię. A potem wrócę i dowiem się, jak tobie minął wieczór. No, co mam powiedzieć? Nie na darmo nazywają to miejsce Szare Nieszczęście.

– No dobra, dobra – jęknął. – Już, zadawajcie te wasze parszywe pytania.

– Przeszukaliśmy twój pokój.

– Podoba się panu?

– Nie tak bardzo jak robactwo, z którym mieszkasz. Znaleźliśmy kawałek sznura. Mój inspektor sądzi, że to specjalny sznur do duszenia, który można kupić w Ka-De-We. Z drugiej strony, to może być sznur, którego użyłeś, by kogoś związać.

– Albo sznur, którego używam w pracy. Pracuję w Przewozach Mebli Rochlinga.

– Wiem, sprawdziłem. Ale po co zabierałeś sznur do domu? Czemu nie zostawiłeś go w ciężarówce?

– Zamierzałem się powiesić.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Namyślałem się dłuższą chwilę, a potem sprawy nie wyglądały już tak źle. Oczywiście, to było zanim spotkałem pana.

– A ta szmata, poplamiona krwią, którą znaleźliśmy w torbie pod twoim łóżkiem?

– To? To krew menstruacyjna mojej znajomej, spotkała ją mała przygoda. Chciałem to spalić, ale zapomniałem.

– Możesz to udowodnić? Ta znajoma poświadczy twoją wersję?

– Niestety, niewiele mogę panu o niej powiedzieć, komisarzu. Pan rozumie, przygodna znajomość. – Urwał. – Ale z pewnością można przeprowadzić naukowe badania, potwierdzające to, co mówię?

– Badania pomogą ustalić, czy to jest krew ludzka. Ale nie wydaje mi się, żeby były aż tak precyzyjne, jak ci się wydaje. Nie wiem na pewno, nie jestem patologiem.

Znów wstałem i podszedłem do okna. Wygrzebałem z kieszeni papierosy.

– Zapalisz? – Skinął głową, więc rzuciłem paczkę na stół. Dałem mu się porządnie zaciągnąć, po czym rzuciłem pierwszy granat.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania czterech, a być może nawet pięciu dziewcząt – powiedziałem cicho. – Dlatego cię tu przywiozłem. Pomagasz nam w śledztwie, jak to się mówi.

Gottfried wstał raptownie, przyciskając językiem dolną wargę. Rzucony papieros potoczył się po stole. Zaczął kręcić głową, jakby miał nigdy nie przestać.

– Nie, nie, nie! To nie byłem ja! Absolutnie nic o tym nie wiem! Proszę, musi mi pan uwierzyć, jestem niewinny!

– A ta dziewczyna, którą zgwałciłeś w Dreźnie w 1931? Poszedłeś za to do paki, prawda, Gottfried? Widzisz, sprawdziłem twoją kartotekę.

– To było tylko uwiedzenie nieletniej! Zgoda, dziewczyna była trochę za młoda, ale to

wszystko! Nie wiedziałem, w jakim jest wieku, a ona się zgodziła.

– Zaraz, zaraz, zobaczmy, to ile ona miała lat? Piętnaście? Szesnaście? Mniej więcej tyle samo, co te zamordowane dziewczyny. Wiesz co, a może ty lubisz młode mięsko? Po czym ogarnia cię wstyd, że taki jesteś, i zwalasz na nie całą winę? Myślisz sobie: jak one mogą mnie zmuszać do takich rzeczy?

– Nie, to nieprawda! Przysięgam...

– Jak one mogą być takie bezwstydne? Tak obrzydliwie prowokować?

– Niech pan przestanie, na litość boską...

– Niewinny? Nie rozśmieszaj mnie. Gottfried, twoja niewinność jest warta mniej niż gówno w rynsztoku. Niewinność jest dla przyzwoitych, praworzędnych obywateli, a nie dla takiego szcúra jak ty, który chciał udusić dziewczynę w salonie masażu. Więc siadaj i zamknij się.

Zakołysał się na piętach, po czym ciężko opadł na krzesło.

– Nikogo nie zabiłem – wybełkotał. – Wszystko jedno, z której strony pan spojrzy, jestem niewinny, mówię panu.

– Może i jesteś – powiedziałem. – Obawiam się jednak, że nie da się rąbać drewna, żeby nie poleciało trochę wiórów. A więc muszę cię tu chwilowo zatrzymać, czy jesteś niewinny, czy nie. Przynajmniej, dopóki cię nie sprawdzę.

Wzięłem marynarkę i ruszyłem do drzwi.

– A, i jeszcze jedno. – Zatrzymałem się. – Nie masz przypadkiem samochodu?

– Z moją pensją? Żartuje pan?

– A ta ciężarówka meblowa, ty ją prowadzisz?

– Tak, ja.

– Korzystasz z niej czasem wieczorami? – Milczał. Wzruszyłem ramionami i oznajmiłem: – Cóż, zawsze mogę zapytać twój pracodawcę.

– To zabronione, ale owszem, czasem nią jeżdżę. Przyjmuję prywatne zlecenia, takie różne. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Jednak nigdy jej nie użyłem, żeby kogoś w środku zabić, jeśli to pan sugeruje.

– Akurat tak się składa, że nie tym razem. Ale dziękuję za odpowiedź.

Siedziałem w biurze Arthura Nebego, czekając, aż ten skończy rozmawiać przez telefon. Wreszcie z ponurą miną odłożył słuchawkę. Już chciałem coś powiedzieć, gdy przyłożył palec do ust, otworzył szufladę, wyjął z niej ocieplacz na dzbanek z herbatą i

przykrył nim aparat.

– A to po co?

– Telefon jest na podsłuchu. Przypuszczalnie Heydrich, ale kto to może wiedzieć? Dzięki ocieplaczowi nasza rozmowa zostanie między nami. – Odchylił się na krzesło stojącym pod portretem Führera i wydał długie, znużone westchnienie. – Jeden z moich ludzi właśnie dzwonił z Berthesgaden – powiedział. – Rozmowy Hitlera z brytyjskim premierem nie przebiegają zbyt dobrze. Nie wydaje mi się, żeby nasz ukochany kanclerz przejmował się możliwością wojny z Anglią. Nie idzie na absolutnie żadne ustępstwa. Oczywiście, głównie go obchodzą Niemcy sudeccy, kwestia narodowościowa to tylko przykrywka. Wszyscy to wiedzą. Chodzi mu o cały ciężki przemysł Austrii. Którego potrzebuje, jeśli chce iść na wojnę z Europą. Boże, czemuż on nie ma do czynienia z kimś silniejszym niż Chamberlain? Wiesz, że ten głupek przywiózł ze sobą parasol? Cholerny dyrektor banku.

– Tak uważasz? Powiedziałbym, że parasol znamionuje człowieka o sporym rozsądku. Naprawdę wyobrażasz sobie, że Hitler z Goebbelsem zdołaliby poruszyć tłum ludzi, którzy noszą parasole? Brytyjczycy są absurdalni, zgoda, ale właśnie dlatego niepodobna ich zradykalizować. I właśnie dlatego powinniśmy im zazdrościć.

– To ładna myśl. – Uśmiechnął się refleksyjnie. – Ale powiedz coś o tym gościu, któregoście aresztowali. Sądzisz, że to nasz sprawca?

Rozejrzałem się po pokoju, licząc, że ściany i sufit natchną mnie większym przekonaniem, a następnie uniosłem ręce, jakbym chciał zaprzeczyć obecności Gottfrieda Bautza w celi na dole.

– Biorąc pod uwagę poszlaki, od biedy mógłby spełniać nasze wymagania. – Pozwoliłem sobie na jedno westchnienie. – Ale nic konkretnego na niego nie wskazuje. Stopy dziewcząt związane takim samym sznurem, jaki znaleziono w jego pokoju. Ale to powszechnie spotykany typ sznura. Tutaj, w Alex, też takiego używamy. Kawałek szmaty, który znaleźliśmy pod jego łóżkiem, jest poplamiony krwią, która mogłaby należeć do jednej z ofiar. Ale równie dobrze może to być krew menstruacyjna, tak jak twierdzi Bautz. Ma dostęp do ciężarówki, w której stosunkowo łatwo byłoby przewozić ofiary, a nawet je zabić. Moi chłopcy w tej chwili ją sprawdzają, ale na razie wygląda na tak czystą jak dłoń dentysty. No i oczywiście jest jego kartoteka. Już raz go zamknęliśmy za seks z nieletnią. Niedawno chyba próbował udusić dziwkę, którą najpierw nakłonił, by dała się związać. Więc psychologicznie pasuje do człowieka, którego szukamy. – Pokręciłem głową. – Ale więcej tu niepewności niż u Fritza Langa. Potrzebuję jakichś prawdziwych dowodów.

Nebe z mądrą miną pokijał głową i położył nogi na biurku.

– Zdołałbyś zbudować akt oskarżenia? – zapytał, delikatnie stykając końce palców. – Złamać go?

– Nie jest głupi. To może potrwać. Nie przesłuchuję aż tak dobrze, a nie zamierzam iść na skróty. Ostatnia rzecz, jakiej życzyłbym sobie w tej sprawie, to oskarżenie o wybicie zębów. W ten sposób został załatwiony Josef Kahn, po czym wylądował w wariatkowie. – Poczęstowałem się amerykańskim papierosem z pudełka na biurku Nebego i przypaliłem go ogromną mosiężną stołową zapalniczką, którą podarował mu Göring. Premier bez przerwy rozdawał ludziom zapalniczki w zamian za drobne przysługi. Czynił z nich taki sam użytek jak guwernantka z landrynek.

– A tak swoją drogą, Kahn został zwolniony?

Na szczupłej twarzy Nebego pojawił się bolesny wyraz.

– Nie, jeszcze nie – odparł.

– Rozumiem, że fakt, iż właściwie nikogo nie zamordował, uważacie za nieistotny detal, ale nie sądzisz, że pora go wypuścić? Chyba mamy jeszcze jakieś standardy?

Podniósł się, obszedł biurko i stanął przede mną.

– To ci się nie spodoba, Bernie – powiedział. – Nie bardziej niż mnie.

– To jakiś wyjątek? A niby dlaczego? Na mój rozum w kiblach nie ma luster tylko dlatego, żeby nikt nie musiał patrzeć sobie w oczy. Nie zamierzają go zwolnić, tak?

Nebe oparł się tyłkiem o biurko, założył ręce i przez chwilę wpatrywał się w czubki oficerek.

– Obawiam się, że jest jeszcze gorzej. On nie żyje.

– Co się stało?

– Oficjalnie?

– Spróbuj.

– Josef Kahn odebrał sobie życie w chwilowym przyływie niepoczytalności.

– No, widzę, że to dobrze brzmi. Ale ty wiesz swoje, co?

– Nie wiem nic na pewno. – Wzruszył ramionami. – Więc powiedzmy, że zgaduję na podstawie informacji. Słyszę rozmaite rzeczy, czytam różne rzeczy, wyciągam uzasadnione wnioski. Naturalnie, jako Reichskriminaldirektor mam dostęp do różnych tajnych rozporządzeń Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Wziął papierosa i zapalił. – Które zazwyczaj występują pod najróżniejszymi neutralnie brzmiącymi nazwami. W chwili obecnej podejmowane są kroki, aby powołać nową komisję do zbadania poważnych chorób wrodzonych...

– To znaczy takich, jakie toczą ten kraj?

– ...której celem będzie wspieranie „pozytywnej eugeniki, zgodnej z przemysleniami Führera na ten temat”. – Machnął papierosem w stronę portretu na ścianie za swoimi plecami.

– Na widok sformułowania „przemyslenia Führera” każdy natychmiast pojmuje, że bez względu na temat powinien zajrzeć do swego zaczytanego egzemplarza jego książki. Tam znajdzie opinię, że należy użyć najnowocześniejszych środków medycznych, jakie mamy do dyspozycji, aby uchronić naszą zdrową rasę przed skażeniem kalectwem fizycznym i chorobą psychiczną.

– Co to, u diabła, ma znaczyć?

– Dotychczas przypuszczałem, że to oznacza, że takim nieszczęśnikom uniemożliwi się zakładanie rodzin. To chyba brzmi rozsądnie, prawda? Skoro nie umieją dbać o siebie, to tym bardziej nie będą umieli wychować dzieci.

– To jakoś nie zniechęca przywódców Hitlerjugend.

Nebe parsknął i wrócił za biurko.

– Bernie, będziesz musiał uważać, co mówisz – ostrzegł, na pół rozbawiony.

– Przejdźmy do śmiesznych kawałków.

– Cóż, więc jest tak. Ostatnie meldunki... skargi, jeśli chcesz, kierowane do Kripo przez krewnych osób umieszczonych w zakładach, pozwalają mniemać, że już w tej chwili nieoficjalnie praktykowana jest eutanazja.

Pochyliłem się i ścisnąłem palcami nasadę nosa.

– Boli cię czasem głowa? Ja cierpię na straszne migreny. Zazwyczaj zaczyna się od zapachu. Farba okropnie śmierdzi. I formalina w kostnicy. A już najgorsze są te zaszczone miejsca, gdzie bezdomni i włóczędzy gromadzą się na noc. Ten smród prześladowuje mnie w najgorszych koszmarach. Wiesz, Arthur, wydawało mi się, że znam każdy paskudny zapach w tym mieście. Ale to jest jak zeszłoroczne gówno smażone z wczorajszymi jajkami.

Nebe otworzył szufladę, z której wyjął butelkę oraz dwa kieliszki. Bez słowa nalał dwa głębsze.

Jednym haustem wychyliłem kieliszek i czekałem, aż palący trunek dotrze do resztek mojego serca i brzucha. Skinieniem głowy przyzwoliłem, żeby znowu mi nalał.

– I właśnie kiedy myślisz, że nie może już być gorzej, dowiadujesz się, że jest znacznie gorzej, niż kiedykolwiek przypuszczałeś. A potem jest jeszcze gorzej. – Wysączyłem drugi kieliszek i wpatrzyłem się w jego pusty kształt. – Dzięki, że powiedziałeś mi to wprost, Arthurze. – Z wysiłkiem podniosłem się na nogi. – I dzięki za rozgrzewkę.

– Proszę, informuj mnie w sprawie podejrzanego – powiedział. – Może spróbujesz napuścić na niego dwóch swoich ludzi, żeby się zabawili w złego i dobrego gliniarza?

Żadnych rękoczynów, staromodny nacisk psychiczny. Wiesz, co mam na myśli. A przy okazji, jak się dogadujesz z zespołem? Wszystko się układa? Żadnych kwasów, niechęci i takich tam?

Mogłem znów usiąść i wygłosić listę zarzutów dłuższą niż wiec partyjny, ale doprawdy mógł się bez tego obyć. Wiedziałem, że w Kripo pracują setki gliniarzy znacznie gorszych niż ci trzej, których mi przydzielono. Więc tylko kiwnąłem głową i powiedziałem, że wszystko w porządku.

Przy drzwiach jednak zatrzymałem się i automatycznie wymówiłem te słowa, nawet o nich nie myśląc. Wymówiłem je bez żadnego przymusu; nie była to reakcja na cudze pozdrowienie, w którym to przypadku mógłbym się pocieszać, że po prostu starałem się nie wychylać i nie chciałem nikogo urazić. Nie, ja odezwałem się pierwszy.

– Heil Hitler.

– Heil Hitler – mruknął Nebe, nie podnosząc głowy znad dokumentu, który właśnie pisał, więc nie widział mojej miny. Nie mam pojęcia, jak wyglądałem. Niemniej ta mina, jakakolwiek była, wzięła się ze świadomości, że jeśli w ogóle mogę mieć pretensje do kogoś w Alex, to jedynie do siebie.

poniedziałek, 19 września

Telefon dzwonił i dzwonił. Przedarłem się na drugą stronę łóżka i podniosłem słuchawkę. Akurat sprawdzałem, która godzina, kiedy Deubel coś powiedział. Była druga nad ranem.

– Powtórzcie to.

– Chyba znaleźliśmy tę zaginioną dziewczynę, panie komisarzu.

– Nie żyje?

– Martwa jak mysz w pułapce. Nie mamy jeszcze oficjalnego potwierdzenia, ale wygląda jak wszystkie pozostałe. Dzwoniłem do profesora Illmana. Już tu jedzie.

– Gdzie jesteście?

– Zoo Bahnhof.

Kiedy zszedłem do samochodu, było jeszcze ciepło, więc otworzyłem okno, żeby porozkoszować się nocną jazdą i przy okazji trochę się rozbudzić. Dla wszystkich z wyjątkiem państwa Hanke, śpiących teraz w swoim domku w Steglitz, zapowiadał się piękny dzień.

Jechałem na wschód Kurfürstendamm, mijając oświetlone neonami sklepy o geometrycznych kształtach. Kiedy skręciłem na północ w Joachimstaler Strasse, na końcu zamajaczyła w zielonej poświacie wielka szklarnia, znana jako Dworzec Zoo. Stało tam kilka wozów policyjnych, ambulans, zbędny w tej sytuacji, oraz grupka pijaków, właśnie przepędzanych przez policjanta, który w ten sposób niweczył ich zapędy, by się za wszelką cenę zabawić.

Znalazłszy się w środku, ruszyłem przez główną halę biletową w stronę policyjnej bariery, odgradzającej biuro rzeczy znalezionych i przechowalnię bagażu. Błysnąłem odznaką dwóm ludziom pilnującym terenu i skręciłem za róg korytarza. Deubel wyszedł mi naprzeciw.

– Co tu mamy? – zapytałem.

– Ciało dziewczyny w kufrze, panie komisarzu. Sądząc z wyglądu i zapachu, przebywa

tam od dłuższego czasu. Kufer zostawiono w przechowalni.

– Profesor już dotarł?

– I on, i fotograf. Na razie zdążyli tylko oblesnie rzucić na nią okiem. Chcieliśmy zaczekać na pana.

– Wasza troskliwość jest wzruszająca. Kto znalazł te doczesne szczątki?

– Ja, panie komisarzu, razem z mundurowym z mojej ekipy.

– O? Jakaście to zrobili, zasięgnęliście porady medium?

– Dostaliśmy anonimowy telefon, panie komisarzu. Na Alex. Ktoś powiadomił sierżanta dyżurnego, gdzie mamy szukać ciała, a on powtórzył to mojemu sierżantowi, który z kolei zadzwonił do mnie. Od razu przyszedliśmy tutaj, zlokalizowaliśmy kufer i znaleźliśmy dziewczynę. Wtedy powiadomiłem pana.

– Anonimowy telefon, powiadacie. O której to było?

– Około północy. Właśnie schodziłem ze zmiany.

– Chcę porozmawiać z funkcjonariuszem, który przyjął telefon. Lepiej niech ktoś od was dopilnuje, żeby nie poszedł do domu, przynajmniej dopóki nie złoży meldunku. Jak tu weszliście?

– Nocny zawiadowca, panie komisarzu. Kiedy zamykają przechowalnię, zabiera klucze do biura. – Deubel wskazał grubego mężczyznę w nieświeżym kombinezonie, który stał kilka metrów dalej i obgryzał skórę z wnętrza dłoni. – To on.

– Najwyraźniej przeszkodziliśmy mu w kolacji. Niech przygotuje nazwiska i adresy osób zatrudnionych w tym sektorze oraz godziny, kiedy rano zaczynają pracę. Chcę ich tu wszystkich widzieć; niech przyjdą jak zwykle, i niech przyniosą dokumenty i papiery.

Zamilkłem, przygotowując się na to, co mnie czekało.

– No dobrze – powiedziałem. – Pokażcie.

Hans Illman siedział w przechowalni bagażu na dużej skrzyni oznaczonej „Ostrożnie, szkło” i z ręcznie skręconym papierosem w ustach przyglądał się, jak fotograf ustawia lampy i statyw aparatu.

– A, Herr Kommissar – rzekł, wstając na mój widok. – Jesteśmy tu od niedawna i wiedziałem, że pan zechce, byśmy na pana poczekali. Obiad gotował się trochę za długo, więc to się panu przyda. – Wręczył mi gumowe rękawiczki i spojrzał pytająco na Deubla. – A pan, inspektorze, siądzie do stołu razem z nami?

Deubel skrzywił się.

– Wolałbym nie, jeśli pan pozwoli. Normalnie bym spojrzał, ale mam córkę mniej więcej w tym wieku.

Kiwnąłem głową.

– Lepiej obudźcie Beckera i Korscha i ściągnijcie ich tutaj. Nie widzę, dlaczego tylko my mamy psuć sobie nastrój.

Deubel odwrócił się, żeby odejść.

– Ach, inspektorze – zatrzymał go Illmann – może zechciałby pan poprosić jednego z naszych mundurowych kolegów, żeby zorganizował jakąś kawę. Praca idzie mi lepiej, kiedy jestem rozbudzony. Przydałby się też ktoś, kto by robił notatki. Czy pański sierżant potrafi pisać czytelnie, jak pan sądzi?

– Zakładam, że potrafi, proszę pana.

– Inspektorze, co się tyczy ogólnych standardów edukacji w Orpo, to jedyne bezpieczne założenie jest takie, że ktoś umie wypełnić kupon totolotka. Proszę się upewnić, jeśli pan łaskaw. Wolę już sam notować, niż później odcyfrowywać egzotyczne bazgroły jakiejś prymitywnej formy życia.

– Tak jest. – Deubel uśmiechnął się blado i poszedł wykonać polecenia.

– Nie przypuszczałem, że jest taki wrażliwy – zauważył Illmann, patrząc za nim. – Coś takiego, detektyw nie chce oglądać ciała. To jakby handlarz win nie chciał spróbować burgunda, który zamierza nabyć. Nie do wiary. Skąd oni biorą tych zbirów?

– To proste. Wychodzą na ulicę i zgarniają wszystkich mężczyzn w skórzanych spodenkach. U nazistów to się nazywa dobór naturalny.

Kufer z ciałem stał na podłodze w głębi przechowalni, przykryty płócienną płachtą.

Gdy Illmann uniósł płótno, aż się wzdrygnąłem, uderzony gwałtowną falą rzeźniczej woni. Odruchowo odwróciłem twarz, by odetchnąć świeższym powietrzem za plecami.

– No, owszem – mruknął profesor. – Mieliśmy ciepłe lato.

Był to pełnowymiarowy kufer podróżny, obity niebieską skórą w dobrym gatunku, z mosiężnymi zamkami i okuciami. Podobne kufry widuje się na nabrzeżach, gdy odpływają luksusowe statki pasażerskie, kursujące między Hamburgiem i Nowym Jorkiem. Jednak ta samotna pasażerka, naga dziewczyna, mniej więcej szesnastoletnia, wybierała się już tylko w jedną, ostatnią podróż. Leżała na wznak, częściowo okryta kawałkiem brązowej tkaniny, chyba zasłonowej. Jej ugięte nogi obrócone były w lewo, pierś wypchnięta do góry, jakby coś tkwiło pod ciałem. Głowę miała skreconą w stosunku do tułowia pod niemożliwym kątem, usta rozchylone i niemal uśmiechnięte, oczy półprzymknięte. Gdyby nie zaschnięta krew w nozdrzach i sznur wokół kostek, można by wręcz pomyśleć, że budzi się z długiego snu.

Sierżant przysłany przez Deubla, przysadzisty gość niemal pozbawiony szyi, o kłacie jak worek z piaskiem, przysiadł w pewnej odległości, uzbrojony w ołówek i notes. Żując

cukierka, nonszalancko założył nogę na nogę, najwyraźniej niezbyt przejęty drastycznym widokiem.

Illmann przyjrzał mu się krytycznie, po czym kiwnął głową i zaczął opisywać to, co miał przed sobą.

– Dorastająca dziewczyna – zaczął z powagą – lat około szesnastu, naga, w pozycji leżącej, ułożona w dużym, solidnie wykonanym kufrze. Ciało częściowo przykryte kawałkiem brązowego kretonu, stopy związane sznurkiem. – Mówił powoli, robiąc przerwy między zdaniami, aby sierżant nadażył z zapisywaniem. – Po usunięciu tkaniny widać, że głowa jest niemal całkowicie odcięta od tułowia. Na ciele wyraźnie widoczne oznaki rozkładu, zapewne wskutek zamknięcia w kufrze od czterech do pięciu tygodni. Na rękach brak śladów świadczących o tym, że ofiara się broniła. Zabezpieczam palce do dalszych badań w laboratorium, chociaż pewnie będzie to strata czasu, bo najwyraźniej obgryzała paznokcie. – Wyjął z teczki dwie papierowe torby, które pomogłem mu nałożyć na dłonie zmarłej. – A cóż ja tu widzę? Czy mnie mylą oczy? Czy mam przed sobą zakrwawioną bluzkę?

– Wygląda jak jej mundur BDM-u – powiedziałem, obserwując, jak wyciąga spod ciała najpierw bluzkę, a potem granatową spódnicę.

– Jak to miło ze strony naszego przyjaciela, że przesyła nam jej rzeczy do prania. I to właśnie teraz, kiedy zacząłem już sądzić, że staje się odrobinę przewidywalny. I jeszcze ten anonimowy telefon na Alex. Przypomnij mi, żebym sprawdził w kalendarzu, czy dziś przypadkiem nie przypadają moje urodziny.

Lecz mój wzrok przyciągnęło coś innego. Schyliłem się i wyjąłem z kufra tekturowy prostokącik.

– Legitymacja Irmy Hanke.

– No, to nam pewnie oszczędzi kłopotu. – Illman zwrócił się do sierżanta i podyktował: – Kufer zawiera również ubranie zmarłej i jej legitymację.

Wewnątrz legitymacji ujrzałem smugę krwi.

– Jak sądzisz, to może być ślad palca? – zapytałem.

Wziął ode mnie dokument i przyjrzał mu się uważnie.

– Owszem. Ale nie wiem, jakie to może mieć znaczenie. Gdyby to był porządny odcisk, to co innego. To byłaby odpowiedź na wszystkie nasze modlitwy.

Pokręciłem głową.

– Nie chodzi o odpowiedź, chodzi o pytanie. Powiedz, po co jakiś czubek miałby sprawdzać tożsamość ofiary? Przecież obecność krwi dowodzi, że zapewne już wtedy nie

żyła, to znaczy zakładając, że to jest jej krew. Więc dlaczego nasz człowiek życzył sobie sprawdzić, jak się nazywała?

– Może po to, żeby podać jej nazwisko, kiedy anonimowo zadzwonił do Alex?

– Tak, ale w takim razie dlaczego ociągał się z telefonem przez kilka tygodni? Nie sądzisz, że to dziwne?

– Rzeczywiście, chyba coś w tym jest. – Umieścił legitymację w torebce i starannie schował ją do teczki, po czym znów zajął się kufrem.

– A co tu mamy? – Podniósł nieduży, ale wyglądający na ciężki woreczek. – No proszę, to jest dopiero dziwne! – zawołał, pokazując mi zawartość. Woreczek był pełen zużytych tubek po paście do zębów, które Irma Hanke zbierała na rzecz Programu Gospodarki Rzeszy. – Nasz zabójca najwyraźniej pomyślał o wszystkim.

– Prawie jakby nas zachęcał, żebyśmy go złapali. Wszystko podsuwa nam pod nos. Pomyśl, jaki będzie z siebie zadowolony, jeśli mimo to nie zdołamy go dopaść.

Illmann podyktował sierżantowi jeszcze kilka uwag, po czym oświadczył, że wstępne oględziny miejsca zbrodni uważa za zakończone i że teraz kolej na fotografa. Ściągnęliśmy rękawiczki i wróciliśmy do głównej hali, w której czekała na nas kawa dostarczona przez zawiadowcę. Była mocna i gorąca, właśnie takiej potrzebowałem, aby usunąć odór śmierci, który zalegał mi na języku. Illmann skręcił dwa papierosy i dał mi jednego. Aromatyczny tytoń smakował jak palony nektar.

– Gdzie w tym wszystkim mieści się twój szalony Czech? – zapytał. – Ten, który sądzi, że jest oficerem kawalerii?

– Podobno naprawdę był oficerem kawalerii – odparłem. – Na froncie wschodnim doznał lekkiego szoku i nigdy do końca nie wyzdrowiał. Niemniej ma swój rozum i szczerze mówiąc, wcale nie mam pewności, że bez konkretnych dowodów zdołamy coś na niego znaleźć. Nie zamierzam nikogo wrabiać na podstawie zeznań, uzyskanych w stylu przyjętym na Alexanderplatz. Widzisz, on do niczego się nie przyznaje. Przesłuchiwaaliśmy go przez cały weekend, a on wciąż utrzymuje, że jest niewinny. Zobaczę, może ktoś w przechowalni bagażu rozpozna w nim klienta, który zostawił kufer, ale jeśli nie, to będę musiał go zwolnić.

– Wyobrażam sobie rozczarowanie twojego wrażliwego inspektora – zachichotał Illmann. – Tego, co ma nastoletnią córkę. Już przedtem dał mi do zrozumienia, że jego zdaniem zamknięcie dochodzenia przeciwko Czechowi to tylko kwestia czasu.

– Tak, z pewnością się rozczaruje. Uważa, że skoro gość był skazany za uwiedzenie nieletniej, to właściwie nie ma przeszkód, bym pozwolił mu się z nim zamknąć w ustronnej celi i wycinać na nim hołubce.

– Te nowoczesne policyjne metody są strasznie męczące. Skąd oni biorą na to energię?

– To jedyna rzecz, na którą mają energię. Zazwyczaj Deubel o tej porze mocno śpi, jak nie omieszkał mi kilka razy przypomnieć. Niektórym gliniarzom się zdaje, że pracują w banku. – Przywołałem Illmanna gestem. – Zauważyłeś, że w ciągu dnia w Berlinie zdarza się jakby więcej przestępstw?

– I to nie licząc porannego wycisku, jaki można dostać od zaprzyjaźnionego gestapowca z sąsiedztwa.

– Nocą do zabójstw nie jeździ nikt powyżej rangi Kriminalassistenten. I to tylko wtedy, kiedy zginie ktoś ważny.

Podszedłem do Deubla, który robił, co mógł, żeby wyglądać na śmiertelnie zmęczonego, jakby nadawał się już tylko do szpitala.

– Kiedy fotograf skończy robić zdjęcia, powiedzcie mu, że chcę mieć kilka ujęć kufra z zamkniętym wiekiem. Co więcej, chcę dostać te fotografie, zanim pojawi się personel przechowalni. To może odświeży im pamięć. Kufer po sfotografowaniu tu obecny profesor zabierze do Alex.

– A rodzina dziewczyny? To jest Irma Hanke, tak?

– Oczywiście będą musieli oficjalnie rozpoznać zmarłą, ale dopiero kiedy profesor z nią skończy. Może nawet trochę upiększy ją dla matki?

– Nie jestem przedsiębiorcą pogrzebowym, Bernie – wtrącił chłodno Illmann.

– Daj spokój, już widziałem, jak zszywałeś torbę mielonki.

– No dobrze – westchnął. – Zobaczą, co da się zrobić. To mi jednak zajmie cały dzień. Być może do jutra.

– Pracuj, jak długo chcesz, ale chciałbym ich powiadomić dziś wieczorem, więc może postaraj się na razie chociaż przymocować jej głowę do tułowia?

Deubel ziewnął głośno.

– Tak, tak, inspektorze, ta komedia świetnie wam idzie. Właśnie dostaliście główną rolę zmęczonego człowieka, który musi natychmiast iść spać. Bóg mi świadkiem, żeście się bardzo o nią starali. Kiedy tylko przybędą Becker i Korsch, możecie iść do domu. Ale chciałbym, żebyście do południa zorganizowali okazanie. Trzeba sprawdzić, czy pracownicy przechowalni przypadkiem nie zapamiętali naszego sudeckiego przyjaciela.

– Tak jest – odparł Deubel, który wyraźnie ożywił się na myśl, że zaraz pojedzie do domu.

– Jak się nazywa oficer dyżurny? Ten, który odebrał anonimowy telefon?

– Gollner.

– Przypadkiem nie stary Tanker Gollner?

– Tak jest, panie komisarzu. Znajdzie go pan w koszarach policji. Zdaje się, że powiedział, że woli iść do siebie, bo Kripo już przedtem zawracało mu głowę, a on nie ma ochoty siedzieć przez całą noc na posterunku i czekać, aż się raczymy pojawić.

– Nic się nie zmienił – uśmiechnąłem się. – No dobra, lepiej, żeby nie kazał mi dłużej czekać, prawda?

– Co mam powiedzieć Korschowi i Beckerowi, kiedy przyjdą? – zapytał Deubel.

– Niech Korsch obejrzy resztę bagaży. Zobaczymy, czy ktoś nie przysłał nam innych miłych prezentów.

Illmann odchrząknął.

– Może byłoby dobrze, gdyby ktoś asystował przy sekcji zwłok.

– Becker panu pomoże. Najwyraźniej sprawia mu przyjemność bliskość damskiego ciała. Nie wspominając o jego znakomitych kwalifikacjach w zakresie gwałtownej śmierci. Tylko proszę nie zostawiać go samego z trupem zmarłej, profesorze. Jeszcze ją zastrzeli albo wydupczy, zależy, jak się akurat poczuje.

Koszary dla policjantów przydzielonych do pobliskiego Alex mieściły się przy Kleine Alexander Strasse, biegnącej na północny wschód w kierunku Horst Wessel Platz. Był to wysoki budynek, podzielony na małe mieszkania dla żonatych funkcjonariuszy oraz pojedyncze pokoje dla całej reszty.

Mimo że Wachmeister Fritz „Tanker” Gollner nie był już żonaty, w dowód uznania dla swoich zasług podczas długoletniej służby zajmował jednopokojowe mieszkanie na trzecim piętrze od tyłu.

Zadbane skrzynki z kwiatami na parapecie były jedynym ustępstwem na rzecz domowej atmosfery; nieliczne wiszące na ścianach fotografie przedstawiały Gollnera odbierającego rozmaite odznaczenia. Machnął ręką, wskazując mi jedyny fotel, a sam przysiadł na brzegu schludnie zaścielnego łóżka.

– Słyszałem, że pan wrócił – powiedział cicho. Pochylił się i wyciągnął spod łóżka skrzynkę. – Piwko?

– Dzięki.

Oderwał kapsle samym kciukiem i pokiwał w zamyśleniu głową.

– A teraz, jak słyszę, został pan komisarzem. Składa pan wymówienie jako inspektor, a wraca jako komisarz. Można, kurwa, uwierzyć w czary, nie? Gdybym pana lepiej nie znał,

powiedziałbym, że siedzi pan u kogoś w kieszeni.

– A nie siedzimy wszyscy w taki czy inny sposób?

– Ja nie. I pan też nie, chyba że się pan zmienił. – Niespiesznie pociągnął z butelki.

Tanker pochodził z Emsland we Fryzji Wschodniej, gdzie jak powiadają, rozum zdarza się tak rzadko jak ryba w futrze. Zgoda, być może nie wiedział, jak się pisze Wittgenstein, nie mówiąc już o wyjaśnianiu filozofii tegoż, lecz był dobrym policjantem, mundurowym gliniarzem starej daty, surowym dla łobuziaków, ale życzliwym. Takim, który egzekwuje prawo za pomocą przyjaznych szturchańców, a zamiast wsadzać winowajcę do aresztu i trzymać go w celi, woli dać mu skuteczną nauczkę pięścią wielkości encyklopedii, oszczędzając wszystkim kosztów. O Tankerze powiadano, że to największy twardziel w Orpo, i widząc, jak siedzi naprzeciw mnie w samej koszuli, opięty wielkim skórzanym pasem, trzeszczącym pod naporem jeszcze większego brzucha, z łatwością mogłem dać temu wiarę. Z pewnością jego szczeka z przodozgrzyzem świadczyła o tym, że czas się zatrzymał, i to około miliona lat przed naszą erą. Ubrany w skórę tygrysa szablastozębnego miałby równie cywilizowany wygląd.

Znalazłem w kieszeni papierosy i poczęstowałem go. Pokręcił głową.

– Jeśli chce pan wiedzieć – powiedział, wyjmując fajkę – wszyscy siedzimy u Hitlera w tylnej kieszeni spodni. A on zamierza zjechać na dupie z górki.

Przez chwilę ssał pustą fajkę, po czym zaczął ją napychać tytoniem. Kiedy skończył, uśmiechnął się i uniósł butelkę.

– No, kurwa, to za kamienie pod śniegiem.

Beknął głośno i zapalił fajkę. Spowiły mnie chmury gryzącego dymu, gęstego jak mgła znad Bałtyku. Przypomniałem sobie Brunona. Nawet zapach paskudnej mieszanki był taki sam.

– Tanker, znaliście Brunona Stahleckera, prawda?

Kiwnął głową i zaciągnął się mocno.

– Ano – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Słyszałem, co się stało. Bruno to był dobry gość. – Wyjął fajkę ze starych, uwędzonych ust i przyjrzał się zawartości główki. – Prawdę mówiąc, znałem go całkiem nieźle. Byliśmy razem w piechocie. I braliśmy udział w niejednej akcji. Oczywiście, wtedy był jeszcze z niego straszny smarkacz, ale nie robiło to na nim specjalnego wrażenia. Znaczący się, walka. Odważny był, nie ma co.

– Pogrzeb odbył się w zeszły czwartek.

– I przyszedłbym, gdybym miał czas. – Urwał na chwilę. – Ale to aż w Zehlendorf. Za daleko dla mnie. – Skończył swoje piwo i otworzył kolejne dwie butelki. – No, ale znaleźli

tego gnoja, który go zabił, więc wszystko w porządku.

– Tak, faktycznie na to wygląda – powiedziałem. – Opowiedzcie mi o tym wczorajszym telefonie. O której to było?

– Dochodzi północ. Dzwoni telefon i gość prosi oficera dyżurnego. Przy telefonie, mówię. Słuchaj uważnie, mówi on. Tę zaginioną dziewczynę, Irmę Hanke, znajdziecie w dużym kufrze z niebieskiej skóry w przechowalni bagażu na Dworcu Zoo. Kto mówi, pytam, ale już się rozłączył.

– Możecie opisać jego głos?

– Powiedziałbym, że to był głos kogoś wykształconego, panie komisarzu. Nawykłego do rozkazywania i posłuchu. Trochę jak oficer. – Pokręcił dużą głową. – Ale nie umiem powiedzieć, ile miał lat.

– Jakiś akcent?

– Ślad bawarskiego.

– Jesteście pewni?

– Jestem pewny. Nieboszczka żona pochodziła z Norymbergi.

– A jak byście opisali jego ton? Rozdrażniony? Zdenerwowany?

– Nie jak u czubka, jeśli o to chodzi. Zimny jak szczyzny Eskimosa na mrozie.

Mówiłem już, całkiem jak oficer.

– I chciał rozmawiać z oficerem dyżurnym?

– Tak dokładnie powiedział, panie komisarzu.

– Jakież odgłosy w tle? Ruch uliczny? Muzyka? Coś w tym rodzaju?

– Zupełnie nic.

– I coście zrobili potem? Po tym telefonie?

– Zadzwoiłem do operatorki w Centrali Głównej na Französische Strasse. Ustaliła, że telefonowano z budki przed Bahnhof West Kreuz. Wysłałem wóz patrolowy, żeby ją zamknęli, dopóki nie przyjedzie ekipa z 5D i nie sprawdzi dokładnie, czy są tam jakieś odciski palców.

– Dobra robota. I potem zawiadomiliście Deubla?

– Tak jest.

Skinałem głową i napocząłem drugą butelkę piwa.

– Rozumiem, że wy w Orpo wszystko już wiecie?

– Na początku zeszłego tygodnia von Schulenberg ściągnął na odprawę wszystkich hauptmannów. Potwierdzili to, co wielu z nas podejrzewało. Że na ulicach jest kolejny Gormann. Chłopaki kombinują, że dlatego pan do nas wrócił. Ta cywilbanda, którą teraz

mamy, nie umiałyby znaleźć kawałka węgla na hałdzie. Ale ta sprawa Gormanna to był kawał dobrej roboty.

– Dziękuję, Tanker.

– Ale wie pan co, panie komisarzu, ten sudecki czubek, któregoście zatrzymali, nie wygląda na sprawcę, co? Jeśli pan wybaczy.

– Ano nie wygląda, chyba że miał pod celą telefon. Mimo to zobaczymy, co powiedzą ludzie z przechowalni na Dworcu Zoo. Nigdy nie wiadomo, mógł mieć przecież wspólnika na zewnątrz.

– Co prawda, to prawda – zgodził się Tanker. – Wszystko jest w Niemczech możliwe, dopóki Hitler robi kupę w Kancelarii Rzeszy.

Kilka godzin później znów byłem na Dworcu Zoo, gdzie Korsch zdążył już rozdać zdjęcia kufra zebranych pracownikom przechowalni. Gapili się na nie, kręcili głowami, drapali się po zarośniętych podbródkach, ale żaden nie przypominał sobie, żeby ktoś zostawił skórzany niebieski kufer.

Najwyższy z nich, najwyraźniej kierownik, w najdłuższym fartuchu koloru khaki, podał mi zeszyt wyjęty spod obitej blachą lady.

– Przypuszczam, że zapisujecie tu nazwiska i adresy ludzi, którzy oddają wam bagaż – rzekłem bez wielkiego entuzjazmu. Zabójcy, którzy zostawiają swe ofiary w dworcowych przechowalniach, z reguły nie podają swoich prawdziwych danych.

Człowiek w fartuchu khaki wyszczerzył zepsute zęby, szerniały jak izolatory na drutach tramwajowych, spojrzał na mnie z dużą pewnością siebie i stuknął paznokciem w twardą oprawę rejestru.

– On tu będzie. Ten gość, co zostawił ten cholerny kufer.

Otworzył zeszyt, polizał palec, którego pies by nie dotknął, i zaczął przerzucać zatłuszczone kartki.

– Na kufrze na pańskim zdjęciu jest przyklejona karteczka – oznajmił. – A na karteczce jest numer, ten sam, co wypisany kredą na boku. I ten numer będzie w książce, a przy nim data, nazwisko i adres. – Przerzucił jeszcze kilka stron i przejechał po nich palcem.

– Proszę bardzo – powiedział. – Kufer zdeponowano tu w piątek, 19 sierpnia.

– Cztery dni po tym, jak zaginęła – mruknął cicho Korsch.

Mężczyzna przesunął palcem wzdłuż linii na sąsiednią stronę.

– Tu pisze, że kufer należy do Herr Heydricha, inicjał R., zamieszkałego na Wilhelmstrasse pod numerem 102.

Korsch parsknął śmiechem.

– Dziękuję – zwróciłem się do mężczyzny. – Bardzo nam pan pomógł.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedział z urazą i odszedł.

– Najwyraźniej ktoś ma poczucie humoru. – Uśmiechnąłem się do Korsch.

– Wspomni pan o tym w meldunku, panie komisarzu? – Korsch wyszczerzył zęby.

– To materialny dowód, prawda?

– Chodzi o to, że pan generał nie będzie zadowolony.

– Będzie się pokładał ze śmiechu, jak sądzę. Nie tylko nasz zabójca potrafi docenić dobry dowcip.

Zaraz po powrocie do Alex odebrałem telefon od kierownika wydziału VD1, sądowni, w której nominalnie służył Illmann. Rozmówca przedstawił się jako Hauptsturmführer doktor Schade i, jak było do przewidzenia, mówił unizonym tonem, niewątpliwie przekonany, że cieszę się względami generała Heydricha.

Herr Doktor powiadomił mnie, że ekipa techniczna zdjęła odciski palców z budki telefonicznej przy West Kreuz, skąd zabójca podobno dzwonił do Alex. Odciski zostały przekazane do wydziału dokumentacji. Co się tyczy kufra i jego zawartości, Schade był w kontakcie z Kriminalassistentem Korschem, którego zamierzał natychmiast poinformować, gdyby odkrył tam jakieś odciski.

Podziękowałem mu za telefon i przypomniałem, że moje dochodzenie musi mieć najwyższy priorytet i reszta będzie musiała poczekać.

Niecały kwadrans po tej rozmowie odebrałem kolejny telefon, tym razem z Gestapo.

– Tu Sturmbannführer Roth – powiedział rozmówca. – Sekcja 4B1. Komisarzu Günther, zakłóca pan przebieg bardzo ważnego śledztwa.

–4B1? Chyba nie znam takiego wydziału. Dzwoni pan z Alex?

– Mieścimy się przy Meinekestrasse, badamy przestępstwa katolickie.

– Obawiam się, że nic nie wiem o pańskim wydziale, Sturmbannführer. I nie mam ochoty wiedzieć. Niemniej, nie rozumiem, w jaki sposób mógłbym zakłócać jedno z waszych dochodzeń.

– Pozostaje faktem, że tak jest. To pan polecił Hauptsturmführerowi doktorowi Schade, by uznał pańskie śledztwo za priorytetowe w stosunku do wszystkich pozostałych?

– Tak jest.

– Ale pan, jako komisarz, powinien mieć świadomość, że kiedy chodzi o wykorzystanie VD1, Gestapo zawsze ma pierwszeństwo przed Kripo.

– Nic podobnego. A jakież to wielkie przestępstwo zostało popełnione, że śledztwo w sprawie morderstwa musi ustąpić przed pańskim wydziałem? Oskarżacie jakiegoś księdza o fałszywą transsubstancjację? Czy może ktoś próbował podawać wino mszalne jako krew Chrystusa?

– Pańskie dowcipy są absolutnie nie na miejscu, komisarzu – fuknął Roth. – Nasz wydział bada niezwykle ciężkie zbrodnie homoseksualizmu wśród duchownych.

– Coś takiego? No, to z pewnością dziś zasnę spokojniejszy. Niemniej jednak, moje dochodzenie uzyskało najwyższy priorytet z polecenia samego generała Heydricha.

– Wiedząc, jakie znaczenie generał przywiązuje do ścigania religijnych wrogów naszego państwa, z trudem daję temu wiarę.

– Proponuję zatem, by zadzwonił pan na Wilhelmstrasse i poprosił generała, by wyjaśnił to panu osobiście.

– Tak właśnie uczynię. Bez wątpienia będzie również bardzo zaniepokojony, słysząc, że lekceważy pan zagrożenie, jakie dla Niemiec stanowi spisek Trzeciej Międzynarodówki, która postanowiła zniszczyć ten kraj. Katolicyzm zagraża naszemu bezpieczeństwu nie mniej niż bolszewizm i wszechświatowe żydostwo.

– Zapomniał pan o kosmitach – powiedziałem. – Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, co pan powie generałowi. VD1 jest częścią Kripo, a nie Gestapo, i we wszystkich kwestiach związanych z tym śledztwem Kripo ma tam absolutne pierwszeństwo. Reichskriminaldirektor dał mi to na piśmie, jak również doktorowi Schade. Więc niech pan weźmie swoje tak zwane dochodzenie i wsadzi sobie w dupę. Odrobina gówna więcej nie wpłynie na smród, który pan wydziela.

Z trzaskiem odłożyłem słuchawkę. Mimo wszystko ta robota miała pewną wartość rozrywkową. Na przykład możliwość nasikania na buty Gestapo.

Prawo stanowi, że gospodarz lub właściciel hotelu w Berlinie musi w ciągu sześciu dni zgłosić dane każdego przybysza na posterunku policji. Dzięki temu Biuro Ewidencji Mieszkańców na Alexanderplatz za opłatą pięćdziesięciu fenigów jest w stanie podać adres każdego mieszkańca Berlina. Ludziom się wydaje, że jest to część wyjątkowych uprawnień nazistów, w rzeczywistości jednak takie prawo istnieje już od dłuższego czasu. Pruska policja

zawsze była niezwykle skuteczna.

Mój gabinet od Biura Ewidencji w pokoju 350 dzieliło zaledwie kilka pomieszczeń, toteż na korytarzu bez przerwy panował ruch i hałas, co zmuszało mnie do siedzenia przy zamkniętych drzwiach. Niewątpliwie umieszczono mnie tutaj również z innego powodu: żebym znalazł się możliwie jak najdalej od wydziału zabójstw. Przypuszczalnie chodziło o to, żebym nie narzucał swojej obecności innym pracownikom Kripo, których mógłbym zarazić anarchistycznym stosunkiem do procedur policyjnych. A może ktoś miał nadzieję, że duch niesubordynacji osłabnie we mnie, kiedy się go drastycznie złamie? Nawet w tak słoneczny dzień jak ten, mój gabinet sprawiał przygnębiające wrażenie. Oliwkowozielone metalowe biurko miało więcej ostrych kantów aniżeli drut kolczasty, a jego jedyną zaletą był fakt, że pasowało do wytartego linoleum i brudnych zasłon oraz ścian pożółkłych od tysięcy wypalonych tutaj papierosów.

Kiedy po godzinnej drzemce w swoim mieszkaniu dotarłem na miejsce i otworzyłem drzwi, moim oczom ukazał się Hans Illmann, cierpliwie czekający nad plikiem fotografii. Nie mogłem liczyć na to, że będzie przyjemnie, gdyż już teraz spotkanie zapowiadało się nieapetycznie. Pogratulowałem sobie zatem w duchu, że przewidując coś przedtem zjadłem, i usiadłem za biurkiem naprzeciw profesora.

– A więc tutaj cię ukryli – powiedział.

– To podobno stan przejściowy – odparłem. – Tak jak ja. Ale prawdę mówiąc, bardzo mi odpowiada, że nie rzucam się w oczy reszcie Kripo. To zmniejsza szansę, że zostanę tutaj na stałe. Prawdopodobnie im to również odpowiada.

– A wydawałoby się, że niepodobna, by mieszkaniec tego biurokratycznego lochu potrafił do tego stopnia zdenerwować całe dowództwo Kripo. – Illman zaśmiał się i gładząc podbródek, dodał: – Narobiliście strasznych kłopotów biednemu doktorowi Schade, ty i jakiś Sturmbannführer z Gestapo. Wydzwania do biedaka mnóstwo ważnych figur: Nebe, Müller, nawet Heydrich. Masz pewnie satysfakcję. No, nie wzruszaj tak skromnie ramionami. Naprawdę, Bernie, jestem pełen podziwu dla ciebie.

Otworzyłem szufladę i wyjąłem butelkę oraz dwie szklanki.

– Wypijmy za to – powiedziałem.

– Z przyjemnością. Miałem taki dzień, że chętnie wypiję jednego. – Z wdzięcznością przyjął szklankę i upił łyk. – Wiesz, nie miałem pojęcia, że w Gestapo jest specjalny wydział do prześladowania katolików.

– Ani ja. Ale muszę powiedzieć, że szczególnie mnie to nie dziwi. Narodowy socjalizm dopuszcza tylko jeden rodzaj wiary. – Skinąłem głową w stronę teczki na kolanach

Illmanna. – Więc co tam masz?

– Ofiarę numer pięć, oto, co tu mam. – Wręczył mi teczkę i zaczął skręcać sobie papierosa.

– Nieźle – pochwaliłem, przeglądając jej zawartość. – Twój człowiek robi ładne zdjęcia.

– Tak myślałem, że ci się spodobają. Szczególnie interesujące jest to, na którym widać gardło. Prawa tętnica szyjna została prawie całkowicie przecięta jednym, idealnie poziomym cięciem. To znaczy, że ofiara leżała wtedy płasko na wznak. Niemniej większa część rany znajduje się po prawej stronie, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa nasz sprawca jest praworęczny.

– Musiał mieć świetny nóż – zauważyłem, patrząc na głębokość rany.

– Tak, przeciął krtań prawie do końca. – Polizał bibułkę. – Jakieś niezwykle ostre narzędzie, jak łyżeczka chirurgiczna. Równocześnie została zmiażdżona nagłośnia, a z prawej strony, pomiędzy nią i przełykiem, znalazłem wylewy wielkości pestek pomarańczy.

– Uduszona?

– Dokładnie tak. – Illmann uśmiechnął się szeroko. – Właściwie podduszona. W płucach, oprócz powietrza, było trochę krwi.

– Więc przydusił ją, żeby milczała, a potem podciął jej gardło.

– Wykrwawiła się na śmierć, wisząc głową w dół jak zarżnięte ciele. Tak jak pozostałe. Masz zapalną?

Rzuciłem pudełko na stół.

– A jej istotne dziurki? Wydupczył ją?

– Wydupczył i przy okazji trochę poszarpał. Cóż, tego się należało spodziewać. Dziewczyna była dziewicą, jak można się domyślać. Na śluzówce są nawet ślady jego paznokci. Ale, co chyba ważniejsze, znalazłem kilka obcych włosów łonowych i nie chcę przez to powiedzieć, że zaimportowano je z Paryża.

– Masz kolor tych włosów?

– Brązowe. O odcień nie pytaj, nie mogę być aż tak dokładny.

– Ale jesteś pewien, że nie należały do Armii Hanke?

– Stuprocentowo. Na jej cudnej jasnowłosej aryjskiej cipce rzucały się w oczy jak gówna w cukiernicy. – Odchylił się na krześle i wydmuchnął dym nad głowę. – Chcesz, żebym porównał je z próbkami od twojego Czecha?

– Nie. Zwolniłem go przed obiadem. Jest czysty. I tak się składa, że ma jasne włosy. – Przerzuciłem maszynopis raportu z sekcji. – To tyle?

– Niezupełnie. – Zaciągnął się i zmiażdżył skręta w popielniczce. Z kieszeni tweedowej myśliwskiej kurtki wyciągnął złożoną na czworo stronicę gazety, którą rozprostował na stole. – Pomyślałem, że powinieneś to zobaczyć.

Była to pierwsza strona starego egzemplarza „Der Stürmer”, antysemickiego pisma Juliusa Streichera. Ukośny nagłówek w lewym górnym rogu zachwalał ten numer jako „specjalne wydanie o mordzie rytualnym”. Całkiem niepotrzebnie: czarno-biały rysunek piórką był dostatecznie wymowny. Osiem nagich, jasnowłosych młodych Niemek wisiało głowami w dół z poderżniętymi gardłami, podczas gdy ich krew spływała do dużej tacy komunijnej, trzymanej przez karykaturalnie brzydkiego Żyda.

– Interesujące, nie sądzisz?

– Streicher bez przerwy publikuje takie gówna – powiedziałem. – Nikt nie traktuje tego poważnie.

Illmann pokręcił głową i w ostatniej chwili uratował swojego skręta, który niemal wypadł mu z ust.

– Ani przez chwilę nie twierdzą, że ktoś powinien się tym przejmować. W mord rytualny wierzę mniej więcej tak samo jak w Adolfa Hitlera Piewcę Pokoju.

– Z drugiej strony mamy ten rysunek, prawda? – Przytaknął. – Przedstawiający coś zastanawiająco podobnego do metody, według której zabito już pięć niemieckich dziewcząt. – Znów przytaknął.

Spojrzałem na towarzyszący ilustracji artykuł u dołu strony i przeczytałem: – „Oskarżamy Żydów o to, że zwabiają chrześcijańskie dzieci i dorosłych, podcinają im gardła i wytaczają z nich krew. Oskarżamy ich o to, że dodają tę krew do macy i używają jej do zabobonnych praktyk. Oskarżamy ich o to, że torturują swoje ofiary, w szczególności dzieci, a podczas tych tortur wznoszą groźne okrzyki i rzucają na chrześcijan klątwy oraz uroki magiczne. To planowe zabijanie ma swoją nazwę. Nazywa się mord rytualny”. Sugerujesz, że Streicher ma coś wspólnego z tymi zabójstwami?

– Nie wiem, Bernie, czy coś sugeruję. Po prostu uznałem, że zwrócę ci na to uwagę. – Wzruszył ramionami. – Ale dlaczego nie? W końcu nie byłby to pierwszy Gauleiter okręgu, który popełnił przestępstwo. Pamiętasz gubernatora Kube z Kurmarku?

– Wiele historii krąży o tym Streicherze – mruknąłem.

– W każdym innym kraju taki Streicher siedziałby już dawno w więzieniu.

– Mogę to zatrzymać?

– Ależ proszę bardzo. To nie jest coś, co bym chętnie oglądał przy porannej kawie. – Zgasił kolejnego papierosa i wstał. – Co zamierzasz?

– W sprawie Streichera? Nie bardzo wiem. – Spojrzałem na zegarek. – Pomyślę o tym po oficjalnym rozpoznaniu zwłok. Becker właśnie tu jedzie z rodzicami dziewczyny. Lepiej zejdźmy do kostnicy.

Coś, co powiedział mi wcześniej Becker, utkwilo mi w pamięci do tego stopnia, że kiedy Herr Hanke dokonał rozpoznania zwłok swojej córki, postanowiłem sam odwiedzić jego wraz z żoną do domu.

– Nie po raz pierwszy przynoszę jakiejś rodzinie złe wiadomości – brzmiały słowa Beckera. – Przedziwne, ale zauważyłem, że zazwyczaj do końca nie tracą nadziei, chwytają się byle czego. Trzeba im powiedzieć wprost, żeby naprawdę do nich dotarło. I wie pan, często matka od razu się załamuje. Ale tych dwoje zareagowało jakoś inaczej. Trudno mi to określić, panie komisarzu, ale odniosłem wrażenie, jakby się tego spodziewali.

– Po czterech tygodniach czekania? Dajcie spokój, może po prostu pogodzili się z faktem i tyle.

Becker zmarszczył brew i podrapał się w czubek rozczochranej głowy.

– Nie, panie komisarzu – rzekł powoli – to było coś więcej. Jakby już mieli pewność. Przepraszam, nie wyjaśniam tego zbyt dobrze. Może w ogóle nie powinienem o tym wspominać? Może coś sobie wyobraziłem?

– Wierzycie w instynkt?

– Chyba tak.

– To dobrze. Czasami instynkt to wszystko, co pozostaje dobremu gliniarzowi. I wtedy nie ma wyboru, trzeba mu zaufać. Gliniarz, który nie jest gotów od czasu do czasu zaufać swoim przeczuciom, nigdy niczego nie zaryzykuje. A kto nie ryzykuje, ten nigdy nie rozwiąże porządnie żadnej sprawy. Nie, zrobiliście słusznie, żeście mi powiedzieli.

Teraz, kiedy jechaliśmy na południowy zachód do Steglitz, siedzący obok mnie Herr Hanke, księgowy w fabryce AEG na Seestrasse, bynajmniej nie wyglądał na pogodzonego ze śmiercią córki. Nie lekceważyłem jednak słów Beckera; starałem się nie uprzedzać, tylko sam wyrobić sobie zdanie.

– Irma była taka inteligentna – rozpaczliwie powtarzał Hanke. Mówił z akcentem z Nadrenii, a jego głos do złudzenia przypominał głos Goebbelsa. – Taka inteligentna! Została w szkole, chciała zdać dużą maturę, bardzo jej na tym zależało! Nie była kujonką, po prostu bystrą dziewczyną i do tego ładną. Uprawiała sport, dopiero co zdobyła Odznakę Sportową Rzeszy i kartę pływacką. Nigdy nie wyrządziła nikomu żadnej krzywdy. Kto mógł zrobić coś

takiego, panie komisarzu? – głos mu się załamał. – Kto mógł zabić moją Irmę?

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć – odparłem. Ale siedząca z tyłu żona Hankego znała już teraz odpowiedź.

– To przecież oczywiste, kto za to odpowiada! – sarknęła. – Moja córka była grzeczną dziewczyną z BDM-u. Pochwalono ją na zajęciach z teorii rasowej jako doskonały przykład aryjskiego typu. Znała pieśni Horsta Wessela, mogła cytować wielkie dzieło Hitlera całymi stronicami. Więc jak się panu zdaje, kto chciałby ją zabić, jak nie Żydzi? I na dodatek była dziewczicą! Kto oprócz Żydów mógł jej zrobić coś takiego?

Herr Hanke odwrócił się i wziął żonę za rękę.

– Silke, kochanie, tego jeszcze nie wiemy – powiedział. – Prawda, panie komisarzu?

– Moim zdaniem to mało prawdopodobne.

– Widzisz, Silke? Pan komisarz w to nie wierzy i ja też nie.

– Swoje wiem – wysyczała. – Obaj się mylicie. To się rzuca w oczy jak nos na żydowskiej gębie. Kto, jak nie Żydzi? Nie widzicie, jakie to oczywiste?

– Zarzut mordu rytualnego pojawia się natychmiast, w każdym miejscu na świecie, kiedy ktoś znajdzie ciało noszące pewne ślady. I zawsze podnoszony jest wyłącznie przeciwko Żydom. – Przypomniał mi się „Der Stürmer” i artykuł, który miałem w kieszeni; i gdy tak słuchałem tyrad pani Hanke, przyszło mi do głowy, że ona ma rację, tyle że nawet sobie nie wyobraża, dlaczego.

czwartek, 22 września

Rozległ się przeraźliwy gwizdek, pociąg szarpnął i wolno ruszył z dworca Anhalter, skąd udawaliśmy się w sześciogodzinną podróż do Norymbergi. Korsch, jedyny poza mną pasażer w przedziale, zdążył się już zagłębić w lekturze gazety.

– Cholera – wykrzyknął nagle – proszę posłuchać! Piszą, że sowiecki minister spraw zagranicznych, Maksim Litwinow, oświadczył przed zgromadzeniem Ligi Narodów w Genewie, że jego rząd jest gotów wypełnić zobowiązania wynikające z traktatu sojuszniczego z Czechosłowacją, i że ZSRR zaproponuje pomoc wojskową, kiedy tylko Francja wystąpi z podobną ofertą. Chryste, wtedy naprawdę będziemy mieli za swoje! Wojna na dwóch frontach!

Stęknąłem. Możliwość, że Francuzi stawiają Hitlerowi realny opór, wydała mi się równie nieprawdopodobna jak to, że wprowadzą u siebie prohibicję. Litwinow starannie dobierał słowa. Nikt nie chciał wojny. To znaczy nikt oprócz Hitlera. Hitlera syfilityka.

Wróciłem myślami do spotkania, które w zeszły wtorek odbyłem w instytucie Göringa z Frau Kalau von Hofe.

– Przyszedłem oddać pani książki – wyjaśniłem. – Praca profesora Berga była szczególnie interesująca.

– Miło mi, że jest pan tego zdania – odrzekła. – A jak lektura Baudelaire’a?

– Podobnie, chociaż jego poezja chyba bardziej odnosi się do dzisiejszych Niemiec. Zwłaszcza wiersz zatytułowany *Spleen*.

– Może już jest pan gotów na Nietzschego – powiedziała, odchylając się na krześle.

Było to przyjemnie umeblowane, widne biuro z widokiem na zoo. Z oddali, ledwie słyszalne, dobiegały ciche wrzaski małp.

Uśmiech nie schodził jej z warg. Była atrakcyjniejsza, niż zapamiętałem. Wziąłem do ręki fotografię stojącą na biurku, i przyjrzałem się przystojnemu mężczyźnie i dwóm chłopczykom.

– Pani rodzina?

– Tak.

– Pewnie jest pani bardzo szczęśliwa. – Odstawiłem zdjęcie na miejsce. – Nietzsche – wróciłem do tematu. – No, nie wiem. Widzi pani, właściwie marny ze mnie czytelnik. Nie bardzo znajduję na to czas. Ale sprawdziłem ten fragment w *Mein Kampf*, dotyczący chorób wenerycznych. Nadmieniam, że musiałem cegłą zablokować okno łazienki w pozycji otwartej. – Zaczęła coś mówić, ale uniosłem rękę. – Wiem, wiem, pani nic nie mówiła. Po prostu przytoczyła pani to, co Führer napisał w swoim cudownym utworze. Nie dokonała pani na tej podstawie psychoterapeutycznej analizy jego osobowości.

– Właśnie.

Usiadłem po drugiej stronie biurka i popatrzyłem na nią.

– Ale byłoby to możliwe?

– O tak, oczywiście.

Wręczyłem jej stronę z „Der Stürmer”.

– W tym wypadku też?

Spojrzała na mnie spokojnie, po czym otworzyła papierośnicę. Poczestowałem się i przypaliłem nam obojgu.

– Pyta pan oficjalnie? – zapytała.

– Nie, jasne, że nie.

– Powiedziałabym więc, że to jest możliwe. Więcej, powiedziałabym, że „Der Stürmer” jest dziełem nie jednej, lecz kilku zaburzonych osobowości. Te tak zwane artykuły redakcyjne, te ilustracje Fipsa... Bóg jeden wie, jak takie świństwo oddziałuje na ludzi.

– Mogłaby pani trochę poteoretyzować? Na temat tego oddziaływania.

Ściągnęła piękne usta.

– Trudno ocenić – rzekła po chwili. – Niewątpliwie takie rzeczy, regularnie przyswajane, mogą być szkodliwe dla słabszych osobowości i prowadzić do ich zepsucia.

– Dostatecznie szkodliwe, by zamienić człowieka w mordercę?

– Nie – powiedziała. – Nie sądzę. Normalnego człowieka to nie zepsuje. Ale na kogoś, kto już ma mordercze skłonności, takie teksty i rysunki mogą wywrzeć przemożny wpływ. Jak pan zapewne już wie po lekturze Berga, sam Kürten był zdania, że kryminalne reportaże bardziej nieobyczajnego typu mocno na niego oddziaływały.

Szelest jej pończoch, gdy zakładała nogę na nogę, kazał mi myśleć o ich mankietach, o podwiązkach i wreszcie o koronkowym rajgu, który wyobrażałem sobie wyżej. Poczulem skurcz brzucha na myśl, że wsuwam dłoń pod jej spódnice i widzę ją rozebraną do naga, a przecież nadal mówiącą do mnie w inteligentny sposób. Gdzie właściwie zaczyna się

zepsucie?

– Rozumiem – powiedziałem. – A jaka byłaby pani zawodowa opinia o człowieku, który publikuje takie historie? Mam na myśli Juliusa Streichera.

– Taki poziom nienawiści niemal na pewno świadczy o poważnym niezrównoważeniu umysłowym. – Urwała na chwilę. – Mogę panu powiedzieć coś w zaufaniu?

– Naturalnie.

– Pan wie, że Matthias Göring, prezes mojego instytutu, jest krewnym premiera?

– Tak.

– Streicher wypisuje mnóstwo jadowitych bzdur. Jego zdaniem medycyna, a zwłaszcza psychoterapia, to żydowski spisek. Przez chwilę z jego powodu przyszłość zdrowia psychicznego w tym kraju była zagrożona. Doktor Göring ma zatem doskonały powód, by życzyć sobie usunięcia Streichera, i na polecenie premiera przygotował już jego ocenę psychologiczną. Z absolutną pewnością mogę zagwarantować, że nasz instytut będzie współpracował przy każdym śledztwie, które go dotyczy.

Wolno pokiwałem głową.

– Prowadzi pan śledztwo w sprawie Streichera?

– W zaufaniu?

– Oczywiście.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Na razie powiedzmy jedynie, że budzi on moją ciekawość.

– Chce pan, żebym poprosiła doktora Göring o pomoc?

Pokręciłem głową.

– Nie na tym etapie. Ale dzięki za propozycję. Na pewno wezmę ją pod uwagę. – Wstałem i podszedłem do drzwi. – Założę się, że jest pani dobrego zdania o premierze, choćby ze względu na to, że jest patronem instytutu. Mam rację?

– Był dla nas dobry, to prawda. Bez jego pomocy nie jestem pewna, czy w ogóle istniałby jakiś instytut. Naturalnie, że go wysoko cenimy.

– Proszę nie sądzić, że panią o coś oskarżam, w żadnym razie. Ale czy kiedyś pomyślała pani o tym, że ten wasz dobrodziej nie będzie miał najmniejszych skrupułów, żeby pójść i nasrać do cudzego ogródka, tak jak Streicher sra do waszego? Według mnie wszyscy żyjemy w parszywej okolicy i wszyscy będziemy wdeptywać w gówno do chwili, aż ktoś rozsądny wyłapie bezpańskie psy i pozamyka je w publicznej psiarni. – Skłoniłem się, dotykając palcem runda kapelusza. – Proszę się nad tym zastanowić.

Korsch wciąż czytał gazetę, w roztargnieniu kręcąc wąsa. Przypuszczalnie zapuścił je, usiłując dodać sobie charakteru, tak jak niektórzy mężczyźni zapuszczają brody: nie dlatego, że nie lubią się golić – broda wymaga tyle samo pielęgnacji, co gładko wygolona twarz – ale dlatego, że sądzą, iż w ten sposób nadadzą sobie wygląd ludzi, których należy traktować poważnie. Ale wąsik Korsch, właściwie cienka kreszczka pod nosem, tylko podkreślał jego chytrą powierzchowność. Wyglądał z nim jak alfons, co kłóciło się z jego usposobieniem, gdyż, jak odkryłem przez niecałe dwa tygodnie znajomości, był to człowiek chętny do pracy i godny zaufania.

Widząc, że mu się przyglądam, uznał za stosowne mnie powiadomić, iż polski minister spraw zagranicznych, Józef Beck, domaga się rozwiązania kwestii mniejszości polskiej na czechosłowackim Zaolziu.

– Niezła banda gangsterów, co, panie komisarzu? – zauważył. – Każdy chce wyrwać coś dla siebie.

– Korsch – powiedziałem – minęliście się z powołaniem. Powinniście czytać wiadomości w radiu.

– Przepraszam, panie komisarzu. – Speszył się i złożył gazetę. – Był pan już kiedyś w Norymberdze?

– Raz. Tuż po wojnie. Jednak nie mogę powiedzieć, żeby Bawarczycy specjalnie mi się podobali. A wy?

– To mój pierwszy raz. Ale rozumiem, co pan ma na myśli z tymi Bawarczykami. Ten ich cudaczny konserwatyzm. To straszna bzdura, prawda? – Przez chwilę patrzył przez okno na niemiecki pejzaż, który zmieniał się jak w kinie. Następnie znów odwrócił się ku mnie i zapytał: – Panie komisarzu, naprawdę pan sądzi, że Streicher ma coś wspólnego z tymi zabójstwami?

– W tej sprawie nie cierpimy na nadmiar tropów, prawda? Nie wygląda też na to, by Gauleiter Frankonii cieszył się, by tak rzec, popularnością. Arthur Nebe posunął się wręcz do stwierdzenia, że Julius Streicher jest jednym z największych przestępców Rzeszy, przeciwko któremu toczy się kilka dochodzeń. Zależało mu, abyśmy osobiście porozmawiali z komendantem policji w Norymberdze. Podobno on i Streicher nie darzą się sympatią. Ale równocześnie musimy być niezwykle ostrożni. Streicher rządzi swoim dystryktem niczym chiński bonza. Nie wspominając już o tym, że jest na ty z Führerem.

Na stacji w Lipsku do naszego przedziału wsiadł młody dowódca kompanii sił morskich SA, a ja i Korsch udaliśmy się na poszukiwanie wagonu restauracyjnego. Zanim

skończyliśmy jeść obiad, pociąg dojechał już do miejscowości Gera nad granicą z Czechosłowacją, gdzie nasz towarzysz z SA opuścił przedział, jednak nigdzie nie dostrzeżliśmy ani śladu tak nagłośnionej koncentracji wojsk. Korsch wystąpił z tezą, iż obecność marynarza z SA oznacza, że należy się spodziewać ataku przy użyciu amfibii, który – co do tego byliśmy zgodni – byłby najkorzystniejszy dla wszystkich zainteresowanych, zważywszy na to, że granica przebiegała tu głównie przez tereny górskie.

Kiedy pociąg wjechał na Haupt Station w Norymberdze, zapadał już wieczór. Pod dworcem, przy konnym pomniku jakiegoś arystokraty, złapaliśmy taksówkę, która powiozła nas na wschód ulicą Frauentorgraben, równoległą do murów starego miasta. Nad tymi prawie ośmiometrowej wysokości murami, w pewnych odstępach wznoszą się kwadratowe wieże. Olbrzymie średniowieczne fortyfikacje z wielką, suchą, porośniętą trawą fosą szerokości trzydziestu metrów, oddzielają starą Norymbergę od nowej części miasta, która nad podziw nienatrzętnie rozciąga się po ich drugiej stronie.

Z okien naszego hotelu, Deutscher Hof, jednego z najstarszych i najlepszych w mieście, roztaczał się wspaniały widok na strome, spiętrzone staromiejskie dachy i zastępy wysokich kominów za murami.

Na początku osiemnastego wieku Norymberga, największe miasto starego królestwa Frankonii, stanowiła główny ośrodek handlu na szlaku prowadzącym z Niemiec do Wenecji i dalej na Wschód. Wciąż jeszcze uchodziła za największe miasto przemysłowe i handlowe południowych Niemiec, lecz nowego znaczenia nabrała przede wszystkim jako stolica narodowego socjalizmu. Co roku odbywały się tutaj wielkie wiece partyjne, których pomysł zrodził się w głowie architekta Hitlera, Alberta Speera.

Przy całej troskliwości nazistów, nie trzeba było jechać do Norymbergi, aby obejrzeć jedną z owych wyreżyserowanych imprez; we wrześniu ludność kraju masowo unikała chodzenia do kina w obawie, że będzie musiała przeczekiwać niekończące się kroniki filmowe, które właściwie nie pokazywały nic innego.

Powiadano, że czasem nawet sto tysięcy ludzi gromadziło się na Zeppelinfeld, aby pomachać flagą narodową. Norymberga, podobnie jak inne znane mi bawarskie miasta, nigdy nie obfitowała w prawdziwą rozrywkę.

Spotkanie z Martinem, komendantem norymberskiej policji, wyznaczono nam dopiero nazajutrz o dziesiątej rano, toteż poczuliśmy się z Korschem zobowiązani znaleźć sobie na wieczór jakiegokolwiek zajęcie – zwłaszcza, że rachunek pokrywało dowództwo Kripo. Dla Korsch'a sama myśl o tym stanowiła nie lada atrakcję.

– Wcale nieźle – powtarzał z entuzjazmem. – Nie tylko Alex zapłaci za mój pobyt w

klawym hotelu, to jeszcze dostanę za nadgodziny.

– Cieszcie się, póki można – doradziłem. – Nieczęsto ludzie tacy jak my mogą uchodzić za partyjnych dygnitarzy. A jeśli Hitler zrobi swoją wojenkę, niewykluczone, że to wspomnienie będzie musiało nam wystarczyć na długo.

Sądząc z wyglądu, bary w Norymberdze niegdyś służyły głównie za siedziby pomniejszych cechów rzemieślniczych. Pełno w nich było militariów i innych pamiątek przeszłości; ściany zdobiły stare obrazy i osobliwe przedmioty, zbierane przez pokolenia właścicieli, dla nas wszakże mniej interesujące aniżeli tablice logarytmiczne. Ale przynajmniej piwo podawano tu dobre – tyle zawsze da się powiedzieć o Bawarii – a w Blaue Flasche na Hallplatz, gdzie wylądowaliśmy na kolacji, jedzenie było nawet lepsze.

Po powrocie do Deutscher Hof postanowiliśmy wstąpić na koniak do restauracji hotelowej, i tu naszym oczom ukazał się zdumiewający widok. Przy stoliku w rogu siedziały trzy bardzo pijane i hałaśliwe osoby: dwie blondynki o bezmyślnym wyrazie twarzy oraz – w jednorzędowym, jasnobrązowym mundurze politycznego przywódcy NSDAP – Gauleiter Frankonii Julius Streicher we własnej osobie.

Kelner, który przyniósł nam drinki, zapytany, czy istotnie osobnik w rogu to Julius Streicher, przytaknął z nerwowym uśmiechem, po czym oddalił się pospiesznie. Streicher z wrzaskiem zaczął się domagać następnej butelki szampana.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego Streicher wzbudzał taki strach. Stanowisko dawało mu ogromną władzę, lecz oprócz tego zbudowany był jak mistrz walki na gołe pięści. Pozbawiony szyi, łysy, z małymi uszami, niemal niewidocznymi brwiami i potężną szczęką przypominał bledszą wersję Benita Mussoliniego. Wrażenie mężczyzny pełnego agresji potęgował jeszcze ogromny bicz ze skóry nosorożca, który leżał przed nim na stole zwinięty niczym długi, czarny wąż.

Walnął pięścią w stół, aż szklanki i sztućce podskoczyły z głośnym brzękiem.

– Co, kurwa, trzeba zrobić, żeby ktoś, kurwa, człowieka tutaj obsłużył? – ryknął na całą salę. – Umieramy z pragnienia! – Wskazał palcem na innego kelnera. – Ty fiucie, mówiłem ci, żebyś nas, kurwa, pilnował! Jak, kurwa, zobaczysz pustą butelkę, masz natychmiast przynieść następną! Głupi jesteś, czy co? – Znów uderzył w stół pięścią ku wielkiej ucieście dziewczyn, które zanosły się piskliwym chichotem. Zrozumiałem, że próbują go skłonić, by również zaczął się śmiać ze swej złości.

– Kogoś panu przypomina? – zapytał Korsch.

– Ala Capone – rzekłem odruchowo, po czym dodałem: – Właściwie oni wszyscy przypominają mi Ala Capone. – Korsch roześmiał się głośno.

Sącząc brandy, przyglądaliśmy się przedstawieniu, które rozgrywało się przed naszymi oczami. Oto spełniły się nasze najśmielsze nadzieje, i to na samym początku wizyty! O północy oprócz nas w lokalu pozostał już tylko Streicher i jego towarzyszki. Pozostali goście wyszli, zrażeni nieustannymi przekleństwami Gauleitera. Inny kelner przyszedł sprzątnąć nasz stół i opróżnić popielniczkę.

– On zawsze jest taki nieznośny? – zagadnąłem.

– To? To jeszcze nic! – Gorzko zaśmiał się kelner. – Trzeba go było widzieć dziesięć dni temu, kiedy skończyły się te wszystkie wiece partyjne. Urządził tutaj istne piekło.

– No to dlaczego pozwalacie mu przychodzić? – zapytał Korsch.

Kelner spojrział na niego z politowaniem.

– Żartuje pan? Niech pan tylko spróbuje go powstrzymać! Deutscher to jego ulubiona knajpa! Gdybyśmy go wyrzucili, natychmiast znalazłby jakiś pretekst, by nas zamknąć! Kto wie, a może i co gorszego? Krążą słuchy, że często bywa w Pałacu Sprawiedliwości na Furtherstrasse i okłada batem młodych chłopaków w areszcie.

– No tak, za nic nie chciałbym być Żydem w tym mieście – powiedział Korsch.

– Żeby pan wiedział – burknął klener. – W zeszłym miesiącu podburzył motłoch, żeby podpalił synagogę.

Streicher zaczął śpiewać, akompaniując sobie na perkusji, czyli bębniąc nożem i widelcem w stół, z którego przewidująco usunięto obrus. Walił z całych sił, ryczał z fatalnym akcentem i straszliwie fałszował, nie mówiąc już o tym, że był kompletnie pijany, a jego panienki zanosily się piskiem i chichotem. Nie udało nam się rozpoznać piosenki, ale z pewnością nie był to utwór Kurta Weilla i odniosła ona tylko taki skutek, że obaj z Korschem wynieśliśmy się do łóżek.

Następnego ranka poszliśmy pieszo na pobliski Jacob Platz, znany ze wspaniałego kościoła oraz stojącej naprzeciwko fortecy, zbudowanej przez zakon krzyżacki. W południowo-wschodnim narożniku placu wznosi się zwieńczony kopułą masyw Elisabeth-Kirche; w południowo-zachodnim rozciąga się zespół starych koszar, obecnie komenda główna policji. O ile wiedziałem, była to jedyna komenda policji w całych Niemczech, która miała do dyspozycji własny kościół katolicki.

– W ten czy inny sposób zawsze wycisną z człowieka jakieś wyznanie – zażartował Korsch.

SS-Obergruppenführer doktor Benno Martin, między innymi następca Heinricha

Himmlera na stanowisku komendanta norymberskiej policji, przyjął nas w swoim okazałym gabinecie na najwyższym piętrze. Pomieszczenie wyglądało tak, że niemal oczekiwałem, iż Martin wystąpi z szablą w ręce; i w samej rzeczy, gdy odwrócił się bokiem, dostrzegłem na jego policzku szramę po pojedynku.

– Jak tam Berlin? – zapytał cicho, podsuwając nam papierośnicę. Swojego papierosa starannie osadził w podobnej do fajki cygarnicze z drewna różanego, utrzymującej go w pozycji pionowej.

– Spokojnie – odparłem. – Ale to dlatego, że wszyscy wstrzymali oddech.

– Właśnie – zgodził się, wskazując gestem rozłożoną na biurku gazetę. – Chamberlain poleciał do Bad Godesberg na kolejną rundę rozmów z Führerem.

Korsch przyciągnął gazetę ku sobie i zerknął na nagłówek. Następnie znów ją odsunął.

– Za dużo tego gadania, gdyby mnie kto pytał – powiedział Martin.

Odchrząknąłem niezobowiązująco.

Martin uśmiechnął się szeroko i wsparł na dłoni kwadratowy podbródek.

– Arthur Nebe mówił mi, że na ulicach Berlina grasuje psychopata, który gwałci i kosi kwiat niemieckiej młodzieży płci żeńskiej. Mówił także, iż wbiliście sobie do głowy, by przyjrzeć się z bliska najbardziej niesławnemu psychopacie w Niemczech, i sprawdzić, czy nie działa z tamtym ręką w rękę. Oczywiście chodzi o tę kupę gnoju Streichera. Mam rację?

Napotkałem jego zimne, przenikliwe spojrzenie. Byłem gotów się założyć, że generał też nie należał do świętoszków, ale Nebe opisał go jako niezwykle sprawnego administratora. W odniesieniu do szefa policji w nazistowskich Niemczech mogło to oznaczać dosłownie wszystko, z kimś w rodzaju Torquemady włącznie.

– Tak jest, panie generale – odparłem i pokazałem mu czołówkę „Der Stürmer”. – Oto ilustracja, która dokładnie pokazuje, jak zamordowano tych pięć dziewcząt. Oczywiście, nie licząc Żyda, który zbiera krew na tacę.

– Oczywiście. – Martin zgodził się. – Niemniej nie wykluczyliscie, że to Żydzi.

– Nie, ale...

– ...ale sama drastyczność przedstawienia metody zbrodni nasuwa wątpliwości co do ich udziału. Dobrze mówię?

– Owszem, to również, oraz fakt, że wśród ofiar nie ma żadnej Żydówki.

– Może on woli ładniejsze dziewczyny – zażartował Martin. – Może niebieskookie blondynki podobają mu się bardziej niż zdeprawowane żydowskie mieszańce. A może to tylko zbieg okoliczności. – Zauważył, że uniosłem brew. – Ale wy nie należycie do ludzi, którzy wierzą w zbieg okoliczności, prawda, komisarzu?

– Nie wtedy, gdy chodzi o morderstwo, panie generale. Tam, gdzie większość ludzi widzi przypadek, ja dostrzegam regułę. A przynajmniej próbuję. – Oparłem się wygodniej i założyłem nogę na nogę. – Czy zna pan prace Carla Junga na ten temat?

– Dobry Boże! – parsknął szyderczo. – Proszę, czym się dzisiaj zajmuje berlińskie Kripo!

– Pan wybaczy, panie generale, ale wydaje mi się, że byłby z niego dobry policjant – powiedziałem z uśmiechem.

– Oszczędźcie mi, proszę, wykładu z psychologii. – Martin westchnął. – Po prostu powiedzcie, jakaż to konkretna poszlaka sprawiła, że zajęliście się naszym ukochanym Gauleiterem tutaj, w Norymberdze.

– Chodzi o to, panie generale, że być może ktoś próbuje wpuścić Żydów w bardzo paskudne szambo.

Teraz generał uniósł brew.

– Naprawdę obchodzi was los Żydów?

– Panie generale, najbardziej mnie obchodzi los piętnastoletnich dziewcząt, które dzisiaj wracają ze szkoły. – Wręczyłem Martinowi kartkę maszynopisu. – Tu są daty zniknięcia tych dziewczyn. Miałem nadzieję, że pan zdoła mi powiedzieć, czy w tym czasie Streicher lub któryś z jego współpracowników przebywał w Berlinie.

Martin przeleciał wzrokiem kartkę.

– Chyba jestem w stanie to sprawdzić – przyznał. – Od razu natomiast mogę wam powiedzieć, że on jest tam nieomal *persona non grata*. Hitler zesłał go do nas, żeby mu nie szkodził, bo w tym mieście Streicher nie drażni nikogo, kto by cokolwiek znaczył. Jestem tego najlepszym przykładem. Rzecz jasna, to nie oznacza, że Streicher czasem potajemnie nie bywa w Berlinie. Jak najbardziej. Führer lubi sobie z nim pogadać po obiedzie, chociaż nie pojmuję dlaczego, bo najwyraźniej lubi również pogadać ze mną.

Sięgnął do jednego z telefonów stojących na stoliku obok biurka, i polecił adiutantowi sprawdzić, gdzie przebywał Streicher we wskazanych przeze mnie dniach.

– Dano mi również do zrozumienia, że posiada pan pewne informacje dotyczące przestępczej działalności Streichera – powiedziałem.

Martin wstał i podszedł do szafki na akta. Śmiejąc się bezgłośnie, wyjął z niej teczkę wielkości pudełka od butów i położył ją na biurku.

– Nie ma nic, czego bym nie wiedział o tym skurwysynu – warknął. – Esesmani z jego obstawy to moi ludzie. Jego telefon jest na podsłuchu, we wszystkich mieszkaniach ma założone mikrofony. Mój fotograf czuwa nawet w sklepie naprzeciw lokalu zajmowanego

przez prostytutkę, którą Streicher czasem odwiedza.

Korsch wymruczał pod nosem przekleństwo, świadczące tyleż o podziwieniu, co o zaskoczeniu.

– No, to od czego chcecie zacząć? To, co ten skurwiel wyprawia w tym mieście, to robota dla całego wydziału. Oskarżenia o gwałty, sprawy o ustalenie ojcostwa, napaści na chłopców z użyciem tego bicia, którym wciąż wymachuje, przekupywanie urzędników państwowych, przywłaszczanie funduszy partyjnych, oszustwa, kradzieże, fałszerstwa, podpalenia, wymuszenia... Mówimy o gangsterze, proszę panów. O potworze, który na każdym kroku terroryzuje mieszkańców miasta, nigdy nie płaci rachunków, doprowadza firmy do bankructwa i niszczy kariery przyzwoitym ludziom za to, że odważyli się wejść mu w drogę.

– Mieliśmy okazję zobaczyć go w akcji na własne oczy – powiedziałem. – Wczoraj wieczorem w Deutscher Hof. Chłął z dwiema paniami.

Generał spojrział na mnie wzgardliwie.

– Paniami? Naturalnie żartujecie sobie. Z pewnością były to zaledwie zwykłe prostytutki. Przedstawia je jako aktorki, ale to prostytutki, nic więcej. Zorganizowana prostytutka w tym mieście to przede wszystkim dzieło Streichera.

Otworzył pudło kartotekowe i zaczął przerzucać zgłoszenia o przestępstwach.

– Czyny lubieżne, uszkodzenia ciała, setki oskarżeń o korupcję... Streicher rządzi Norymbergą jak udzielnym księstwem i uchodzi mu to na sucho.

– Zarzuty gwałtu brzmią ciekawie – powiedziałem. – Co się z nimi stało?

– Brak dowodów. Ofiary zastraszone albo przekupione. Jak pewnie wiecie, Streicher jest bardzo bogatym człowiekiem. Całkiem niezależnie od tego, co dostaje jako gubernator okręgu, sprzedając przysługi, a nawet posady, zarabia też fortunę na tej swojej parszywej gazecie. Pół miliona nakładu po trzydzieści fenigów za egzemplarz daje sto pięćdziesiąt tysięcy marek tygodniowo. – Korsch aż gwizdnął. – I to nie licząc tego, co ma z reklam. O tak, Streicher może sobie kupić całe mnóstwo korzyści.

– Coś poważniejszego niż oskarżenia o gwałt?

– Pytacie, czy kogoś zamordował?

– Tak.

– No więc, nie będziemy mówić o Żydach, linczowanych od czasu do czasu. Streicher lubi sobie niekiedy zorganizować pogromik, bo poza wszystkim innym, może się wtedy dodatkowo nachapać. I nie będziemy zajmować się dziewczyną, która umarła w jego domu z rąk pokątnego fabrykanta aniołków; Streicher nie byłby pierwszym partyjnym dygnitarzem,

załatwiający nielegalną aborcję. Zostają nam dwa nierozwiązane zabójstwa, w których z całą pewnością maczał palce. Pierwsza ofiara to kelner na wydawanym przez Streichera przyjęciu, który podobno właśnie wtedy postanowił popełnić samobójstwo. Świadek widział, jak Streicher szedł gdzieś z tym kelnerem, a niecałe dwadzieścia minut później znaleziono faceta utopionego w stawie. Druga to młoda aktorka, znajoma Streichera, której nagie ciało odkryto w parku Luitpoldhain. Została zachłostana na śmierć skórzanym biczem. Widziałem jej zwłoki. Nie został na niej nawet kawałek skóry.

Usiadł najwyraźniej usatysfakcjonowany wrażeniem, jakie jego relacja wywarła na mnie i Korsch. Nie potrafił się jednak powstrzymać, żeby nie dodać kilku drastycznych szczegółów.

– No i jest jeszcze należąca do Streichera kolekcja pornografii, podobno największa w Norymberdze, jak się przechwała. Przechwałki wychodzą mu najlepiej: ile nieślubnych dzieci spłodził, ile erotycznych snów miał w tym tygodniu, ilu tego dnia chłopców wychłostał. Wspomina o tym nawet, przemawiając publicznie.

Pokręciłem głową i usłyszałem, że wzdycham. Jak to się stało, że doszło do czegoś takiego? W jaki sposób sadystyczny potwór w rodzaju Streichera trafił na stanowisko, dające mu absolutną władzę? I ilu było innych, podobnych do niego? Być może jednak najbardziej zaskakujący był fakt, że wciąż jeszcze dziwiło mnie to, co się działo w Niemczech.

– A współpracownicy Streichera? – zapytałem. – Dziennikarze „Der Stürmer”, personel osobisty? Jeśli Streicher próbuje zwalić kolejną rzecz na Żydów, to może do brudnej roboty wykorzystuje kogoś innego?

Generał Martin się skrzywił.

– Tak, ale dlaczego w Berlinie? Dlaczego nie tutaj?

– Przychodzi mi do głowy kilka powodów – odparłem. – Kto w Berlinie jest jego głównym wrogiem?

– Jest z czego wybierać, wyjąwszy Hitlera i być może jeszcze Goebbelsa. Przede wszystkim Göring. A potem Himmler i Heydrich.

– Czułem, że pan tak powie. Więc to jest pierwszy powód. Pięć nierozwiązanych morderstw w Berlinie stanowi straszliwą kompromitację dla co najmniej dwóch jego nieprzyjaciół.

Kiwnął głową.

– A wasz drugi powód?

– W Norymberdze prześladowanie Żydów należy do tradycji – powiedziałem. – Pogromy tutaj to nic nadzwyczajnego. Ale Berlin wciąż traktuje Żydów względnie liberalnie.

Więc gdyby Streicher całą winą za te zbrodnie obciążył żydowską społeczność Berlina, to utrudniłby im życie również tam. A być może także Żydom w całych Niemczech.

– Może i coś w tym jest – przyznał Martin, biorąc następnego papierosa i wciskając go w swoją dziwną cygarniczkę. – Ale zorganizowanie takiego dochodzenia trochę potrwa. Naturalnie zakładam, że Heydrich gwarantuje pełną współpracę ze strony Gestapo. To co, komisarzu, sądzę, że uzasadniony jest najwyższy poziom inwigilacji, czyż nie?

– Z pewnością tak właśnie napiszę w raporcie, panie generale.

Zadzwoił telefon. Martin odebrał i po chwili wręczył mi słuchawkę.

– Berlin – oznajmił. – Do was.

Dzwonił Deubel.

– Zaginęła kolejna dziewczyna – powiedział.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem około 21:00. Blondynka, niebieskie oczy, w tym samym wieku co poprzednie.

– Żadnych świadków?

– Jak dotąd, nie.

– Wracamy popołudniowym pociągiem.

Oddałem słuchawkę Martinowi.

– Wygląda na to, że nasz zabójca znów się wczoraj zakrzętnął – wyjaśniłem. – Zniknęła kolejna dziewczyna, i to akurat wtedy, kiedy siedzieliśmy z Korschem w restauracji Deutscher Hof, dostarczając Streicherowi alibi.

Martin pokręcił głową.

– To byłby nadmiar szczęścia, gdyby Streichera nie było w Norymberdze we wszystkich podanych przez was terminach – westchnął. – Ale nie poddawajcie się. Kto wie, może jeszcze uda się ustalić, że coś łączy Streichera lub jego współpracowników z tą sprawą. Coś, co przekona i was, i mnie, nie mówiąc już o tym waszym Jungu.

sobota, 24 września

Steglitz w południowo-zachodnim Berlinie to zamożne przedmieście, zamieszkane przez klasę średnią. Jego wschodnią granicę wyznacza zbudowany z czerwonej cegły ratusz, zachodnią – Ogród Botaniczny. Właśnie tu, w pobliżu Muzeum Botanicznego i Instytutu Fizjologii Roślin, mieszkała Frau Hildegard Steininger i jej dwoje dzieci, czternastoletnia Emmeline i dziesięcioletni Paul.

Herr Steininger, który zginął niedawno w wypadku samochodowym, był zdolnym urzędnikiem bankowym w Privat Kommerz. Należał do ludzi, którzy ubezpieczają się po same cebulki włosów, toteż pozostawił swej młodej wdowie wygodne, sześciopokojowe mieszkanie na Lepsius Strasse.

Apartament mieścił się na ostatnim piętrze czteropiętrowego budynku i miał aż trzy świetliki w suficie salonu oraz balkon z kutego żelaza, na który prowadziły niewielkie przeszklone drzwi. W całym tym jasnym, przestronnym, gustownie urządzonej mieszkaniu unosiła się aromatyczna woń świeżo parzonej kawy.

– Proszę wybaczyć, że każę pani jeszcze raz przez to przechodzić – powiedziałem. – Po prostu chcę się upewnić, że nic nie pominęliśmy.

Z westchnieniem usiadła przy kuchennym stole i otworzyła torebkę z krokodylej skóry, z której po chwili wyjęła zapalniczki w takim samym etui. Podałem jej ogień, obserwując lekkie napięcie na jej pięknej twarzy. Mówiła tak, jakby zbyt wiele razy powtarzała tę kwestię, by móc ją dobrze odegrać.

– W każdy czwartek wieczorem Emmeline chodzi na lekcje tańca do Herr Wiecherta w Poczdamie. Grosse Weinmeisterstrasse, jeśli chce pan znać adres. Lekcje zaczynają się o ósmej, więc Emmeline wychodzi z domu o siódmej, żeby zdążyć na pociąg ze stacji Steglitz, który jedzie trzydzieści minut, z przesiadką chyba w Wannsee. No więc dziesięć po ósmej Herr Wiechert zadzwonił do mnie, żeby zapytać, czy Emmeline jest chora, bo się nie zjawiła.

Nalałem kawę do dwóch filiżanek, postawiłem je na stole i usiadłem.

– Ponieważ Emmeline nigdy, ale to przenigdy się nie spóźnia, poprosiłam Herr

Wiecherta, aby zadzwonił do mnie, kiedy tylko przyjdzie. I rzeczywiście zadzwonił, o ósmej trzydzięci, a także o dziewiątej, ale za każdym razem jedynie po to, by mi powiedzieć, że jeszcze jej nie ma. Poczekalam więc do wpół do dziesiątej i zawiadomiłam policję.

Uniosła filiżankę pewną ręką, ale nietrudno było dostrzec, że jest zdenerwowana. W jej błękitnych oczach stały łzy, a z rękawa niebieskiej sukni wyzierał rąbek koronkowej chusteczki, wyraźnie przemoczonej.

– Proszę mi opowiedzieć o córce. To szczęśliwa dziewczynka?

– Tak szczęśliwa, jak szczęśliwe może być dziecko, które niedawno straciło tatusia. – Odgarnęła z twarzy jasne włosy, odkąd przyszedłem, zrobiła to już chyba pięćdziesiąt razy, i zapatrzyła się tępo w filiżankę.

– To było głupie pytanie, przepraszam. – Wygrzebałem swoje papierosy. Ciszę wypełnił trzask zapalanej zapałki i mój oddech nieco skrępowanego palacza, który ma możliwość się zaciągnąć. – Chodzi do Gimnazjum Realnego Paulsena, prawda? Czy w szkole wszystko w porządku? Żadnych kłopotów z egzaminami, czegoś w tym rodzaju? Nikt jej nie prześladowuje?

– Być może nie jest najzdolniejsza w klasie – przyznała Frau Steininger – ale jest bardzo lubiana. Emmeline ma mnóstwo koleżanek.

– A BDM?

– Co?

– Liga Niemieckich Dziewcząt.

– A, to. Tam też wszystko dobrze. – Wzruszyła ramionami i ze zniecierpliwieniem pokręciła głową. – To normalne dziecko, panie komisarzu. Emmeline nie należy do dzieci, które uciekają z domu, jeśli to pan sugeruje.

– Jak powiedziałem, przykro mi, że muszę zadawać te wszystkie pytania, Frau Steininger. Ale one muszą zostać zadane, jestem pewien, że pani to rozumie. Musimy się dowiedzieć absolutnie wszystkiego. – Wysączyłem resztkę kawy i przyjrzałem się fusom na dnie filiżanki. Ciekawe, pomyślałem, co może oznaczać kształt muszli? – Jacyś chłopcy? – zapytałem wprost.

Gniewnie ściągnęła brwi.

– Na litość boską, ona ma czternaście lat! – Gniewnie zdusiła papierosa w popielniczce.

– Dziewczęta dorastają wcześniej niż chłopcy. Wcześniej, być może, niż byśmy chcieli. – Chryste, co ja mogłem o tym wiedzieć? No, no, pomyślałem, mówię jak mężczyzna z kupą bachorów!

– Jeszcze nie interesuje się chłopcami!

Wzruszyłem ramionami.

– Proszę pani, jeżeli ma pani dość tych pytań, wystarczy, że pani powie, a zaraz sobie pójdę. Jestem pewien, że ma pani ważniejsze sprawy na głowie niż udzielanie mi pomocy w poszukiwaniach córki.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie intensywnie, po czym przeprosiła.

– Czy mógłbym obejrzeć pokój Emmeline?

Był to normalny pokój czternastolatki, w każdym razie takiej, która chodzi do płatnej szkoły. Nad łóżkiem, oprawiony w ciężką czarną ramę, wisiał plakat z przedstawienia *Jeziora łabędziego* w Operze Paryskiej, na różowej pikowanej narzucie siedziały dwa wytarte od przytulania pluszowe misie. Podniosłem poduszkę. Leżała tam książka, romans za dziesięć fenigów, jeden z tych, które można kupić na każdym rogu. Niezupełnie *Emil i detektywi*.

Wręczyłem książkę Frau Steininger.

– Jak powiedziałem, dziewczynki wcześniej dorastają.

Rozmawiałeś z chłopakami z technicznego? – Stałem w drzwiach gabinetu dokładnie w tej samej chwili, gdy Becker stamtąd wychodził. – Wiedzą coś o tym kufrze? I o tej tkaninie zasłonowej?

Becker odwrócił się na pięcie i ruszył za mną do biurka.

– Kufer został wyprodukowany przez firmę Turner&Glanz, panie komisarzu. – Wyciągnął notes i dodał: – Mają sklep na Friedrichstrasse 193a.

– Brzmi wprost cacy. Prowadzą listę sprzedaży?

– Niestety nie, panie komisarzu. To podobno popularny model, zwłaszcza u tych wszystkich Żydów, którzy wyjeżdżają z Niemiec do Ameryki. Herr Glanz oblicza, że sprzedają trzy albo cztery tygodniowo.

– Szczęściarz z niego.

– Tkanina zasłonowa to tandeta. Można ją kupić wszędzie. – Zaczął grzebać w mojej poczcie.

– Proszę dalej, słucham.

– To pan jeszcze nie czytał mojego meldunku?

– A wygląda na to, że czytałem?

– Spędziłem wczorajsze popołudnie w Gimnazjum Realnym Paulsena, do którego chodziła Emmeline Steininger. – Odnalazł swój meldunek i pomachał mi nim przed nosem.

– To musiało być miłe przeżycie. Te wszystkie dziewczęta!

– Może powinien go pan teraz przeczytać, panie komisarzu.

– Oszczędźcie mi zachodu.

Becker skrzywił się i spojrział na zegarek.

– Właściwie, panie komisarzu, to akurat miałem wychodzić. Obiecałem zabrać dzieci do lunaparku.

– Zrobiliście się gorsi niż Deubel. A gdzie on właściwie jest, skoro już o tym mowa? Zajmuje się ogródkiem? Robi z żoną zakupy?

– Wydaje mi się, że jest z matką zaginionej dziewczyny, panie komisarzu.

– Przed chwilą sam się z nią widziałem. No nic. Opowiedzcie szybko, coście wykryli, a potem możecie sobie iść.

Przysiadł na krawędzi swojego biurka i założył ręce.

– Przepraszam, panie komisarzu. Wciąż zapominam, że coś jeszcze miałem panu powiedzieć.

– Doprawdy? Wygląda na to, że gliniarze w Alex ostatnio w ogóle sporo zapominają. Na wszelki wypadek przypominam wam, że to jest dochodzenie w sprawie morderstwa. A teraz zejście z mojego biurka i powiedzcie, co tu się, do diabła, dzieje!

Zerwał się z biurka i stanął na baczność.

– Gottfried Bautz nie żyje, panie komisarzu. Prawdopodobnie został zamordowany. Gospodyni znalazła ciało w jego mieszkaniu dzisiaj wczesnym rankiem. Korsch poszedł sprawdzić, czy nie ma tam czegoś dla nas.

W milczeniu pokiwał głową.

– Rozumiem. – Zakląłem i znów spojrziałem na Beckera. Stał przede mną wyprężony jak żołnierz, ale z jakiegoś powodu wyglądał śmiesznie. – Na litość boską, Becker, usiądźcie, zanim dopadnie was *rigor mortis*, i opowiedzcie mi, co jest w waszym meldunku.

– Dziękuję, panie komisarzu.

Przyciągnął sobie krzesło, odwrócił je i usiadł okrakiem, z łokciami na oparciu.

– Dwie rzeczy – oznajmił. – Po pierwsze, większość koleżanek z klasy Emmeline Steininger twierdzi, że nieraz wspominała, że chciałaby uciec z domu. Podobno nie układało się jej z macochą...

– Macochą? Frau Steininger nie mówiła mi o tym.

– Podobno prawdziwa matka dziewczyny zmarła jakieś dwanaście lat temu. A ojciec całkiem niedawno.

– Co jeszcze? Mówiliście o dwóch rzeczach.

– Tak jest. Jedna z dziewcząt, Żydówka, przypomniała sobie coś. Kilka miesięcy temu jakiś człowiek w mundurze podjechał samochodem pod bramę szkoły i przywołał ją. Powiedział, że jeśli odpowie na kilka pytań, to ją podwiezie do domu. No więc podeszła bliżej, a on zapytał ją, jak się nazywa. Odpowiedziała, że nazywa się Sarah Hirsch. Wtedy mężczyzna zapytał, czy jest Żydówką, a kiedy odparła, że tak, po prostu odjechał bez słowa.

– Podała jakiś rysopis?

Skrzywił się i pokręcił głową.

– Była zbyt przestraszona, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć. Towarzyszyło mi dwóch mundurowych i myślę, że to ją zraziło.

– Dziwicie się? Pewnie myślała, że chcecie ją zatrzymać za nagabywanie mężczyzn albo coś w tym rodzaju. Chociaż musi być bystra, skoro chodzi do tego gimnazjum. Może w obecności swoich rodziców zaczęłaby mówić? I gdyby nie było z wami tych tłumoków? Co o tym sądzicie?

– Jestem tego pewien, panie komisarzu.

– Sam to załatwię. Jak myślicie, Becker, wyglądam na dobrego wujaszka? Nie, lepiej nie odpowiadajcie.

Wyszczrzył przyjaźnie zęby.

– No dobra, to wszystko. Bawcie się dobrze.

– Dziękuję, panie komisarzu. – Wstał i pospiesznie skierował się do drzwi.

– Becker?

– Tak, panie komisarzu?

– Dobra robota.

Po jego wyjściu przez dłuższą chwilę bez ruchu wpatrywałem się w przestrzeń i żałowałem, że to nie ja wracam do domu, aby w sobotnie popołudnie zabrać dzieci do lunaparku. Miałem trochę zaległego urlopu, ale kiedy człowiek jest sam na świecie, to takie rzeczy nie mają większego znaczenia. Byłem niebezpiecznie blisko pogrążenia się w oceanie żalu nad sobą, gdy rozległo się pukanie i do pokoju wkroczył Korsch.

– Panie komisarzu, Gottfried Bautz został zamordowany – oznajmił od progu.

– Tak, słyszałem. Becker powiedział, że poszłście się rozejrzeć. Co się stało?

Korsch usiadł na krześle, przed chwilą zajmowanym przez Beckera. Sprawiał wrażenie bardziej ożywionego niż kiedykolwiek przedtem; najwyraźniej coś go ogromnie podekscytowało.

– Ktoś uznał, że ma za mało tlenu w mózgu, i zrobił mu specjalny otwór wentylacyjny. Dokładna robota, między oczy. Tamtejsza sądówka ocenia, że to chyba był mały pistolet,

prawdopodobnie kaliber sześć milimetrów. – Poprawił się na krześle. – Ale ciekawa rzecz, panie komisarzu. Ten, kto go załatwił, najpierw go ogłuszył. Gottfried miał szczękę pękniętą na pół. A w ustach kawałek papierosa. Jakby przegryziony. – Zaczekał, by nowina do mnie dotarła. – Druga połówka leżała na podłodze.

– Walnięcie w szluga?

– Na to wygląda, panie komisarzu.

– Myślicie to, co ja myślę?

Korsch stanowczo pokiwał głową.

– Niestety tak. I jeszcze jeden drobiazg. Deubel nosi w kieszeni marynarki sześciostrzałowy pistolet Little Tom. Mówi, że to na wypadek, gdyby kiedyś zgubił swojego walthera. A Little Tom to ten sam kaliber, co broń, od której zginął ten Czech.

– Ach, tak? – Uniosłem brwi. – Deubel od początku utrzymywał, że Bautza trzeba posłać do piachu, nawet jeśli nie ma nic wspólnego z naszym śledztwem.

– Próbował namówić Beckera, żeby ten szepnął słówko swoim starym kolegom z obyczajówki. Chciał, żeby pod jakimś pretekstem przypięli mu etykietkę gwałciciela i wysłali do kacetu. Ale Becker nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że nie mogą tego zrobić, nawet na podstawie zeznań tej dziwki, którą Bautz usiłował pociąć.

– Bardzo się cieszę, że to słyszę. Dlaczego nikt mi wcześniej o tym nie powiedział? – Korsch wzruszył ramionami. – Wspominaliście o czymś ekipie prowadzącej śledztwo w sprawie śmierci Bautza? Mam na myśli cios w szczękę i pistolet?

– Jeszcze nie, panie komisarzu.

– To załatwimy to sami.

– Co pan zamierza?

– Wszystko zależy od tego, czy on wciąż ma ten pistolet. Gdybyście to wy wsadzili Bautzowi kulę w łeb, to co byście zrobili z bronią?

– Znalazłbym najbliższego złomiarza.

– Właśnie. Więc jeżeli on nie pokaże mi tej broni do zbadania, to odsuwam go od dochodzenia. Może dla sądu to nie dowód, ale dla mnie wystarczy. W moim zespole nie ma miejsca dla morderców.

Korsch zamyślony drapał się po nosie, z trudem unikając pokusy, by w nim podłubać.

– Pewnie nie macie pojęcia, gdzie teraz jest inspektor Deubel, co?

– Ktoś mnie szukał? – Deubel wkroczył rozkołysanym krokiem przez otwarte drzwi. Bijący od niego odór piwa stanowił najlepsze wyjaśnienie, skąd przychodzi. Z kącika wykrzywionych ust zwisał mu zgasły papieros, w oczach malowała się złość. Rozdrażniony

wlepił spojrzenie w Korscha, po czym zachwiał się i z niesmakiem przeniósł wzrok na mnie. Był kompletnie pijany.

– Byłem w Cafe Kerkau – oznajmił, choć jego usta nie poruszały się tak, jak tego oczekiwałem. – Wszystko w porządku, jasne? Wszystko w porządku, nie jestem na służbie. Jeszcze przynajmniej godzinka. Wtedy już będzie dobrze. Nie ma zmartwienia. Potrafię się sobą zająć.

– Czym jeszcze się zajmowaliście?

Wyprężył się jak kukiełka, poderwana z chwiejnych nóg.

– Rozpytywałem się na posterunku, na którym zgłoszono zaginięcie tej małej Steininger.

– Nie o to mi chodzi.

– Nie? Nie? No to o co, Herr Kommissar?

– Ktoś zamordował Gottfrieda Bautza.

– Co, tego czeskiego gnoja? – Parsknął śmiechem, na poły bekając, na poły plując.

– Miał złamaną szczękę. W jego ustach znaleziono peta.

– No? A co to ma ze mną wspólnego?

– To wasza malutka specjalność, co, Deubel? „Walnięcie w szluga”? Sam słyszałem, jak to mówiliście.

– Nie mam na to patentu, Günther. – Mocno zaciągnął się zgasłym papierosem i zmrużył zapuchnięte oczka. – Oskarżasz mnie, że go załatwiłem?

– Inspektorze Deubel, mogę zobaczyć wasz pistolet?

Deubel patrzył na mnie szyderczo przez kilka sekund, a następnie sięgnął do kabury pod pachą. Zobaczyłem, że Korsch za jego plecami powoli wyjmując własny pistolet i trzymając dłoń na rękojeści, czekając, aż Deubel położy na moim biurku swego walthera PPK. Podniosłem pistolet i powąchałem lufę, równocześnie przypatrując się twarzy Deubla. Ciekaw byłem, czy zdradzi się z tym, że wie, iż Bautza zastrzelono z broni znacznie mniejszego kalibru.

– Ktoś go zastrzelił, co? – Uśmiechnął się.

– Raczej wykonał egzekucję – powiedziałem. – Wygląda na to, że wpakowano mu kulkę między oczy, kiedy był nieprzytomny.

– No, no, odjęło mi mowę. – Deubel wolno pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się.

– Zwyczajnie obrzucasz mnie błotem, Günther, z nadzieją, że coś się do mnie przylepi. Pewnie, że nie lubiłem tego pierdolonego Czecha. Nienawidzę zbrojców, którzy macają

dzieci i robią krzywdę kobietom. Ale to nie znaczy, że miałem coś wspólnego z jego zamordowaniem.

– Łatwo będzie mnie o tym przekonać.

– O? A w jaki sposób?

– Pokażcie mi ten pistolecik, który nosicie w skarpetce. Ten, co się nazywa Little Tom. Deubel uniósł ręce w geście niewinności.

– Jaki pistolecik? Nie mam żadnego pistoleciku. Jedyna spluwa, jaką noszę, leży na twoim biurku.

– Każdy, kto z wami pracował, wie o tej broni. Chwalicie się nią bez przerwy. Pokażcie mi pistolet i będziecie czysti. Lecz jeśli go nie macie, to na mój rozum dlatego, że musieliście się go pozbyć.

– O czym ty mówisz? Mówiłem już, nie mam...

Korsch wstał.

– Daj spokój, Eb – powiedział. – Pokazywałeś mi ten pistolet nie dalej jak kilka dni temu. Twierdziłeś nawet, że nigdzie się bez niego nie ruszasz.

– Ty gnoju! Stajesz po jego stronie przeciwko swoim, taki jesteś?! Nie kapujesz?! On nie jest jednym z nas! Kurwa, to szpieg Heydricha! Kripo gównem go obchodzi.

– Nie tak to widzę – odrzekł cicho Korsch. – Więc jak będzie? Obejrzymy ten pistolet czy nie?

Deubel pokręcił głową i z uśmiechem pogroził nam palcem.

– Nic mi nie udowodnicie. Nic a nic. Wiecie o tym, prawda?

Odepchnąłem się od krzesła i wstałem. To, co miałem do powiedzenia, musiałem powiedzieć na stojąco.

– Możliwe. Deubel, jakkolwiek by było, odsuwam was od sprawy. Nieszczególnie dbam o to, co się z wami stanie. Jeśli o mnie chodzi, możecie odpełznąć z powrotem do tego zasranego kąta, z któregoście przyszli. Jestem wybredny co do ludzi, z którymi pracuję. Nie lubię morderców.

Deubel jeszcze bardziej wyszczerzył żółte zęby. Jego uśmiech przypominał klawiaturę starego, mocno rozstrojonego fortepianu. Podciągnął wyświecone flanelowe spodnie, wyprostował się i wypiął brzuch w moją stronę. Ledwie się powstrzymałem, by mu nie przyłożyć pięścią, ale bójka akurat teraz prawdopodobnie byłaby Deublowski na rękę.

– Günther, ty lepiej przejrzyj na oczy! Przejdź się do cel i pokoi przesłuchań, zobacz, co się dzieje w tym miejscu. Taki jesteś wybredny, z kim pracujesz? Ty łatwowierny dupku! W tym budynku ludzie są katowani na śmierć. Pewnie nawet w tej chwili. Myślisz, że

naprawdę kogoś obchodzi, co się stało z jakimś tandetnym zboczeńcem? W kostnicy jest ich pełno.

Moja odpowiedź nawet dla mnie samego brzmiała beznadziejnie naiwnie:

– Kogoś musi to obchodzić, inaczej sami będziemy nie lepsi od kryminalistów. Nie potrafię zabronić ludziom chodzić w brudnych butach, ale mogę czyścić własne. Od samego początku wiedzieliście, że tego właśnie oczekuję. Ale musieliście to zrobić po swojemu, na sposób Gestapo, które uważa, że jeśli kobieta unosi się na wodzie, to jest czarownicą, a jeśli tonie, to jest niewinna. Więc zejdźcie mi z oczu, zanim mnie skusi, żeby sprawdzić, czy moje chody u Heydricha wystarczą, żeby was wykopać z Kripo.

– Ale sraka z ciebie. – Deubel zaśmiał się szyderczo i wlepił wzrok w Korscha, a gdy ten, zbrzydzonego jego pijackim oddechem, ustąpił mu z drogi, chwiejnie wytoczył się z pokoju.

– Nigdy skurwiela nie lubiłem. – Korsch pokręcił głową. – Ale nie sądziłem, że... – Znow pokręcił głową.

Ze znużeniem opadłem na krzesło i sięgnąłem do szuflady biurka po schowaną tam flaszkę.

– Niestety, on ma rację – powiedziałem, napełniając dwie szklanki. Zrozumiałem pytające spojrzenie Korscha i uśmiechnąłem się z goryczą. – Oskarżyć berlińskiego gliniarza o morderstwo... – Zaśmiałem się. – Kurwa, równie dobrze mógłbym zamykać w ciupie pijaków na monachijskim Beerfest.

niedziela, 25 września

Zastałem pana Hirscha? – spytałem.

Starszy pan, który otworzył mi drzwi, wyprostował się i przytaknął.

– Ja jestem Hirsch – odparł.

– Sarah Hirsch jest pańską córką?

– Tak. A kim pan jest?

Musiał mieć co najmniej siedemdziesiąt lat: łysawy, z siwymi włosami opadającymi z tyłu na kołnierz, niewysoki, na dodatek przygarbiony. Trudno było sobie wyobrazić, że piętnaście lat temu spłodził córkę. Pokazałem mu odznakę.

– Policja – powiedziałem. – Proszę się nie bać. Nie przyszedłem pana niepokoić. Chciałbym zadać kilka pytań pańskiej córce. Być może będzie umiała opisać pewnego mężczyznę, przestępcę.

Herr Hirsch, który po obejrzeniu moich dokumentów niemal odzyskał normalny koloryt, odsunął się na bok i milcząc, wpuścił mnie do holu, pełnego chińskich wazonów, brązów, kobaltowych pater i misternych rzeźb z drewna balsa, ustawionych w szklanych gablotach. Kiedy czekając, aż zamknie i zarygluje drzwi wejściowe, wyraziłem swój podziw, opowiedział mi, że w młodości służył w niemieckiej marynarce wojennej i wiele pływał po morzach Dalekiego Wschodu. Uświadomiłem sobie, że w domu rozchodzi się aromatyczna woń, przeprosiłem więc i wyraziłem nadzieję, że nie zakłócam rodzinnego posiłku.

– Jeszcze chwilę potrwa, zanim siądziemy do stołu – powiedział starszy pan. – Moja żona i córka wciąż są zajęte w kuchni. – Uśmiechnął się nerwowo, zapewne nieprzyzwyczajony do uprzejmych urzędników państwowych, i zaprowadził mnie do pokoju gościnnego.

– No więc – powiedział – mówi pan, że chce rozmawiać z moją córką. Która być może potrafi zidentyfikować poszukiwanego przestępcę.

– Właśnie – potwierdziłem. – Zaginęła dziewczynka ze szkoły, do której uczęszcza Sarah. Bardzo możliwe, że ją uprowadzono. Jeden z moich ludzi, przepytując koleżanki z

klasy pańskiej córki, dowiedział się, że kilka tygodni temu ją również zaczepiał jakiś mężczyzna. Chcę ustalić, czy ona coś pamięta. Za pańskim pozwoleniem.

– Ależ oczywiście. Pójdę po nią.

Wyszedł, a ja rozejrzałem się po pokoju. Wyraźnie była to rodzina muzykująca. Obok lśniącego czarnego fortepianu Bechsteina zauważyłem instrumenty w futerałach i kilka stojaków na nuty. Pod oknem, wychodzącym na spory ogród, stała harfa, a na fotografiach rodzinnych, ustawionych na kredensie, często występowała dziewczynka grająca na skrzypcach. Nawet stary obraz nad kominkiem przedstawiał scenę muzyczną, chyba recital fortepianowy. Właśnie próbowałem odgadnąć, jaką melodię gra pianista, kiedy wrócił Herr Hirsch z żoną i córką.

Frau Hirsch była o wiele wyższa i młodsza od męża. Wyglądała co najwyżej na pięćdziesiąt lat – szczupła, elegancka kobieta w skromnym naszyjniku z pereł. Na mój widok wytarła dłonie o fartuch i chwyciła dziewczynkę za ramiona, jakby chciała podkreślić swoje rodzicielskie prawa – po państwie, które jawnie deklarowało wrogość wobec jej rasy, można się było spodziewać wszelkich możliwych nadużyć.

– Mój mąż mówi, że zaginęła dziewczynka ze szkolnej klasy naszej córki – rzekła spokojnie. – Która to dziewczynka?

– Emmeline Steininger – odparłem.

Frau Hirsch odwróciła nastolatkę twarzą ku sobie.

– Sarah – spytała z wyrzutem – dlaczego mi nie powiedziałaś, że twoja koleżanka zaginęła?

Sarah, zdrowa, pulchna, atrakcyjna nastolatka, której wygląd, jako niebieskookiej blondynki, całkowicie zaprzeczał lansowanemu przez Streichera rasistowskiemu stereotypowi Żydówki, niecierpliwie zarzuciła głową jak uparty kucyk.

– Uciekła i tyle. Bez przerwy mówiła, że to zrobi. Ale nic mnie nie obchodzi, co się z nią stało. Emmeline Steininger wcale nie jest moją koleżanką. Wciąż powtarza wstrętne rzeczy o Żydach. Nienawidzę jej i nie jest mi ani trochę żal, że jej ojciec umarł.

– Dostyc tego! – przerwał Herr Hirsch, któremu słuchanie o zmarłych ojcach zapewne nie sprawiało przyjemności. – Nieważne, co mówiła. Jeśli wiesz coś, co pomoże panu komisarzowi ją odnaleźć, to musisz mu powiedzieć. Jasne?

– Tak, tato. – Sarah skrzywiła się i z ziewnięciem rzuciła się na fotel.

– Sarah, doprawdy! – zawołała matka. – Zwykle nie jest taka. – Uśmiechnęła się do mnie nerwowo. – Muszę pana przeprosić, Herr Kommissar.

– Nic się nie stało. – Również się uśmiechnąłem, przysiadając na podnóżku przed

fotelem dziewczynki.

– Sarah, w piątek, rozmawiając z jednym z moich ludzi, powiedziałaś, że przypominasz sobie mężczyznę, który kilka miesięcy temu kręcił się koło szkoły, czy tak? – Potwierdziła skinieniem głowy. – Proszę więc, powiedz mi o nim wszystko, co zapamiętałaś.

Przez dłuższą chwilę żuła paznokiec i przyglądała mu się z namysłem.

– No, to było dość dawno temu.

– Cokolwiek sobie przypomnisz, bardzo mi się przyda. Na przykład, o jakiej porze dnia to było? – Wyjąłem notes i oparłem na udzie.

– Akurat szłyśmy do domu. Jak zwykle wychodziłam sama. – Zadarła nos na to wspomnienie. – No i koło szkoły stał ten samochód.

– Jaki samochód?

– Nie znam się na markach samochodów, nic a nic. – Wzruszyła ramionami. – Ale był duży, czarny, i z przodu siedział kierowca.

– I on z tobą rozmawiał?

– Nie, z tyłu siedział drugi pan. Myślałam, że to policjanci. Ten z tyłu miał opuszczone okno i zawołał mnie, kiedy wyszłam z bramy. Byłam sama, większość dziewczyn już poszła. Poprosił, żebym podeszła, a potem powiedział, że jestem... – Zaczerwieniła się i urwała.

– Mów dalej – zachęciłem.

– ...że jestem bardzo piękna i że mój ojciec i matka z pewnością są dumni, że mają taką córkę. – Zerknęła niepewnie na rodziców. – Nie zmyślam – dodała niemal rozbawiona. – Słowo honoru, tak powiedział.

– Wierzę ci, Sarah – rzekłem. – Co jeszcze powiedział?

– Zwrócił się do kierowcy i zapytał, czy nie jestem wspaniałym przykładem niemieckiego dziewczęcia, czy coś podobnie głupiego. – Zaśmiała się. – To było naprawdę śmieszne. – Napotkała spojrzenie ojca, którego nie zauważyłem, i już spokojniej dodała: – W każdym razie to było coś w tym rodzaju. Nie pamiętam dokładnie.

– A kierowca mu odpowiedział?

– Zaproponował, żeby mnie podwieźć do domu. Wtedy ten pan z tyłu zapytał, czy miałabym na to ochotę. Powiedziałam, że nigdy nie jechałam takim dużym samochodem i że bardzo bym chciała...

Herr Hirsch westchnął głośno:

– Sarah, ile razy ci mówiliśmy, żebyś nie...

– Przepraszam pana – przerwałem stanowczo – ale to chyba może poczekać. – Znowu spojrzałem na nastolatkę. – Co było potem?

– Ten pan powiedział, że jeśli odpowiem poprawnie na kilka pytań, to mnie podwiezie jak gwiazdę filmową. No więc najpierw zapytał, jak się nazywam, a kiedy odpowiedziałam, popatrzył na mnie jakby wstrząśnięty. Oczywiście od razu się domyślił, że jestem Żydówką, i zaraz zadał mi to pytanie: czy jestem Żydówką? Już chciałam mu powiedzieć, że nie, tak po prostu dla draki. Ale się przestraszyłam, że on się zdenerwuje i będę miała kłopoty, więc powiedziałam, że tak. Wtedy on jakby opadł na siedzenie i kazał kierowcy jechać. Ani słowa więcej. To było bardzo dziwne. Jakby przestał mnie widzieć. Jakbym zniknęła.

– Bardzo dobrze, Sarah. Teraz mi powiedz, dlaczego sądziłaś, że to policjanci? Czy byli w mundurach?

Przytaknęła z wahaniem.

– Zaczniemy od koloru tych mundurów.

– Jakby zielone. Wie pan, takie jak mają policjanci, tylko trochę ciemniejsze.

– A czapki? Podobne do czapek policyjnych?

– Nie, mieli czapki z daszkiem. Jak oficerowie. Tatuś był oficerem w marynarce.

– Coś jeszcze? Odznaki, baretki, naszywki na kołnierzach? Coś w tym rodzaju? – Cały czas kręciła przecząco głową. – No dobrze. Mężczyzna, który z tobą rozmawiał. Jak on wyglądał?

Sarah ściągnęła wargi i owinęła kosmyk włosów wokół palca. Zerknęła na ojca.

– Starszy niż kierowca – powiedziała. – Pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt lat. Dostyc zwalisty, mało włosów albo krótko ostrzyżony, mały wąsik.

– A ten drugi?

Wzruszyła ramionami.

– Młodszy. Trochę bladej. Jasne włosy. Nie bardzo pamiętam, jak wyglądał.

– Powiedz, jaki głos miał ten mężczyzna z tyłu.

– Chodzi o jego akcent?

– Tak, jeśli możesz.

– Nie jestem pewna – odparła. – Nie bardzo rozpoznaję akcenty. Słyszę, że się różnią, ale nie zawsze umiem powiedzieć, skąd ta osoba pochodzi. – Westchnęła głęboko i zmarszczyła czoło, usiłując się skupić. – Może austriacki? Ale równie dobrze mógł to być bawarski, tak mi się zdaje. Wie pan, staroświecki.

– Austriacki lub bawarski – powtórzyłam, zapisując w notesie. Przyszło mi do głowy, żeby podkreślić słowo „bawarski”, ale po namyśle zmieniłam zdanie. Nie było sensu nadawać temu słowu większego znaczenia, niż zrobiła to dziewczyna, nawet jeśli mi to odpowiadało. Umilkłam zatem, czekając z ostatnim pytaniem, aż będę pewien, że skończyła mówić.

– Sarah, teraz pomyśl bardzo uważnie. Stoisz przy samochodzie. Okno jest otwarte i patrzysz wprost do środka. Widzisz człowieka z wąsami. Co jeszcze widzisz?

Zacisnęła powieki i przygryzła dolną wargę, jakby chciała wydobyć z pamięci najdrobniejsze szczegóły.

– Papierosy – rzekła po minucie. – Inne niż taty. – Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. – Miały dziwny zapach. Słodki i dosyć mocny. Jakby liść laurowy albo oregano.

Przebiegłem wzrokiem notatki i upewniwszy się, że nie może dodać nic więcej, wstałem.

– Dziękuję, bardzo mi pomogłaś.

– Pomogłam? – zapytała wesoło Sarah. – Naprawdę?

– Ależ oczywiście.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy czworo i przez chwilę udało się nam zapomnieć, czym i kim jesteśmy.

Wracając samochodem od Hirschów, zastanawiałem się, czy zdają sobie sprawę, że przynajmniej tym razem pochodzenie rasowe ich córki bardzo jej pomogło – fakt, że była Żydówką, prawdopodobnie ocalił jej życie.

Z zadowoleniem myślałem o rozmowie z dziewczyną. Podany przez nią rysopis był pierwszą konkretną informacją w tej sprawie. To, co powiedziała o akcentach, zgadzało się z wrażeniem Tankera, oficera dyżurnego, który odebrał anonimowy telefon. Ale, co ważniejsze, to oznaczało, że jednak w końcu musiałem dowiedzieć się od generała Martina z Norymbergi, w jakie dni Streicher przebywał w Berlinie.

poniedziałek, 26 września

Patrzyłem przez okno od podwórka na tyły sąsiednich budynków, gdzie w kilku salonach liczne rodziny już teraz gromadziły się wokół radioodbiorników. Fasanenstrasse, biegnąca od frontu, była wyludniona. Przeszedłem do swojego salonu i nalałem sobie drinka. Spod podłogi dobiegała muzyka klasyczna, nadawana przez radio w pensjonacie piętro niżej. Odrobina Beethovena stanowiła przyjemną oprawę radiowych przemówień przywódców partyjnych. Zawsze to powtarzam: im gorszy obraz, tym ozdobniejsza rama.

Zazwyczaj nie jestem słuchaczem audycji partyjnych, wolałbym słuchać, jak puszcza wiatry. Ale dzisiejsza transmisja miała niezwykły charakter. Führer miał przemawiać w Sportspalast na Potsdamerstrasse i powszechnie sądzono, że zamierza ogłosić swoje prawdziwe zamiary wobec Czechosłowacji i Kraju Sudeckiego.

Osobiście już dawno temu doszedłem do wniosku, że Hitler od lat zwodził wszystkich wypowiedziami o pokoju. Widziałem w kinie dość westernów, żeby pojąć, że kiedy facet w czarnym kapeluszu zaczepia małego człowieczka, który stoi obok niego przy barze, to naprawdę rwie się do bitki z szeryfem. Ale tak się składało, że tym razem szeryf był Francuzem i z łatwością dało się zauważyć, że nie bardzo ma ochotę się bić – że woli zostać w domu i wmawiać sobie, że dobiegające z ulicy strzały to zwykłe fajerwerki.

Z nadzieją, że się mylę, włączyłem jednak radio i podobnie jak siedemdziesiąt milionów innych Niemców czekałem, by się dowiedzieć, co się z nami stanie.

Wiele kobiet twierdzi, że Goebbels jedynie uwodzi, ale Hitler wprost fascynuje. Trudno mi wypowiadać się na ten temat. Niemniej nie da się zaprzeczyć, że przemówienia Hitlera wywierają na ludzi hipnotyczny wpływ. Tłum w Sportspalast niewątpliwie go docenił. Podejrzewam, że trzeba było tam być, aby poczuć prawdziwą atmosferę. To jakby odwiedzać oczyszczalnię ścieków.

Ci z nas wszakże, którzy słuchali w domu, nie mieli już czego docenić – w tym, co mówił naczelny krzykacz, nie było żadnej nadziei. Pozostała nam tylko straszliwa świadomość, że znaleźliśmy się nieco bliżej wojny niż dzień wcześniej.

wtorek, 27 września

Po południu na Unter den Linden odbył się przegląd wojska, na oko bardziej gotowego do wojny niż wszystko, co dotąd widziały ulice Berlina. Właśnie przejechała dywizja zmechanizowana w pełnym rynsztunku bojowym, lecz ku memu zdumieniu nie towarzyszyły jej żadne okrzyki, pozdrowienia, machanie flagami. Ludzie zachowali w pamięci obraz realnej wściekłości Hitlera i na widok defilady po prostu odwracali się i odchodzili.

Nieco później tego samego dnia, gdy na prośbę Arthura Nebego spotkałem się z nim poza Alexanderplatz, w biurze prywatnych detektywów Günther&Stahlecker – wciąż nie mogłem się doczekać malarza szyldów, który miał przywrócić pierwotną nazwę na drzwiach – opowiedziałem mu swoje wrażenia.

Nebe wybuchnął śmiechem.

– Co byś powiedział, gdybym ci oznajmił, że dywizja, którą widziałeś, to prawdopodobnie wyzwolicieli tego kraju?

– Czyżby armia planowała pucz?

– Nie mogę ci powiedzieć zbyt wiele, z wyjątkiem tego, że wyżsi oficerowie Wehrmachtu nawiązali kontakt z premierem Wielkiej Brytanii. Wystarczy, że Brytyjczycy dadzą znak, a wojsko opanuje Berlin, Hitler natomiast zostanie postawiony przed sądem.

– A kiedy to nastąpi?

– Z chwilą, gdy Hitler wkroczy do Czechosłowacji, Brytyjczycy wypowiedzą nam wojnę. Wtedy nadejdzie czas, Bernie. Nasz czas. Nie mówiłem ci, że w Kripo są potrzebni tacy ludzie jak ty?

Powoli skinąłem głową.

– Ale Chamberlain negocjuje z Hitlerem, prawda?

– To brytyjska metoda: rozmowy, zabiegi dyplomatyczne. Mieliby rezygnować z negocjacji? Tak się u nich nie robi.

– Tak czy owak, on musi wierzyć, że Hitler podpisze jakiś traktat. Co więcej, Chamberlain i Daladier również muszą być gotowi podpisać jakiś traktat.

– Hitler nie porzuci Sudetów, Bernie. A Brytyjczycy nie wyprą się swojego układu z Czechami.

Podszedłem do barku i nalałem dwie szklanki.

– Gdyby Brytyjczycy i Francuzi zamierzali dotrzymać umowy, to nie mielibyśmy o

czym rozmawiać – powiedziałem, wręczając Nebemu drinka. – Jeśli o mnie chodzi, to wykonują za Hitlera całą robotę.

– Mój Boże, ale z ciebie pesymista.

– No dobrze, w takim razie pozwól, że zadam ci pytanie. Czy stałeś kiedyś przed koniecznością walki z kimś, z kim wcale nie chciałeś walczyć? Być może z kimś większym od siebie? Może się bałeś, że oberwiesz? Może po prostu nie miałeś ochoty? Oczywiście, że próbowałbyś wykręcić się gadaniem. Człowiek, który dużo gada, nie ma najmniejszej ochoty się bić.

– Ale my nie jesteśmy więksi niż Brytyjczycy i Francuzi.

– Ale oni nie mają ochoty.

– A więc za brytyjską ochotę – wznosił szklanekę Nebe.

– Za brytyjską ochotę.

środa, 28 września

Panie komisarzu, przyszła informacja o Streicherze od generała Martina – oznajmił Kersch, patrząc na telegram, który trzymał w ręce. – Wydaje się, że Streicher był w Berlinie w co najmniej dwa dni spośród tych pięciu, o które panu chodzi. Co się tyczy reszty, to Martin nie ma pojęcia, gdzie Streicher mógł przebywać.

– I tyle są warte jego przechwałki o szpiegach.

– Ale jedna rzecz, panie komisarzu: podobno w jeden z tych dni widziano Streichera wracającego z lotniska Furth w Norymberdze.

– A ile się leci stąd do Norymbergi?

– Najwyżej dwie godziny. Chce pan, żebym popytał na lotnisku Tempelhof?

– Mam lepszy pomysł. Skontaktujcie się z chłopakami od propagandy w Muratti i poproście, żeby dali wam ładne zdjęcie Streichera. Lepiej zamówcie fotografie wszystkich gauleiterów, żeby nie zwracać uwagi. Powiedzcie, że chodzi o bezpieczeństwo Kancelarii Rzeszy, to zawsze dobrze brzmi. Kiedy będziecie mieli zdjęcie, idźcie porozmawiać z tą małą Hirsch i zobaczcie, czy nie rozpozna w Streicherze mężczyzny w samochodzie.

– A jeśli tak?

– Jeśli tak, to obaj stwierdzimy, że przybyło nam mnóstwo nowych przyjaciół. Z jednym godnym uwagi wyjątkiem.

– Tego się właśnie obawiam.

czwartek, 29 września

Chamberlain wrócił do Monachium. Znów chciał rozmawiać. Szeryf przyjechał, ale w wypadku strzelaniny najwyraźniej zamierzał przymknąć oko. Mussolini wypolerował pas i łysą czaszkę, po czym zjawił się, by wesprzeć swego duchowego przywódcę.

Ważni ludzie przyjeżdżali i wyjeżdżali, a tymczasem, co właściwie nie miało znaczenia dla ogólnej sytuacji, zniknęła kolejna młoda dziewczyna podczas rodzinnych zakupów na berlińskim targu.

Hala targowa mieściła się na rogu Bremerstrasse i Arminius Strasse. Był to duży budynek wielkości hurtowni, zbudowany z czerwonej cegły, gdzie klasa robotnicza Moabitu – czyli niemal wszyscy okoliczni mieszkańcy – zaopatrywała się w sery, ryby, wędliny i inne świeże produkty spożywcze. W kilku miejscach można było nawet wypić na stojąco szybki kufel piwa i zjeść kiełbaskę. We wnętrzu, do którego prowadziło co najmniej sześć wejść, zawsze panował spory ruch. Nie można tu było po prostu się przechadzać; większość kupujących się spieszyła i nie miała czasu gapić się na towary, na które nie było ich stać, zresztą w Moabicie nie sprzedawano drogich rzeczy. A więc mój strój i spacerowy krok wyróżniały mnie z tłumu.

Wiedzieliśmy, że Liza Ganz zniknęła właśnie tutaj, ze względu na torbę na zakupy, którą znalazła przekupka ryb, a matka Lizy później rozpoznała jako swoją własność.

Oprócz tego nikt nic nie widział. W Moabicie ludzie nie zwracają na człowieka uwagi, chyba że to policjant, szukający zaginionej dziewczyny, a i wtedy przyglądają mu się tylko z ciekawości.

piątek, 30 września

Po południu wezwano mnie do sztabu Gestapo na Prinz Albrecht Strasse.

Przy wejściu spojrzałem nad główną bramę, gdzie na zwoju wielkim jak opona siedziała statua, pochylona nad ręczną robótką. Nad jej głową unosiły się dwa cherubiny, z których jeden drapał się po głowie, drugi zaś wyglądał na zdziwionego. Według mnie zastanawiały się, dlaczego Gestapo wybrało akurat ten budynek, żeby otworzyć interes. Na pierwszy rzut oka akademia sztuki, która poprzednio zajmowała dom pod numerem ósmym

na Prinz Albrecht Strasse, oraz obecnie tu urzędujące Gestapo nie miały ze sobą wiele wspólnego; łączył je tylko dość oczywisty żart o fałszerstwach, od którego nikt nie mógł się powstrzymać. Ale tego dnia dziwiło mnie głównie to, że Heydrich postanowił mnie wezwać właśnie tutaj, a nie do Prinz Albrecht Palais na pobliskiej Wilhelmstrasse. Nie wątpiłem jednak, że miał swoje powody – Heydrich, cokolwiek robił, zawsze miał jakiś powód, i byłem pewien, że ten będzie równie nieprzyjemny jak wszystkie inne, które dane mi było poznać.

Przy głównym wejściu wchodzących poddawano kontroli, po czym kierowano ich do schodów, szerokich jak rzymski akwedukt. Olbrzymi, sklepiony hol na pierwszym piętrze miał trzy okna iście kolejowych rozmiarów – w każdym zmieściłaby się lokomotywa – a pod oknami drewniane ławki, takie jak w kościele. Usiadłem na jednej z nich i posłusznie postanowiłem zaczekać.

Na postumentach między oknami ustawiono popiersia Hitlera i Göringa. Trochę mnie zdziwiło, że Himmler ścierpiał głowę Grubego Hermanna, zważywszy na panującą między nimi nienawiść. Może po prostu podziwiał ją jako rzeźbę? Z pewnością – podobnie jak jego żona była córką naczelnego rabina.

Czekałem już niemal godzinę, gdy podwójne drzwi naprzeciw mnie otworzyły się i wynurzył się z nich Heydrich z teczką w ręce. Na mój widok przepędził towarzyszącego mu adiutanta.

– Witam, komisarzu Günther – powiedział, najwyraźniej rozbawiony brzmieniem tych słów, i wskazał mi galerię nad schodami.

– Miałem nadzieję, że przejdziemy się po ogrodzie, jak ostatnim razem. Nie przeszkodzi panu, że wrócimy na Wilhelmstrasse?

Przeszliśmy przez kolejne, zwieńczone łukiem drzwi i znaleźliśmy się na innych, równie potężnych schodach, prowadzących do niesławnego południowego skrzydła. Tam, gdzie przedtem były pracownie rzeźbiarzy, obecnie znajdowały się gestapowskie sale przesłuchań. Zapamiętałem je dobrze – sam spędziłem w jednej trochę czasu – toteż poczułem ulgę, gdy wreszcie wydostaliśmy się na świeże powietrze. Z Heydrichem nigdy nie było wiadomo.

Przystanął na chwilę i zerknął na rolexa. Zacząłem coś mówić, ale niemal konspiracyjnym gestem uniósł palec i przycisnął go do cienkich warg. Zamarliśmy w oczekiwaniu, nie miałem pojęcia na co.

Niespełna minutę później rozległa się salwa karabinowa, która echem poniosła się po ogrodach. A potem kolejna i jeszcze jedna. Heydrich znów sprawdził czas, kiwnął głową i uśmiechnął się.

– Idziemy? – rzekł, wkraczając na żwirowaną ścieżkę.

– To z myślą o mnie? – zapytałem, świetnie wiedząc, że tak właśnie jest.

– Pluton egzekucyjny? – Zaśmiał się. – Skądże, komisarzu Günther. Za wiele pan sobie wyobraża. A poza tym, nie sądzę, aby akurat pan potrzebował pouczeń, kto tu rządzi. Nie, po prostu przywiązuję wielką wagę do punktualności. W końcu, skoro Führer potrafi sprawić, że pociągi jeżdżą o czasie, to ja przynajmniej powinienem dopilnować, żeby tych kilku księży zlikwidowano o wyznaczonej porze.

A więc jednak, pomyślałem, miało to być pouczenie. W ten sposób Heydrich dał mi do zrozumienia, że jest świadomy mojego sporu ze Sturmbannführerem Rothem z 4B1.

– Co się stało z egzekucjami o świcie?

– Sąsiedzi skarżyli się na hałas.

– Mówił pan o księżach, prawda?

– Kościół katolicki, Günther, jest takim samym międzynarodowym spiskiem jak bolszewizm albo judaizm. Marcin Luter zapoczątkował pierwszą Reformację, a Führer poprowadzi drugą. Ukróci władzę Rzymu nad niemieckimi katolikami, czy klechy na to pozwolą, czy nie. Ale to inna sprawa i lepiej zostawić ją ludziom, którzy wiedzą, jak wprowadzać ją w życie. Wezwałem pana, żeby się panu zwierzyć z małego problemu. Goebbels i jego pismaki z Muratti trochę na mnie naciskają, żeby nagłośnić sprawę, nad którą pan pracuje. Nie jestem pewien, jak długo zdołam ich jeszcze powstrzymać.

– Generale – rzekłem, zapalając papierosa – gdy powierzano mi tę sprawę, byłem przeciwny zakazowi publikacji. Teraz odwrotnie, jestem przekonany, że naszemu zabójcy od początku zależało na rozgłosie.

– Tak, Nebe mi mówił, że pracuje pan nad teorią, jakoby to był spisek, zorganizowany przez Streichera i jego żydożerczych kumpli, aby urządzić wielki pogrom żydowskiej społeczności stolicy.

– Generale, to brzmi jak wymysł, tylko jeśli nie zna się Streichera.

Heydrich przystanął i wbił dłonie głęboko w kieszenie spodni. Pokręcił głową.

– Nic, co dotyczy tej bawarskiej świni, nie jest w stanie mnie zaskoczyć. – Czubkiem buta próbował kopnąć gołębia, lecz nie trafił. – Ale chciałbym usłyszeć coś więcej.

– Pokazaliśmy fotografię Streichera pewnej dziewczynie. Rozpoznała w nim człowieka, który usiłował ją uprowadzić przed szkoły. Z tej samej szkoły przed tygodniem zniknęła jej koleżanka. Nasza dziewczyna sądzi, że ten człowiek mówił z bawarskim akcentem. Oficer dyżurny, który przyjął anonimowy telefon z informacją, gdzie możemy znaleźć ciało innej zaginionej, też powiedział, że dzwoniący miał bawarski akcent. Jest

również kwestia motywu. W zeszłym miesiącu ludność Norymbergi podpaliła miejską synagogę. Ale tu, w Berlinie, na razie mieliśmy tylko kilka rozbitych szyb, w najgorszym wypadku pobić. Streicher byłby uszczęśliwiony, gdyby Żydzi w Berlinie oberwali tak samo, jak ci z Norymbergi. No i w końcu fiksjacja „Der Stürmer” na punkcie mordu rytualnego, rzekomo dokonywanego przez Żydów, przywodzi na myśl *modus operandi* zabójcy. Dodajmy to wszystko do reputacji Streichera, a zaczyna to tworzyć jakąś całość.

Heydrich przyspieszył, sztywno przyciskając ręce do ciała, jakby jechał konno w wiedeńskiej Spanische Hofreitschule, po czym odwrócił się do mnie. Na jego twarzy jaśniał entuzjastyczny uśmiech.

– Znam kogoś, kto z zachwytem powita upadek Streichera. Ten głupi skurwieli wygłasza przemówienia, w których niemal oskarża premiera o impotencję. Göring nie posiada się z wściekłości. Ale tak naprawdę nie macie zbyt wiele, prawda?

– Nie, panie generale. Zaczniemy od tego, że mój główny świadek jest pochodzenia żydowskiego. – Heydrich jęknął. – A reszta to w dużej mierze teoria.

– Niemniej ta wasza teoria mi się podoba, Günther, bardzo mi się podoba.

– Chciałbym panu generałowi przypomnieć, że ujęcie Gormanna Dusiciela zajęło mi pół roku. Nad obecną sprawą pracuję niecały miesiąc.

– Obawiam się, że nie mamy pół roku. Słuchajcie, dajcie mi choć strzęp dowodu, a pozbędę się Goebbelsa, który siedzi mi na karku. Ale, Günther, muszę szybko coś dostać. Macie jeszcze miesiąc, góra półtora. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, panie generale.

– A więc, czego ode mnie potrzebujecie?

– Proszę o zorganizowanie całodobowej obserwacji Streichera przez Gestapo – powiedziałem. – I gruntownego tajnego śledztwa w sprawie wszystkich interesów prowadzonych przez niego osobiście i przez jego współników.

Heydrich skrzyżował ręce i objął dłonią długi podbródek.

– Będę musiał o tym porozmawiać z Himmlerem. Ale powinno się udać. Reichsführer nienawidzi korupcji nawet bardziej niż Żydów.

– To z pewnością wielka pociecha, panie generale.

Kontynuowaliśmy spacer w stronę Prinz Albrecht Palais.

– A tak na marginesie – zauważył, gdy zbliżyliśmy się do jego sztabu – właśnie otrzymałem ważną wiadomość, która dotyczy nas wszystkich. Brytyjczycy i Francuzi podpisali w Monachium porozumienie. Führer dostał Sudety. – Pokręcił głową ze zdumieniem. – Cud, prawda?

– O, tak – mruknąłem.

– Ależ czy nie rozumiecie? Nie będzie wojny! Przynajmniej nie w chwili obecnej.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Tak, to z pewnością dobra wiadomość.

Rozumiałem doskonale. Nie będzie żadnej wojny. Nie będzie żadnego sygnału od Brytyjczyków. A bez tego nie będzie również wojskowego puczu.

Część druga

poniedziałek, 17 października

Rodzina Ganzów – to, co z niej zostało po kolejnym anonimowym telefonie, informującym, gdzie znaleźć ciało Lizy Ganz – mieszkała w małym mieszkanku na Birkenstrasse na południe od Wittenau, na tyłach szpitala im. Roberta Kocha, gdzie Frau Ganz była zatrudniona w charakterze pielęgniarki. Herr Ganz pracował jako urzędnik sądowy w okręgowym sądzie Moabitu, który również mieścił się w pobliżu.

Według Beckera oboje Ganzowie dobiegali czterdziestki i ciężko pracowali, wskutek czego do późna przebywali poza domem. Liza często zostawała sama – nigdy jednak nie była tak samotna jak na stole sekcyjnym w Alex, gdzie obcy mężczyzna przed chwilą zakończył zszywanie tych części jej ciała, które przedtem uznał za stosowne rozciąć, chcąc dowiedzieć się o niej wszystkiego, od treści żołądka do stanu błony dziewiczej. Paradoksalnie jednak moje podejrzenia potwierdziła zawartość ust, czyli miejsce najłatwiej dostępne.

– Jak na to wpadłeś, Bernie?

– Nie wszyscy robią takie świetne skręty jak ty, profesorku. Czasem na języku albo na wardze zostanie jakieś źdźbło. Kiedy ta żydowska dziewczyna, która widziała naszego człowieka, powiedziała, że palił coś o słodkim zapachu, jak liść laurowy albo oregano, od razu pomyślałem o haszyszu. Prawdopodobnie w ten sposób skłania dziewczyny, żeby z nim szły, nie robiąc hałasu. Czują się dorosłe, bo on je częstuje papierosami. Tyle że to nie są takie papierosy, jakich one się spodziewają.

Illman z wyraźnym zdumieniem pokręcił głową.

– I pomyśleć, że to przegapiłem. Chyba się starzeję.

Becker zatrzasnął drzwi samochodu i przystanął obok mnie na chodniku. Mieszkanie mieściło się nad apteką. Miałem przecucie, że mogę jej później potrzebować.

Weszliśmy po schodach i zastukaliśmy do drzwi. Otworzył nam ciemnowłosy mężczyzna o wyglądzie choleryka. Rozpoznając Beckera, gwałtownie zaczerpnął tchu i

zawołał żonę. Potem zerknął za siebie i spostrzegłem, że ponuro kiwa głową.

– Lepiej wejdźcie – powiedział.

Przyjrzałem mu się bacznie. Miał zaczerwienioną twarz, a przechodząc obok, zauważyłem na jego czole kropelki potu. Po wejściu do mieszkania poczułem ciepły mydlany zapach i domyśliłem się, że właśnie się kąpał.

Herr Ganz zamknął drzwi i wyminawszy nas, szybko ruszył przodem do niewielkiego saloniku. Na środku stała, milcząc, jego żona. Wysoka i blada kobieta wyglądała, jakby zbyt wiele czasu spędzała w zamkniętych pomieszczeniach. Z pewnością przed chwilą płakała, bo w dłoni wciąż ścisnęła mokrą chusteczkę. Herr Ganz, niższy od żony, objął jej szerokie ramiona.

– To jest pan komisarz Günther z Alexanderplatz – przedstawił mnie Becker.

– Herr i Frau Ganz – powiedziałem. – Niestety muszę państwa przygotować na najgorsze. Dzisiaj rano znaleźliśmy ciało waszej córki Lizy. Bardzo mi przykro.

Becker z powagą przytaknął skinieniem głowy.

– Tak – rzekł Ganz. – Tak myślałem.

– Naturalnie – zwróciłem się do niego – trzeba będzie oficjalnie rozpoznać zwłoki. Niekoniecznie natychmiast. Może później, żeby państwo mieli czas trochę się pozbierać. – Czekałem, aż Frau Ganz rozplynie się we łzach, ale przynajmniej na razie starała się zachować spokój. Może dlatego, że była pielęgniarką i zdążyła się uodpornić na ból i cierpienie. Nawet własne.

– Możemy usiąść?

– Tak, proszę – powiedział Ganz.

Poleciłem Beckerowi, żeby poszedł do kuchni i zrobił nam wszystkim kawę. Oddalił się skwapliwie, zadowolony, że choć na chwilę opuszcza atmosferę smutku i żałoby.

– Gdzie ją znaleźliście? – zapytał Ganz.

Nie było to pytanie, na które dałoby się odpowiedzieć bez skrępowania. Jak wyjawić rodzicom, że nagie ciało ich córki tkwiło w stercie opon samochodowych w zagraconym garażu na Kaiser Wilhelm Strasse? Podałem im wersję okrojoną, uwzględniającą tylko położenie garażu. W tym momencie małżonkowie wymienili znaczące spojrzenia.

Ganz siedział, trzymając rękę na kolanie żony. Była spokojna, milcząca, wręcz nieobecna; niewykluczone, że potrzebowała kawy Beckera jeszcze bardziej niż ja.

– Domyślcie się, kto mógł ją zabić? – zapytał Ganz.

– Rozpatrujemy kilka możliwości, proszę pana – rzekłem, czując, że wyświechtane policyjne komunały przychodzą mi zbyt łatwo. – Proszę mi wierzyć, robimy wszystko, co w

naszej mocy.

Herr Ganz skrzywił się jeszcze bardziej. Pokręcił gniewnie głową:

– Zupełnie nie pojmuję, dlaczego w gazetach nic nie ma.

– Ważne jest, by nie zachęcać potencjalnych naśladowców – wyjaśniłem. – To się często zdarza w takich sprawach.

– A nie jest równie ważne, żeby nie mordowano więcej dziewcząt? – zapytała nagle Frau Ganz. Wyglądała na zirytowaną. – Przecież to prawda, czyż nie? Zamordowano także inne dziewczyny. Ludzie tak mówią. Może udało się wam zakazać druku w gazetach, ale nie powstrzymacie ludzkich języków.

– Zorganizowaliśmy ostrzegawcze kampanie propagandowe, żeby nastolatki miały się na baczności – powiedziałem.

– No więc najwyraźniej te kampanie na nic się nie zdały, prawda? – zawołał Ganz. – Liza była inteligentna, panie komisarzu. Nie z takich, które robią głupstwa. To i ten morderca też musi być sprytny. Na mój rozum, trzeba wydrukować tę całą historię w prasie, to jedyny sposób, żeby dziewczyny naprawdę zaczęły uważać. I nie pomijać drastycznych szczegółów. Żeby się przestraszyły.

– Może pan ma rację – odparłem przeproszająco – ale to nie ode mnie zależy. Ja tylko wykonuję rozkazy. – Ostatnimi czasy Niemcy usprawiedliwiali tym frazesem dosłownie wszystko; było mi wstyd, że go używam.

Becker wyrzwał zza drzwi kuchni.

– Panie komisarzu, można prosić na słówko?

Teraz ja z kolei z zadowoleniem opuściłem pokój.

– O co chodzi? – zapytałem kąśliwie. – Zapomnieliście, jak się nastawia czajnik?

Podał mi wycinek z „Völkischer Beobachter”. – Niech pan spojrzy na to ogłoszenie. Znalazłem w szufladzie.

Swoje usługi proponował niejaki Rolf Vogelmann, Prywatny Detektyw, Specjalność: Poszukiwanie Zaginionych – ten sam, którego anonse czytał Bruno Stahlecker, żeby mi dokuczyć.

Becker wskazał datę na wycinku prasowym.

– 3 października – podkreślił. – Cztery dni po zaginięciu Lizy Ganz.

– Nie po raz pierwszy ludzie zmęczeni oczekiwaniem, żeby policja coś zrobiła, postanowili działać na własną rękę – powiedziałem. – W końcu ja też zarabiałem w ten sposób na w miarę uczciwe życie.

Becker przygotował filiżanki i spodki, które ustawił na tacy obok dzbanka z kawą.

– Myśli pan, że korzystali z jego usług?

– Nie zawadzi zapytać.

Ganz nadal był nieufny. Pomyślałem nawet, że sam chciałbym mieć takiego klienta.

– Jak już mówiłem, Herr Kommissar, w gazetach nie było nic o naszej córce, a waszego kolegę widziałem tylko dwa razy. Czas mijał, więc zaczęliśmy się zastanawiać, jakie właściwie działania są podejmowane, żeby znaleźć Lizę. Najtrudniej znieść niepewność. Pomyśleliśmy, że jeśli wynajmiemy Herr Vogelmann, to przynajmniej będziemy mieli gwarancję, że ktoś robi wszystko, żeby ją odszukać. Nie chcę być niegrzeczny, komisarzu, ale tak właśnie było.

Upiłem łyk kawy i pokręciłem głową.

– Rozumiem doskonale – odrzekłem. – Pewnie zrobiłbym dokładnie to samo. Po prostu szkoda, że Vogelmann jej nie znalazł.

Zaimponowali mi. Prawdopodobnie nie stać ich było na usługi prywatnego detektywa, a jednak go wynajęli. Być może wydali na to wszystkie posiadane oszczędności.

Skończyliśmy kawę. Wychodząc, zaproponowałem, że nazajutrz wcześniej rano przyślę samochód po Herr Ganza, żeby przyjechał do Alex zidentyfikować ciało.

– Dziękuję za uprzejmość panie komisarzu – powiedziała Frau Ganz, uśmiechając się z wysiłkiem. – Wszyscy są dla nas tacy mili.

Jej mąż przytaknął skinieniem głowy. Stał w otwartych drzwiach, najwyraźniej nie mogąc się doczekać, aż sobie wreszcie pójdziemy.

– Herr Vogelmann nie chciał przyjąć od nas pieniędzy. A teraz pan załatwia samochód dla męża. Nie wiem, jak mam panu dziękować.

Ze współczuciem uściśnąłem jej dłoń.

W aptece na parterze kupiłem proszki od bólu głowy i rozgryzłem jeden w samochodzie. Becker popatrzył na mnie z odrazą.

– Chryste, naprawdę nie wiem, jak pan może to robić – wzdrygnął się.

– W ten sposób szybciej działa. A po tym, co przed chwilą widzieliśmy, nie mogę powiedzieć, żebym szczególnie zwracał uwagę na smak. Nie cierpię przynosić złych wiadomości. – Zgarnąłem językiem resztki tabletki z wnętrza ust. – No? Co o tym myślicie? Macie to samo uczucie, co przedtem?

– Tak. Bez przerwy spoglądał na nią znacząco.

– Wy też, skoro już o to chodzi – zauważyłem, potrząsając ze zdziwieniem głową.

– Niezła, prawda? – Becker uśmiechnął się szeroko.

– Jak was znam, pewnie chcecie mi powiedzieć, że byłaby dobra w łóżku, co?

– Powiedziałbym, że ona jest bardziej w pańskim typie, panie komisarzu.

– Ach tak? A dlaczego tak sądzicie?

– Wie pan, to typ, który reaguje na dobroć.

Mimo bólu głowy roześmiałem się głośno.

– Może bardziej niż na złe nowiny. Włazimy w jej życie z buciorami, musi patrzeć na nasze ponure gęby, a wygląda, jakby miała bolesną miesiączkę.

– To pielęgniarka. One umieją sobie dobrze radzić ze złymi wiadomościami.

– Przyszło mi to do głowy, ale sądzę, że już zdążyła się napłakać, i to niedawno. A jak matka Irmy Hanke? Płakała?

– Ale skąd! Baba jest nieczuła jak Żyd Süß. Może trochę chlipała, kiedy pierwszy raz tam zajrzałem. Ale była u nich taka sama atmosfera jak u Ganzów.

Spojrzałem na zegarek.

– Chyba powinniśmy się napić, co?

Pojechaliśmy do Cafe Kerkau na Alexanderstrasse. Mieli sześćdziesiąt stołów do bilardu i wielu gliniarzy z Alex lubiło się u nich zabawić po zejściu z dyżuru.

Kupiłem dwa piwa i zaniósłem je do stołu, przy którym Becker ćwiczył uderzenia.

– Gra pan? – zapytał.

– Żarty sobie robicie? To kiedyś był mój salon! – Wybrałem kij, przyglądając się, jak Becker stuka w bilę rozgrywającą. Uderzyła w czerwoną, odbiła się od bandy i wpadła wprost na drugą białą bilę.

– Ma pan ochotę obstawić?

– Nie po tym uderzeniu. Musicie się sporo nauczyć, jeśli chodzi o zakłady. Co innego, gdybyście nie trafili...

– E tam, miałem szczęście – upierał się Becker. Pochylił się i uderzył na oślep, chybiając o pół metra.

Cmoknąłem.

– Mam w rękę kij bilardowy, nie laskę niewidomego. Przestańcie mnie nabierać, dobrze? No, niech będzie, jeśli was to cieszy, możemy zagrać po pięć marek od partii.

Uśmiechnął się pod nosem i rozluźnił ramiona.

– Dwadzieścia punktów może być?

Wygrałem rozbiecie, lecz strzał otwierający chybił. Potem już mogłem tylko się przyglądać. Becker za młodu nie był w harcerstwie, to pewne. Po czterech partiach rzuciłem na sukno dwudziestkę i poprosiłem o zmiłowanie. Becker odrzucił mi banknot.

– Nie trzeba – powiedział. – Namówiłem pana.

– To kolejna rzecz, której musicie się nauczyć. Zakład to zakład. Nigdy, przenigdy nie grajcie na pieniądze, jeśli nie macie zamiaru ich zainkasować. Człowiek, który wam odpuści, będzie oczekiwał, że wy mu też odpuścicie. Od tego ludzie robią się nerwowi.

– To brzmi jak dobra rada – odparł i wsadził pieniądze do kieszeni.

– Tak samo w interesach – ciągnąłem. – Nigdy nie pracujcie za darmo. Jeśli nie ma zapłaty za pracę, to nie mogła być wiele warta. – Odstawiłem kij na stojak i dopiłem piwo. – Nigdy nie ufajcie nikomu, kto chętnie pracuje za darmo.

– Tego się pan nauczył jako prywatny detektyw?

– Nie, tego się nauczyłem jako dobry biznesmen. Ale skoro już o tym mowa, prywatny detektyw, który próbuje odszukać zaginioną uczennicę, a potem rezygnuje z honorarium, trochę mi śmierdzi.

– Rolf Vogelmann? Przecież jej nie znalazł.

– Pozwólcie, że coś wam powiem. Ostatnimi czasy w tym mieście ginie wielu ludzi, i to z wielu różnych powodów. Znaleźć kogoś to jest wyjątek, nie reguła. Gdybym podał rachunki od wszystkich zawiedzionych klientów, to bym teraz zmywał naczynia w knajpie. W prywatnej firmie nie ma miejsca na sentymenty. Kto nie zarabia, ten nie je.

– Może ten cały Vogelmann jest bardziej wspaniałomyślny niż pan, panie komisarzu.

Pokręciłem głową.

– Nie pojmuję, jak go na to stać – powiedziałem, rozkładając ogłoszenie Vogelmanna i czytając je ponownie. – I to przy dzisiejszych kosztach.

wtorek, 18 października

To była ona, a jakże. Nie sposób było nie rozpoznać tych złocistych włosów i posągowych łydek. Patrzyłem, jak objuczona paczkami i torbami zмага się z obrotowymi drzwiami Ka-De-We, jakby w ostatniej chwili robiła zakupy gwiazdkowe. Zamachała na taksówkę, upuściła torbę, schyliła się, żeby ją podnieść, a gdy podniosła głowę, odkryła, że kierowca jej nie zauważył. Nie do pojęcia, jak to się mogło stać – żeby nie dostrzec Hildegard Steininger, człowiek musiał mieć worek na głowie. Wyglądała, jakby spędziła życie w salonie piękności.

Nawet z samochodu słyszałem, jak przeklina, podjechałem więc do krawężnika i opuściłem szybę.

– Gdzieś panią podwieźć?

– Nie, w porządku – odparła, rozglądając się za kolejną taksówką, jakbym osaczył ją na przyjęciu koktajlowym, a ona zerkała mi przez ramię, czy nie zbliża się ktoś bardziej interesujący. Nikt się nie pojawiał, więc przypomniała sobie, że należy się zdawkowo uśmiechnąć, i powiedziała:

– No, jeśli jest pan pewien, że to nie kłopot...

Wyskoczyłem z auta, żeby jej pomóc załadować zakupy. Modystki, sklepy z obuwaniem, perfumeria, elegancki salon mody z Friedrichstrasse i słynne delikatesy Ka-De-We: było jasne, że należała do osób, dla których najlepsze panaceum na wszelkie problemy stanowi opaska książeczka czekowa. Ale wiele jest takich kobiet.

– Żaden kłopot – odparłem, mierząc wzrokiem jej nogi, gdy wciągała je do auta, i z przyjemnością dostrzegając brzeg jej pończoch oraz podwiązki. Daj sobie spokój, pomyślałem. Ta jest za kosztowna. Poza tym ma co innego na głowie. Na przykład, czy torebka pasuje do pantofli i co się stało z jej zaginioną córką.

– Dokąd? – zapytałem. – Do domu?

Westchnęła, jakbym zaproponował jej noclegownię Palme na Frobelsstrasse, po czym uśmiechnęła się dzielnie i skinęła głową. Ruszyliśmy na wschód w stronę Bülowstrasse.

– Obawiam się, że nie mam dla pani żadnych wiadomości – powiedziałem, oblekając twarz w poważny wyraz i próbując skupić się na drodze, a nie na wspomnieniu o jej udach.

– Tak właśnie sądziłam – odparła głucho. – To już prawie cztery tygodnie, prawda?

– Proszę nie tracić nadziei.

Kolejne westchnienie, bardziej zniecierpliwione.

– Nie znajdziecie jej. Nie żyje, prawda? Dlaczego ktoś tego po prostu nie przyzna?

– Żyje, dopóki się nie dowiem, że jest inaczej, Frau Steininger. – Skreśliłem na południe w Potsdamerstrasse i przez chwilę milczeliśmy oboje. Wtem uświadomiłem sobie, że potrząsa głową i dyszy, jakby właśnie weszła kilka pięter po schodach.

– Co pan sobie o mnie pomyśli, Herr Kommissar? – jęknęła. – Moja córka zaginęła, pewnie zamordowana, a ja tu beztróska wydaję pieniądze! Pewnie pan sądzi, że jestem kompletnie bez serca!

– Nic podobnego nie myślę – odparłem i zacząłem opowiadać, jak to różni ludzie rozmaicie sobie radzą w takich sytuacjach, więc jeśli drobne zakupy pomagają jej na kilka godzin zapomnieć o zniknięciu córki, to jest absolutnie w porządku i nikt nie może mieć jej tego za złe. Wydawało mi się, że przemawiam dość przekonująco, jednak kiedy dotarliśmy do Steglitz, Hildegard Steininger zalewała się łzami. Ująłem ją za ramię, uściśnąłem lekko i zaraz puściłem.

– Zaproponowałbym pani chusteczkę – powiedziałem – ale zawijałem w nią kanapki.

Z wysiłkiem uśmiechnęła się przez łzy.

– Mam chusteczkę – rzekła, wyciągając z rękawa koronkowy kwadrat. – Potem zerknęła na moją chusteczkę i zaśmiała się: – Rzeczywiście wygląda, jakby zawijał pan w nią kanapki.

Pomogłem jej zanieść zakupy na górę, a pod drzwiami zaczekałem, aż znajdzie klucz. Otworzyła i odwróciła się, obdarzając mnie uroczym uśmiechem.

– Dziękuję za pomoc, Herr Kommissar – powiedziała. – To naprawdę bardzo miło z pana strony.

– Ależ to nic takiego – odparłem uprzejmie, chociaż wcale tak nie uważałem.

Nawet mnie nie zaprosiła na kawę, pomyślałem, znów znalazłszy się w samochodzie. Pozwała, żebym ją wiozł taki kawał drogi, i nawet nie zaprosi mnie do środka. Powtarzam, jest wiele takich kobiet; mężczyźni to dla nich tylko taksówkarze, którym można nie dawać napiwku.

Ciężki zapach perfum Bajadi niezle wytrącił mnie z równowagi. Na niektórych mężczyzn to wcale nie działa, ale mnie damskie perfumy dają prosto w podbrzusze. Zanim po

dwudziestu minutach dotarłem do Alex, zdążyłem już, niczym odkurzacz, wywąchać z wnętrza samochodu chyba każdą cząsteczkę zapachu tej pani.

Zadzwoiłem do kolegi, który pracował w agencji reklamowej Dorlands. Aleksa Sieversa znałem z czasów wojny.

- Aleks, wciąż kupujecie przestrzeń reklamową?
- Jak długo ta robota nie wymaga posiadania mózgu.
- Zawsze miło porozmawiać z kimś, komu praca sprawia przyjemność.
- Na szczęście o wiele większą przyjemność sprawiają mi pieniądze.

Trwało to jeszcze kilka minut, po czym zapytałem Aleksa, czy ma dzisiejsze wydanie „Völkischer Beobachter”, i poprosiłem, by rzucił okiem na stronę z ogłoszeniem Vogelmana.

– A to co? – wykrzyknął. – Nie do wiary, że są w waszej branży ludzie, którzy w końcu doczłapali się do dwudziestego wieku!

– To ogłoszenie ukazuje się chyba od kilku miesięcy, co najmniej dwa razy w tygodniu – wyjaśniłem. – Ile może kosztować taka kampania?

– Przy takiej liczbie inseratów z pewnością dają jakiś upust. Słuchaj, zostaw to mnie. Znam kilka osób w „Völkischer Beobachter”. Sądzę, że będę mógł się tego dowiedzieć.

- Będę ci bardzo wdzięczny, Aleks.
- A może sam chcesz się ogłaszać?
- Wybacz, Aleks, ale to dotyczy dochodzenia.
- Kapuję. Szpiegujesz konkurencję, tak?
- Coś w tym rodzaju.

Resztę popołudnia spędziłem, czytając meldunki Gestapo na temat Streichera i jego współpracowników z „Der Stürmer”; o miłośkach gauleitera z niejaką Anni Seitz i z innymi kobietami, o których jego żona Kunegunde nie miała pojęcia; o związku jego syna Lothara z Angielką nazwiskiem Mitford, pochodzącą z arystokratycznej rodziny; o homoseksualizmie redaktora gazety, Ernsta Hiemera; o tym, że rysownik „Der Stürmer”, Philip Rupprecht, po wojnie prowadził w Argentynie nielegalną działalność; i o tym, że członkiem zespołu redakcyjnego jest człowiek nazwiskiem Fritz Brand, w rzeczywistości Żyd Jonas Wolk.

Była to fascynująca, smakowita lektura, która niewątpliwie spodobałaby się czytelnikom tego czasopisma, nie przybliżyła mnie wszakże ani na jotę do ustalenia, czy Streicher ma jakiś związek z morderstwami.

Około piątej Sievers oddzwonił, aby mi powiedzieć, że ogłoszenia Vogelmana mogą kosztować od trzystu do czterystu marek miesięcznie.

- Od kiedy on wydaje takie pieniądze?
- Od początku lipca. Tyle że on ich nie wydaje, Bernie.
- Nie mów mi, że dostaje to miejsce za darmo.
- Nie, rachunek płaci kto inny.
- Ach, tak? A kto?
- No, to właśnie jest dziwne, Bernie. Potrafisz podać chociaż jeden powód, dla którego kampanię reklamową prywatnego detektywa miałyby finansować Wydawnictwo Lange?
- Jesteś tego pewien?
- Bezwzględnie.
- To bardzo ciekawe. Aleks, masz u mnie wódkę.
- Po prostu kiedy wreszcie postanowisz się reklamować, dopilnuj, żeby najpierw porozmawiać ze mną, dobrze?
- Jasne.

Odłożyłem słuchawkę i otworzyłem kalendarz. Frau Gertrude Lange już od przeszło tygodnia zalegała z należnością za wykonaną dla niej pracę. Zerknąwszy na zegarek, skonstatowałem, że jeśli wyruszę natychmiast, to akurat zdążę przed szczytem ruchu w kierunku zachodnim.

W domu przy Herbertstrasse trwał remont i czarnoskóra pokojówka Frau Lange z goryczą poskarżyła się na malarzy, którzy kręcili się tam i z powrotem o każdej porze, nie dając jej ani przez chwilę odpocząć. Ale nikt by tego nie odgadł po jej wyglądzie; była jeszcze grubsza, niż zapamiętałem.

– Będzie musiał poczekać w holu. Pójdę i zapytam, czy jest wolna. Wszędzie odnawiają. Niech uważa i niczego nie dotyka. – Drgnęła, gdy domem wstrząsnął straszliwy huk, po czym ruszyła na poszukiwanie swej pani, mamrocząc coś o facetach w brudnych kombinezonach, którzy demolują wszystko na swej drodze. Zostałem sam, przebijając nogami na marmurowej posadzce.

Remont miał pewien sens. Zapewne robili go co roku, zamiast wiosennego sprzątnięcia. Przesunąłem dłonią po grzbiecie secesyjnego łososia z brązu, który zajmował środek wielkiego okrągłego stołu. Dotknięcie jego gładkiej powierzchni byłoby przyjemne, gdyby nie gruba warstwa pyłu. Skrzywiłem się i odwróciłem, akurat gdy czarna beczka ponownie wtoczyła się do holu. Zrewanżowała mi się podobnym grymasem, a potem skierowała wzrok na moje buty.

– Widzi, co zrobił z moją czystą podłogą? – zawołała, wskazując czarne ślady po obcasach.

Cmoknąłem ostentacyjnie i nieszczerze.

– Może namówisz swoją panią, żeby kazała położyć nową – powiedziałem. Mógłbym przysiąc, że pokojówka, zanim poleciała mi iść za sobą, zmełła pod nosem przekleństwo.

Poszliśmy tym samym korytarzem – nadal dość ponurym, mimo kilku warstw farby – ku podwójnym drzwiom biura w salonie. Frau Lange, jej liczne podbródki oraz psy czekały na mnie na tym samym szezlongu, co przedtem, pokrytym wszakże nowym obiciem, które mogło uchodzić za miłe tylko dla kogoś, komu coś wpadło do oka. Forsa nie gwarantuje dobrego smaku, ale bywa, że niezwykle jaskrawo podkreśla jego brak.

– Co, nie ma pan telefonu? – Jej głos, stłumiony przez obłoki tytoniowego dymu, zabuczał niczym syrena mgłowa. – Myślę – zachichotała – że musiał pan kiedyś być poborcą podatkowym albo czymś takim. – Po czym, uświadomiwszy sobie, co powiedziała, chwyciła się za jedną z fałd pod brodą i wykrzyknęła: – o Boże! Nie zapłaciłam pańskiego rachunku, prawda? – Znów się roześmiała i wstała. – Okropnie mi przykro.

– Nic się nie stało – rzekłem, patrząc jak podchodzi do biurka i wyjmuje książeczkę czekową.

– I nie zdążyłam panu porządnie podziękować, że tak szybko załatwił pan tę sprawę. Wszystkim znajomym opowiadam, jaki pan jest świetny. – Wręczyła mi czek. – Dołożyłam panu małą premię. Nie ma pan pojęcia, jak mi ulżyło, że pozbyliśmy się tego straszego człowieka. Herr Günther, napisał mi pan w liście, że podobno on się powiesił. Oszczędził komuś kłopotu, co? – Znów zaśmiała się głośno, jak aktorka amatorka, która zbyt wczuwa się w rolę, by uchodzić za wiarygodną. Zęby też miała sztuczne.

– Można i tak na to patrzeć – mruknąłem. Nie widziałem żadnego sensu w opowiadaniu jej o swoich podejrzeniach, że Heydrich kazał zabić Klause Heringa, żeby przyspieszyć mój powrót do Kripo. Klienci nie lubią niewyjaśnionych szczegółów. Ja też niezbyt za nimi przepadam.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że jej sprawa poniekąd kosztowała Brunona Stahleckera życie. Przestała się śmiać i przybierając poważniejszy wyraz twarzy, przystąpiła do składania mi kondolencji. Tu również poszła w ruch książeczka czekowa. Przez chwilę zamierzałem powiedzieć coś podniosłego na temat ryzyka zawodowego, lecz pomyślałem o wdowie po Brunonie i pozwoliłem Frau Lange dokończyć wypisywanie kwoty.

– Bardzo wielkodusznie – rzekłem. – Dopilnuję, by pieniądze trafiły do jego żony i dzieci.

– Bardzo proszę – odparła. – A gdybym mogła dla nich zrobić coś jeszcze, zawiadomi mnie pan, dobrze?

Obiecałem, że to zrobię.

– Ale pan może zrobić coś dla mnie, Herr Günther – dodała. – Ta korespondencja, którą panu dałam. Syn pytał, czy mógłby odebrać tych kilka ostatnich listów.

– Oczywiście. Zapomniałem. – Zaraz, zaraz, co ona powiedziała? Czyżby ocalały tylko te listy, które przechowywałem w aktach u siebie w biurze? Czy też chodziło jej o to, że Reinhard Lange już odzyskał pozostałe? A w takim razie, jak mu się to udało? Kiedy przeszukiwałem mieszkanie Klause Heringa, z całą pewnością nie znalazłem tam żadnych listów. Co się z nimi stało?

– Podrzucę je osobiście – obiecałem. – Dzięki Bogu, że bezpiecznie odzyskał resztę.

– Tak, prawda?

A więc tak. Miał je w ręku.

Skierowałem się do drzwi.

– Cóż, pójdę już, Frau Lange. – Pomachałem czekami, po czym wsunąłem je do portfela. – Dziękuję za szczodrość.

– Nie ma za co.

Zmarszczyłem brwi, jakby coś właśnie przyszło mi na myśl.

– Jedna rzecz mnie zastanawia – powiedziałem. – Miałem panią o to zapytać. Jakie interesy prowadzi pani firma z Agencją Detektywistyczną Rolfa Vogelmana?

– Rolfa Vogelmana? – powtórzyła nerwowo.

– Tak. Widzi pani, całkiem przypadkowo dowiedziałem się, że Wydawnictwo Lange od lipca tego roku finansuje kampanię reklamową Rolfa Vogelmana. Zwyczajnie jestem ciekaw, dlaczego pani mnie wynajęła, skoro chyba rozsądniej było zatrudnić jego?

Frau Lange zamrugnęła i powoli pokręciła głową.

– Niestety, nie mam najmniejszego pojęcia.

Wzruszyłem ramionami i pozwoliłem sobie na uśmiezek.

– Cóż, jak powiedziałem, jestem zaskoczony i tyle. Nic ważnego. Czy pani podpisuje wszystkie firmowe czeki, Frau Lange? Zastanawiałem się po prostu, czy pani syn mógł zrobić coś takiego samodzielnie, nie informując pani. Tak jak kupił to czasopismo, o którym pani mówiła. Jak ono się nazywało? „Urania”?

Frau Lange, wyraźnie zakłopotana, poczerwieniała. Przetknęła głośno ślinę i powiedziała:

– Reinhard ma prawo podpisywać czeki do ograniczonej wysokości, z rachunku, który

powinien pokrywać jego wydatki jako dyrektora firmy. Jednak nie potrafię wyjaśnić, o co tu może chodzić, Herr Günther.

– No cóż, może astrologia go znużyła. Może postanowił sam zostać prywatnym detektywem. Prawdę mówiąc, Frau Lange, horoskop to równie dobry sposób, jak każdy inny, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Postaram się zapytać o to Reinharda, kiedy znów się z nim zobaczę. Jestem panu wdzięczna za tę informację. Czy zechciałby pan mi powiedzieć, skąd pan ją uzyskał?

– Tę informację? Proszę wybaczyć, mam niezłomną zasadę, by nigdy nie zdradzać poufnych źródeł. Pani to z pewnością rozumie.

Krótko kiwnęła głową i pożegnała się ze mną.

W holu zastałem czarną beczkę, która wciąż kipiała z powodu posadzki.

– Wiesz, co bym polecał? – zagadnąłem.

– Co takiego? – mruknęła obrażona.

– Myślę, że powinnaś zadzwonić do redakcji pisma, należącego do syna Frau Lange. Może znajdą jakieś magiczne zaklęcie, żeby pozbyć się tych śladów.

piątek, 21 października

Kiedy przedstawiłem Hildegard Steininger swój pomysł, na początku nie okazała większego entuzjazmu.

– Zaraz, czy ja dobrze rozumiem? Pan chce udawać mojego męża?

– Właśnie.

– Po pierwsze, mój mąż nie żyje. Po drugie, pan go wcale nie przypomina, Herr Kommissar.

– Po pierwsze, liczę na to, że ten człowiek nie wie, że prawdziwy Herr Steininger umarł; a po drugie, przypuszczam, że podobnie jak ja, nie ma pojęcia, jak wyglądał pani mąż.

– A kto to właściwie jest, ten Rolf Vogelmann?

– Takie dochodzenie jak nasze polega głównie na poszukiwaniu jakiegoś wzoru, wspólnego mianownika. Tutaj wspólnym elementem jest zatrudnienie Vogelmanna przez rodziców dwóch innych dziewcząt.

– Dwóch innych ofiar, chce pan powiedzieć. Widzi pan, ja wiem, że zagięły inne dziewczęta, które potem znaleziono zamordowane. Może nie ma o tym nic w gazetach, ale wciąż się coś słyszy.

– Niech będzie, dwóch innych ofiar – zgodziłem się.

– To z pewnością zbieg okoliczności. Proszę posłuchać, sama myślałam, żeby to zrobić; wie pan, wynająć kogoś, żeby szukał mojej córki. W końcu wy nie trafiliście na żaden ślad po niej, prawda?

– Prawda. Ale to może być coś więcej niż zbieg okoliczności. Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

– Załóżmy, że on ma z tym coś wspólnego. Co by na tym zyskał?

– Niekoniecznie mówimy o człowieku racjonalnym. Więc nie wiem, czy pojęcie zysku w ogóle wchodzi w rachubę.

– No cóż, to wszystko brzmi mocno wątpliwie. – Zamyśliła się. – Jak on się skontaktował z tymi dwiema rodzinami?

– Nie on się skontaktował. To oni się zgłosili, widząc jego ogłoszenie w gazecie.

– Czy to nie dowodzi, że nawet jeśli ten człowiek faktycznie stanowi wspólny element, to nie z własnej inicjatywy?

– Może tylko chciałby, żeby tak wyglądało, nie wiem. Tak czy owak, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej, choćby po to, by go wykluczyć.

Założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa. Nogi miała wyjątkowo długie.

– Zrobi to pani?

– Najpierw zadam panu jedno pytanie, Herr Kommissar. I chcę usłyszeć szczerą odpowiedź, mam dosyć tych wszystkich uników. Czy pana zdaniem Emmeline jeszcze żyje?

Westchnąłem i pokręciłem głową.

– Sądzę, że nie.

– Dziękuję. – Zamilkła na moment. – To, o co pan prosi, jest niebezpieczne?

– Nie wydaje mi się.

– Więc się zgadzam.

Teraz, siedząc w poczekalni biura Vogelmana na Nürnburgerstrasse pod czujnym okiem jego dostojnej sekretarki, Hildegard Steininger doskonale odgrywała rolę zatroskanej żony – trzymała mnie za rękę i czasem obdarzała uśmiechem, takim, jaki zwykle rezerwuje się dla osób bliskich. Włożyła nawet obrączkę. Ja zresztą też. Czułem się dziwnie, mając ją na palcu po tak wielu latach; była ciasna i musiałem użyć mydła, żeby ją wsunąć.

Zza ściany dobiegały dźwięki pianina.

– Obok mieści się szkoła muzyczna – wyjaśniła sekretarka Vogelmana. Uśmiechnęła się życzliwie i dodała: – Nie będziecie musieli zbyt długo czekać.

Niecałe pięć minut później zostaliśmy zaproszeni do biura Rolfa Vogelmana.

Wiem z doświadczenia, że prywatny detektyw często pada ofiarą kilku pospolitych dolegliwości – płaskostopia, żyłaków, alkoholizmu oraz, przed czym uchowaj Boże, chorób wenerycznych – jednak żadna z nich, być może z wyjątkiem trypra, nie wpływa ujemnie na wrażenie, jakie wywiera on na potencjalnych klientach. Istnieje wszakże pewna ułomność, która, choć drobna, musi dawać interesantom do myślenia, a mianowicie krótkowzroczność. Skoro mamy płacić pięćdziesiąt marek dziennie za wytropienie zaginionej prababci, to wolelibyśmy mieć pewność, że człowiek, którego zatrudniamy, zdoła swoim sokolim wzrokiem dojrzeć przynajmniej własne spinki do mankietów. Szklą grubości denek od butelek, jakie nosił Rolf Vogelmann, należało zatem ocenić jako szkodliwe dla interesów.

Inaczej ma się rzecz z brzydotą – jeśli nie wiąże się ona z jakąś konkretną i rażącą ułomnością fizyczną, nie musi przeszkadzać w uprawianiu zawodu, toteż Vogelmann, który

był zwyczajnie szpetny, zapewne potrafił jakoś wydziobać parę groszy na życie. Mówię „wydziobać” – a na ogół starannie dobieram słowa – gdyż sterczący grzebień rudych kręconych włosów, dużych rozmiarów płaski nos i szeroka klatka piersiowa upodabniały go do jakiegoś prehistorycznego koguta, i to z gatunku, który aż się prosił o wyginięcie.

Podciągnąwszy spodnie nieomal pod pachy, Vogelmann okrążył biurko na wielkich stopach policjanta i uściśnął nam dłonie. Chodził, jakby właśnie zsiadł z roweru.

– Rolf Vogelmann, miło mi państwa poznać – powiedział wysokim, jakby zduszonym głosem z silnym berlińskim akcentem.

– Steininger – przedstawiłem się. – A to moja żona Hildegard.

Vogelmann wskazał nam dwa fotele, ustawione przed dużym biurkiem; usłyszałem skrzypienie jego butów, gdy szedł za nami po dywanie. Mebli miał niewiele: stojak na kapelusze, wózek z drinkami, długa, sfatygowana kanapa, a za nią, pod ścianą, stół z dwiema lampami i stosikiem książek.

– Bardzo miło z pana strony, że zechciał pan nas przyjąć tak szybko – powiedziała uprzejmie Hildegard.

Vogelmann usadowił się naprzeciw nas; nawet z odległości metra czułem jego oddech, zdolny skwasić mleko.

– Cóż, kiedy pani mąż wspomniał, że wasza córka zniknęła, oczywiście przyjąłem, że sprawa jest dość pilna. – Wyglądził dłonią stos kartek i wziął ołówek. – Kiedy dokładnie zaginęła?

– 22 września, w czwartek – powiedziałem. – Chodziła na lekcje tańca w Poczdamie i wyszła z domu (mieszkamy w Steglitz) o wpół do ósmej wieczorem. Lekcja miała się zacząć o ósmej, ale Emmeline na nią nie dotarła.

Hildegard ujęła mnie za rękę, a ja pocieszająco uściśnąłem jej dłoń.

– A więc to prawie miesiąc temu. – Vogelmann pokiwał głową. – A policja...

– Policja? – wykrzyknąłem z goryczą. – Policja nic nie robi. Nic nam nie mówi. Nie ma nic w gazetach. Ale wciąż krążą pogłoski, że zaginęły też inne dziewczęta w wieku Emmeline. – Urwałem. – I że zostały zamordowane.

– To niemal na pewno prawda – odrzekł, poprawiając tani wełniany krawat. – Oficjalnie, moratorium na informacje prasowe o tych zaginięciach i zabójstwach ogłoszono dlatego, że policja pragnie uniknąć paniki. Poza tym nie chcą ośmielać wszystkich czubków, których zwykle przyciągają takie sprawy. Ale prawdziwy powód jest taki, że po prostu im wstyd, iż ciągle nie są w stanie ująć tego człowieka.

Poczułem, że Hildegard mocniej ścisnęła mi dłoń.

– Herr Vogelmann – powiedziała – najtrudniej znieść tę nieświadomość, co się z nią stało. Gdybyśmy tylko mieli pewność, czy...

– Rozumiem, Frau Steininger. – Spojrzał na mnie. – Czy mam rozumieć, że chcieliby państwo, bym spróbował ją odnaleźć?

– A mógłby pan, Herr Vogelmann? – zapytałem. – Zobaczyliśmy pańskie ogłoszenie w „Völkischer Beobachter” i naprawdę, w panu jedyna nadzieja. Jesteśmy zmęczeni tym siedzeniem i czekaniem, aż coś się stanie. Prawda, moja droga?

– Tak. Mamy już dość.

– Czy posiadacie państwo fotografię córki?

Hildegard otworzyła torebkę i wręczyła mu odbitkę zdjęcia, które wcześniej dała Deublowi.

Vogelmann przyjrzał mu się beznamiętnie.

– Ładna. Jak jeździła do Poczdamu?

– Pociągiem.

– I sądzą państwo, że musiała zginąć gdzieś między waszym domem w Steglitz a szkołą tańca, czy tak? – Przytaknąłem. – Jakież problemy w domu?

– Żadnych – odparła stanowczo Hildegard.

– A w szkole?

Oboje potrząsnęliśmy głowami, a Vogelmann zapisał coś w notesie.

– Jacyś chłopcy?

Spojrzałem na Hildegard.

– Nie wydaje mi się – powiedziała. – Przeszukałam cały jej pokój i nie znalazłam nic, co by wskazywało na to, że widuje się z chłopcami.

Vogelmann ponuro skinął głową i dostał gwałtownego ataku kaszlu, za co wylewnie przeprosił przez płótno chusteczki, przy czym jego twarz nabrała barwy bardzo podobnej do włosów.

– Przez cztery tygodnie pewnie zdołaliście wypytać wszystkich krewnych i koleżanki szkolne, u których mogła się zatrzymać. – Wytarł usta chusteczką.

– Naturalnie – odrzekła sztywno Hildegard.

– Pytaliśmy naprawdę wszędzie – powiedziałem. – Sprawdziłem każdy metr trasy, żeby ją znaleźć, i nic. – Była to niemal dosłowna prawda.

– Co miała na sobie, kiedy zginęła?

Hildegard opisała jej ubranie.

– Co z pieniędzmi?

– Kilka marek. Nie tknęła oszczędności.

– Dobrze. Rozejrzę się i zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. Lepiej niech mi pan poda swój adres.

Podyktowałem mu adres i dodałem numer telefonu. Zapisał wszystko, wstał, i prostując się z grymasem bólu, jął się przechadzać po pokoju z rękami wbitymi w kieszenie. Wyglądał jak niezdarne uczniak; oceniłem, że ma co najwyżej czterdziestkę.

– Proszę wrócić do domu i czekać na wiadomość. Skontaktuję się z państwem za kilka dni albo wcześniej, jeśli tylko coś odkryję.

Wstaliśmy, aby wyjść.

– Jak pan sądzi, jakie są szanse, żeby znaleźć ją żywą? – zapytała Hildegard.

Vogelmann posepnie wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, że nie największe. Ale zrobię wszystko, co będę mógł.

– Od czego pan zacznie? – zaciekałem się.

Znów sprawdził węzeł krawata i wyciągnął grdykę ponad zapięcie kołnierzyka. Odwrócił się ku mnie, a ja wstrzymałem oddech.

– No cóż, zacznę od zrobienia kilku odbitek fotografii państwa córki. Potem puszczyć je w obieg. W tym mieście, musicie państwo wiedzieć, jest sporo uciekinierów. Niektóre dzieci wcale nie lubią Hitlerjugend i takich rzeczy. Tak, najpierw zacznę działać w tym kierunku, Herr Steininger. – Położył mi dłoń na ramieniu i odprowadził nas do drzwi.

– Dziękuję – rzekła Hildegard. – Był pan bardzo miły, Herr Vogelmann.

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem uprzejmie. Skłonił głowę, a kiedy Hildegard wychodziła, przyłapałem go na tym, że gapi się na jej nogi. Nie dziwiłem mu się. W wełnianym beżowym bołerku, bluzce z jedwabnego fularu i wełnianej spódnicy koloru wina wyglądała lepiej niż całoroczne reparacje wojenne. Czułem się lepiej od samego udawania, że jestem jej mężem.

Ucisnąłem rękę Vogelmannowi i podążyłem za Hildegard, myśląc w duchu, że gdybyśmy faktycznie byli małżeństwem, zawiózłbym ją teraz do domu i poszedł z nią do łóżka.

Takim to eleganckim erotycznym marzeniem z udziałem jedwabi i koronek oddawałem się, opuszczając biuro Vogelmanna i wychodząc za Hildegard na ulicę. Jej seksapil miał o wiele bardziej luksusowy charakter niż sprośne wyobrażenia sprężystych piersi i pośladków. Wiedziałem jednak, że moja mała fantazja o przywilejach męża zapewne miała niewiele wspólnego z rzeczywistością, gdyż prawdziwy Herr Steininger, gdyby żył, po odwiezieniu młodej żony do domu prawdopodobnie dostałby co najwyżej podniecającą

filiżankę kawy, po czym udałby się z powrotem do banku. Proste fakty są takie, że mężczyzna, który budzi się sam, chciałby mieć kobietę, a mężczyzna, który budzi się obok żony, chciałby zjeść śniadanie.

– No i co pan o nim myśli? – zapytała, kiedy jechaliśmy samochodem z powrotem do Steglitz. – Moim zdaniem nie był taki zły, na jakiego wyglądał. W gruncie rzeczy bardzo sympatyczny, naprawdę. Z pewnością nie był gorszy od pańskich ludzi, Herr Kommissar. Nie mam pojęcia, po co zadawaliśmy sobie tyle trudu.

Pozwoliłem jej gadać przez kilka minut.

– Uważa pani, że to całkiem normalne, iż nie uznał za stosowne zadać nam bardzo wielu oczywistych pytań?

Westchnęła.

– Na przykład jakich?

– Nie wspomniał o swoim honorarium.

– Przypuszczalnie poruszyłby ten temat, gdyby uznał, że nas na to nie stać. A tak przy okazji, niech pan nie oczekuje, że ureguluję rachunek za ten pański eksperyment.

Powiedziałem, że Kripo wszystkim się zajmie.

Dostrzegłszy charakterystyczną ciemnożółtą furgonetkę z papierosami, zatrzymałem się i wysiadłem z auta. Kupiłem dwie paczki, jedną wrzuciłem do schowka, z drugiej zaś wyjąłem dwa papierosy i przypaliłem Hildegard i sobie.

– Nie wydaje się pani dziwne, że nie zapytał, ile Emmeline miała lat, do jakiej szkoły chodziła, jak się nazywał jej nauczyciel tańca, gdzie ja pracuję i temu podobne?

Wydmuchała dym nozdrzami niczym rozjuszony byk.

– Nieszczególnie – odparła. – Przynajmniej, dopóki pan o tym nie wspomniał. – Walnęła dłonią w deskę rozdzielczą i zaklęła pod nosem. – Ale co by było, gdyby zapytał, do której szkoły chodzi Emmeline? Co by pan zrobił, gdyby tam poszedł i dowiedział się, że mój prawdziwy mąż nie żyje? Chciałabym to wiedzieć!

– Nie poszedłby.

– Jest pan tego bardzo pewny. Skąd pan to wie?

– Bo wiem, jak działają prywatni detektywi. Nie lubią wkraczać tam, skąd właśnie wyszła policja, żeby zadawać te same pytania. Zazwyczaj chcą podejść do sprawy z innej strony. Trochę ją obwąchać, zanim dostrzegą jakąś sposobność.

– Więc pan sądzi, że ten Rolf Vogelmann jest podejrzany?

– Tak właśnie sędzę. Dostatecznie podejrzany, żebym odkomenderował kogoś, kto by miał oko na jego lokal.

Znów zakłęta, tym razem głośniej.

– To już drugi raz – zdziwiłem się. – Co się z panią dzieje?

– A niby co ma się dziać? Nic! Samotne damy nie mają nic przeciwko temu, żeby osoby postronne rozdawały ich adresy i numery telefonów mężczyznom, których policja uważa za podejrzanych. Samotne mieszkanie robi się takie podniecające! Moja córka zaginęła i pewnie została zamordowana, a teraz jeszcze muszę się martwić, że ten okropny człowieczek któregoś wieczoru wpadnie na pogawędkę. – Była tak rozgniewana, że niemal wysłała tytoń z bibułki papierosa. Niemniej, kiedy podjechaliśmy pod jej apartament na Lepsois Strasse, zaprosiła mnie do środka.

Usiadłem na kanapie i po chwili usłyszałem, jak głośno oddaje mocz w łazience. Wydało mi się nietypowe, że ktoś taki jak ona wcale się nie krępuje. Może było jej wszystko jedno, czy słyszę, czy nie. Nie wiem nawet, czy pofatygowała się, by zamknąć drzwi.

Wróciwszy do pokoju, obcesowo oznajmiła, że znów chce zapalić. Pochyliłem się i machnąłem w jej stronę papierosem, którego wyrwała mi z palców. Przypaliła sobie stołową popielniczką i zaczęła dymić jak komin. Z zainteresowaniem patrzyłem, jak przemierza pokój tam i z powrotem, niczym chodzący obrazek rodzicielskiego niepokoju. Sam również wziętem papierosa i wyciągnąłem kartonik zapalek z kieszonki kamizelki. Widząc, że skłaniam głowę do płomienia, Hildegard łypnęła na mnie wściekle.

– Wydawało mi się, że detektywi zapalają zapalkę, pocierając nią o paznokieć kciuka.

– Tylko niechluję, którym żal pięciu marek na manikiur – ziewnąłem.

Domyślałem się, że do czegoś zmierza, ale nie miałem pojęcia, co to może być, podobnie jak nie wiedziałem nic o guście Hitlera w kwestii wyściełanych mebli. Jeszcze raz przyjrzałem się jej uważnie.

Była wysoka, wyższa niż przeciętny mężczyzna, i miała około trzydziestki, lecz lekko iksowate nogi i skierowane do wewnątrz stopy nadawały jej wygląd dziewczynki o połowę młodszej. Niewielki biust i takiż tyłeczek, nos odrobinę za szeroki, wargi nieco za grube, chabrowe oczy osadzone trochę za blisko – nie miała w sobie nic wrażliwego, być może z wyjątkiem temperamentu. Jednocześnie jednak promieniowała niewątpliwym, długonogim wdziękiem, przywodzącym na myśl najszybsze klacze z toru wyścigowego w Hoppengarten. Zapewne równie trudno było ją utrzymać na wodzy, a ktoś, kto zdołał zająć miejsce w siodle, mógł mieć jedynie nadzieję, że utrzyma się w nim do mety.

– Nie widzi pan, że się boję? – zawołała, tupiąc nogą w lśniący parkiet. – Nie chcę teraz zostać sama.

– Gdzie jest pani syn, Paul?

– Wrócił do internatu. Poza tym, ma dopiero dziesięć lat, więc jakoś nie sędzę, żeby zdołał przybiec mi na pomoc.

Opadła na kanapę obok mnie.

– Cóż, jeśli pani naprawdę się boi – powiedziałem – to właściwie przez kilka dni mógłbym nocować tu na kanapie.

– Mógłby pan? – zapytała ucieszona.

– Jasne – potwierdziłem szybko, gratulując sobie w duchu. – Z przyjemnością.

– Nie chcę, żeby to była dla pana przyjemność – rzekła z przelotnym uśmiechem. – Chcę, żeby to był dla pana służbowy obowiązek.

Przez chwilę zapomniałem, po co tu jestem. Przez chwilę niemal pomyślałem, że ona też o tym zapomniała. Dopiero kiedy zobaczyłem łzę w kąciu jej oka, uświadomiłem sobie, że naprawdę się boi.

środa, 18 października

Nie kapuję – powiedział Korsch. – A Streicher i jego banda? Już się nimi nie zajmujemy?

– Zajmujemy – odparłem. – Ale dopóki śledztwo prowadzone przez Gestapo czegoś nie wykaże, nie możemy w tej kwestii działać zbyt wiele.

– To co pan chce, żebyśmy robili, kiedy pan będzie się opiekował wdową? – zapytał Becker z lekkim uśmiechem, który niemal uznałem za irytujący. – To znaczy, oprócz sprawdzania meldunków Gestapo.

Postanowiłem nie przejmować się tym zbytnio. To właśnie byłoby podejrzane.

– Korsch – rzekłem – chcę, żebyście mieli oko na dochodzenie Gestapo. A tak przy okazji, jak idzie waszemu człowiekowi z Vogelmannem?

Pokręcił głową.

– Niewiele się dzieje, panie komisarzu. Ten Vogelmann prawie wcale nie wychodzi z biura. Żaden z niego detektyw, gdyby mnie kto pytał.

– Rzeczywiście, trochę na to wygląda – zgodziłem się. – Becker, chcę, żebyście znaleźli mi dziewczynę. – Wyszczrzył zęby i wpatrzył się w czubki swoich butów. – Nie powinno to wam sprawić większych trudności.

– Jaką konkretną dziewczynę, panie komisarzu?

– Około piętnastu, szesnastu lat, blondynkę, niebieskooką, członkinię BDM-u oraz – urwałem prowokacyjnie – w miarę możliwości dziewicę.

– To ostatnie może być trudne, panie komisarzu.

– Musi mieć stalowe nerwy.

– Myśli pan, żeby użyć jej jako przynęty?

– Koza to podobno najlepszy sposób, żeby upolować tygrysa.

– Ale czasem koza przy tym ginie – zauważył Korsch.

– Jak powiedziałem, dziewczyna musi być odważna. Chcę, żeby wiedziała jak najwięcej. Skoro ma ryzykować życie, to powinna być świadoma, po co to robi.

– Gdzie dokładnie to zrobimy, panie komisarzu? – zapytał po chwili Becker.

– Wy mi powiedzcie. Pomyślcie, w jakich miejscach nasz człowiek może ją zauważyć. Muszą to być miejsca, gdzie możemy ją obserwować, sami nie będąc widziani. – Korsch się skrzywił. – Coś was niepokoi?

Powoli, z niesmakiem pokręcił głową.

– Nie podoba mi się to, panie komisarzu. Używać dziewczynki jako przynęty. To niehumanitarne.

– A czego byście użyli? Kawałka sera?

– Główna ulica – rzekł Becker, zastanawiając się głośno. – Taka jak na przykład Hohenzollerndamm, ale z większą liczbą samochodów, żebyśmy mieli większą szansę go zauważyć.

– Cholera, panie komisarzu, nie sądzi pan, że to trochę ryzykowne? – Korsch nie dawał za wygraną.

– Pewnie, że tak. Ale co my tak naprawdę wiemy o tym skurwielu? Jeździ samochodem, chodzi w mundurze, mówi z bawarskim lub austriackim akcentem. Wszystko poza tym to domniemania. Nie muszę wam przypominać, że zostało nam niewiele czasu. Heydrich dał mi cztery tygodnie na rozwiązanie tej sprawy. No więc musimy trochę skrócić dystans, i to szybko. Jedyny sposób to przejąć inicjatywę, wybrać następną potencjalną ofiarę.

– Ale możemy tak czekać bez końca – zaprotestował Korsch.

– Nie mówię, że będzie łatwo. Kiedy się poluje na tygrysa, to czasem trzeba spędzić noc na drzewie.

– A co z dziewczyną? – upierał się Korsch. – Chyba nie chce pan, żeby się narażała całymi dniami?

– Wystarczą popołudnia – powiedział Becker. – Popołudnia i wczesne wieczory. Nie po zmroku; musimy mieć pewność, że on zobaczy ją, a my jego.

– Zaczynacie rozumieć.

– Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Vogelmanna?

– Nie wiem. Czuję to w kościach, i tyle. Może to nic nie znaczy, ale chciałbym to sprawdzić.

– Gliniarz musi czasem polegać na przeczuciach. – Becker uśmiechnął się.

Rozpoznałem własną drętwą retorykę.

– Jeszcze zrobimy z ciebie detektywa – powiedziałem.

Słuchała płyt Beniamina Giglego z zachłannością kogoś, kto ma zaraz ogłuchnąć, nie wymagając, ani nie nawiązując rozmowy, nawet takiej, którą można by prowadzić z konduktorem. Zdażyłem się już zorientować, że Hildegard Steininger jest równie samowystarczalna, jak wieczne pióro; zrozumiałem, że woli mężczyzn, którzy uważają się jedynie za czystą kartkę papieru. A jednak, niemal na przekór, nadal wydawała mi się atrakcyjna. Na mój gust zbyt wiele zajmowała się odcieniem swoich pszenicznazłotych włosów, długością swoich paznokci, stanem swoich zębów, które nieustannie szczotkowała. Była stanowczo zbyt próżna i dwa razy bardziej samolubna. Postawiona przed wyborem, czy sprawić przyjemność sobie, czy komuś innemu, zapewne uznałaby, że jej przyjemność uszczęśliwi wszystkich wokół. Według niej pierwsze nieuchronnie wynikało z drugiego; była to reakcja tak automatyczna, jak odruch kolankowy po uderzeniu młoteczką.

Już po raz szósty miałem nocować w jej mieszkaniu i jak zwykle przygotowała kolację, która właściwie nie nadawała się do spożycia.

– Nie musi pan tego jeść – powiedziała. – Nigdy nie byłam zbyt dobrą kucharką.

– Nigdy nie byłem zbyt dobrym gościem – odparłem, po czym zjadłem większość posiłku, nie przez grzeczność, ale dlatego że byłem głodny, a w okopach nauczyłem się nigdy nie wybrzydzać.

Teraz zamknęła gramofon i ziewnęła.

– Idę spać – oznajmiła.

Odłożyłem książkę, którą czytałem, i powiedziałem, że też się położę.

W sypialni Paula przez kilka minut przyglądałem się przypiętej do ściany mapie, dokumentującej losy Legionu Kondora, po czym zgasłem światło. Wyglądało na to, że ostatnio każdy niemiecki chłopiec chce zostać pilotem myśliwca. Właśnie układałem się do snu, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

– Mogę wejść? – zapytała, zatrzymując się w progu. Była naga. Przez chwilę stała nieruchomo, obramowana światłem z holu niczym jakaś czarowna madonna, prawie jakby pragnęła, bym ocenił jej figurę. Podeszła do mnie z gracją, a ja poczułem napięcie w piersiach i kroczu.

Miała małą głowę i wąskie ramiona, lecz nogi tak długie, jakby stworzył ją genialny rysownik. Dłonią zasłaniała łono i ten mały, wstydlivy gest bardzo mnie podniecił. Powstrzymałem się jednak i przez chwilę patrzyłem w górę na jej doskonale kształtne piersi, krągłe jak pomarańcze, o małych, prawie niewidocznych brodawkach.

Uniosłem się, odepchnąłem dłoń i chwytając za smukłe biodra, przycisnąłem usta do gęstych włosów, kryjących srom. Gdy wstawałem, by ją pocałować, poczułem, że

niecierpliwie sięga po mnie ręką i mocno ciągnie. Wzdrygnąłem się z bólu; to było zbyt brutalne, by zostawić miejsce na uprzejmość lub czułość. Pchnąłem ją twarzą na łóżko, przyciągając ku sobie jej chłodne pośladki i układając w najdogodniejszej pozycji. Kiedy w nią wchodziłem, krzyknęła; jej długie uda drżały cudownie, gdy rozgrywaliśmy naszą hałaśliwą pantomimę do oszałamiającego końca.

Spaliśmy, aż świt zaczął się sączyć przez cienką tkaninę zasłon. Obudziłem się pierwszy i spojrzałem na nią. Miała zdumiewającą karnację, bladą i chłodną – równie chłodną, jak jej mina, gdy po przebudzeniu odnalazła ustami mojego penisa. Potem położyła się na wznak i podciągnawszy się na łóżku, spoczęła z głową na poduszce i rozwartymi szeroko udami, ukazując miejsce, z którego bierze się życie. Znów lizałem ją i całowałem, a następnie z całą mocą dałem jej odczuć swój zapach, wnikając w jej ciało tak głęboko, że miałem wrażenie, iż tylko moja głowa i ramiona nie zostały wchłonięte.

Wreszcie, gdy nie została w nas ani odrobina żądy, oplotła mnie nogami i zaczęła płakać tak rozpaczliwie, że pomyślałem, iż rozpułynie się we łzach.

sobota, 29 października

Pomyślałem, że spodoba się panu ten pomysł – powiedział Becker.

– Właściwie czemu nie? Tylko dajcie mi chwilę, żebym mógł się do niego przyzwyczać.

– Nie chcemy, żeby kręciła się gdzieś ot, tak sobie. On od razu wywacha, że to bzdura, i w ogóle się do niej nie zbliży. To musi wyglądać naturalnie.

Przytaknąłem bez większego przekonania i spróbowałem się uśmiechnąć do dziewczyny z BDM-u, którą przyprowadził mi Becker. Odznaczała się niezwykłą urodą; nie wiedziałem, co zrobiło na Beckerze większe wrażenie, jej odwaga, czy może jej piersi.

– Niech pan da spokój, wie pan, jak to jest – powiedział. – Te dziewczyny zawsze zbierają się wokół gablot „Der Stürmer” na rogach ulic. Na myśl o tych żydowskich lekarzach, którzy dobierają się do niemieckich dziewczyc, przeszywa je tandetny dreszczyk. Dzięki temu nie tylko nie będzie się nudzić, ale jeśli Streicher lub jego ludzie mają z tym coś wspólnego, to prędzej zwrócą na nią uwagę tutaj, przed jedną z tych Stürmerkasten, niż gdziekolwiek indziej.

Spojrzałem niepewnie na solidną, pomalowaną na czerwono gablotę, zapewne wykonaną przez lojalnych czytelników, nad którą widniał jaskrawy slogan: „Niemki, Żydzi was zniszczą”, pod szkłem zaś trzy rozkładówki z gazety. Nie dość, że namawialiśmy dziewczynę, by została przynęta, to jeszcze mielibyśmy ją narażać na widok takiej szmiry?

– Pewnie macie rację, Becker.

– Pan wie, że tak. Proszę spojrzeć, już to czyta. Przysięgłbym, że jej się to podoba.

– Jak jej na imię?

– Ulrike.

Podszedłem do Stürmerkaste, przed którą stała dziewczyna, podśpiewując pod nosem.

– Ulrike, wiesz, co masz robić? – zapytałem cicho, nie patrząc na nią, pozornie zagapiony na satyryczny rysunek Fipsa z obowiązkowym paskudnym Żydem. Niemożliwe, żeby ktoś tak wyglądał, pomyślałem. Nos wielki jak pysk owcy.

- Tak, proszę pana – odparła rezolutnie.
- Otacza cię mnóstwo policjantów. Nie widać ich, ale oni cię obserwują. Rozumiesz?
- Dostrzegłem w szybie, że kiwa głową. – Jesteś bardzo odważną dziewczyną.

W odpowiedzi zaczęła nucić głośniej; uświadomiłem sobie, że słyszę hymn Hitlerjugend:

Uns're Fahne flattert uns voran,
Uns're Fahne ist die neue Zeit.
Und die Fahne führt uns in die Ewigkeit!
Ja die Fahne ist mehr als der Tod!*

[*Nasz sztandar łopocze przed nami
Nasz sztandar oznacza nową erę
Nasz sztandar prowadzi ku wieczności
Tak, nasz sztandar to więcej niż śmierć (przyp. tłum.).]

- Wróciłem do Beckera i wsiałem do samochodu.
- Niezła z niej dziewczyna, co, panie komisarzu?
 - Z całą pewnością. Tylko pamiętajcie, żebyście trzymali łapska przy sobie, zrozumiano?
- Zaprotestował z miną urażonej niewinności:
- No co pan, panie komisarzu! Chyba pan nie sądzi, że próbowałbym ją wydymać? – Usiał na miejscu kierowcy i zapalił silnik.
 - Jeśli naprawdę chcecie poznać moje zdanie, to sądzę, że jesteście w stanie wydupczyć własną prababcie. – Zerknąłem przez ramię. – Gdzie są wasi ludzie?
 - Sierżant Hingsen siedzi na piętrze tego budynku mieszkalnego. – Wskazał za siebie.
 - A dwóch funkcjonariuszy pilnuje ulicy. Jeden sprząta cmentarz tuż za rogiem, drugi myje okna, o tam. Jeśli nasz człowiek się pokaże, to go mamy.
 - Czy rodzice dziewczyny o tym wiedzą?
 - Tak.
 - Zgodzili się? Powiedziałbym, że to wyjątkowo obywatelska postawa.
 - Właściwie nie, panie komisarzu. Ulrike po prostu im oznajmiła, że robi to dla Führera i Vaterlandu. Powiedziała, że jeśli się sprzeciwią, to będzie niepatriotycznie. Więc nie mieli specjalnie wyjścia. To dość energiczna dziewczyna.

– Wyobrażam sobie.

– I w dodatku podobno świetnie pływa. Jej nauczyciel uważa, że ma widoki na olimpiadę.

– No to miejmy nadzieję, że zacznie padać: będzie mogła wypłynąć, jeśli wpadnie w kłopoty.

Usłyszałem dzwonek w holu, więc podszedłem do okna i wyjrzałem, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Nawet z wysokości dwóch pięter rozpoznałem charakterystyczną rudą czuprynę Vogelmana.

– Co za brak manier! – oburzyła się Hildegard. – Wychylasz się przez okno jak handlarka ryb!

– Tak się składa, że może nawet złowiłem rybę. To Vogelmann. I przyprowadził kolegę.

– No to chyba powinieneś ich wpuścić, co?

Wyszedłem na podest, żeby uruchomić dzwignię, która otwierała drzwi od ulicy, i spojrzałem na wchodzących po schodach mężczyzn. Obaj zachowywali kamienne milczenie.

Przekraczając próg mieszkania Hildegard, Vogelmann przybrał swoją najlepszą minę przedsiębiorcy pogrzebowego, co było błogosławieństwem, gdyż dzięki temu z jego ponuro zaciśniętych ust litościwie nie wydobywał się cuchnący oddech. Jego towarzysz, niższy odeń o głowę, miał około trzydziestu pięciu lat, jasne włosy, niebieskie oczy i roztaczał aurę intensywnej przenikliwości, niemal naukowości. Vogelmann poczekał, aż wszyscy usiądziemy, a następnie przedstawił kolegę jako doktora Ottona Rahna i obiecał, że niebawem powie o nim coś więcej. Potem głośno westchnął i pokręcił głową.

– Niestety moje poszukiwania państwa córki, Emmeline, nie przyniosły rezultatu – oznajmił. – Pytałem, kogo się tylko dało, szukałem wszędzie, gdzie dało się szukać. Bez skutku. To bardzo przykre. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Oczywiście moje rozczarowanie jest niczym w porównaniu z waszym. Jednak miałem nadzieję, że trafię na jakiś ślad. Gdybym znalazł jakąkolwiek wskazówkę, co się z nią stało, choćby najmniejszą, byłbym usprawiedliwiony, sugerując państwu, byście pozwolili mi kontynuować dochodzenie. Ale nie ma nic, co dawałoby nadzieję, że nie będzie to marnowanie państwa czasu i pieniędzy.

Pokiwałem beznadziejnie głową.

– Dziękuję, że jest pan szczery, Herr Vogelmann.

– Przynajmniej może pan powiedzieć, żeśmy próbowali – rzekł Vogelmann. – Naprawdę, nie przesadzam, mówiąc, że wyczerpaliśmy wszystkie metody śledcze. – Urwał, by odchrząknąć, i przeprasząc, otarł chusteczką usta. – Herr i Frau Steininger, proponuję to państwu z dużym wahaniem i proszę, nie posądzajcie mnie o żarty, ale kiedy zwyczajne środki nie odnoszą skutku, chyba nie zaszkodzi spróbować tych nadzwyczajnych.

– Wydawało mi się, że dlatego w ogóle pana zatrudniliśmy – rzekła sztywno Hildegard. – Zwyczajnych środków, jak je pan nazywa, spodziewaliśmy się raczej po policji.

Vogelmann uśmiechnął się niepewnie.

– Źle się wyraziłem – powiedział. – Być może powinienem użyć określeń „naturalne” i „nadnaturalne”.

Drugi mężczyzna, Otto Rahn, przyszedł Vogelmannowi na pomoc.

– Herr Vogelmann, z całym taktem, jakim w tej chwili dysponuje, chce zaproponować, żebyście przy poszukiwaniach córki rozważyli skorzystanie z usług medium. – Mówił jak człowiek wykształcony, z szybkością, która świadczyła o tym, że urodził się w okolicach Hamburga.

– Medium? – powtórzyłem zdumiony. – Ma pan na myśli spirytyzm? – Wzruszyłem ramionami. – Nie wierzymy w takie rzeczy. – Chciałem jednak usłyszeć, co Rahn ma do powiedzenia, żeby nas przekonać do tego pomysłu.

Uśmiechnął się cierpliwie.

– Ostatnio to nie jest już kwestia wiary. Spirytyzm coraz bardziej przypomina naukę. Od czasu wojny dokonano zdumiewających odkryć, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu.

– Ale czy to jest na pewno legalne? – zapytałem bojaźliwie. – Jestem pewien, że gdzieś czytałem, że hrabia Helldorf zabronił zawodowego wróżenia w Berlinie, no, chyba jeszcze w 1934 roku.

Otto Rahn, nie przejmując się moim doborem słów, odpowiedział gładko:

– Jest pan bardzo dobrze poinformowany, Herr Steininger. I ma pan rację, komendant policji zakazał seansów. Od tamtej pory jednak sytuacja została zadowolająco wyjaśniona i osoby praktykujące parapsychologię, wiarygodne pod względem rasowym, zostały zrzeszone w sekcji Wolnych Zawodów Niemieckiego Frontu Ludowego. To rasy mieszane, Żydzi i Cyganie, odpowiadają za złą opinię nauk parapsychicznych. Ale ostatnio nawet sam Führer zatrudnił astrologa. Zatem, jak pan widzi, od czasów Nostradamusa posunęliśmy się znacznie naprzód!

Vogelmann pokiwał głową i zachichotał bezgłośnie.

A więc to dlatego Reinhard Lange finansuje kampanię reklamową Vogelmanna,

pomyślałem. Trzeba dać trochę zarobić branży wirujących stolików! Kombinacja wyglądała na całkiem zgrabną. Detektyw nie potrafił odszukać zaginionej osoby, a więc, za pośrednictwem Otto Rahna, przekazywał klienta sile uchodzącej za wyższą. Usługa ta opłacała się nadzwyczajnie, gdyż zainteresowani płacili wielokrotnie więcej za przywilej zapoznania się z oczywistą prawdą: że ukochana osoba jest już z aniołkami.

W samej rzeczy, niezła inscenizacja. Nie mogłem się doczekać, żeby wsadzić tych ludzi za kratki. Komuś, kto zwyczajnie kradnie, można czasem darować – ale oni żerowali na ludzkiej rozpacz i cierpieniu. Jakby kradli poduszki z wózków inwalidzkich.

– Peter – odezwała się Hildegard – właściwie nie mamy wiele do stracenia.

– Nie, chyba nie.

– Cieszę się, że państwo tak postanowili – powiedział Vogelmann. – Zawsze trochę się waham, proponując coś takiego, ale w tym wypadku naprawdę nie widzę innego wyjścia.

– Ile to będzie kosztowało?

– Mówimy o życiu Emmeline! – wybuchnęła Hildegard. – Jak możesz wspominać o pieniądzach?

– Cena jest bardzo rozsądna – rzekł Rahn uspokajająco. – Jestem pewien, że będą państwo zadowoleni. Ale porozmawiamy o tym w późniejszym terminie. Najważniejsze, żeby poznali państwo kogoś, kto może wam pomóc. Jest to człowiek o wielkiej wiedzy i talencie, który posiada ogromne moce parapsychiczne. Ten mężczyzna, ostatni z rodu wielkich germańskich mędrców, ma wgląd w pamięć przodków i zdolność jasnowidzenia, zupełnie wyjątkowe w naszych czasach. Być może on udzieli wam wsparcia.

– To brzmi cudownie! – Hildegard westchnęła.

– On jest cudowny – przytaknął Vogelmann.

– A zatem umówię państwa na spotkanie z nim – powiedział Rahn. – Tak się składa, że wiem, iż najbliższy czwartek ma wolny. Wieczorem dysponują państwo czasem?

– Tak jest.

Rahn wyjął notes i zaczął pisać. Potem wyrwał kartkę i podał mi ją.

– Tu jest adres. Powiedzmy, o ósmej? Chyba że odezwę się do państwa wcześniej? – Kiwnąłem głową. – Doskonale.

Vogelmann zaczął się zbierać do wyjścia. Rahn schylił się, pogrzebał w aktówce i podał Hildegard jakieś czasopismo.

– Być może to również panią zainteresuje.

Odprowadziłem ich do drzwi, a gdy wróciłem, zastałem Hildegard pogrążoną w lekturze. Nie musiałem patrzeć na okładkę, by domyślić się, że to „Urania” Reinharda

Langeo. Nie musiałem też rozmawiać z Hildegard, by wiedzieć, że w jej przekonaniu Otto Rahn jest całkowicie godny zaufania.

czwartek, 3 listopada

Biuro Rejestracji Mieszkańców powiadomiło mnie, że niejaki Otto Rahn, poprzednio z Michelstadt pod Frankfurtem, obecnie zamieszkuje na Tiergartenstrasse 82. Berlin West 35.

Z drugiej strony w VC1, rejestrze osób karanych, nie było o nim żadnej wzmianki.

Ani w VC2, wydziale, gdzie sporządzano spisy osób poszukiwanych przez policję. Miałem już wychodzić, gdy naczelnik wydziału, Sturmbannführer SS nazwiskiem Baum zawołał mnie do swojego biura.

– Herr Kommissar, czy dobrze słyszałem, że pan przed chwilą pytał mojego pracownika o człowieka nazwiskiem Otto Rahn?

Odparłem, że interesuje mnie wszystko, czego zdołam się dowiedzieć na temat Ottona Rahna.

– Z jakiego pan jest wydziału?

– Wydział zabójstw. Być może Rahn zdoła nam pomóc w dochodzeniu.

– A więc nie podejrzewa go pan o żadne konkretne przestępstwo?

Wyczuwając, że Sturmbannführer wie coś o jakimś Ottonie Rahnie, postanowiłem nie zdradzać mu całej prawdy.

– Skądże, w żadnym razie! – zaprzeczyłem. – Jak powiedziałem, po prostu mam nadzieję, że skontaktuje nas z cennym świadkiem. A co? Znaście kogoś, kto się tak nazywa?

– Tak, właściwie tak – powiedział. – Ściśle mówiąc, to przelotna znajomość. Po prostu pewien Otto Rahn służy w szeregach SS.

Stary hotel na Prinz Albrecht Strasse był to pospolity trzypiętrowy budynek z rzędami łukowatych okien i pseudokorynckich kolumn. Jego fasadę zdobiły dwa wielkie balkony w sam raz dla dyktatora oraz ogromny dekoracyjny zegar. Ze swoją siedemdziesiątką pokoiów nigdy nie należał do tej samej klasy, co hotele-olbrzymy, takie jak Bristol czy Adlon, i zapewne dlatego został przejęty przez SS. Stojąc po sąsiedzku z komendą główną Gestapo

pod numerem ósmym – gdzie mieścił się również sztab Heinricha Himmlera w jego roli Reichsführera SS – obecnie znany był pod nazwą SS-Haus.

Pokazałem nakaz w Wydziale Kadr na drugim piętrze i wyjaśniłem, po co przychodzę.

– Na polecenie SD mam obowiązek uzyskać certyfikat bezpieczeństwa dla pewnego funkcjonariusza SS. Rozważamy jego kandydaturę na członka osobistego personelu generała Heydricha.

Na dźwięk nazwiska Heydrich kapral SS aż zeszywniał.

– Jak mogę panu pomóc? – zapytał skwapliwie.

– Muszę zobaczyć teczkę tego człowieka. Nazwisko Otto Rahn.

Kapral poprosił mnie, bym poczekał, a następnie wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie odszukał w szafce właściwe akta.

– Proszę bardzo – rzekł, wracając po chwili z teczką. – Przykro mi, ale muszę prosić, by przejrzał to pan na miejscu. Każdy, kto chce wynieść dokumenty z tego biura, musi mieć osobiste zezwolenie Reichsführera na piśmie.

– Naturalnie, wiem o tym – odrzekłem zimno. – Ale z pewnością wystarczy mi tylko szybki rzut oka. To wyłącznie formalna kontrola bezpieczeństwa. – Podeszedłem do pulpitu po drugiej stronie biura i otworzyłem teczkę, żeby obejrzeć jej zawartość. Była to nader interesująca lektura.

SS Unterscharführer Otto Rahn; urodzony 18 lutego 1904 r. w Michelstadt w Odenwaldzie; studia filologiczne na Uniwersytecie w Heidelbergu ukończone w 1928 r.; wstąpił do SS w marcu 1936 r.; awans na Unterscharführera SS w kwietniu 1936 r.; skierowany do Oddziału Trupiej Czaszki „Oberbayern” KL Dachau we wrześniu 1937 r.; oddelegowany do Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS w grudniu 1938 r.; mówca i autor książek *Kreuzzug gegen den Graal* (Krucjata przeciw Graalowi), 1933, oraz *Luzifers Hofgesind* (Słudzy Lucyfera), 1937.

Dalej następowało kilka stron uwag medycznych i ocen psychologicznych, w tym opinia Gruppenführera SS Theodora Eicke, który opisał Rahna jako „pracowitego, choć nieco ekscentrycznego”. Jak dla mnie, mogło to oznaczać niemal wszystko, od morderstwa do długości włosów.

Zwróciłem teczkę Rahna na biurko kaprała i opuściłem budynek.

Otto Rahn.

Im więcej się o nim dowiadywałem, tym mniej byłem skłonny uwierzyć, że chodzi mu

jedynie o wyrafinowany szwindel. Oto był człowiek, którego, oprócz pieniędzy, interesowało coś więcej – człowiek, wobec którego określenie „fanatyk”, nie było bynajmniej przesadne. Mijając dom Rahna na Tiergartenstrasse w drodze powrotnej do Steglitz, pomyślałem, że wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby przez drzwi frontowe wyleciały Nierządnicą Babilonu i Bestia Apokalipsy.

Zapadł już zmrok, gdy dotarliśmy na Caspar-Theysss Strasse, cichej willowej uliczki biegnącej skrajem Grünwaldu nieco na południe od Kurfürstendamm. Dość okazałe domy zamieszkiwali tu głównie lekarze i dentyści. Sąsiadujący z prywatnym szpitalikiem numer trzydziesty trzeci stał na rogu Paulsbornerstrasse, naprzeciwko dużej kwaciarni, w której ludzie odwiedzający chorych mogli nabyć kwiaty.

Dziwaczny domek, do którego zaprosił nas Rahn, miał w sobie coś z Chatki z Piernika. Ceglane mury suterenu i parteru były pomalowane na brązowo, pierwszego i drugiego piętra – na kremowo. Od wschodu budynek zamykała siedmiokątna wieżyczka, wzdłuż środkowej części ciągnął się drewniany, zwieńczony galeryjką krużganek, dwa okrągłe okienka w zachodniej ścianie osłaniał omszały drewniany okap.

– Mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą ząbek czosnku – powiedziałem do Hildegard, parkując samochód. Zauważyłem, że niezbyt się jej tu podoba, ale trwała w upartym milczeniu, nadal przekonana, że wszystko jest w porządku.

Podeszliśmy do kutej żelaznej furtki, złożonej z rozmaitych znaków zodiaku; zaciekawiło mnie, co o niej sądzą dwaj esesmani, stojący pod świerkiem w ogrodzie z papierosami w zębach. Jednak ta myśl zagościła mi w głowie zaledwie na moment, gdyż zaraz zainteresowałem się trudniejszym pytaniem, a mianowicie, co oni właściwie tutaj robią, a także, co robi tutaj kilka służbowych samochodów partyjnych, zaparkowanych na chodniku.

Drzwi otworzył nam Otto Rahn, który powitał nas ciepło i ze współczuciem, po czym skierował do szatni, gdzie pomógł nam zdjąć płaszcze.

– Zanim wejdziemy, powinienem wyjaśnić, że w seansie będzie uczestniczyć jeszcze kilka osób. Zdolność jasnowidzenia Herr Weisthora – na marginesie, to jego dom – uczyniła zeń największego mędrca w Niemczech. Chyba wspominałem, że z tego względu cieszy się on sympatią czołowych działaczy partyjnych, a więc oprócz Herr Vogelmana i mnie, jeden z gości na pewno będzie państwu znany.

Hildegard opadła szczęką.

– Chyba nie Führer – wyjąkała.

– Nie, nie on. – Rahn uśmiechnął się. – Ale ktoś z jego bliskiego otoczenia. Prosił, żeby traktować go jak wszystkich innych, aby zapewnić przyjazną atmosferę dzisiejszego spotkania. Uprzedzam więc państwa, żebyście się nie zdziwili, widząc tutaj Reichsführera SS, Heinricha Himmlera. Tak, właśnie o nim mówię. Niewątpliwie dostrzegli państwo ochroniarzy na zewnątrz i zaczęli się zastanawiać, co się tu dzieje. Reichsführer jest wielkim patronem naszej sztuki i brał udział w wielu seansach.

Otworzył przed nami dźwiękoszczelne drzwi, obite zieloną, pikowaną skórą, i znaleźliśmy się w dużym, skromnie umeblowanym pokoju w kształcie litery L. Na jednym jego końcu, na grubym, zielonym dywanie stał spory okrągły stół, na drugim zaś kanapa i dwa fotele, wokół których zgromadziło się około dziesięciu osób. Ściany, widoczne nad boazerią z jasnego dębu, były pomalowane na biało, zielone kotary – zaciągnięte. Ten pokój miał w sobie coś klasycznie niemieckiego, co znaczy mniej więcej tyle, że był ciepły i przyjazny jak szwajcarski scyzoryk.

Rahn zorganizował nam jakieś drinki, po czym wyjaśnił, kto jest kim wśród zebranych. Z daleka rozpoznałem rudą czuprynę Vogelmanna, więc skinąłem mu głową, po czym odszukałem wzrokiem Himmlera. Reichsführer nie miał na sobie munduru i z trudem go rozpoznałem w ciemnym dwurzędowym garniturze. Był wyższy, niż się spodziewałem, a także młodszy – mógł mieć nie więcej niż trzydzieści siedem, trzydzieści osiem lat. Gdy mówił, robił wrażenie człowieka o łagodnym usposobieniu, i gdyby nie ogromny złoty rolex na przegubie dłoni, byłbym go wziął raczej za dyrektora szkoły niż za komendanta tajnej policji niemieckiej. Co takiego mają w sobie szwajcarskie zegarki, że są tak atrakcyjne dla ludzi władzy? Ale dla tego konkretnego człowieka Hildegard Steinger najwyraźniej stanowiła jeszcze większą atrakcję niż zegarek, i ci dwoje wkrótce pograżyli się w rozmowie.

– Herr Weisthor pojawi się niebawem – wyjaśnił Rahn. – Zazwyczaj, zanim zbliży się do świata duchów, potrzebuje kilku chwil medytacji. Tymczasem chciałbym przedstawić pana Reinhardowi Lange. To właściciel czasopisma, które zostawiłem pańskiej żonie.

– A tak, „Uranii”.

A więc taki był – niski i pulchny, z dołeczkiem w jednym z podbródków i wojowniczo odętą dolną wargą, jakby zapraszającą, by dać mu całusa lub klapsa. Miał rzadkie, jasne włoski, po dziecinnemu zmierzwił nad uszami, niemal niewidoczne brwi, oczy zaś półprzymknięte, niemal jak szparki. Cechy te nadawały mu wygląd człowieka słabego i niestałego, trochę w typie Nerona. Możliwe, że wcale nie był taki, chociaż otaczająca go woń wody kolońskiej, zadowolona z siebie mina i lekko teatralny sposób mówienia bynajmniej nie skłoniły mnie do korekty pierwszego wrażenia. W swojej pracy nauczyłem się szybko i

trafnie oceniać ludzkie charaktery i pięć minut rozmowy z Langem przekonało mnie, że nie myliłem się co do niego. Był to bezwartościowy mały pedał.

Przeprosiłem zebranych i poszedłem do umywalni, którą dostrzegłem za szatnią. Postanowiłem już, że po seansie wrócę do domu Weisthora, żeby sprawdzić, czy są tu inne, bardziej interesujące pomieszczenia. Nie zauważyłem nigdzie psa, uznałem więc, że wystarczy, jeśli zapewnię sobie drogę wejścia. Zamknąłem drzwi na zatrask i zabrałem się do otwierania zasuwki okiennej. Ledwie zdążyłem ją odsunąć – chodziła dosyć opornie – gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Herr Steininger? – zapytał Rahn. – Jest pan tam?

– Chwileczkę.

– Zaraz zaczynamy.

– Już idę – powiedziałem.

Spuściłem wodę i zostawiwszy okno uchylone na dwa centymetry, dołączyłem do pozostałych.

Pod moją nieobecność w pokoju pojawił się jeszcze jeden człowiek. Domyśliłem się, że to Weisthor – mężczyzna mniej więcej sześćdziesięcioletni, ubrany w trzyczęściowy garnitur z jasnobrązowej flaneli. Podpierał się laską z rączką z kości słoniowej i drzewcem, rzeźbionym w dziwne ornamenty, widniejące także na pierścieniu, który miał na serdecznym palcu. Ze swoim rozmazanym wąsikiem, policzkami chomika, skwaszonymi ustami i cofniętym podbródkiem przypominał starszą wersję Himmlera, był jednak tęższy i podczas gdy Reichsführer z wyglądu przywodził na myśl krótkowzrocznego szczura, Weisthor miał w twarzy coś z bobra – wrażenie, które potęgowała jeszcze szpara między przednimi zębami.

– Herr Steininger, jak sędzę – powiedział, energicznie potrząsając moją ręką. – Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem Karl Maria Weisthor i z radością stwierdzam, że miałem już przyjemność poznać pańską piękną żonę. – Wyrażał się bardzo oficjalnie i miał wiedeński akcent. – Pod tym względem przynajmniej jest pan szczęściarzem. Miejmy nadzieję, że zanim wieczór dobiegnie końca, będę mógł wyświadczyć przysługę wam obojgu. Otto mówił mi, że wasza córka Emmeline zaginęła i ani policja, ani nasz przyjaciel Vogelmann nie byli w stanie jej odnaleźć. Jak już wspomniałem pańskiej żonie, jestem pewien, że duchy naszych germańskich przodków nas nie opuszczą, i tak jak przedtem mówiły nam różne rzeczy, tak i teraz wyjawiają, co się z nią stało.

Odwrócił się i gestem zaprosił zebranych do stołu.

– Zaczniemy? – powiedział. – Herr Steininger, proszę, abyście z żoną zajęli miejsca po moich obu stronach. Niech wszyscy wezmą się za ręce; Herr Steininger, to zwiększy moc

naszej świadomości. Postarajcie się nie puszczać dłoni sąsiada bez względu na to, co zobaczycie lub usłyszycie, bo to grozi zerwaniem łączności. Czy oboje państwo rozumieją?

Przytaknęliśmy i usiedliśmy na wskazanych miejscach. Gdy wszyscy się już usadowili, zobaczyłem, że Himmler zajął krzesło obok Hildegard, której poświęcał mnóstwo uwagi. Przyszło mi do głowy, że Heydrich i Nebe z pewnością byliby rozbawieni, gdybym im zakomunikował, że spędziłem wieczór, trzymając się za ręce z Heinrichem Himmlerem. Na tę myśl omal się nie roześmiałem. Odwróciłem się od Weisthora, żeby ukryć półuśmiech, i znalazłem się twarzą w twarz z wysokim, wytwornym, ubranym w smoking typem o urodzie Zygfrйда i ciepłym, wrażliwym obejściu, które zyskuje się tylko dzięki kąpielom w smoczjej krwi.

– Nazywam się Kindermann – rzekł surowo ów człowiek. – Doktor Lanz Kindermann, do usług. – Zerknął na moją dłoń jakby to była brudna ścierka.

– Czyżby słynny psychoterapeuta? – zapytałem.

– Wątpię, czy można nazwać mnie słynnym. – Uśmiechnął się, okazując wszakże pewne zadowolenie. – Niemniej, dziękuję za komplement, Herr Steininger.

– Jest pan Austriakiem?

– Tak. Czemu pan pyta?

– Lubię coś wiedzieć o ludziach, których trzymam za rękę – wyjaśniłem i chwyciłem mocno jego dłoń.

– Za chwilę – oznajmił Weisthor – poproszę naszego przyjaciela Ottona o zgaszenie światła. Ale chciałbym, żebyśmy najpierw wszyscy zamknęli oczy i zaczęli głęboko oddychać. Celem jest rozluźnienie. Jeśli będziemy dostatecznie rozluźnieni, duchy uznają, że mogą bezpiecznie nawiązać z nami łączność, i pozwolą nam skorzystać z tego, co widzą. Spróbujcie państwo wyobrazić sobie coś łagodnego i spokojnego, kwiaty albo obłoki na niebie.

Zamilkł; słychać było jedynie głębokie oddechy zgromadzonych i tykanie zegara na kominku. Po chwili Vogelmann odchrząknął, co skłoniło Weisthora, żeby znów zabrać głos.

– Spróbujcie spowodować, by wasza energia popłynęła do osoby obok, abyśmy wszyscy poczuli moc biegnącą w naszym kręgu. Kiedy Otto zgasi światło, pograżę się w transie i pozwolę duchowi przejąć kontrolę nad swoim ciałem. Duch zapanuje nad moją mową i każdą czynnością cielesną, będę więc całkowicie bezbronny. Proszę, unikajcie nagłych hałasów i zakłóceń. Jeśli zechcecie się porozumieć z duchem, mówcie cicho albo poproście Ottona, żeby mówił za was. – Znów zamilkł. – Otto? Światła proszę.

Usłyszałem, że Rahn powoli wstaje, jakby zbudzony z głębokiego snu, i skrada się po

dywanie.

– Od tej chwili Weisthor nie będzie się odzywał, chyba że pod wpływem ducha – powiedział. – Będziecie słyszeć mój głos; będę do niego mówił, gdy pograży się w transie.

Wpatrzyłem się w ciemność w miejscu, gdzie siedział Weisthor, lecz mimo wysiłków dostrzegałem tylko owe dziwne kształty, które wytwarza siatkówka oka pozbawiona światła. Weisthor mógł sobie mówić, co chciał, o kwiatkach i obłokach – ja czułem się bezpieczniejsz z automatycznym mauzerem pod pachą i kilkoma dziewięciomilimetroowymi pociskami, przyjemnie ułożonymi w magazynku.

Pierwsza zmiana, jaką sobie uświadomiłem, zaszła w oddechu Weisthora, coraz głębszym i wolniejszym. Po pewnym czasie niemal przestałem go słyszeć i gdyby nie uścisk jego dłoni, teraz już znacznie słabszy, mógłbym wręcz uznać, że zniknął.

Wreszcie przemówił, jednak takim głosem, że przeszył mnie dreszcz, a włosy stanęły dęba.

– Mam tu mądrego króla sprzed wielu, wielu wieków – powiedział, nagle ściskając moją dłoń. – Z czasów, gdy na północy świeciły dwa słońca. – Z jego piersi wydobyło się długie, grobowe westchnienie. – Poniósł straszną klęskę z rąk Karola Wielkiego i jego chrześcijańskich wojsk.

– To Sas? – zapytał cicho Rahn.

– Tak, on jest Sasem. Frankowie uważali ich za pogan i zadawali im za to straszną śmierć. Okrutną śmierć, pełną krwi i bólu. – Wahał się przez chwilę. – Trudno mi to wyrazić. On twierdzi, że za krew trzeba płacić. Twierdzi, że germańskie pogaństwo znów rośnie w siłę i w imieniu dawnych bogów musi wziąć odwet na Frankach i ich religii. – Stęknął, prawie jakby ktoś go uderzył, i znowu zamilkł.

– Proszę się nie obawiać – szepnął Rahn. – Duch potrafi czasem raptownie odejść.

Minęło kilka minut i Weisthor znów przemówił.

– Kim jesteś? – zapytał cicho. – Dziewczynką? Powiesz, jak ci na imię, moje dziecko? Nie? Już, już, dobrze...

– Nie bój się – wtrącił Rahn. – Prosimy, chodź do nas.

– Ma na imię Emmeline – powiedział Weisthor.

Usłyszałem cichy okrzyk Hildegard.

– Nazywasz się Emmeline Steininger? – zapytał Rahn. – Jeśli tak, to chcę, byś wiedziała, że są tu twój ojciec i matka, którzy pragną z tobą mówić, dziecko.

– Twierdzi, że nie jest dzieckiem – odparł Weisthor. – I że jedna z tych osób w ogóle nie jest jej rodzicem.

Zesztywniałem. Czyżby to jednak była prawda? Czyżby Weisthor naprawdę miał zdolności mediumistyczne?

– Jestem jej macochą – odezwała się Hildegard drżącym głosem. Byłem ciekaw, czy zauważyła, że Weisthor powinien wiedzieć, iż żadne z nas nie jest prawdziwym rodzicem Emmeline.

– Mówi, że tęskni za tańcem. A zwłaszcza tęskni za wami obojgiem.

– My też za tobą tęsknimy, kochanie.

– Gdzie jesteś, Emmeline? – zapytałem. Zapadło długie milczenie, więc zapytałem ponownie.

– Zabili ją – rzekł Weisthor łamiącym się głosem. – I gdzieś ją ukryli.

– Emmeline, postaraj się nam pomóc – poprosił Rahn. – Możesz nam jakoś wskazać, gdzie cię zostawili?

– Tak, spróbuje. Mówi, że za oknem jest wzgórze. U stóp wzgórza jest ładny wodospad. Co takiego? Krzyż albo inna wysoka budowla, jakby wieża na szczycie wzgórza?

– Kreutzberg? – zapytałem.

– Czy to Kreutzberg? – powtórzył Rahn.

– Nie zna nazwy – wyszeptał Weisthor. – Gdzie to jest? Och, to straszne! Mówi, że jest w skrzynce. Wybacz mi, Emmeline, ale chyba niedobrze cię słyszę. Nie w skrzynce? W beczce? Tak, w beczce. W zmurszałej, śmierdzącej beczce w starej piwnicy pełnej zmurszałych, śmierdzących beczek.

– Wygląda na jakiś browar – zauważył Kindermann.

– Czy mówisz o Browarze Schultheissa? – zapytał Rahn.

– Wydaje się jej, że chyba tak, chociaż nie sprawia to wrażenia miejsca, gdzie przychodzi dużo ludzi. Niektóre beczki są stare i dziurawe. Przez taką dziurę wygląda na zewnątrz. Nie, kochanie, zgadzam się w zupełności, ta beczka nie nadaje się, żeby trzymać w niej piwo.

Hildegard szepnęła coś, czego nie dosłyszałem.

– Odwagi, droga pani – szepnął Rahn. – Odwagi. – I nieco głośniejszym głosem dodał: – Kto cię zabił, Emmeline? I czy możesz nam powiedzieć, dlaczego?

Weisthor jęknął głośno.

– Nie wie, jak się nazywają, ale sądzi, że chodzi o misterium krwi. Jak na to wpadłaś, Emmeline? To jedna z tysięcy rzeczy, których dowiadujemy się, gdy umrzemy. Rozumiem. Zabili ją tak, jak zabija się zwierzęta domowe, a potem mieszały jej krew z chlebem i winem. Myśli, że to jakiś rytuał religijny, ale nie taki, jakie dotąd widywała.

– Emmeline – odezwał się inny głos, chyba należący do Himmlera. – Czy to Żydzi cię zamordowali? Czy to Żydzi użyli twojej krwi?

Znów zapadło milczenie.

– Ona nie wie – odparł w końcu Weisthor. – Nie powiedzieli, kim lub czym są. Nie przypominali Żydów, jakich znała z obrazków. Co takiego, kochanie? Mówi, że mogło tak być, ale nie chce nikogo narażać na kłopoty, nieważne, co jej zrobili. Mówi, że jeśli to Żydzi, to z pewnością źli Żydzi, bo nie wszyscy Żydzi popierają takie rzeczy. Nie chce o tym więcej mówić. Chce tylko, żeby ktoś przyszedł i wydostał ją z tej brudnej beczki. Tak, Emmeline, jestem pewien, że ktoś się tym zajmie. Nie martw się.

– Powiedz jej, że osobiście dopilnuję, żeby załatwić to jeszcze dzisiaj – rzekł Himmler. – To dziecko ma na to moje słowo.

– Co takiego mówisz? Dobrze. Emmeline prosi, żeby wam podziękować za próbę pomocy. I żeby powiedzieć ojcu i matce, że bardzo ich kocha, ale żeby już się o nią nie martwili. Nic nie wróci jej życia. Oboje macie żyć dalej i zostawić to wszystko za sobą. Spróbujcie być szczęśliwi. Emmeline musi już iść.

– Żegnaj, Emmeline – wyszlochała Hildegard.

– Żegnaj – powiedziałem.

Znów zapadła cisza, którą zakłócał mi jedynie szum krwi w uszach. Na szczęście było ciemno i nikt nie mógł dostrzec wyrazu mojej twarzy, na której po występie Weisthora z pewnością malowała się straszliwa wściekłość. Miałem dwie czy trzy minuty, by przed zapaleniem świateł doprowadzić się do ładu i przybrać stosowny wyraz smutku i rezygnacji. W pierwszej chwili bowiem byłem gotów zastrzelić ich wszystkich na miejscu – Weisthora, Rahna, Vogelmann, Langego. Kurwa, zastrzeliłbym tych wszystkich gnojków po prostu dla czystej satysfakcji. Kazałbym każdemu wziąć lufę do ust, żeby cały tył głowy wybuchł w twarz następnemu. Dodatkowe nozdrze dla Himmlera; trzeci oczodół dla Kindermanna.

Gdy zapłonęły lampy, wciąż jeszcze ciężko dyszałem, ale obecni złożyli to na karb rozpacz. Hildegard miała twarz mokrą od łez, co sprowokowało Himmlera, by objąć ją ramieniem. Napotkał mój wzrok i ponuro pokiwał głową.

Weisthor podniósł się ostatni. Zachwiał się i przez chwilę wydawało się, że upadnie, ale Rahn chwycił go pod łokieć. Weisthor z uśmiechem poklepał przyjaciela po ręce.

– Widzę po pani minie, moja droga, że pani córka do nas przyszła.

Hildegard przytaknęła.

– Herr Weisthor, chciałabym panu podziękować. Dziękuję panu ogromnie za pomoc. – Załkała głośno i sięgnęła do torebki po chusteczkę.

– Karl, byłeś dziś wspaniały – powiedział Himmler. – Niezwykły popis. – Wokół stołu rozległ się pomruk aprobaty. Himmler wciąż z niedowierzaniem kręcił głową. – Niezwykłe, absolutnie niezwykle – powtórzył. – Możecie być pewni, że osobiście skontaktuję się z odpowiednimi władzami i wydam polecenie, aby oddział policji natychmiast udał się do Browaru Schultheissa, poszukać ciała tego biednego dziecka. – Z tymi słowami wpatrzył się we mnie, więc w milczeniu skinąłem głową. – Nie mam żadnych wątpliwości, że ją tam odnajdą. Jestem całkowicie przekonany, że to dziecko przemówiło dziś do Karla, by wasze myśli wreszcie zaznały spokoju. Uważam, że najlepiej będzie, jeśli wrócicie teraz do domu i poczekać na wiadomość od policji.

– Tak, oczywiście – powiedziałem, okrążyłem stół i biorąc Hildegard za rękę, wyjąłem ją z objęć Reichsführera. Uścisnęliśmy dłonie zebranych, przyjęliśmy ich kondolencje i pozwoliliśmy, by Rahn odprowadził nas do drzwi.

– Cóż mogę powiedzieć? – rzekł z namaszczeniem. – Naturalnie, jest mi ogromnie przykro, że Emmeline przeszła na drugą stronę, ale, jak powiedział Reichsführer, to błogosławieństwo, że teraz mają już państwo pewność.

– Tak. – Hildegard chlipnęła. – Lepiej wiedzieć na pewno.

Rahn zmrużył oczy i z lekko bolesną miną chwycił mnie za przedramię.

– Wydaje mi się, że z oczywistych powodów lepiej również, żeby pan nie mówił policji o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru, kiedy przyjdą powiadomić pana, że istotnie ją znaleźli. Obawiam się, że gdyby tylko się zorientowali, iż wiedział pan, gdzie jest jej ciało, zanim sami ją znaleźli, mogliby bardzo utrudnić panu życie. Jak pan pewnie zdaje sobie sprawę, nie są zbyt wyrozumiali dla tego typu rzeczy i mogą panu zadawać niewygodne pytania. – Wzruszył ramionami. – To znaczy, wszyscy mamy pytania, dotyczące tego, co przychodzi do nas z drugiej strony. To istotnie zagadka, i to taka, na którą na razie znamy bardzo niewiele odpowiedzi.

– Tak, widzę, dlaczego policja mogłaby robić trudności – powiedziałem. – Może pan na mnie polegać, nie pisnę słówka o wydarzeniach tego wieczoru. Ani ja, ani moja żona.

– Wiedziałem, że pan zrozumie, Herr Steininger. – Otworzył drzwi wejściowe. – Proszę bez wahania skontaktować się z nami, gdyby na jakimś etapie chciał pan znowu nawiązać łączność z córką. Ale na razie dałbym temu spokój. Nie należy wzywać ducha zbyt często.

Pożegnaliśmy się i poszliśmy do samochodu.

– Bernie, zabierz mnie stąd – syknęła Hildegard, kiedy otwierałem dla niej drzwi. Gdy uruchamiałem silnik, znów się rozplakała, tym razem z szoku i wstrętu.

– Nie mogę uwierzyć, że ludzie mogą być tak... tak niegodziwi! – załkała.

– Przykro mi, że musiałaś przez to przechodzić – rzekłem. – Naprawdę. Dałbym wszystko, żebyś mogła tego uniknąć, ale to był jedyny sposób.

Dojechałem do końca ulicy, a potem na Bismarckplatz – cichy, porośnięty trawą placzyk na skrzyżowaniu ulic. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak blisko znajduje się dom Frau Lange na Herbertstrasse. Dostrzegłem samochód Korscha i zaparkowałem tuż za nim.

– Bernie? Sądziś, że policja ją znajdzie?

– Tak, sądzę, że ją znajdą.

– Ale jak on mógł udawać, że wie, gdzie ona jest? Skąd wiedział o niej to wszystko? O jej miłości do tańca?

– Bo sam ją tam umieścił, on lub któryś z jego kolegów. Zapewne zanim ją zabili, rozmawiali z nią i wypytywali o różne rzeczy. Po prostu dla większej autentyczności.

Wydychała nos i rozejrzała się.

– Dlaczego się zatrzymałaś?

– Bo chcę tam wrócić, żeby się rozejrzeć. Zobaczę, może się dowiem, w jaką paskudną grę oni się bawią. Kierowcą samochodu przed nami jest mój człowiek. Nazywa się Korsch i odwiezie cię do domu.

Kiwnęła głową.

– Bernie, bądź ostrożny – powiedziała bez tchu i opuściła głowę na pierś.

– Hildegard, co ci jest?

Wymacała klamkę.

– Chyba mi niedobrze – jęknęła i wypadła bokiem na chodnik, wymiotując do rynsztoka i na własny rękaw, kiedy wyciągnęła dłoń, próbując złagodzić upadek. Wskoczyłem z auta i podbiegłem do drzwi pasażera, by jej pomóc, ale Korsch znalazł się tam przede mną i podtrzymał ją za ramiona, czekając, aż znów zaczerpnie tchu.

– Chryste Panie! – zawołał. – Co się tam wydarzyło?

Przykucnąłem przy Hildegard i otarłem jej pot z twarzy, a potem przetałem usta. Wyjęła mi z dłoni chusteczkę i pozwoliła, by Korsch posadził ją prosto.

– To długa historia – odparłem – i obawiam się, że będzie musiała jeszcze trochę zaczekać. Chcę, żebyście odwieźli ją do domu, a potem zaczekali na mnie na Alexanderplatz. Ściągnijcie również Beckera. Mam przeczucie, że tej nocy będziemy bardzo zajęci.

– Przepraszam – szepnęła Hildegard. – Już mi lepiej. – Uśmiechnęła się dzielnie. Pomogliśmy jej z Korschem wstać i trzymając w pól, doprowadziliśmy do drugiego samochodu.

– Niech pan uważa na siebie, panie komisarzu – powiedział Korsch, siadając za kierownicą i włączając silnik.

– Nie martw się – rzuciłem.

Po ich odjeździe czekałem w samochodzie mniej więcej pół godziny i wróciłem pieszo na Caspar-Theyss Strasse. Zerwał się wiatr, drzewa wzdłuż ciemnej ulicy kołysały się z głuchym jękiem. Gdybym miał bardziej wybujałą wyobraźnię, mógłbym wręcz uznać, że ma to związek z wydarzeniami w domu Weisthora, który zakłócił spokój duchów, lub coś w tym rodzaju. Ale i bez tego ogarnęło mnie poczucie zagrożenia, którego bynajmniej nie łagodziło wycie wiatru i pędzące po niebie obłoki; poczucie to wzmogło się jeszcze, kiedy znów ujrzałem domek z piernika.

Samochody służbowe zdążyły już odjechać z chodnika przed domem, niemniej wchodząc do ogrodu, zachowałem wielką czujność – obaj esesmani z jakiegoś powodu mogli wciąż tkwić na posterunku. Upewniłem się, że dom nie jest strzeżony, po czym okrążyłem go na palcach i zakradłem się pod okno toalety, które wcześniej zostawiłem uchylone. Całe szczęście, że szedłem cicho – w oknie paliło się światło, a ze środka dobiegały nie budzące wątpliwości odgłosy: ktoś natęczał się na sedesie. W mroku przywarłem do ściany i czekałem, aż skończy. Wreszcie po mniej więcej kwadransie, usłyszałem szum spuszczonej wody i zobaczyłem, że światło zgasło.

Po kilku minutach uznałem, że mogę już bezpiecznie otworzyć okno. Ale niemal natychmiast po wejściu do toalety pożałowałem, że nie znajduję się gdzie indziej, albo że przynajmniej nie mam na sobie maski gazowej. Powitał mnie taki odór fekaliiów, że zemdliliby od niego całą klinikę proktologów. Przypuszczalnie to właśnie mają na myśli gliniarze, kiedy mówią o śmierdzącej robocie – jeśli o mnie chodzi, nic nie przebije konieczności stania bez ruchu w kiblu, w którym ktoś właśnie wypróżnił się w iście gotycki sposób.

To właśnie ten okropny smród zmusił mnie w końcu do opuszczenia łazienki trochę wcześniej, niż było to bezpieczne. Przemknąłem się do szatni, gdzie cudem uniknąłem odkrycia – Weisthor znużonym krokiem przeczłapał tuż obok otwartych drzwi pomieszczenia i wszedł do pokoju po drugiej stronie holu.

– Ależ wiatr dzisiaj – odezwał się głos, który rozpoznałem jako należący do Ottona Rahna.

– Tak – zachichotał Weisthor. – Spotęgował nastrój, czyż nie? Himmler szczególnie

doceni tę zmianę pogody. Niewątpliwie zaraz przypisze temu jakieś nadprzyrodzone, wagnerowskie znaczenie.

– Byłeś znakomity, Karl – rzekł Rahn. – Reichsführer nawet to skomentował.

– Ale wyglądasz na zmęczonego – odezwał się trzeci głos, zapewne Kindermanna. – Lepiej daj mi się zbadać.

Przycisnąłem twarz do szpary w drzwiach szatni. Weisthor zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła, a następnie usiadł ciężko i pozwolił Kindermannowi zmierzyć sobie tętno. Był niespokojny i blady, jakby naprawdę nawiązał łączność ze światem duchów. Najwyraźniej usłyszał moje myśli.

– Udawanie męczy prawie tak samo jak robienie czegoś naprawdę.

– Może zrobię ci zastrzyk? – zapytał Kindermann. – Odrobina morfiny pozwoli ci zasnąć. – Nie czekając na odpowiedź, wyjął z torby lekarskiej małą ampułkę i strzykawkę, po czym zaczął przygotowywać igłę. – Nie chcemy przecież, abyś czuł się zmęczony na nadchodzącym Sądzie Honorowym, prawda?

– Oczywiście. Lanz, chcę, żebyś był obecny – oznajmił Weisthor, podwijając rękaw i ukazując przedramię tak posiniaczone i pełne blizn, że wyglądało jak wytatuowane. – Nie przetrzymam tego bez kokainy. Odkryłem, że mam po niej cudownie jasny umysł. Jeśli będę należycie pobudzony transcendentalnie, Reichsführer w żaden sposób nie oprze się temu, co mam do powiedzenia.

– Wiesz, przez chwilę myślałem, że dzisiaj rzeczywiście wszystko ujawnisz – powiedział Rahn. – Naprawdę bawiłeś się z nim w kotka i myszkę! To wszystko, co wygadywałeś, że niby dziewczyna nie chce nikomu robić kłopotów! Cóż, szczerze mówiąc, pewnie już teraz prawie w to wierzy.

– Dopiero kiedy przyjdzie pora, drogi Otto – odparł Weisthor. – Kiedy przyjdzie pora. Pomyśl, o ile większe wrażenie zrobią na nim moje rewelacje, jeśli ujawnię je w Wewelsburgu. Współudział Żydów zyska moc duchowego objawienia i wreszcie uporamy się z tymi wszystkimi bzdurami o szacunku dla własności i rządach prawa. Żydzi dostaną to, na co zasłużyli, i żaden policjant nas nie powstrzyma. – Ruchem głowy wskazał strzykawkę. Nawet nie mrugnął, gdy Kindermann wbijał igłę w żyłę, a przy naciśnięciu tłoka westchnął z rozkoszą.

– A teraz, panowie, bądźcie tak łaskawi i pomóżcie staremu człowiekowi się położyć.

Patrzyłem, jak obaj biorą go pod ręce i prowadzą na górę po skrzypiących schodach.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że jeśli Kindermann lub Rahn zamierzają wyjść, to pewnie będą chcieli włożyć płaszcze, prześlizgnąłem się więc z szatni do pokoju w kształcie

lity L, gdzie zainscenizowano fikcyjny seans, i skryłem się za grubą kotarą. Ale zeszli na dół do holu i przystanęli, żeby porozmawiać. Nie dosłyszałem nawet połowy tego, co mówili, zrozumiałem jednak, że Reinhard Lange przestał już być użyteczny; Kindermann próbował nawet niemrawo przeproszać za kochanka, ale nie wkładał w to serca.

Wydawałoby się, że trudno o coś gorszego niż smród w toalecie, ale to, co teraz nastąpiło, było jeszcze bardziej obrzydliwe. Nie bardzo widziałem, co się dzieje, nikt nie powiedział ani słowa. Ale odgłosy aktu seksualnego w wykonaniu dwóch mężczyzn są niezwykle charakterystyczne. Poczułem mdłości. Kiedy wreszcie doprowadzili swą ohydną czynność do zdyszanego końca i wyszli, chichocząc jak para zepsutych uczniów, zrobiło mi się tak niedobrze, że musiałem otworzyć okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

W znajdującym się obok gabinecie nalałem sobie duży kieliszek brandy Weisthora – znacznie lepsze lekarstwo niż haust berlińskiego powietrza. Zaciągnąłem zasłony i poczułem się swobodniej, więc zapaliłem lampę na biurku. Chciałem dobrze rozejrzeć się po pokoju, zanim zacznę przeszukiwać szafki i szuflady.

A było co oglądać. Upodobania Weisthora w dziedzinie wystroju wnętrz były nie mniej ekscentryczne niż gust Szalonego Ludwika Bawarskiego. Znajdowały się tu dziwne kalendarze, kartusze herbowe i malowidła przedstawiające menhiry; wizerunki Merlina i Miecza w Skale, świętego Graala i templariuszy; fotografie zamków, zdjęcia Hitlera, Himmlera, i wreszcie samego Weisthora w mundurze, najpierw jako oficera w jakimś pułku austriackiej piechoty, potem zaś wyższego oficera SS.

Karl Weisthor należał do SS. Niemal powiedziałem to głośno, tak fantastyczne się to wydawało. I nie był podoficerem jak Otto Rahn, ale, sądząc po liczbie gwiazdek na kołnierzu, co najmniej brygadierem. I jeszcze jedno – czemu nie dostrzegłem tego wcześniej? Istniało wyraźne fizyczne podobieństwo między Weisthorem i Juliusem Streicherem. Rzeczywiście, Weisthor mógł być o dziesięć lat starszy, ale opis, który podała ta żydowska uczennica, Sarah Hirsch, pasował i do Weisthora, i do Streichera: obaj byli masywni, łysiejący, z małym wąsikiem, i obaj mówili z silnym południowym akcentem, austriackim lub bawarskim. Cóż, Weisthor pochodził z Wiednia. Byłem ciekaw, czy kierowcą samochodu mógł być Otto Rahn.

Wszystko zgadzało się z tym, co już wiedziałem; rozmowa podsłuchana w holu potwierdzała moje wcześniejsze podejrzenia, że motywem zbrodni była chęć zrzucenia winy na berlińskich Żydów. A jednak odniosłem wrażenie, że kryje się za tym coś więcej. W sprawę był zamieszany Himmler. Czy miałem rację, myśląc, że chodziło również o to, by Reichsführer uwierzył w niezwykle moce Weisthora, który chciał dzięki temu uzyskać jego polityczne poparcie oraz zagwarantować sobie perspektywy awansu w SS, być może kosztem

samego Heydricha?

Teoria była piękna, teraz musiałem jedynie ją udokumentować; jeśli Himmler miał się zgodzić na to, by jego osobisty Rasputin został wsadzony za wielokrotne morderstwo, dowody musiały być niezbite. Tym bardziej, że te dowody miały zdemaskować szefa policji Rzeszy jako naiwną ofiarę wymyślnej mistyfikacji.

Zabrałem się do przeszukiwania biurka Weisthora w przekonaniu, że nawet jeśli znajdę materiał, który pozwoli mi przywoździć Weisthora i ujawnić jego diabelski spisek, to nie zaskarbię sobie tym sympatii najpotężniejszego chyba człowieka w Niemczech. Nie była to najbardziej uspokajająca perspektywa.

Okazało się, że w kwestii korespondencji Weisthor był człowiekiem skrupulatnym: znalazłem całe skoroszyty, zawierające kopie listów, które wysyłał, jak również tych, które otrzymał. Usiadłem przy biurku i przejrzałem je wrywkowo. Dzięki Bogu, nie szukałem maszynopisu z wyznaniem winy, gdyż doznałbym rozczarowania. Weisthor i jego wspólnicy przejawiali talent do eufemizmów, rozwinięty najwyraźniej dzięki pracy w służbie bezpieczeństwa i w wywiadzie. Listy potwierdzały wszystko, co wiedziałem, lecz były sformułowane tak ostrożnie i zawierały tyle zaszyfrowanych haseł, że można je było interpretować na wiele rozmaitych sposobów.

K. M. Wiligut Weisthor
Caspar-Theyss Strasse 33
Berlin W.

SS-Unterscharführer Otto Rahn

Tiergartenstrasse 8a

Berlin W.

ŚCIŚLE TAJNE

8 lipca 1938

Drogi Otto,

jest tak, jak podejrzewałem. Reichsführer donosi, że ten Żyd Heydrich nałożył embargo na wszystkie tematy dotyczące Projektu Krist. Bez relacji prasowych nie zdołamy się dowiedzieć, kto ponosi konsekwencje działań związanych z Projektem. Aby udzielić duchowego wsparcia wszystkim zainteresowanym i tym samym zbliżyć się do celu, musimy szybko znaleźć inny sposób, który pozwoliłby nam legalnie dać wyraz naszemu

zaangażowaniu.

Czy masz jakieś sugestie?

Heil Hitler,

Weisthor

Otto Rahn
Tiergartenstrasse 8a
Berlin W.

SS-Brigadeführer K. M. Weisthor

Berlin Grönewald

ŚCISŁE TAJNE

10 lipca 1938

Drogi Brigadeführer,

długo zastanawiałem się nad Pańskim listem i wydaje mi się, że wraz z SS-Hauptsturmführerem Kindermannem oraz SS-Sturmbannführerem Andersem znaleźliśmy rozwiązanie.

Anders ma pewne doświadczenie w sprawach policyjnych i jest pewien, że wobec skutków Projektu Krist, zważywszy na obecną słabą efektywność policji, nie będzie rzeczą niezwykłą, jeśli jakiś obywatel zatrudni prywatnego detektywa.

Proponujemy zatem, by przy organizacyjnym i finansowym wsparciu naszego przyjaciela Reinharda Lange zapewnić sobie usługi małej agencji detektywistycznej, a potem po prostu zamieszczać ogłoszenia w prasie. Jesteśmy zgodni co do tego, że zainteresowane osoby nawiążą kontakt z detektywem, który po upływie odpowiedniego czasu oznajmi, że wyczerpał możliwości śledcze, i zaproponuje nasz udział w sprawie, abyśmy ją rozwiązali takimi środkami, jakie uznamy za stosowne.

Takim ludziom chodzi wyłącznie o pieniądze, a więc jeśli nasz detektyw zostanie odpowiednio wynagrodzony, uwierzy w to, w co będzie chciał uwierzyć, a mianowicie, że jesteśmy grupą maniaków. Gdyby na jakimś etapie okazał się kłopotliwy, sądzę, że wystarczy przypomnieć mu o zainteresowaniu Reichsführera tą sprawą, żeby zagwarantować sobie jego milczenie.

Przygotowałem spis odpowiednich kandydatów i za Pańskim pozwoleniem chciałbym

skontaktować się z nimi jak najszybciej.

Heil Hitler,
Do usług,
Otto Rahn

K. M. Wiligut Weisthor
Caspar-Theysss Strasse 33,
Berlin W.

SS-Unterscharführer Otto Rahn
Tiergartenstrasse 8a, Berlin W.
ŚCIŚLE TAJNE
30 lipca 1938

Drogi Otto,

dowiaduję się od Andersa, że policja zatrzymała pod zarzutem wiadomych przestępstw pewnego Żyda. Dlaczego nikomu z nas nie przyszło do głowy, że skoro policja jest, jaka jest, to gotowa wrobić w tę sprawę kogokolwiek, choćby i Żyda? Na właściwym etapie naszego planu takie aresztowanie byłoby nader pożyteczne, ale w tej chwili, kiedy nie mieliśmy jeszcze możliwości zademonstrowania Reichsführerowi naszej mocy, kiedy nie spróbowaliśmy odpowiednio nań wpłynąć, to wyłącznie niedogodność.

Niemniej wydaje mi się, że moglibyśmy obrócić to na naszą korzyść. Gdyby teraz, kiedy ten Żyd przebywa w areszcie, wydarzył się kolejny epizod Projektu Kris, to nie tylko człowiek ten zostałby zwolniony, lecz Heydrich znalazłby się w bardzo trudnym położeniu. Proszę się tym zająć.

Heil Hitler,
Weisthor

SS-Sturmbannführer Richard Anders
Zakon Templariuszy, Berlin
Lumenklub, Bayreutherstrasse 22,

Berlin W.

SS-Brigadeführer K. M. Weisthor

Berlin Grünewald

ŚCIŚLE TAJNE

27 sierpnia 1938

Drogi Brigadeführer,

z mojego wywiadu wynika, że Komenda Główna policji na Alexanderplatz istotnie otrzymała anonimowy telefon. Co więcej, rozmowa przeprowadzona z adiutantem Reichsführera, Karlem Wolffem, wskazuje, że powyższy telefon wykonał on sam, nie Reichsführer. Jest bardzo niezadowolony, że w ten sposób wprowadził policję w błąd, ale przyznaje, że nie widział innego sposobu, by pomóc w dochodzeniu, jednocześnie nie zdradzając tożsamości Reichsführera.

Podobno Himmler jest pod wielkim wrażeniem.

Heil Hitler,

Wasz Richard Anders

SS-Hauptsturmführer Dr Lanz Kindermann

Am Kleinen Wannsee

Berlin West

Karl Maria Wiligut

Caspar-Theyss Strasse 33

Berlin West

ŚCIŚLE TAJNE

29 września 1938

Karl, mój drogi.

Najpierw na poważną nutę. Ostatnio nasz przyjaciel Reinhard Lange daje mi powody do niepokoju. Pomijając już moje własne uczucia wobec niego, uważam, że nie ma już woli, by pomagać nam w realizacji Projektu Kris. Nie wierzy, że to, co robimy, to pradowny pogański zwyczaj, nieprzyjemny, niemniej jednak niezbędny. I mimo że nic nie jest w stanie mnie przekonać, że mógłby kiedykolwiek nas zdradzić, czuję, że Reinhard nie powinien już

uczestniczyć w działaniach, związanych z Projektem, które z konieczności odbywają się w mojej klinice.

Poza tym jednak wciąż raduję się naszym pradawnym dziedzictwem duchowym i z radością oczekuję dnia, gdy będziemy znów mogli poznawać naszych przodków za pośrednictwem Twego autogenicznego jasnowidzenia.

Heil Hitler,
Twój na zawsze,
Lanz

Komendant
SS-Brigadeführer Siegfried Taubert
SS-School Haus
Wewelsburg k. Paderbornu
Westfalia

SS-Brigadeführer K. M. Weisthor
Caspar-Theysss Strasse 33
Berlin Grönewald
ŚCIŚLE TAJNE:
3 października 1938

POSIEDZENIE SĄDU HONOROWEGO, 6-8 LISTOPADA 1938

Herr Brigadeführer,

niniejszym potwierdzam, że kolejne posiedzenie sądu honorowego odbędzie się w Wewelsburgu w wyżej wymienionym terminie. Jak zwykle obowiązywać będą zaostrzone środki bezpieczeństwa. Podczas posiedzenia przy wejściu do budynku szkoły oprócz zwykłych procedur identyfikacyjnych wymagane będzie podanie hasła. Zgodnie z Pańską sugestią brzmi ono GOSLAR.

Na polecenie Reichsführera obowiązkowa jest obecność wymienionych poniżej oficerów i osób cywilnych:

Reichsführer SS Himmler

SS-Obergruppenführer Heydrich
SS-Obergruppenführer Heissmeyer
SS-Obergruppenführer Nebe
SS-Obergruppenführer Daluege
SS-Obergruppenführer Darre
SS-Gruppenführer Pohl
SS-Brigadeführer Taubert
SS-Brigadeführer Berger
SS-Brigadeführer Eicke
SS-Brigadeführer Weisthor
SS-Oberführer Wolff
SS-Sturmbannführer Anders
SS-Sturmbannführer von Oeynhausen
SS-Hauptsturmführer Kindermann
SS-Obersturmbannführer Diebitsch
SS-Obersturmbannführer von Knobelsdorff
SS-Obersturmbannführer Klein
SS-Obersturmbannführer Lasch
SS-Unterscharführer Rahn
Landbaumeister Bartels
Profesor Wilhelm Todt

Heil Hitler,
Taubert

Znajdowało się tutaj wiele innych listów, ale i tak już zbytnio ryzykowałem, zostając tak długo. Więcej: zdałem sobie sprawę, że panicznie się boję, być może po raz pierwszy odkąd w 1918 roku wyszedłem z okopów.

piątek, 4 listopada

W drodze z domu Weisthora na Alexanderplatz próbowałem nadać swoim odkryciom jakiś sens.

Rola Vogelmanna została wyjaśniona, do pewnego stopnia również rola Reinharda Langego. Być może dziewczęta mordowano w klinice Kindermanna. Czy jest lepsze miejsce, by kogoś zabić, aniżeli szpital, skąd ludzie wychodzą nogami do przodu? List Kindermanna do Weisthora bez wątpienia na to wskazywał.

Koncepcja Weisthora była przerażająco pomysłowa. Po zamordowaniu dziewcząt, wybranych ze względu na aryjski wygląd, ciała ukryto tak starannie, że nie dało się ich odnaleźć, zwłaszcza, że policji brakowało ludzi, by prowadzić rzetelne dochodzenia w tak banalnych sprawach jak zaginięcia. Kiedy w końcu władze policyjne się zorientowały, że na ulicach Berlina grasuje seryjny morderca, zajęły się przede wszystkim wyciszaniem sprawy, nie chcąc dopuścić do oskarżeń o niekompetencję. Trzeba było ukryć fakt, że nie udało się schwytać sprawcy, przynajmniej dopóki nie zostanie znaleziony odpowiedni kozioł ofiarny, choćby taki jak Josef Kahn.

Ale co z Heydrichem i Nebem? Czy udział tych dwóch w esesowskim sądzie honorowym był obowiązkowy wyłącznie ze względu na ich wysoką rangę? W końcu w SS, jak w każdej innej organizacji, istniały rozmaite frakcje. Na przykład Daluge, komendant Orpo – podobnie jak jego odpowiednik Arthur Nebe – darzył Himmlera i Heydricha niechęcią, i to z wzajemnością. A z kolei Weisthor i jego grupa najwyraźniej byli nastawieni wrogo do „tego Żyda Heydricha”. Heydrich Żydem! Był to zręczny element kontrpropagandy, który brzmiał tym bardziej przekonująco, że polegał na oczywistym niepodobieństwie. Słyszałem tę plotkę już przedtem, podobnie jak większość gliniarzy w Alex, i podobnie jak oni wiedziałem, gdzie było jej źródło: admirał Canaris, dowódca Abwehry, niemieckiego wywiadu wojskowego, należał do najzagorzalszych przeciwników Heydricha, a z pewnością był wśród nich najpotężniejszy.

A może istniał jakiś inny powód, dla którego Heydrich wybierał się na kilka dni do

Wewelsburga? Nic, w czym maczał palce, nie było takie, jak się wydawało, choć ani przez chwilę nie wątpiłem, że ucieszyłaby go perspektywa wprawienia Himmlera w konfuzję. Uznałby to za wisienkę na torcie, którego głównym składnikiem byłoby aresztowanie Weisthora i innych antyheydrichowskich spiskowców w łonie SS.

Jednakże, aby udowodnić im winę, potrzebowałem czegoś więcej niż dokumentów Weisthora. Czegoś bardziej wymownego i jednoznacznego, co przekonałoby samego Reichsführera.

Wtedy pomyślałem o Reinhardzie Langem. Stanowił najmniejszą z narośli na zatrutym ciele spisku Weisthora i jego usunięcie z pewnością nie wymagało sterylnej, ostrego skalpela. Do tej roboty wystarczył brudny, poszarpany paznokieć i takim właśnie narzędziem dysponowałem – dwoma listami Langego do Lanza Kindermanna.

Wróciłem do Alex i udałem się prosto do oficera dyżurnego. Czekali tam na mnie Korsch i Becker w towarzystwie profesora Illmanna i sierżanta Gollmera.

– Kolejny telefon?

– Tak jest – odparł Gollner.

– Dobra. Jedziemy.

Ze swoją fasadą z czerwonej cegły, licznymi wieżami i sterczynami oraz sporym ogrodem, Browar Schultheissów bardziej przypominał szkołę niż warzelnię piwa. Gdyby nie zapach, od którego wierciło w nosie nawet o drugiej w nocy, wcale bym się nie zdziwił, zastając w środku sale pełne ławek, a nie beczek.

Zatrzymaliśmy się pod portiernią w kształcie namiotu.

– Policja! – wrzasnął Becker do strażnika nocnego, który sam wyglądał jak beczka. Brzuch miał tak wielki, że wątpię, by zdołał sięgnąć do kieszeni drelichowego kombinezonu, nawet gdyby bardzo się starał.

– Gdzie trzymacie stare beczki po piwie?

– To znaczy puste?

– Niezupełnie. Chodzi mi raczej o takie, które wymagają załatania.

Facet udał, że salutuje.

– Jasne, proszę pana. Wiem dokładnie, o co panu chodzi. Tędy, jeśli pan łaskaw.

Wysiedliśmy z aut i ruszyliśmy za nim z powrotem drogą dojazdową. Kawalek dalej skręciliśmy ku niskim zielonym drzwiczkom w ścianie browaru i schyliwszy głowy, wkroczyliśmy w długi, wąski korytarz.

– Nie zamykacie tych drzwi na klucz? – zapytałem.

– Nie ma potrzeby – powiedział strażnik. – Nie ma tu nic, co warto ukraść. Piwo

trzymamy za bramą.

Znaleźliśmy się w starej piwnicy, obrosniętej dwustuletnim brudem na podłodze i suficie. Naga żarówka na ścianie zabarwiała mrok żółtawym światłem.

– No i jesteśmy na miejscu – oznajmił mężczyzna. – Chyba tego właśnie szukacie. Tutaj składują beczki, wymagające naprawy. Tyle że wielu z nich nigdy nie naprawiają. Niektórych nie ruszano od dziesięciu lat.

– Cholera – mruknął Korsch. – Jest ich pewnie ponad setka.

– Co najmniej. – Nasz przewodnik zaśmiał się.

– No, to lepiej bierzmy się do roboty – powiedziałem.

– Czego właściwie szukacie?

– Otwieracza do butelek – rzekł Becker. – No, a teraz bądź tak miły i idź sobie, dobra?

Strażnik uśmiechnął się szyderczo, bąknął coś pod wąsem i oddalił się kaczym krokiem ku uciesze Beckera.

Znalazł ją Illmann. Nawet nie musiał zdejmować pokrywy.

– Tutaj, o, ta. Niedawno ją przesuwano. I kolor pokrywy różni się od reszty. – Otworzył beczkę, wziął głęboki wdech i poświecił latarką do środka. – Zgadza się, to ona.

Podszedłem do niego i zajrzałem dwukrotnie, raz we własnym imieniu, raz dla Hildegard. W mieszkaniu widziałem tyle zdjęć Emmeline, że natychmiast ją poznałem.

– Profesorze, proszę jak najszybciej ją stąd wyjąć.

Illmann spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem i kiwnął głową. Być może usłyszał w moim głosie coś, co nasunęło mu myśl, że moje zainteresowanie nie jest czysto zawodowe. Gestem przywołał policyjnego fotografa.

– Becker – powiedziałem.

– Tak?

– Musicie iść ze mną.

Jadąc do domu Reinharda Langego, wpadliśmy do mojego biura, żeby zabrać jego listy. Nalałem nam obu po dużym sznapsie i z grubsza opowiedziałem wydarzenia tego wieczora.

– Lange to słabe ogniwo. Słyszałem, co o nim mówili. Co więcej, to ciota. – Wysączyłem szklankę do końca i nalałem sobie kolejną, wdychając głęboko opary, aby zwiększyć efekt. Przed połknięciem przez chwilę trzymałem trunek na podniebieniu, aż poczułem mrowienie w wargach. Wzdrygnąłem się, czując, jak alkohol powoli spływa mi

wzdłuż kręgosłupa, po czym powiedziałem:

– Chciałbym, żebyście go potraktowali jak zwykła to robić obyczajówka.

– Tak? Jak mocno?

– Kurwa, jak walec drogowy!

Becker wyszczerzył zęby w uśmiechu i dopił swoją wódkę.

– Rozjechać go na placek? Jasne. – Rozpiął marynarkę, wyjął krótką gumową pałkę i z zapalem zaczął nią klepać w dłoń. – Pogłaszczę go tym.

– No, mam nadzieję, że umiecie się tym posługiwać lepiej niż tą waszą parabelką. Chcę mieć tego gościa żywego. Ma się zesrać ze strachu, ale ma być żywy. Żeby mógł odpowiadać na pytania. Zrozumiano?

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Jestem specjalistą od gumowej przyjaciółki. Tylko skóra pęka, wie pan? A kości zostawimy sobie na kiedy indziej, aż da pan znać.

– Zdaje się, że lubicie to robić, co? Lubicie straszyć ludzi na śmierć?

– A pan nie? – Becker zaśmiał się.

Dom mieścił się przy Lützowufer-Strasse, z widokiem na kanał Landwehr. Z niedalekiego zoo dobiegały krzyki krewniaków Hitlera, skarżących się na warunki lokalowe.

Był to elegancki, dwupiętrowy budynek w stylu wilhelmińskim, z pomarańczowym tynkiem i dużym kwadratowym oknem w wykuszu na pierwszym piętrze. Becker zaczął ciągnąć sznur dzwonka, jakby to robił na akord, a kiedy się zmęczył, przerzucił się na kołatkę. Wreszcie w holu zapaliło się światło i usłyszeliśmy zgrzyt zasuwy.

Drzwi uchyliły się, zabezpieczone łańcuchem, i w szparze ukazała się blada, zdenerwowana twarz Langego.

– Policja – warknął Becker. – Otwierać!

– Co się dzieje? – Lange przełknął ślinę. – Czego chcecie?

Becker cofnął się o krok.

– Uwaga, panie komisarzu – powiedział i kopnął w drzwi podeszwą buta. Gdy kopnął powtórnie, usłyszałem pisk Langego. Po trzeciej próbie drzwi ustąpiły z głośnym trzaskiem, ukazując gospodarza, który pospiesznie wbiegał po schodach w samej pidżamie.

Becker ruszył za nim.

– Na litość boską, tylko go nie zastrzelcie! – zawołałem.

– O Boże, pomocy! – wykrztusił Lange, gdy Becker chwycił go za kostkę i szarpnął. Lange obrócił się i próbował odepchnąć go kopniakiem, ale bez skutku; ciągnięty w dół zjechał tłustym tyłkiem po schodach. Na ostatnim stopniu Becker złapał go za policzki i rozciągnął je na boki.

– Kiedy mówię otwierać, to macie, kurwa, otwierać, jasne? – Położył dłoń na twarzy Langego i stuknął jego głową o stopień. – Kapujesz, pedale? – Lange głośno zaprotestował, więc Becker chwycił go za włosy i wymierzył mu dwa siarczyste policzki. – Pedale, pytałem, czy kapujesz?

– Tak! – zawył Lange.

– Dostyc tego. – Wtrąciłem się i odciągnąłem Beckera za ramię. Wstał, dysząc ciężko, i wyszczerzył do mnie zęby.

– Mówił pan jak walec, panie komisarzu.

– Powiem wam, kiedy będzie trzeba więcej.

Lange wytarł zakrwawione usta i obejrzał smugi krwi na rękach. Miał łzy w oczach, lecz mimo to znalazł w sobie dość odwagi, by się oburzyć.

– Słuchajcie – krzyknął – o co tu chodzi, do jasnej cholery! Co wy sobie myślicie, żeby tak tu się wdzierać?

– Powiedzcie mu – poleciłem.

Becker chwycił Langego za kołnierz i zacisnął go na jego pulchnej szyi.

– Czeka cię różowy trójkąt, tłuscioszku – oznajmił jadowicie. – Różowy trójkąt z baretką, jeśli sądzić po listach do twojego rozkosznego kolegi Kindermanna!

Lange oderwał dłoń Beckera od swojej szyi i wpatrzył się w niego wściekłym wzrokiem. – Nie mam pojęcia, o czym mówicie – wysyczał. – Różowy trójkąt? Co to niby ma znaczyć, na Boga?

– Paragraf sto siedemdziesiąt pięć niemieckiego kodeksu karnego – powiedziałem.

Becker przytoczył stosowny ustęp z pamięci: „Każdy mężczyzna, który uprawia nierząd z innym mężczyzną lub pozwala sobie na uczestnictwo w nierządzie, będzie karany więzieniem”. – Żartobliwie trzepnął Langego palcami w policzek. – To znaczy, że jesteś aresztowany, ty tłusta cioto!

– Ależ to niesłychane! Nigdy nie pisałem do nikogo żadnych listów! I nie jestem homoseksualistą!

– Ty nie jesteś homoseksualistą – zaszydził Becker – a ja nie leję przez kutasa. – Z kieszeni marynarki wyciągnął dwa listy, które mu dałem, i pomachał nimi Langemu przed nosem. – A to pewnie pisałeś do królowej wrózek?

Lange próbował je wyrwać, ale bez skutku.

– Oj, brzydko – rzekł Becker i znów go trzepnął, tym razem trochę mocniej.

– Skąd je macie?

– Ja mu je dałem.

Lange spojrział na mnie, po czym spojrział jeszcze raz, uważniej. – Zaraz, zaraz – zająknął się. – Ja pana znam. Pan jest Steininger. Pan był dzisiaj u... – Urwał, nie chcąc zdradzić, gdzie mnie widział.

– Właśnie, byłem na przyjętku u Weisthora. Sporo wiem o tym, co się dzieje. A ty pomożesz mi dowiedzieć się reszty.

– Traciecie czas, kimkolwiek jesteście. Nic wam nie powiem.

Skinąłem na Beckera, który znów zaczął go bić. Patrzyłem beznamiętnie, jak najpierw wali Langego po kolanach i kostkach, a potem od niechcienia uderza w ucho, i nienawidziłem sam siebie za to, że podtrzymuję najlepsze tradycje Gestapo oraz za zimną, nieludzką brutalność, którą czułem w brzuchu. Kazałem Beckerowi przestać.

Czekając, aż Lange przestanie płakać, przeszedłem się trochę po mieszkaniu. Wnętrze domu, w przeciwieństwie do jego wyglądu zewnętrznego, trudno było nazwać tradycyjnym. Meble, dywany i obrazy – bardzo liczne – utrzymane były w kosztownym nowoczesnym stylu, takim, na który łatwiej patrzeć, niż w nim mieszkać.

Kiedy zobaczyłem, że Lange wreszcie trochę się pozbierał, powiedziałem:

– Niezłe mieszkanko. Może nie w moim guście, ale ja jestem trochę staroświecki. Wie pan, należę do ludzi, którzy wolą zaokrąglone narożniki i przedkładają wygodę osobistą ponad kult geometrii. Ale założę się, że pan się tu dobrze czuje. Słuchajcie, Becker, jak myślicie, spodoba mu się na dołku w Alex?

– Co, w areszcie? Bardzo geometryczny, panie komisarzu, same żelazne kraty.

– Nie wspominając już o cyganerii, która tam przebywa i organizuje całe to nocne życie, z jakiego Berlin słynie na całym świecie. Gwałciciele, mordercy, złodzieje, pijacy... Mnóstwo tych pijaków, rzygają wszędzie...

– Ojej, to naprawdę okropne, ma pan rację, panie komisarzu.

– Wiecie, Becker, chyba nie możemy tam wsadzić kogoś takiego jak Herr Lange. Chyba mu się tam wcale nie spodoba, co?

– Skurwysyny.

– Pewnie nie przeżyłby nocy, panie komisarzu. Zwłaszcza gdybyśmy wybrali z jego garderoby jakieś specjalne ubranko. Coś artystycznego, stosownego dla człowieka o jego wrażliwości. Może nawet jakiś makijaż, co, panie komisarzu? Odrobina szminki i różu naprawdę dobrze mu zrobi. – Becker zachichotał entuzjastycznie, jak urodzony sadysta.

– Chyba lepiej, żeby pan ze mną porozmawiał, Herr Lange.

– Nie boję się was, gnojki. Słyszycie? Nie boję się was!

– A to pech. Widzi pan, w przeciwieństwie do obecnego tutaj Kriminalassistentanta

Beckera, widok ludzkiego cierpienia nieszczególnie mnie bawi. Obawiam się jednak, że nie mam wyboru. Chciałbym to zrobić prawidłowo, ale po prostu nie mam czasu.

Zawlekliśmy go na górę do sypialni, gdzie Becker znalazł w garderobie odpowiedni strój. Kiedy odkrył również szminkę i róż, Lange zawył i zamachnął się na mnie.

– Nie! – wrzasnął. – Nie zgadzam się na to!

Złapałem go za pięść i wykręciłem mu rękę na plecy.

– Ty mała tchórzliwa płakso! Do jasnej cholery, Lange, umalujesz się i będziesz się z tego cieszył, albo przysięgam, że powiesimy cię głową w dół i poderzniemy ci gardło jak tym dziewczynom, które zamordowali twoi kumple. A potem wsadzimy twój odwłok do beczki po piwie lub do starego kufra, i zobaczymy, co poczuje twoja matka, kiedy będzie musiała cię rozpoznać sześć tygodni później! – Skułem mu ręce, a Becker przystąpił do makijażu. Kiedy skończył, Lange wyglądał tak, że Oscar Wilde w porównaniu z nim byłby skromny i bezpretensjonalny niczym sprzedawca tekstyliów z Hanoweru.

– No już! – warknąłem. – Bierzmy tę ślicznotę do hotelu.

Nie przesadzaliśmy, mówiąc o dołku na Alexanderplatz. Zapewne areszty policyjne w dużych miastach wszystkie wyglądają podobnie, lecz Alex to główna komenda policji w naprawdę wielkim mieście, toteż tutejszy dołek również był bardzo duży. A nawet ogromny, wielkości średniego kina, tyle że nie było tu siedzeń. Nie było też prycz, okien ani wentylacji – tylko brudna podłoga, brudne kible, brudne kraty, brudni ludzie i wszy. Gestapo przysyłało tu zatrzymanych, dla których zabrakło miejsca przy Prinz Albrecht Strasse. Orpo w nocy przywoziło pijaków, żeby mogli się pobić, wyrzygać i odespać. Dla Kripo to miejsce było tym, czym dla Gestapo był kanał: kloaką na ludzkie odpadki; nie nadawało się dla człowieka, nawet takiego, jak Reinhard Lange. Musiałem nieustannie przypominać sobie o tym, co on i jego przyjaciele zrobili Emmeline Steininger, upchniętej w beczce jak kupka zgniłych kartofli.

Kiedy zeszliśmy na dół, powitały nas gwizdy i więźniowie zaczęli nam posyłać całusy. Lange pobałdł ze strachu.

– Na Boga, chyba mnie tu nie zostawicie! – jęknął, czepiając się mojego ramienia.

– To gadaj – powiedziałem. – Weisthor, Rahn, Kindermann. Podpiszesz zeznanie i dostaniesz przyjemną celę tylko dla siebie.

– Nie mogę, nie mogę! Nie wiecie, co oni mi zrobią!

– Nie – przyznałem i ruchem głowy wskazałem ludzi za kratami – ale wiem, co zrobią ci tutaj.

Strażnik otworzył ciężkie drzwi ogromnej klatki i odsunął się, a Becker pchnął

Langego do środka.

Kiedy dojeżdżałem do Steglitz, wciąż jeszcze dźwięczał mi w uszach jego krzyk.

Hildegard spała na kanapie i jej włosy rozpostarte na poduszkach wyglądały jak płetwa grzbietowa jakiejś egzotycznej złocistej ryby. Usiadłem, przesunąłem dłoń po ich jedwabistej gładzi i pocałowałem ją w czoło, wyczuwając w jej oddechu woń alkoholu. Poruszyła się i zamrugła, po czym otworzyła oczy, smutne i pełne łez. Położyła mi dłoń na policzku, potem na karku, i przyciągnęła mnie ku sobie.

– Muszę z tobą pomówić – szepnąłem, lekko się opierając. Położyła mi palec na ustach.

– Wiem, że ona nie żyje – powiedziała. – Skończyłam płakać. Studnia wyschła.

Uśmiechnęła się smutnie. Przytuliłem ją; czule całowałem jej powieki, gładziłem pachnące włosy, muskałem wargami ucho, lekko kasałem szyję.

– Ty też miałeś upiorny wieczór – rzekła cichym głosem, ściskając mnie mocno, coraz mocniej. – Prawda, kochanie?

– Upiorny – potwierdziłem.

– Martwiłam się, kiedy wróciłeś do tego straszego domu.

– Nie mówmy już o tym.

– Bernie, zabierz mnie do łóżka.

Objęła mnie za szyję, a ja wziąłem ją na ręce, jakby była kaleką, i zaniósłem ją do sypialni. Posadziłem ją na brzegu łóżka i rozpiąłem bluzkę. Kiedy ją zdjąłem, westchnęła i opadła na wznak na kołdrę; jest trochę pijana, pomyślałem, rozpinając jej spódnicę i zsuwając po obciągniętych gładkimi pończochami nogach. Ściągnąłem jej koszulkę, całując piersi, brzuch i wewnętrzną stronę ud. Ale majtki wydały mi się ciasne, za ciasne; stawiały opór, jakby uwięzły między pośladkami. Poprosiłem, by uniosła pupę.

– Zerwij je – powiedziała.

– Co?

– Zedrzyj je ze mnie. Niech mnie boli. Użyj mnie, Bernie – szepnęła, zdyszana i niecierpliwa, rozwierając i zaciskając uda niczym szczęki ogromnej modliszki.

– Hildegard...

Trzepnęła mnie mocno w twarz.

– Słuchaj, do cholery! Bij, kiedy ci każę!

Znów chciała mnie uderzyć, lecz chwyciłem ją za przegub.

– Mam dosyć jak na jeden wieczór – warknąłem, łapiąc ją za drugą rękę. – Przestań!

– Proszę, musisz!

Pokręciłem głową, lecz opłotła mnie nogami i zacisnęła mocne uda, aż poczułem klucie w nerkach.

– Przestań, na litość boską!

– Bij mnie, głupi, wstrętny skurwysynu! Czy już ci mówiłam, że jesteś też głupi? Typowy tępą gliniarz. Gdybyś był mężczyzną, tobyś mnie zgwałcił. Ale ty nie masz tyle ikry, co?

– Jeśli szukasz jakiegoś sposobu na żalobę, to możemy przejechać się do kostnicy. – Pokręciłem głową i wyrwałem się spomiędzy jej ud. – Ale tak nie można. To powinno być robione z miłością.

Przestała się więc i przez chwilę wydawało mi się, że dociera do niej, że mówię serio. Uśmiechnęła się, po czym uniosła głowę i splunęła mi w twarz.

Po tym mogłem już tylko wyjść.

Czułem skurcz w brzuchu, równie zimnym i opuszczonym jak moje mieszkanie na Fasanenstrasse, więc natychmiast po przyjściu do domu wziąłem butelkę brandy i postarałem się go rozgrzać. Ktoś kiedyś powiedział, że szczęście ma charakter ujemny i polega na zaniku pożądania i usunięciu bólu. Brandy trochę mi w tym pomogła. Ale jeszcze zanim zasnąłem – na fotelu, wciąż w płaszczu – zdałem sobie sprawę, jak dodatnio zostałem zraniony.

niedziela, 6 listopada

Można uważać, że przetrwanie, szczególnie w naszych trudnych czasach, stanowi pewnego rodzaju osiągnięcie. Nie jest to coś, co przychodzi łatwo – życie w nazistowskich Niemczech wymaga nieustannych starań. Ale gdy już uda się przeżyć, wciąż pozostaje problem nadania życiu jakiegoś znaczenia. W końcu, na co komu dobre zdrowie i poczucie bezpieczeństwa, jeśli jego egzystencja nie ma sensu?

To nie było jedynie uzalanie się nad sobą. Jak wielu innych ludzi naprawdę wierzę, że zawsze znajdzie się ktoś, kto jest w gorszej sytuacji, a w tym wypadku zwyczajnie wiedziałem, że tak jest. Żydzi już teraz cierpieli prześladowania, lecz gdyby Weisthorowi udało się dopiąć swego, ich udręka przybrałaby skrajną postać. Gdyby tak się stało, co by to mówiło o nas wszystkich? W jakim stanie znalazłyby się wówczas Niemcy?

Oczywiście, powtarzałem sobie, że to nie moja sprawa, a Żydzi sami ściągnęli na siebie nieszczęście, ale nawet jeśli tak było, to cóż znaczyła nasza satysfakcja w porównaniu z ich krzywdą? Czy moje życie dzięki temu stało się słodsze? Czy czułem się bardziej wolny, bo oni byli prześladowani?

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej uświadamiałem sobie, że czas nagli i trzeba jak najszybciej udaremnić ten proceder – nie tylko zabójstwa dziewcząt, lecz także zamysł Weisthora, by zamienić życie Żydów w piekło. I że jeśli tego zaniecham, to upokorzenie stanie się również moim udziałem.

Nie jestem rycerzem w lśniącej zbroi. Jestem zwykłym facetem po przejściach, gościem w pomiętym garniturze, spotkanym na rogu ulicy, który ma mgliste pojęcie o tak zwanej moralności. Rzeczywiście, kiedy chodzi o własną kieszeń, nie mam zbyt wielkich skrupułów; nie umiem nikogo nakłonić do dobroczynności, już prędzej zaśpiewam solo w kościelnym chórze. Ale co do jednego miałem pewność: nie mogłem już dłużej patrzeć przez palce na złodziei w moim domu.

Rzuciłem plik listów na stół przed sobą.

– Znaleźliśmy je podczas przeszukania twojego domu – powiedziałem.

Reinhard Lange, bardzo zmęczony i sponiewierany, spojrzał na nie bez zbytniego zainteresowania.

– Może byłbyś uprzejmy wytłumaczyć mi, jak wszedłeś w ich posiadanie?

– To moje listy. – Wzruszył ramionami. – Nie zaprzeczam. – Westchnął i objął głowę dłońmi. – Słuchajcie, podpisałem wam zeznanie. Czego jeszcze chcecie? Współpracuję, prawda?

– Już prawie skończyliśmy, Reinhard. Jeszcze tylko kilka drobiazgów, które chcę wyjaśnić do końca. Na przykład, kto zabił Klause Heringa.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Masz krótką pamięć. Hering wykradł te listy twojemu kochankowi, który, tak się składa, był również jego pracodawcą, i posłużył się nimi, by szantażować twoją matkę. Pewnie uważał, że od niej prędzej doczeka się pieniędzy. No i skończyło się tym, że twoja matka wynajęła prywatnego detektywa, żeby wykrył, kto ją doi. Tym detektywem byłem ja, dopiero potem wróciłem do Alex jako gliniarz. Twoja matka, Reinhard, jest rozumną kobietą, szkoda, że niewiele cech po niej odziedzyczyłaś. Przyszło jej więc do głowy, że szantażysta może pozostawać z tobą w związku o charakterze seksualnym. A zatem, kiedy wykryłem, kim on jest, uznała, że powinieneś sam postanowić, co robić dalej. Oczywiście nie miała pojęcia, że już przedtem wynajęłaś prywatnego detektywa, tego paskudnego Rolfa Vogelmana. Albo przynajmniej wynajął go Otto Rahn za pieniądze, które mu dostarczyłaś. Ciekawa rzecz: Rahn, rozglądając się za takimi usługami, napisał i do mnie. Nigdy nie miałem przyjemności omówić z nim propozycji, więc trochę trwało, zanim przypomniałem sobie jego nazwisko. Ale to tak na marginesie. Kiedy więc twoja matka powtórzyła ci, że Hering ją szantażuje, naturalnie porozmawiałaś o tym z Kindermannem, a on zaproponował, żebyście załatwili to we własnym zakresie. Ty, on i Otto Rahn. W końcu, jeszcze jedna mokra robota to drobiazg dla kogoś, kto ma ich na koncie tak wiele.

– Nigdy nikogo nie zabiłem, mówiłem panu przecież!

– Ale przystałaś na zabicie Heringa, prawda? Podejrzewam, że prowadziłaś samochód. Pewnie nawet pomogłaś Kindermannowi powiesić ciało i zaaranżować samobójstwo.

– Nie, to nieprawda!

– Mieli na sobie mundury SS, co?

Zmarszczył brwi i zachnął się.

– A skąd pan może to wiedzieć?

– Znalazłem odznakę z czapki SS wbity w dłoń Heringa. Założę się, że musiał się nieźle szarpać. Powiedz mi, a ten drugi, ten mężczyzna w aucie, bardzo się bronił? Ten człowiek z opaską na oku? Jego też trzeba było zabić, co? Na wypadek, gdyby was rozpoznał?

– Nie...

– Wszystko ładnie i schludnie. Zabić go tak, żeby wyglądało, że sprawcą jest Hering, a potem zmusić Heringa, żeby się powiesił w przypiływie skruchy. Nie zapominając zabrać listów, rzecz jasna. Więc kto zabił człowieka w samochodzie? To był twój pomysł?

– Nie, w ogóle nie chciałem tam być!

Chwyliłem go za kłapy, uniosłem z krzesła i zacząłem bić po twarzy.

– Dobra, mam dosyć twojego skomlenia! Gadaj, kto go zabił albo każę cię natychmiast zastrzelić!

– Lanz go zabił! Z Rahnem! Otto trzymał go za ręce, a Kindermann wbijał mu nóż! To było okropne. Okropne.

Pozwoliłem mu opaść na krzesło. Zwalił się na stół i zaczął szlochać w rękaw.

– Wiesz co, Reinhard, wpadłeś w nie lada gówno – rzekłem, zapalając papierosa. – Byłeś obecny przy morderstwie, co cię czyni współwinnym. No i dochodzi jeszcze fakt, że wiedziałeś o morderstwach tych wszystkich dziewcząt.

– Mówiłem wam – chlipnął żałośnie – że by mnie zabili. Nigdy się na to nie zgadzałem, ale bałem się protestować.

– To nie wyjaśnia, jak w to w ogóle wdepnąłeś – powiedziałem, biorąc do ręki zeznanie Langego i przerzucając kartki.

– Myśli pan, że nie zadawałem sobie tego pytania?

– I co, znalazłeś jakąś odpowiedź?

– Podziwiałem tego człowieka. Wierzyłem w niego. Przekonał mnie, że to, co robimy, służy dobru Niemiec. Że to nasz obowiązek. Kindermann. To on mnie namówił.

– Reinhard, w sądzie to się nie spodoba. Kindermann nie będzie zbyt przekonującą Ewą przy twoim Adamie.

– Ale mówię wam, że to prawda.

– Może i tak, ale skończyły się nam figowe liście. Chcesz się bronić, to musisz wymyślić coś lepszego. To dobra porada prawna, wierz mi. I powiem ci coś jeszcze: przyda ci się każda rada, jaką usłyszysz. Bo mówiąc bez ogródek, sądzę, że będziesz jedynym człowiekiem, któremu w ogóle będzie potrzebny prawnik.

– Jak to?

– Reinhard, nie będę owijał w bawełnę. W twoim zeznaniu jest dość materiału, żeby cię posłać na szafot. Ale co do reszty tych panów, to nie wiem. Wszyscy należą do SS i są znajomymi Reichsführera. Weisthor to osobisty przyjaciel Himmlera, więc, hmm... Reinhard, martwię się o ciebie. Martwię się, że zrobią z ciebie kozła ofiarnego. Że wszystkim innym się upiecze, żeby nie było skandalu. Oczywiście, będą musieli wystąpić z SS, ale na tym koniec. Tylko twoja głowa poleci.

– Nie, to nie może być prawda!

Pokiwałem głową.

– Więc gdybyśmy oprócz twojego zeznania mieli coś jeszcze... coś, co uchroniłoby cię od zarzutu morderstwa. Oczywiście, jeśli chodzi o paragraf sto siedemdziesiąt pięć, będziesz musiał zaryzykować, ale może, zamiast wyroku śmierci, skończy się na pięciu latach kacetu. Wciąż miałbyś szansę. – Urwałem. – No, to jak będzie, Reinhard?

– No dobrze – bąknął po chwili. – Jest takie coś...

– Mów do mnie.

Z wahaniem zaczął mówić, jakby nie był pewien, czy dobrze robi, obdarzając mnie zaufaniem. Sam jeszcze nie byłem tego pewien.

– Lanz jest Austriakiem z Salzburga.

– Tyle się domyśliłem.

– Studiował medycynę w Wiedniu. Specjalizował się w chorobach nerwowych, po czym objął posadę w salzburskim szpitalu dla obłąkanych. Tam poznał Weisthora. Bądź Wiliguta, bo tak on się wówczas nazywał.

– Weisthor też był lekarzem?

– Boże, nie. To był pacjent. Zawodowo służył w armii austriackiej. Ale był również ostatnim z rodu germańskich mędrców, wywodzącego się jeszcze z czasów prehistorycznych. Weisthor posiada jasnovidzącą pamięć przodków, która pozwala mu opisywać życie i praktyki religijne starogermańskich pogan.

– Jakież to użyteczne!

– Poganie ci czcili germańskiego boga Krista. Ale Żydzi skradli im tę religię i zaczęli ją głosić jako nową ewangelię Chrystusa.

– Zgłosili tę kradzież? – Zapaliłem kolejnego papierosa.

– Chciał pan wiedzieć. – Lange obruszył się.

– Nie, nie, mów dalej, słucham.

– Weisthor badał runy, w tym swastykę, która jest jednym z podstawowych symboli. Mówiąc ściślej, kształty krystaliczne, takie jak piramida, wszystkie są typami runicznymi, to

znaki słoneczne. Stąd pochodzi słowo „kryształ”.

– Coś podobnego.

– No więc na początku lat dwudziestych Weisthor zaczął zdradzać objawy schizofrenii paranoidalnej i nabrał przekonania, że prześladowają go katolicy, Żydzi oraz wolnomularze. Zmianę tę spowodowała śmierć jego syna, po której ród mędrców z rodu Wiligut wygasł, o co Weisthor oskarżył swoją żonę. Z czasem stawał się coraz bardziej gwałtowny, aż w końcu, kiedy próbował ją udusić, został uznany za niepoczytalnego. Podczas pobytu w więzieniu kilkakrotnie próbował zamordować jakiegoś współwięźnia. Jednak stopniowo terapia lekowa zaczęła odnosić skutki i udało się zapanować nad jego psychiką.

– Jego lekarzem był Kindermann?

– Tak, do chwili zwolnienia ze szpitala w 1932 roku.

– Nie kapuję. Kindermann wiedział, że Weisthor to czubek, i go wypuścił?

– Lanz ma antyfreudowskie podejście do psychoterapii, a materiału do badania historii i kultury danej rasy szuka raczej w dziełach Junga. Jego badania zmierzają do przeniknięcia nieświadomości człowieka; ma nadzieję za ich pomocą odkryć odwieczne pokłady duchowości, dzięki którym, być może, uda się odtworzyć prehistorię kultury. Z tego powodu zajął się Weisthorem, którego postrzegał jako klucz do swojej własnej, jungowskiej psychoterapii. Myślał, że jeśli w ten sposób pozyska wsparcie Himmlera, to uda mu się założyć własną wersję Instytutu Badawczego Göringa. To inna szkoła psychoterapeutyczna...

– Tak, wiem.

– No, więc na początku naprawdę były to prawdziwe badania naukowe. Ale potem Lanz odkrył, że Weisthor to oszust, który wykorzystuje swoją rzekomą zdolność jasnowidzenia, aby podkreślić znaczenie swych przodków w oczach Himmlera. Niestety, było już za późno. Nie ma takiej ceny, której Lanz nie byłby gotów zapłacić, aby dostać swój instytut.

– Ale po co mu instytut? Przecież ma klinikę, prawda?

– Lanzowi to nie wystarcza. Chce, by w jego dziedzinie wymieniano go jednym tchem z Freudem i Jungiem.

– A Otto Rahn?

– Uzdolniony naukowo, ale w gruncie rzeczy jedynie bezwzględny fanatyk. Przez jakiś czas był strażnikiem w Dachau. To taki rodzaj człowieka. – Urwał i zaczął obgryzać paznokiec. – Proszę, mógłbym dostać papierosa?

Rzuciłem mu paczkę i patrzyłem, jak sobie przypala. Ręka drżała mu tak mocno, jakby miał wysoką gorączkę. Widząc, z jakim zapałem się zaciąga, można było pomyśleć, że

wchłania czyste białko.

– To wszystko?

Pokręcił głową.

– Kindermann zachował historię choroby Weisthora, która stanowi dowód, że to człowiek obłąkany. Lanz widzi w niej rodzaj zabezpieczenia, zapewniający mu lojalność Weisthora. Widzi pan, Himmler nie znosi chorób psychicznych. Jakieś bzdury o zdrowiu rasy aryjskiej. Więc gdyby kiedykolwiek ta historia choroby wpadła mu w ręce, to...

– ...to byłby naprawdę koniec zabawy.

No to jaki mamy plan, panie komisarzu?

– Himmler, Heydrich, Nebe; wszyscy pojechali na ten sąd honorowy SS do Wewelsburga.

– Gdzie, do diabła, jest ten Wewelsburg? – zapytał Becker.

– W pobliżu Paderborn – odparł Korsch.

– Zamierzam udać się w ślad za nimi. I zobaczyć, czy nie da się zdemaskować Weisthora i całej tej brudnej szajki na oczach Himmlera. Wezmę ze sobą Langego, po prostu dla celów dowodowych.

Korsch wstał i ruszył do drzwi.

– Dobrze, panie komisarzu. Pójdę po samochód.

– Przykro mi, ale nie. Chcę, żebyście obaj zostali tutaj.

Becker jęknął głośno.

– Ale to idiotyczne, naprawdę, panie komisarzu. Szuka pan guza?

– Możliwe, że coś pójdzie niezgodnie z planem. Nie zapominajcie, że ten cały Weisthor jest przyjacielem Himmlera. Wątpię, żeby Reichsführer odniósł się przychylnie do moich rewelacji; gorzej, może je całkowicie zlekceważyć. W takim wypadku będzie lepiej, jeśli tylko ja oberwę. W końcu, raczej nie może mnie wykopać z policji, bo zostałem zatrudniony tylko do tej sprawy, a potem znów wracam do firmy. Ale wy dwaj macie przed sobą karierę. Wprawdzie nie wygląda ona zbyt obiecująco... – Uśmiechnąłem się. – Niemniej byłoby szkoda narażać was na odwet Himmlera, skoro mogę z łatwością zrobić wszystko sam.

Korsch zerknął na Beckera i odparł:

– Dobra, dobra, panie komisarzu, niech pan nam nie mydli oczu. To, co pan planuje, jest zwyczajnie niebezpieczne. Pan to wie i my to wiemy.

– I jeszcze jedno – wtrącił Becker. – Jak pan zamierza dotrzeć tam z więźniem? Kto będzie prowadził samochód?

– Właśnie, panie komisarzu. Do Wewelsburga jest trzysta kilometrów.

– Wezmę samochód służbowy.

– A jeśli Lange po drodze czegoś spróbuje?

– Będzie skutny, wątpię, żeby sprawił mi jakiś kłopot. – Pokręciłem głową i zdjąłem z wieszaka płaszcz i kapelusz. – Przepraszam was, chłopaki, ale tak już musi być. – Podszedłem do drzwi.

– Panie komisarzu? – Korsch wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją, następnie potrząsnąłem dłonią Beckera. A potem poszedłem zabrać więźnia.

Klinika Kindermanna wyglądała tak samo grzecznie i schludnie jak pod koniec sierpnia, kiedy byłem tu po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie niemal wymarłej; na drzewach nie siedziały już wrony, a z jeziora znikły łodzie, które przedtem zakłócały spokój. Słysząc było tylko szum wiatru i szelest zwiędłych liści, niesionych po ścieżkach jak sucha szarańcza.

Położyłem dłoń na plecach Langego i pchnąłem go mocno w stronę drzwi wejściowych.

– To okropnie krępujące – zaprotestował. – Żebym zjawiał się w kajdankach, jak pospolity przestępca! Dobrze mnie tu znają, wie pan!

– Lange, ty jesteś pospolitym przestępcą. Chcesz, żebym nakrył twój paskudny łeb ręcznikiem? – Znów go pchnąłem. – Słuchaj, tylko mojej dobroci zawdzięczasz, że nie przywlokłem cię tu z kutasem wyciągniętym z portek.

– A moje prawa obywatelskie?

– Kurwa, gdzieś ty był przez ostatnie pięć lat? To są nazistowskie Niemcy, nie starożytne Ateny. A teraz się, kurwa, zamknij.

W holu natknęliśmy się na pielęgniarkę. Już chciała przywitać się z Langem, gdy dostrzegła jego kajdanki. Pomachałem legitymacją przed jej zdumionym nosem.

– Policja – oznajmiłem. – Mam nakaz przeszukania gabinetu doktora Kindermanna. – Święta prawda; sam go podpisałem. Ale pielęgniarka najwyraźniej była na tym samym obozie harcerskim co Lange.

– Chyba nie może pan tak po prostu tam wejść – powiedziała. – Będę musiała...

– Droga pani, dzięki tej małej swastyce, widocznej na moim dokumencie, niemiecka

armia kilka tygodni temu uznała, że ma prawo zająć Kraj Sudecki. Więc teraz ja, jeśli zechcę, mam prawo wleźć waszemu doktorowi nawet do majtek. A może się założymy? – Znowu pchnąłem Langego do przodu. – No już, Reinhard, prowadź.

Gabinet Kindermanna mieścił się na tyłach kliniki. Jako apartament w mieście byłby uważany raczej za niewielki, ale na prywatne biuro nadawał się świetnie. Stała tu długa, niska kozetka i ładne orzechowe biurko, na ścianach wisiały duże, nowoczesne obrazy – z tych, które wyglądają jak wnętrze małego rozumu – a liczba kosztownie oprawionych książek w pełni uzasadniała ogólnokrajowy niedobór skóry na buty.

– Reinhard, usiądź tak, żebyś mógł cię mieć na oku – powiedziałem. – I żadnych nagłych ruchów. Łatwo mnie przestraszyć, a wtedy robię się gwałtowny, żeby zatuszować zażenowanie. Jak to nazywają ci szarlatani? – Pod oknem dostrzegłem dużą szafkę na akta. Otworzyłem ją i zacząłem wertować karty pacjentów Kindermanna. – Zachowanie kompensacyjne – przypomniałem sobie. – To co prawda aż dwa wyrazy, ale chyba opisują, co trzeba. Wiesz, to nie do wiary, jakie nazwiska leczył twój kumpel Kindermann! Te karty są ciekawsze niż spis gości na bankiecie w Kancelarii Rzeszy. Zaraz, zaraz, a to mi wygląda na twoje akta. – Wyciągnąłem skoroszyt i rzuciłem Langemu na kolana. – No co, Reinhard, nie chcesz zobaczyć, co napisał o tobie? Może to wyjaśni, dlaczego w ogóle zadałeś się z tymi skurwielami.

Wlepił wzrok w zamkniętą teczkę.

– To naprawdę bardzo proste – powiedział cicho. – Jak już panu wcześniej tłumaczyłem, parapsychologią zacząłem się interesować dzięki przyjaźni z doktorem Kindermannem. – Podniósł wzrok i spojrzał na mnie wyzywająco.

– Powiem ci, dlaczego się w to wplątałeś – odpowiedziałem z szerokim uśmiechem. – Nudziłeś się. Masz tyle pieniędzy, że nie wiesz, co ze sobą zrobić. To cały problem z takimi ludźmi jak wy, którzy od urodzenia tarzają się w forsie. Nie znacie jej prawdziwej wartości. Oni to wiedzieli, Reinhard, i rozegrali cię jak Głupiego Jasia.

– To nic nie da, Günther. Gadasz bzdury.

– Tak? No to przeczytaj swoje akta. Będziesz miał pewność.

– Pacjent nie powinien czytać, co lekarz napisał w jego historii choroby. Nawet otwarcie tej teczki byłoby z mojej strony nieetyczne.

– Śmiem przypuszczać, Reinhard, że widziałeś znacznie więcej niż własną historię choroby. A Kindermann uczył się etyki od hiszpańskiej inkwizycji.

Odwrociłem się do szafki i zamilkłem. Ujrzałem inne znajome nazwisko – nazwisko dziewczyny, na której odszukanie straciłem kiedyś kilka miesięcy. Kobiety, która kiedyś była

dla mnie ważna. Przyznaję, że może nawet byłem w niej zakochany. Ta robota czasem taka jest. Jakaś osoba ginie bez śladu, świat kręci się dalej, a potem znajdujemy informację, która ongiś pozwoliłaby rozgryźć sprawę. I nie licząc naturalnej irytacji, którą czujemy, rozpamiętując, jak dalece nietrafne były nasze przypuszczenia, zazwyczaj uczymy się z tym żyć. Moje zajęcie nie jest odpowiednie dla ludzi, którzy lubią stawiać kropki nad i. Prywatny detektyw zostaje z większą liczbą luźnych wątków niż ślepy tkacz dywanów. Niemniej, nie byłbym normalny, gdybym nie przyznał, że ich związywanie sprawia mi pewną satysfakcję. Co więcej, nazwisko tej kobiety, wymienione pewnej nocy przed kilkoma tygodniami, gdy spotkałem się z Arthurem Nebe w ruinach Reichstagu, było dla mnie czymś znacznie ważniejszym niż tylko spóźnionym rozstrzygnięciem zagadki. Istnieją sytuacje, w których odkrycie ma moc objawienia.

– A to skurwysyn! – mruknął Lange, przerzucając nerwowo swoją teczkę.

– Ja też tak sędzę.

– „Zniewieściały neurotyk” – zacytował. – Ja! Jak on mógł pomyśleć o mnie coś takiego?

Zająłem się następną szufladą, słuchając go tylko jednym uchem.

– Ty mi powiedz, to w końcu twój przyjaciel.

– Jak on mógł to powiedzieć? Nie do wiary.

– Daj spokój, Reinhard. Wiesz, jak to jest, kiedy wpadniesz między wrony. Od czasu do czasu cię podziobią.

– Zabiję go! – zawołał, ciskając teczkę w kąt gabinetu.

– Ja zrobię to pierwszy – powiedziałem, trafiając wreszcie na akta Weisthora. Zatrzasnąłem szufladę. – Dobra, mam. Teraz wynośmy się stąd.

Właśnie sięgałem za klamkę, gdy zza drzwi wyłonił się ciężki rewolwer, a w ślad za nim Lanz Kindermann.

– Powiedźcie mi, jeśli łaska, co się tu, u diabła, dzieje?

Cofnąłem się do pokoju.

– No no, co za miła niespodzianka – rzekłem. – Właśnie mówiliśmy o panu. A już myśleliśmy, że pojechał pan do swojej szkółki niedzielnej w Wewelsburgu. Na marginesie, na pańskim miejscu obchodziłbym się ostrożnie z tym rewolwerem. Moi ludzie obserwują ten dom. Są bardzo lojalni, wie pan. Ostatnio my, w policji, tak mamy. Aż mnie ciarki przechodzą na myśl, co mogliby zrobić, gdyby uznali, że spotkała mnie jakaś krzywda.

Kindermann zerknął na Langego, który nie ruszał się z miejsca, a potem na akta, które trzymałem pod pachą.

– Nie wiem, w co pan gra, Herr Steininger, jeśli tak się pan naprawdę nazywa, ale wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby odłożył pan te dokumenty na biurko i podniósł ręce do góry, nie sądzi pan?

Położyłem teczki na biurku i zacząłem coś mówić o nakazie. Niestety, Reinhard Lange zdążył już przejąć inicjatywę – jeśli można tak określić sytuację, gdy ktoś pochopnie rzuca się na człowieka, który mierzy w niego z odbezpieczonej czterdziestkapiątki. Wydał okrzyk oburzenia, lecz po czterech czy pięciu słowach raptownie zamilkł – ogłuszający strzał z rewolweru wyrwał mu spory kawał szyi. Ze straszliwym gulgotem zawirował wokół własnej osi niczym derwisz, kurczowo chwycił się za szyję skutymi rękami, po czym osunął się na podłogę, po drodze malując tapetę w czerwone róże.

Dłonie Kindermanna bardziej przyzwykły do skrzypiec niż do broni tak ciężkiej jak czterdziestkapiątka; kiedy kurek jest opuszczony, tylko ktoś o palcach jak cieśla potrafi nacisnąć twarde spust tego rewolweru. Miałem więc aż nadto czasu, by złapać popiersie Dantego stojące na biurku doktora i roztrzaskać je w kawałki na jego głowie.

Widząc, że Kindermann stracił przytomność, obejrzałem się na zwiniętego w kącie Langego. Przyciskał zakrwawione przedramię do resztek tętnicy szyjnej, lecz żył jeszcze tylko minutę, po czym umarł bez słowa.

Zdjąłem mu kajdanki i skułem nimi jęczącego na podłodze Kindermanna. Tymczasem dwie pielęgniarki zwabione odgłosem strzału wpadły do gabinetu i stanęły jak wryte, z przerażeniem patrząc na straszliwą scenę przed sobą. Wytarłem ręce o krawat Kindermanna i podszedłem do biurka.

– Uprzedzając wasze pytania, informuję, że wasz szef właśnie zastrzelił swojego kolegę pedzia. – Podniosłem słuchawkę. – Centrala? Proszę mnie połączyć z komendą główną policji na Alexanderplatz. – Czekając na rozmowę, przyglądałem się, jak jedna z pielęgniarek szuka tętna u Langego, a druga pomaga Kindermannowi ułożyć się na kanapie.

– Nie żyje – powiedziała pierwsza pielęgniarka. Obie spojrzały na mnie z obawą.

– Mówi komisarz Günther – przedstawiłem się telefonistce w Alex. – Proszę jak najszybciej połączyć mnie z Kriminalassistentem Beckerem lub Korschem w wydziale zabójstw. – Po kilku chwilach usłyszałem głos Beckera.

– Jestem w klinice Kindermanna – wyjaśniłem. – Wpadliśmy, żeby zabrać historię choroby Weisthora, i Lange jakoś dał się zabić. Stracił panowanie nad sobą oraz spory kawałek krtani. Kindermann miał spluwę.

– Chce pan, żebym załatwił karetkę z kostnicy?

– Mniej więcej to miałem na myśli, owszem. Ale nie będzie mnie tutaj, kiedy przyjadą.

Zamierzam trzymać się pierwotnego planu, z tą różnicą że zamiast Langego pojedzie ze mną Kindermann.

– W porządku, panie komisarzu. Zajmę się tym. A tak przy okazji, dzwoniła pani Steininger.

– Zostawiła wiadomość?

– Nie, proszę pana.

– Zupełnie nic?

– Nie, panie komisarzu. Jeśli wolno zauważyć, pan chyba wie, czego jej potrzeba?

– Spróbujcie mnie zaskoczyć.

– Na mój rozum, potrzeba jej...

– Namyśliłem się, dajcie sobie spokój.

– No cóż, zna pan ten typ, panie komisarzu.

– Niezupełnie, Becker. Ale podczas jazdy z pewnością się nad tym zastanowię. Możecie na mnie polegać.

Wyjechałem z Berlina w kierunku zachodnim, podążając za żółtymi znakami, które kierowały międzymiastowy ruch na Poczdam i dalej do Hanoweru. Autostrada, która w Lehnin skręca od obwodnicy, okrąża od południa stare miasto Brandenburg, po czym, minąwszy Zeisar, pradawną siedzibę biskupów brandenburskich, biegnie w prostej linii na zachód.

Po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że Kindermann, pólężący na tylnym siedzeniu mercedesa, ocknął się i usiadł prosto.

– Dokąd jedziemy? – zapytał głucho.

Zerknąłem przez prawe ramię. Nie sądziłem, żeby był tak głupi, aby próbować ciosu głową, mając ręce skute za plecami. Zwłaszcza że głowa była zabandażowana – coś, przy czym pielęgniarki w klinice się uparły, zanim pozwoliły mi go wywieźć.

– Nie poznaje pan tej drogi? – zapytałem. – Jedziemy do Wewelsburga, małego miasteczka na południe od Paderborn. Z pewnością pan je zna. Myślę, że nie chciałby pan z mojego powodu przegapić waszego esesmańskiego sądu honorowego.

Kątem oka dostrzegłem, że się uśmiechnął i rozsiadł wygodniej, a przynajmniej tak wygodnie, jak się dało.

– To mi bardzo odpowiada.

– Wie pan, Herr Doktor, naprawdę przysporzył mi pan kłopotu. Żeby tak zabić mojego

głównego świadka! Miał dać dla Himmlera specjalny występ. Całe szczęście, że jeszcze w Alex złożył pisemne zeznanie. No i oczywiście będzie pan musiał go zastąpić.

– A skąd pewność – spytał, śmiejąc się – że wezmę tę rolę na siebie?

– Aż się boję myśleć, co by nastąpiło, gdyby mnie pan rozczarował.

– Patrząc na pana, powiedziałbym, że przywykł pan już do rozczarowań.

– Być może. Wątpię jednak, by moje rozczarowanie dało się porównać z tym, jakie poczuje Himmler.

– Zapewniam pana, że gniew Reichsführera nie stanowi dla mnie żadnej groźby.

– Na pańskim miejscu, Hauptsturmführer, nie polegałbym zanadto na randze i mundurze. Zastrzelić pana będzie równie łatwo jak Ernsta Röhma i tych wszystkich SA-manów.

– Znałem Röhma dość dobrze – oświadczył gładko. – Byliśmy dobrymi kolegami. Może zaciekawi pana, że Himmler doskonale o tym wie, jak również o wszystkim, co pociąga za sobą taki związek.

– Chce pan powiedzieć, że Reichsführer wie, że pan jest ciotą?

– Naturalnie. A skoro przeżyłem Noc Długich Noży, to chyba poradzę sobie z każdą przykrością, jaką pan dla mnie przygotowuje, nie sądzi pan?

– A zatem Himmler z przyjemnością poczyta sobie listy Langego. Choćby po to, by zaakceptować to, co już wie. Nie wolno nie doceniać wagi, jaką policjant przywiązuje do potwierdzenia informacji. Podejrzewam, że wie również o szaleństwie Weisthora, prawda?

– To, co dziesięć lat temu było szaleństwem, teraz uważane jest za uleczalną chorobę nerwową. Psychoterapia w krótkim czasie zrobiła ogromne postępy. Pan poważnie sądzi, że Weisthor jest pierwszym wysokim oficerem SS, leczonym psychiatrycznie? Pracuję jako konsultant w specjalnym szpitalu ortopedycznym w Hohenlychen, w pobliżu obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Wielu oficerów SS leczy się tam na rozmaite choroby, będące eufemistycznym określeniem obłądki. Wie pan, pan mnie zdumiewa. Jako policjant powinien pan być świadomy zrzętności, z jaką Rzesza produkuje wygodne akty hipokryzji. Strasznie panu spieszą, żeby zrobić Reichsführerowi wielki pokaz fajerwerków, a ma pan do dyspozycji jedynie kilka wilgotnych rac. Będzie bardzo rozczarowany.

– Lubię pana słuchać, Kindermann. Zawsze miło patrzeć na człowieka przy pracy. Założę się, że świetnie panu idzie z tymi bogatymi wdowami, które przychodzą do pańskiej kliniki z depresją przedmiesiączkową. Niech mi pan powie, ilu z nich przepisuje pan kokainę?

– Chlorowodorek kokainy stosuje się w medycynie jako środek pobudzający przy zwalczaniu cięższych przypadków depresji.

– Jak pan przeciwdziała uzależnieniu?

– Zawsze jest takie ryzyko. Trzeba pilnie uważać na wszelkie objawy narkomanii. Moja praca na tym polega. – Urwał. – A dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości, Herr Doktor. Na tym polega moja praca.

Na północ od Magdeburga, w Hohenwarthe, przekroczyliśmy most na Łabie. Tuż za nim, z prawej strony, zamigotały w oddali światła niemal ukończonej pochylni dla statków w Rothensee, mającej połączyć Łabę z kanałem Mittelland, położonym dwadzieścia metrów wyżej. Wkrótce znaleźliśmy się w sąsiednim landzie Niedersachsen i w Helmstedt zrobiliśmy postój, żeby odpocząć i zatankować paliwo.

Ściemniało się; spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że dochodzi siódma. Przykułem Kindermanna za jedną rękę do klamki, żeby mógł się wysikać, po czym sam oddaliłem się za potrzebą. Potem wepchnąłem na tylne siedzenie koło zapasowe i przypiąłem do niego lewy przegub Kindermanna, zostawiając mu drugą rękę wolną. Mercedes to duży samochód, więc doktor siedział tak daleko z tyłu, że nie musiałem się martwić, iż mnie zaatakuje. Na wszelki wypadek wyjąłem jednak walthera z kabury pod pachą, pokazałem mu, po czym położyłem broń obok siebie.

– Będzie panu wygodniej w ten sposób – powiedziałem – ale niech pan choćby spróbuje podłubać w nosie, a oberwie pan kulkę. – Zapaliłem silnik i ruszyłem.

– Gdzie się pan tak spieszy? – warknął Kindermann rozdrażniony. – Nie mogę pojąć, po co pan to robi. Przecież bez trudu mógłby pan urządzić ten spektakl w poniedziałek, kiedy wszyscy wrócą do Berlina. Naprawdę nie widzę potrzeby, żeby jechać tak daleko.

– Wtedy będzie już za późno, Kindermann. Za późno, by powstrzymać specjalny pogrom, który pański przyjaciel Weisthor zaplanował dla berlińskich Żydów. Projekt Krist, tak się to nazywa, prawda?

– Ach, pan wie i o tym? No proszę, ależ się pan zakrzętnął. Tylko niech pan nie mówi, że pan kocha tych żydków.

– Powiedzmy, że nieszczególnie przepadam za prawem linczu i rządami motłochu. Dlatego zostałem policjantem.

– Aby stać na straży sprawiedliwości?

– Owszem, jeśli pan chce tak to nazwać.

– Ulega pan złudzeniu. Rządzi siła. Ludzka wola. A żeby zbudować wolę zbiorową, trzeba jej dać punkt skupienia. Tak postępuje dziecko, które za pomocą szkła powiększającego skupia światło słońca na kartce papieru i w ten sposób wznieca płomień. My robimy to samo. Wykorzystujemy moc, która już istnieje. Sprawiedliwość byłaby czymś

cudownym, gdyby nie ludzie, Herr...? Słuchaj pan, jak się pan właściwie nazywa?

– Nazywam się Günther i proszę mi oszczędzić propagandy partyjnej.

– To są fakty, Herr Günther, nie żadna propaganda. Pan jest anachronizmem, wie pan? Przeżytkiem.

– Liznałem tylko trochę historii, Kindermann, ale z tego co wiem, sprawiedliwość nigdy nie była w modzie. Jeśli jestem przeżytkiem, jak pan to nazywa, jeśli nie maszeruję zgodnie z wolą ludu, to bardzo się cieszę. Różnica między nami jest taka, że pan chce użyć siły motłochu, a ja chcę ją okiełznać.

– Jest pan najgorszym rodzajem idealisty: pan jest naiwny! Naprawdę pan sądzi, że może powstrzymać to, co spotka Żydów? Gazety już otrzymały wiadomość o żydowskich mordach rytualnych w Berlinie. Wątpię, czy Heydrich albo Himmler zdołaliby odwrócić bieg wydarzeń, nawet gdyby tego chcieli.

– Może nie zdołam niczego powstrzymać – odparłem – ale spróbuję to trochę opóźnić.

– Nawet gdyby zdołał pan skłonić Himmlera, żeby wziął pod uwagę pańskie dowody, to czy naprawdę pan sądzi, że ucieszy go publiczne ogłoszenie własnej głupoty? Szczerze wątpię, czy po Reichsführerze można się spodziewać wielkiej sprawiedliwości. Zamiecie sprawę pod dywan i niebawem wszyscy o niej zapomną. Tak jak zapomną o Żydach. Wspomni pan moje słowa. Ludzie w tym kraju mają bardzo krótką pamięć.

– Ale ja nie – powiedziałem. – Ja jestem, kurwa, słoń. Weźmy na przykład inną pańską pacjentkę. – Chwyciłem jedną z dwóch teczek zabranych z gabinetu Kindermanna i rzuciłem ją za siebie. – Widzi pan, do niedawna byłem prywatnym detektywem. I wie pan co? Okazuje się, że jednak mamy ze sobą coś wspólnego, chociaż pan jest kupą gówna. Pańska pacjentka była moją klientką.

Włączył światelko nad głową i otworzył teczkę.

– Tak, pamiętam ją.

– Kilka lat temu zniknęła. Tak się składa, że znajdowała się wówczas w pobliżu pańskiej kliniki. Wiem o tym, bo właśnie tam zaparkowała mój samochód. Niech mi pan powie, doktorze Kindermann, co pański kolega Jung mówi o zbiegu okoliczności?

– Ee... o znaczącym zbiegu okoliczności? O to panu chodzi? To coś, co on nazywa zasadą synchroniczności, kiedy jakieś pozornie przypadkowe zjawisko zyskuje znaczenie, gdyż nasza nieświadoma wiedza wiąże wydarzenia materialne z naszym stanem psychicznym. Dość trudno to wyjaśnić słowami, które by pan pojął. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego ten akurat zbieg okoliczności miałby być znaczący.

– Jasne, że pan nie rozumie. Nic pan nie wie o mojej nieświadomości. Może to i lepiej.

Teraz zamilkł na długo.

Na północ od Brunszwiku przekroczyliśmy kanał Mittelland i autostrada się skończyła. Skręciłem na południowy zachód na Hildesheim i Hamelin.

– Już niedaleko – rzuciłem przez ramię. Nie odpowiedział. Zjechałem z głównej drogi i przez kilka minut samochód toczył się powoli wąską ścieżką, prowadzącą w spory las.

Zatrzymałem wóz i obejrzałem się. Kindermann cicho drzemał. Drżącą ręką zapaliłem papierosa i wysiadłem. Zerwał się silny wiatr; w oddali burza rzucała srebrzyste sznury wyładowań w poprzek czarnego, dudniącego nieba. Może były to liny ratunkowe dla Kindermanna.

Po chwili sięgnąłem na przednie siedzenie i wziąłem pistolet. Potem otworzyłem tylne drzwi i potrząsałem Kindermanna za ramię.

– Chodźmy – powiedziałem, wręczając mu kluczyk do kajdanek. – Znowu rozprostujemy kości. – Wskazałem biegnącą przed nami ścieżkę, oświetloną przez wielkie reflektory mercedesa. Gdy znaleźliśmy się na krawędzi plamy światła, zatrzymałem się.

– Dobrze, wystarczy – rzekłem. Kindermann odwrócił się twarzą ku mnie. – Synchroniczność. Podoba mi się to. Ładne uczone słowo na coś, co gryzło mnie od dłuższego czasu. Jestem człowiekiem skrytym, Kindermann. A to, co robię, sprawia, że jeszcze wyżej cenię sobie swoją prywatność. Na przykład nigdy nie zapisałbym numeru domowego telefonu na odwrocie firmowej wizytówki. Chyba że ktoś byłby dla mnie wyjątkowy. Ale kiedy zapytałem matkę Reinharda Langego, jak to się stało, że w ogóle zatrudniła mnie, a nie jakiegoś innego detektywa, pokazała mi właśnie taką wizytówkę, którą wyjęła z kieszeni marynarki syna przed wysłaniem jej do pralni. Naturalnie, zastanowiło mnie to. Na widok wizytówki Frau Lange zmartwiła się, że jej syn ma kłopoty, i wspomniała mu o niej. Na co on odpowiedział, że wziął ją z pańskiego biurka. Ciekawe, czy miał ku temu swoje powody. Może nie; pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Ale bez względu na powód, ta wizytówka umiejscowiła moją klientkę w pańskim gabinecie w dniu, kiedy ta kobieta zaginęła, po czym nikt jej już nie widział. Niezła synchroniczność, nie sądzi pan?

– Słuchaj, Günther, to, co się stało, to był wypadek. Była narkomanką.

– A skąd jej się to wzięło?

– Leczyłem ją na depresję. Straciła pracę. Ważny dla niej związek dobiegł końca. Potrzebowała kokainy bardziej, niż mi się wówczas wydawało. Niepodobna było tego stwierdzić, tylko patrząc na nią. Zanim się zorientowałem, że zaczyna się uzależniać od narkotyku, było już za późno.

– Co się stało?

– Pewnego dnia po prostu zjawiała się w klinice. Była w okolicy i poczuła się przygnębiona, tak powiedziała. Starła się o pracę, ważną pracę, i miała wrażenie, że mogłaby ją dostać przy odrobinie pomocy z mojej strony. Na początku odmówiłem. Ale była bardzo elokwentną kobietą i w końcu się poddałem. Na krótko zostawiłem ją samą. Chyba przez dłuższy czas nie używała i spadła jej tolerancja. Wzięła tę samą dawkę, co zwykle, i musiała się zachłysnąć wymiocinami.

Milczałem. Kontekst był niewłaściwy. Jego rewelacje nic już dla mnie nie znaczyły. Zemsta nie jest słodka. Jej prawdziwy smak jest gorzki, gdyż zazwyczaj potem czuje się jedynie litość.

– Co pan chce zrobić? – zapytał nerwowo. – Chyba mnie pan nie zastrzeli? Słuchaj pan, to był wypadek! Przecież nie można za to zabić człowieka!

– Nie – odparłem. – Nie można. Nie za to. – Zobaczyłem, że odetchnął z ulgą i ruszył w moją stronę. – W cywilizowanym społeczeństwie nie zabija się człowieka z zimną krwią.

Tyle że to były hitlerowskie Niemcy, nie bardziej cywilizowane niż kraina pogan, których tak bardzo czcili Weisthor i Himmler.

– Ale, kurwa, za morderstwa tych biednych dziewczyn, ktoś musi – powiedziałem.

Wycelowałem pistolet w jego głowę i pociągnąłem za spust raz i drugi, a potem jeszcze kilka razy.

Z wąskiej, krętej szosy Wewelsburg wyglądał jak całkiem typowa westfalska wieś, z taką samą liczbą zielonych trawniczków i kapliczek Najświętszej Panienki, co części maszyn rolniczych, porzuconych przed bajkowymi domami z pruskiego muru. Lecz kiedy postanowiłem zapytać w jednym z nich o drogę do szkoły SS, zrozumiałem, że dzieje się tu coś dziwnego. Latające gryfony, runiczne znaki i starogermańskie słowa, wyryte bądź wymalowane złotą farbą na czarnych futrynach drzwi i okien, nasuwały obrazy czarownic i czarowników, byłem więc niemal przygotowany na straszny widok, który ukazał mi się w drzwiach wejściowych, spowity wonią drzewnego dymu i smażonej cieleciny.

Dziewczyna była młoda, co najwyżej dwudziestopięcioletnia; byłaby wręcz atrakcyjna, gdyby nie ogromna rakowa narośl, wżarta w bok twarzy. Wahałem się tylko przez sekundę, lecz to wystarczyło, by wzbudzić jej gniew.

– No? Co się tak gapisz? – warknęła, rozciągając zniekształcone usta w grymasie, ukazującym jej poczerwiałe zęby i fragment czegoś ciemniejszego i bardziej zepsutego. – Co to za pora na odwiedzin? Czego chcesz?

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziałem, próbując patrzeć na policzek nietknięty przez chorobę – ale trochę się zgubiłem i miałem nadzieję, że wskaże mi pani drogę do szkoły SS.

– W Wewelsburgu nie ma żadnej szkoły – oznajmiła, przyglądając mi się podejrzliwie.

– Szkoła SS – powtórzyłem bezradnie. – Mówiono mi, że jest gdzieś w tej okolicy.

– A, to! – rzekła krótko i odwracając się w drzwiach, wskazała palcem miejsce, gdzie szosa schodziła w dół i znikwała za wzgórzem. – Tamtędy. W prawo i po chwili w lewo, i zaraz potem widać węższą drogę z ogrodzeniem, odchodzącą w lewo pod górę. – Z szyderczym chichotem dodała: – Tam jest twoja szkoła SS, jak ją nazywasz! – Po czym zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Jak to miło czasem wyrwać się z miasta, powtarzałem sobie, wracając do mercedesa. Ludzie na wsi mają o wiele więcej czasu na zwykłe uprzejmości.

Znalazłem drogę z ogrodzeniem i skierowałem samochód pod górę. Gdy wjechałem na brukowany plac, od razu zrozumiałem, co tak rozbawiło dziewczynę z kawałkiem węgla w ustach.

Szkoła Himmlera przypominała zwykłą szkołę w tym samym stopniu, w jakim zoo przypomina sklep z chomikami, bądź katedra remizę strażacką. Przed mną wznosił się ogromny zamek, wyposażony w zwieńczone kopułami wieże, z których jedna wisiała nad dziedzińcem jak odziana w hełm głowa jakiegoś olbrzymiego pruskiego żołnierza.

Zatrzymałem się nieopodal kościółka, w sąsiedztwie kilku wojskowych ciężarówek i samochodów osobowych, zaparkowanych przed budynkiem, który wyglądał na wschodnią wartownię zamku. Na chwilę całe niebo rozświetliła błyskawica i zamek objawił mi się w całym swym ogromie niczym czarno-biała zjawia.

Niewątpliwie robił wrażenie, roztaczając atmosferę horroru, w której niedoszły intruz mógł się poczuć trochę nieswojo. Tak zwana szkoła SS wyglądała jak drugi dom Draculi, Frankensteina, Nosferatu i całego tabuna wilkołaków – miejsce, gdzie nie oparłbym się pokusie załadowania pistoletu dziewięciomilimetroowymi ząbkami czosnku. W zamku Wewelsburg było wszakże tyle prawdziwych potworów, że nie musiałem się martwić wymyślonymi. Nie miałem wątpliwości, że Himmler mógłby udzielić wielu cennych wskazówek doktorowi Caligariemu.

Ale czy mogłem zaufać Heydrichowi? Po dłuższym zastanowieniu w końcu doszedłem do wniosku, że jedyną rzeczą, na jakiej mogę polegać, jest jego ambicja. Zamierzałem dostarczyć mu skutecznej broni, dzięki której byłby w stanie zniszczyć wroga, czyli Weisthora, a więc w zasadzie nie miałem wyjścia – musiałem złożyć siebie i swoje

informacje w jego białe, zabójcze rączki.

Sygnaturka na kościółku biła północ, gdy skierowałem mercedesa na skraj placu, w stronę przerzuconego ponad fosą mostka, który prowadził na lewo, ku głównej bramie.

Z kamiennej budki wynurzył się wartownik, rzucił okiem na moje papiery i przepuścił mnie gestem.

Stanąłem przed drewnianą bramą i kilka razy nacisnąłem energicznie klakson. W zamku paliły się światła; nie wyglądało na to, że kogoś budzę, żywego czy umarłego. W bramie otworzyły się małe drzwiczki. Kapral SS, który z nich wyszedł, uważnie obejrzał moje dokumenty w świetle latarki i pozwolił mi wejść pod sklepienie bramy. Tam znowu powtórzyłem swoją opowieść i pokazałem wszystkie papiery, tym razem na wezwanie młodego porucznika, najwyraźniej dowódcy zmiany warty.

Istnieje tylko jeden sposób, aby skutecznie stawić czoło aroganckiemu oficerkowi SS, który wygląda, jakby blond włosy i oczy o właściwym odcieniu błękitu dostał ze specjalnego przydziału, a sposób ten polega na jeszcze większej arogancji. Pomyślałem więc o tym, że tego wieczoru z zimną krwią zabiłem człowieka, i wlepiłem w porucznika lodowate, wyniosłe spojrzenie, które zmiażdżyłoby nawet księcia z rodu Hohenzollernów.

– Jestem komisarz Günther – wyskandowałem – i przybyłem tu z ramienia Sipo w nadzwyczaj pilnej sprawie dotyczącej bezpieczeństwa Rzeszy. Generał Heydrich musi natychmiast podjąć decyzję. Proszę go bezzwłocznie powiadomić, że tu jestem. Sam pan zobaczy, że on mnie oczekuje, do tego stopnia, iż uznał za stosowne wyjawić mi hasło obowiązujące w zamku podczas sesji sądu honorowego. – Z satysfakcją ujrzałem, że arogancja porucznika ustępuje przed moją. – Pozwolę sobie podkreślić, poruczniku – dodałem nieco ciszej – że misja, z którą przychodzę, jest nader delikatna. Na tym etapie istnieje konieczność zachowania absolutnej tajemnicy. O mojej obecności w zamku może wiedzieć wyłącznie generał Heydrich i jego adiutant. Nie wykluczam, że w nasze szeregi przeniknęli komunistyczni szpiedzy. Zrozumiano?

Porucznik krótko skinął głową i wrócił do wartowni, żeby zadzwonić, a ja tymczasem przystanąłem na skraju dziedzińca, otwartego na zimne nocne niebo.

Od wewnątrz zamek wydawał się mniejszy i składał się z trzech skrzydeł, krytych spiczastym dachem, połączonych trzema wieżami, z których dwie były zwieńczone kopułami, a trzecia, szersza i niższa, miała blanki i maszt flagowy. Na maszcie, szarpany coraz silniejszym wiatrem, hałaśliwie łopotał proporzec SS.

Porucznik wrócił i ku memu zdumieniu stanął na baczność, trzaskając obcasami. Domyśliłem się, że to raczej sprawka Heydricha lub jego adiutanta aniżeli wpływ mojej

władczej osobowości.

– Komisarzu Günther – rzekł z szacunkiem – pan generał kończy obiad i prosi, aby zaczekał pan w saloniku, który znajduje się w zachodniej wieży. Pozwoli pan za mną? Kapral zajmie się pańskim wozem.

– Dziękuję, poruczniku – powiedziałem. – Ale najpierw zabiorę ważne dokumenty, które zostawiłem na przednim siedzeniu samochodu.

Wziąłem aktówkę, zawierającą historię choroby Weisthora, zeznanie Langego oraz jego korespondencję z Kindermannem, i podążyłem za porucznikiem do zachodniego skrzydła po drugiej stronie brukowanego dziedzińca. Skądś dobiegł mnie donośny chóralny męski śpiew.

– Niezłe przyjęcie – rzekłem chłodno. Mój towarzysz mruknął coś bez entuzjazmu; nawet byle jakie przyjęcie jest lepsze niż służba wartownicza późną nocą w listopadzie. Pchnął ciężkie dębowe drzwi i znaleźliśmy się w wielkim holu.

Oby wszystkie germańskie zamki były tak gotyckie; oby każdy teutoński watażka mógł przechadzać się po takim wnętrzu; oby każdy aryjski zbir inkwizytor otaczał się takimi symbolami nieokiełznanej tyranii! Było tu tyle wielkich, grubych kobierców, ciężkich gobelinów i matowych malowideł, oprócz tego zaś tyle zbroi, muszkietów i białej broni na ścianach, że starczyłoby ich na wojnę z królem Karolem Gustawem i całą armią szwedzką.

Inaczej niż salonik, do którego dotarliśmy po kręconych drewnianych schodach – to wnętrze umeblowane było z ogromną prostotą, za to rozciągał się z niego wspaniały widok na światła małego lądowiska odległego o kilka kilometrów.

– Proszę się częstować – zaprosił porucznik, otwierając szafkę. – Jeśli będzie pan potrzebował jeszcze czegoś, wystarczy zadzwonić. – Następnie znów stuknął obcasami i zniknął na schodach.

Nalałem sobie dużą brandy i natychmiast ją wypilem. Długa jazda bardzo mnie zmęczyła. Napełniłem drugi kieliszek, sztywno usiadłem na fotelu i zamknąłem oczy. Wciąż widziałem zaskoczoną minę Kindermanna, kiedy kula ugodziła go między oczy. Weisthor pewnie już się niepokoił, czekając na doktora i jego torbę z narkotykami. Mnie też przydałby się zastrzyk, pomyślałem.

Upiłem jeszcze trochę brandy. Po dziesięciu minutach poczułem, że głowa mi opada.

Zasnąłem. Pogrążony w otchłani koszmaru ujrzałem przerażający wir: ludzi bestie, siewców śmierci, szkarłatnych sędziów i wygnańców z rajów.

poniedziałek, 7 listopada

Kiedy skończyłem opowiadać, twarz Heydricha, zazwyczaj blada, aż poczerwieniała z podniecenia.

– Günther, gratuluję panu! – powiedział. – To o wiele więcej, niż oczekiwałem. A także w samą porę, nieprawdaż, Nebe?

– O tak, panie generale.

– Może to pana zdziwi, Günther – rzekł Heydrich – ale razem z Reichsführerem Himmlerem na razie opowiadamy się za policyjną ochroną żydowskiej własności, choćby w interesie handlu i porządku publicznego. Kiedy wypuści się motłoch na ulice i pozwoli na grabież żydowskich sklepów, to zaraz zaczną się rabunek sklepów niemieckich. Nie mówiąc o tym, że odszkodowania za zniszczenia będą musiały wypłacić niemieckie firmy ubezpieczeniowe. Göring wyjdzie z siebie i trudno będzie mieć do niego pretensje. Z ekonomicznego punktu widzenia cały ten pomysł jest poroniony. Ale zgadzam się z panem, Günther: gdyby Himmler dał się namówić na plan Weisthora, to z pewnością uchyliliby ochronę policyjną. I w takim wypadku musiałbym się na to zgodzić. Więc powinniśmy zabrać się do tego ostrożnie. Himmler to głupiec, ale głupiec niebezpieczny. Weisthor musi być zdemaskowany w sposób niebudzący najmniejszych wątpliwości i wobec tak wielu świadków, jak się tylko da. – Urwał. – Nebe?

Reichskriminaldirektor pogładził się po długim nosie i z namysłem pokiwał głową.

– Nie możemy w ogóle wspominać o udziale Himmlera, panie generale, chyba że nie będzie innego wyjścia – przytaknął. – Jestem całkowicie za tym, żeby Weisthora zdemaskować przy świadkach. Nie chciałbym, żeby tej kanalii się upiekło. Ale równocześnie powinniśmy uważać, żeby nie skompromitować Reichsführera w obecności wyższych oficerów SS. Może nam wybaczyć zniszczenie Weisthora, ale jeśli zrobimy z niego idiotę, nigdy nam tego nie zapomni.

– Zgadzam się. – Heydrich zamyślił się na chwilę. – To szósty wydział Sipo, tak? – Nebe kiwnął głową. – Gdzie znajduje się najbliższa komenda okręgowa SD w okolicach

Wewelsburga?

– Bielefeld – odparł Nebe.

– Dobrze. Chciałbym, żeby pan natychmiast do nich zadzwonił. Niech do świtu przyślą tu całą kompanię ludzi. – Uśmiechnął się krzywo. – To na wypadek, gdyby Weisthorowi udało się jednak przylepić mi żydowską łatkę. Nie podoba mi się to miejsce; Weisthor ma w Wewelsburgu wielu przyjaciół i nawet celebrowane jakieś śmieszne esesmańskie śluby, które się tutaj odbywają. Demonstracja siły może się okazać konieczna.

– Taubert, komendant zamku, pracował w Sipo, zanim tu wylądował – zauważył Nebe.
– Jestem pewien, że można mu zaufać.

– Świetnie. Ale niech mu pan nie mówi o Weisthorze. Trzymajmy się pierwotnej wersji Günthera o infiltracji szpiegów KPD. Niech oddział ludzi będzie w pogotowiu. A skoro o tym mówimy, proszę zorganizować komisarzowi jakieś łóżko. Na Boga, zasłużył na odpoczynek.

– Jest wolna sypialnia obok mnie, panie generale. Mam wrażenie, że pokój nosi nazwę Henryka I Saskiego. – Nebe uśmiechnął się.

– To jakieś szaleństwo. – Heydrich zaśmiał się. – Ja dostałem pokój króla Artura i świętego Graala. Ale kto wie? Może dzisiaj pokonam przynajmniej Morganę le Fay.

Sala posiedzeń mieściła się na parterze zachodniego skrzydła. Uchyliwszy lekko drzwi jednego z sąsiadujących pokoi, zyskałem znakomity widok na wszystko, co się działo w środku.

Przedemną rozciągało się czterdziestometrowej długości pomieszczenie z błyszczącą drewnianą podłogą, którego ściany pokrywała dębowa boazeria, a wysoki sufit zdobiły potężne belki i rzeźbione gargulce. Środek sali zajmował masywny, długi stół dębowy, z czterech stron otoczony krzesłami o wysokich oparciach, każde z okrągłą, srebrną plakietką, na której przypuszczalnie wypisane było nazwisko oficera, uprawnionego do zajęcia na nim miejsca. Zważywszy na czarne mundury zebranych i podniosły rytuał rozpoczynający posiedzenie, miałem wrażenie, że podglądam zgromadzenie Wielkiej Łoży Wolnomularzy.

Pierwszy punkt porządku dziennego dotyczył zgody Reichsführera na plany przebudowy zrujnowanej północnej wieży. Plany przedstawiał Landbaumeister Bartels, gruby, sówioki człowieczek, zajmujący miejsce między Weisthorem i Rahnem. Sam Weisthor wyglądał na zdenerwowanego; rzucało się w oczy, że dotkliwie odczuwa brak swojej porcji kokainy.

Kiedy Reichsführer zapytał go, co sądzi o tych planach, Weisthor zaczął się jąkać:

– Świadomy, ee... kultowego, ee... znaczenia zamku – wydukał – i, ee... jego, ee... magicznej mocy, ee... dla każdego, ee... zbrojnego konfliktu, między, ee... Wschodem i Zachodem, ee...

Tu wtrącił się generał Heydrich, najwyraźniej nie po to, by mu pomóc.

– Herr Reichsführer – rzekł chłodno – ponieważ to jest posiedzenie sądu i ponieważ wszyscy słuchamy słów Brigadeführera z ogromną uwagą, uważam, że byłoby niewłaściwe wobec zebranych, gdybym pozwolił mu mówić, nie zapoznając was z bardzo poważnymi zarzutami, jakie postawiono jemu i jego koledze, Unterscharführerowi Rahnowi.

– Jakimi znów zarzutami? – Himmler zdumiał się. – Nic nie wiem o żadnych zarzutach wobec Weisthora. Ani nawet o żadnym śledztwie, które by go dotyczyło.

– To dlatego, że nie było śledztwa w sprawie Weisthora. Jednakże dochodzenie, prowadzone całkiem niezależnie, ujawniło, że Weisthor stał na czele ohydny spisku, wskutek którego dokonano występny mord na siedmiu niewinnych niemieckich uczennicach.

– Reichsführer! – zawył Weisthor. – Protestuję! To potworne!

– Zgadza się – odparł Heydrich, niewzruszony – ale potworem jest pan.

Weisthor wstał z krzesła, dygocząc na całym ciele.

– Ty kłamliwy mały gudłaju! – Splunął.

Na wargi Heydricha wypełzł leniwy uśmieszek.

– Komisarzu – rzekł głośno – pozwoli pan?

Wkroczyłem do sali wolnym krokiem, stremowany jak aktor przed przesłuchaniem do sztuki, wsłuchany w stukot własnych butów na drewnianej posadzce. Wszystkie głowy obróciły się w moją stronę, a gdy poczułem na sobie wzrok pięćdziesięciu najpotężniejszych ludzi w całych Niemczech, pożałowałem, że nie znajduję się gdziekolwiek indziej, wszystko jedno gdzie, byle nie tutaj. Weisthorowi opadła szczeka, Himmler zaś uniósł się z krzesła.

– Co to ma znaczyć? – warknął głucho.

– Niektórzy z was zapewne znają tego pana pod nazwiskiem Steininger – powiedział gładko Heydrich – jako ojca jednej z zamordowanych dziewcząt. Tylko że on nie jest żadnym ojcem. Pracuje dla mnie. Proszę, niech pan powie, kim pan jest naprawdę, Günther.

– Kriminalkommissar Bernhard Günther, wydział zabójstw, Berlin-Alexanderplatz.

– I niech pan powie, jeśli łaska, po co pan tu przyszedł.

– Przychodzę dokonać zatrzymania Karla Marii Weisthora, znanego również jako Karl Maria Willigut, znanego również jako Jarl Widar, oraz Ottona Rahna i Richarda Andersa, pod

zarzutem zamordowania siedmiu dziewcząt w Berlinie między 23 maja i 29 września 1938 roku.

– Kłamca! – wykrzyknął Rahn, zrywając się na równe nogi. Wstał również inny oficer, przypuszczalnie Anders.

– Siadać! – rozkazał Himmler. – Rozumiem, że potrafi pan to udowodnić, komisarzu?
– Nie mógłby patrzeć z większą nienawiścią, nawet gdyby pojawił się przed nim sam Karol Marks.

– Sądzę, że tak, Herr Reichsführer.

– Lepiej, Heydrich, żeby to nie była jakaś twoja sztuczka – mruknął Himmler.

– Sztuczka, Herr Reichsführer? – zapytał Heydrich niewinnie. – Gdy chodzi o sztuczki, to ci niegodziwcy wykorzystali chyba wszystkie. Podawali się za jasnowidzów, aby przekonać słabszych na umyśle ludzi, że duchy mogą im zdradzić, gdzie ukryte są ciała dziewcząt, które osobiście zamordowali! I gdyby nie tu obecny komisarz Günther, próbowaliby w ten sam obłąkańczy sposób oszukać zebranych w tej sali oficerów!

– Herr Reichsführer! – Weisthor aż się zapluł. – To jest niesłychane!

– Heydrich, gdzie są dowody, o których pan mówi?

– Użyłem słowa „obłąkańczy”, dokładnie wiedząc, o czym mówię. Oczywiście, żaden z nas nie dałby się nabrać na tak groteskowy plan. Jednak to cecha typowa dla osób obłąkanych, że wierzą w słusność tego, co robią. – Spod pliku leżących przed nim dokumentów Heydrich wyciągnął historię choroby Weisthora i położył ją przed Himmlerem.

– Oto wypis z historii choroby Karla Marii Wiliguta, znanego również jako Karl Maria Weisthor. Dokument ten do niedawna znajdował się w posiadaniu jego lekarza, Hauptsturmführera Lanza Kindermanna...

– Nie! – ryknął Weisthor i rzucił się ku teczce.

– Trzymać go! – wrzasnął Himmler. Dwaj oficerowie po obu stronach Weisthora natychmiast chwycili go za ręce. Rahn sięgnął do kabury, ale byłem szybszy – przytknąłem mu lufę mauzera do skroni i odwiódłem zamek.

– Tylko dotknij, a przewietrzę ci mózg – powiedziałem i odebrałem mu pistolet.

Heydrich wciąż mówił, najwyraźniej nieprzejęty całym zamieszaniem. Trzeba było przyznać: był zimny jak łośoś z Morza Północnego i równie śliski.

– Po próbie zamordowania własnej żony w listopadzie 1924 roku, Wiligut orzeczeniem sądu został skierowany do zakładu dla obłąkanych w Salzburgu, gdzie go zbadano i uznano za chorego psychicznie. Przebywał w zakładzie do 1932 roku pod opieką doktora Kindermanna. Po wyjściu zmienił nazwisko na Weisthor; resztę, Reichsführer,

niewątpliwie pan zna.

Himmler przez kilka chwil patrzył na teczkę. W końcu westchnął i zapytał:

– To prawda, Karl?

Weisthor, wciąż przytrzymywany przez dwóch oficerów, pokręcił głową.

– Przysięgam, że to wszystko kłamstwo, na honor dżentelmena i oficera!

– Podwińcie mu rękaw – powiedziałem. – Ten człowiek jest narkomanem. Kindermann od lat dostarczał mu kokainę i morfinę.

Himmler skinął na ludzi trzymających Weisthora; ujrzeliśmy jego okropne, sinoczarne przedramię, ja zaś dodałem:

– Jeśli nadal nie jest pan przekonany, mam tu dwudziestostronicowe zeznanie, podpisane przez Reinharda Langeego.

Himmler wciąż kiwał głową. Obszedł swoje krzesło, stanął przed Brigadeführerem, mędrcom SS i dwukrotnie mocno go spoliczkował.

– Zabierzcie mi go z oczu! – rozkazał. – Areszt domowy do odwołania. Rahn! Anders! Was to też dotyczy. – W jego głosie zabrzmiała nuta hysterii. – Precz stąd, mówię! Nie jesteście już członkami tego bractwa. Wszyscy trzej macie zwrócić pierścienie z trupią główką, sztylety i szpady. Później zastanowię się, co z wami zrobić.

Arthur Nebe wezwał straż, która czekała w pogotowiu, a gdy się zjawiała, kazał odprowadzić trzech zatrzymanych do ich kwater.

Zebrani przy stole oficerowie SS śledzili całe wydarzenie z otwartymi ze zdumienia ustami. Tylko Heydrich zachował spokój; niewątpliwie odczuwał satysfakcję na widok klęski swych wrogów, lecz jego długa twarz wyrażała tak niewiele, jakby była zrobiona z wosku.

Gdy wyprowadzono Weisthora, Rahna i Andersa, spojrzenia zebranych skierowały się na Himmlera. Niestety, on sam patrzył wyłącznie na mnie, schowałem więc broń do kabury; czułem, że to jeszcze nie koniec przedstawienia. Przez kilka nieprzyjemnych chwil po prostu się na mnie gapił, bez wątplenia pamiętając o tym, że w domu Weisthora widziałem, jak on, Reichsführer SS, komendant główny niemieckiej policji, został nabrany, ogłupiony, sprzedany – krótko mówiąc, okazał się ułomny. Dla człowieka, wyniesionego do rangi nazistowskiego papieża przy Antychryście, czyli Hitlerze, ta świadomość była nie do zniesienia. Podszedł do mnie tak blisko, że poczułem wodę kolońską na jego gładko wygolonej twarzyczce pedanta, zamrugnął wściekle oczkami, wykrzywił usta w grymasie nienawiści, po czym kopnął mnie z całych sił w goleń.

Stęknąłem z bólu, lecz ani drgnąłem, wyprężony niemal na baczność.

– Wszystko zepsułeś – wyszczał, trzęsąc się ze złości. – Wszystko. Słyszysz, co

mówię?

– Robiłem, co do mnie należy – warknąłem. Sądzę, że znowu przyłożyłby mi butem, gdyby Heydrich w porę się nie wtrącił.

– Za to z pewnością mogę ręczyć – oznajmił. – Być może w tych okolicznościach byłoby najlepiej, gdybyśmy odłożyli posiedzenie na jakąś godzinę, przynajmniej dopóki pan nie ochłonie, Reichsführer. Odkrycie tak ohydnej zdrady w zgromadzeniu, które jest tak bliskie sercu Reichsführera, to niewątpliwie dla niego ogromny wstrząs. I dla nas wszystkich, rzecz jasna.

Po jego słowach rozległ się szmer poparcia, a Himmler wyraźnie się opanował. Lekko zaczerwieniony, być może z zażenowania, drgnął i krótko kiwnął głową.

– Ma pan słuszość, Heydrich – mruknął. – To straszny wstrząs. Muszę pana przeprosić, Herr Kommissar. Rzeczywiście, wykonywał pan tylko swój obowiązek. Dobra robota. – Z tymi słowy odwrócił się na swoim wcale niemałym obcasie i sztywno wymaszerował z sali w asyście oficerów.

Kąćki warg Heydricha uniosły się w ledwie dostrzegalnym, leniwym uśmiešku. Pochwycił mój wzrok i spojrzeniem wskazał mi drugie drzwi. Arthur Nebe ruszył za mną; wyszliśmy, zostawiając za plecami nagły rozgwar zebranych.

– Niewielu ludziom dane było przeżyć osobiste przeprosiny Heinricha Himmlera – rzekł Heydrich, kiedy we trzech znaleźliśmy się w bibliotece zamkowej.

Potarłem obolałą nogę.

– Z pewnością odnotuję to dzisiaj w dzienniczku – sarknąłem. – Tylko o tym marzyłem.

– A tak na marginesie, nie wspomniał pan, co się stało z Kindermannem.

– Powiedzmy po prostu, że został zastrzelony podczas próby ucieczki – odparłem. – Jestem pewien, że akurat pan doskonale wie, co mam na myśli.

– Jaka szkoda. Mógłby się nam jeszcze przydać.

– Dostał to, na co może liczyć morderca. Ktoś musiał to zrobić. Nie przypuszczam, żeby reszta tych skurwysynów kiedykolwiek za to oberwała. Braterstwo SS i tak dalej, co? – Urwałem, żeby zapalić papierosa. – Co z nimi będzie?

– Może pan być pewien, że w SS są skończeni. Sam pan słyszał, jak Himmler o tym mówił.

– O jejku, jakież to dla nich okropne. – Zwróciłem się do Nebego: – Powiedz, Arthur, czy Weisthor trafi choćby w pobliże sali sądowej bądź gilotyny?

– Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie – rzekł ponuro. – Ale Weisthor jest

zbyt blisko z Himmlerem. Za dużo wie.

Heydrich ściągnął wargi.

– Z drugiej strony, Otto Rahn to tylko podoficer. Nie sądzę, żeby Reichsführer miał obiekcje, gdyby spotkał go jakiś nagły wypadek.

Z goryczą pokręciłem głową.

– No, przynajmniej koniec z ich małą wredną intrygą. Oszczędzimy sobie następnego pogromu, przynajmniej na razie.

Heydrich zrobił niewyraźną minę. Nebe wstał i podszedł do okna biblioteki.

– Na litość boską! – krzyknąłem. – Chyba nie chcecie mi powiedzieć, że coś z tego będzie? – Heydrich wyraźnie się wzdrygnął. – Słuchajcie, przecież wszyscy wiemy, że Żydzi nie mieli z tymi morderstwami nic wspólnego.

– O, tak – odparł Heydrich radośnie – to pewne. I nikt ich o to nie oskarży, ma pan na to moje słowo. Zapewniam pana, że...

– Proszę mu powiedzieć – odezwał się Nebe. – Zasłużył na to, żeby znać prawdę.

– Tak, Nebe, ma pan słuszność. Chyba zasłużył.

– Powiedzieć mi co?

– Dziś rano – wyjaśnił Heydrich – jeszcze przed posiedzeniem sądu, otrzymaliśmy depezę. To oczywiście czysty zbieg okoliczności, ale pewien młody żydowski fanatyk dokonał w Paryżu zamachu na życie niemieckiego dyplomaty. Podobno chciał zaprotestować przeciwko złemu traktowaniu polskich Żydów w Niemczech. Führer wysłał do Paryża osobistego lekarza, ale nie spodziewamy się, że nasz człowiek przeżyje. Skutek jest taki, że Goebbels już w tej chwili naciska na Führera, żeby w wypadku, gdyby nasz dyplomata umarł, zezwolono na pewne spontaniczne wyrazy oburzenia ludności w stosunku do Żydów na terenie całej Rzeszy.

– A wy wszyscy odwróćcie wzrok, tak?

– Nie popieram bezprawia – rzekł Heydrich.

– Więc Weisthor w końcu będzie miał swój pogrom. Wy dranie!

– Nie pogrom – zaprotestował Heydrich. – Płądrowanie będzie zabronione. Nastąpi tylko zniszczenie żydowskiej własności. Policja zagwarantuje, że nie dojdzie do grabieży. I nie zezwolimy na nic, co naraziłoby na szwank bezpieczeństwo i własność Niemców.

– W jaki sposób chcecie zapanować nad tłumem?

– Zostaną wydane dyrektywy. Sprawcy wykroczeń będą zatrzymywani i surowo karani.

– Dyrektywy? – Cisnąłem papierosami o ścianę. – Dla tłumu? A to dobre!

– Każdy komendant policji w Niemczech otrzyma depeszę zawierającą stosowne wskazówki.

Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Chciałem wrócić do domu, znaleźć się jak najdalej od tego wszystkiego. Samo mówienie o czymś takim sprawiło, że poczułem się brudny i niegodny. Zawiodłem. Ale nieskończenie gorsza była świadomość, że najwyraźniej nikt nie chciał, żeby mi się udało.

Zbieg okoliczności, powiedział Heydrich. Czyżby znaczący zbieg okoliczności, jak nazwał to Jung? Nie. Niemożliwe. Nic już nie miało znaczenia, żadnego.

czwartek, 10 listopada

”Spontaniczny wyraz gniewu niemieckiego ludu”, tak określiło to radio.

O tak, ja również czułem gniew, ale nie było w nim nic spontanicznego. Miałem całą noc, żeby go w sobie wzbudzić. Noc, podczas której zewsząd dobiegał brzęk tłuczonych szyb i ohydne wrzaski na ulicach. Noc, podczas której czułem swąd płonących domów. Wstyd nie pozwolił mi wyjść na dwór. Ale rano, gdy jasny, promienny dzień przeniknął przez moje zasłony, uznałem, że powinienem jednak zobaczyć to na własne oczy.

Nie przypuszczam, żebym miał kiedykolwiek zapomnieć ten widok.

Od 1933 roku poczynając, wybicie szyby stanowiło dla każdej żydowskiej firmy pewnego rodzaju ryzyko zawodowe – był to poniekąd symbol nazizmu, taki jak wysokie buty czy swastyka. Tym razem jednak mieliśmy do czynienia z czymś zupełnie innym, z czymś o wiele bardziej planowym aniżeli przypadkowe akty wandalizmu w wykonaniu kilku pijanych zbirów z SA. Tym razem była to istna noc Walpurgii, paroksyzm zniszczenia.

Wszędzie leżały odłamki szkła, przypominające kawałki ogromnej lodowej układanki, którą rozkapryszony kryształowy królewicz cisnął o ziemię w ataku złości.

Kilka metrów od moich drzwi wejściowych, w witrynach dwóch zakładów krawieckich ujrzałem długi, srebrzysty ślad, jakby śluz ślimaka, wznoszący się wysoko ponad głową manekina, oraz postać innego manekina, oplecioną ogromną siecią ostrej jak brzytwa pajęczyny.

Trochę dalej, na rogu Kurfürstendamm, napotkałem olbrzymie lustro, rozbite na setki kawałków, w których, z chrzęstem idąc ulicą, dojrzałem swoje strzaskane odbicie.

Dla ludzi takich jak Weisthor i Rahn, którzy wierzyli w symboliczny związek między kryształem a jakimś germańskim Chrystusem, od którego ten pierwszy rzekomo wziął swoją nazwę, musiał to być niezwykle podniecający widok. Ale dla szklarza była to istna fabryka pieniędzy i napotkałem wielu gapiów, którzy tak właśnie uważali.

Na północnym krańcu Fasanenstrasse, w pobliżu kolejki S-Bahn, dogasała podpalona synagoga – dymiąca, szerniała ruina, stos osmalonych belek i wypalonych ścian. Nie jestem

jasnowidzem, lecz mogę przysiąc, że każdy uczciwy człowiek na ten widok pomyślał to samo: ile jeszcze budynków będzie tak wyglądało, zanim Hitler z nami skończy?

Na sąsiedniej ulicy zobaczyłem szturmowców, dowiezionych kilkoma ciężarówkami, którzy butami sprawdzali twardość kolejnych szyb. Na wszelki wypadek skręciłem w inną stronę, gdy wtem dobiegł mnie znajomy głos:

– Wynoście się, Żydy skurwysyny! – wrzeszczał jakiś młodzieniec.

Był to Heinrich, czternastoletni syn Brunona Stahleckera, wystrojony w mundur zmotoryzowanych oddziałów Hitlerjugend. Zobaczyłem go w chwili, gdy rzucał wielkim kamieniem w kolejną szybę wystawową, a następnie zaśmiał się radośnie, zachwycony swoim dziełem.

– Pierdolone żydłaki – oświadczył głośno i obejrzał się na swoich kumpli, by uzyskać ich aprobatę. Zamiast tego ujrzał mnie.

Podszedłem do niego, myśląc o tych wszystkich rzeczach, które bym mu powiedział, gdybym był jego ojcem, lecz gdy się zbliżyłem, uśmiechnąłem się tylko. Prawdę mówiąc, miałem ochotę trzepnąć go w pysk.

– Cześć, Heinrich.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, ponuro łypiąc błękitnymi oczami.

– Pewnie pan myśli, że może mnie powstrzymać – burknął – bo przyjaźnił się pan z moim ojcem.

– Ja? Gównu mnie obchodzi, co robisz.

– Tak? To czego pan chce?

Wzruszyłem ramionami i poczęstowałem go papierosem. Wziął, więc przypaliłem nam obu. Potem rzuciłem mu pudełko zapalek.

– Masz – powiedziałem. – Przydadzą ci się dziś wieczorem. Może spróbujecie podpalić Szpital Żydowski?

– Widzi pan? Wygłasza mi pan kazanie.

– Wręcz przeciwnie. Przyszedłem ci powiedzieć, że znalazłem ludzi, którzy zabili twojego ojca.

– Tak?

Jacyś koledzy Heinricha, zajęci wynoszeniem ubrań ze sklepu, zawołali, żeby przyszedł im pomóc.

– Zaraz przyjdę! – odkrzyknął. Potem zapytał: – Gdzie oni są? Zabójcy ojca?

– Jeden nie żyje. Sam go zastrzeliłem.

– To dobrze. Dobrze.

– Nie wiem, co się stanie z pozostałymi dwoma. To zależy.

– Od czego?

– Od SS. Czy postanowią postawić ich przed sądem wojskowym. – Patrzyłem, jak z niedowierzaniem marszczy swoją przystojną buźkę. – Och, nie mówiłem ci? Tak, ci ludzie, którzy tak tchórzliwie zabili twojego ojca, wszyscy należeli do SS. Widzisz, musieli go zabić, bo myśleli, że będzie chciał ich powstrzymać przed łamaniem prawa. To byli źli ludzie, Heinrich, a twój ojciec zawsze starał się wsadzać złych ludzi do więzienia. Był cholernie dobrym policjantem. – Machnąłem ręką w stronę rozbitej wystawy. – Ciekawe, co on by powiedział na to wszystko?

Heinrich się zawahał; zauważyłem, że grdyka mu drgnęła na myśl o tym, co mogą oznaczać moje słowa.

– Więc to nie... to nie Żydzi go zabili?

– Żydzi? – Zaśmiałem się. – Wielkie nieba, skądże! Co też ci przyszło do głowy! To nie byli Żydzi, w żadnym wypadku. Słuchaj, naprawdę nie powinienes wierzyć we wszystko, co piszą w „Der Stürmer”.

Heinrich wrócił do kolegów z wyraźnym ociąganiem. Widząc to, uśmiechnąłem się ponuro i pomyślałem, że propaganda ma dwa końce.

Nie widziałem się z Hildegard prawie od tygodnia. Po powrocie z Wewelsburga kilka razy do niej dzwoniłem, ale nigdy nie mogłem jej zastać – albo przynajmniej nie podnosiła słuchawki. W końcu postanowiłem do niej pojechać.

Jadąc Kaiserallee na południe, w stronę Wilmersdorfu i Friedenau, obejrzałem sobie kolejne zniszczenia, kolejne spontaniczne przejawy gniewu ludu: zdarte sklepowe szyldy z żydowskimi nazwiskami i wszechobecne, świeżo wymalowane antysemityczne hasła. Oraz policjantów, którzy przyglądali się biernie plądrowaniu kolejnych sklepów i nie robili nic, by uchronić ich właścicieli przed pobiciem. W pobliżu Waghäuselerstrasse stała w płomieniach kolejna synagoga, otoczona przez strażaków, pilnujących, by ogień nie rozprzestrzenił się na sąsiednie budynki.

Nie był to najlepszy dzień, żeby myśleć o sobie.

Zaparkowałem w pobliżu jej domu na Lepsius Strasse, otworzyłem drzwi wejściowe otrzymanym od niej kluczem i wszedłem na trzecie piętro. Użyłem kołatki. Mogłem wejść bez pukania, ale zważywszy na okoliczności naszego ostatniego spotkania, jakoś nie liczyłem na to, by przyjęła to zyczliwie.

Po chwili rozległy się kroki i drzwi otworzył mi młody major SS. Wyglądał jak żywcem wyjęty z lekcji teorii rasowej Irmy Hanke: jasnoblonde włosy, niebieskie oczy i szczęka niczym betonowy odlew. Miał na sobie rozpięty mundur, rozluźniony krawat i najwyraźniej nie przyszedł tutaj jako kolporter esesmańskiego biuletynu.

– Kochanie, kto to? – dobiegł mnie głos Hildegard. Zbliżyła się do drzwi ze schyloną głową, szukając czegoś w torebce, i podniosła wzrok dopiero, kiedy znalazła się o dwa metry ode mnie.

Miała na sobie czarny tweedowy kostium, bluzkę ze srebrzystego jedwabiu i czarny kapelusik z piórami, które wznosiły się nad jej czołem niczym pióropusz dymu z płonącego budynku. Ten jej obraz trudno mi wymazać z pamięci. Na mój widok stanęła jak wryta i bezradnie rozwarła doskonale uszminekowane usteczka, rozpaczliwie próbując wymyślić, co by tu powiedzieć.

Nie musiała mi nic tłumaczyć. Praca detektywa na tym polega, że człowiek dość szybko kojarzy. Zresztą, powód był nieważny – może lepiej mu szło bicie jej w twarz? W końcu przecież służył w SS, i tak dalej. Bez względu na powód stanowili ładną parę i tak mi się zaprezentowali, zwłaszcza gdy Hildegard wymownie wzięła go pod rękę.

Powoli pokiwałem głową, zastanawiając się, czy wspomnieć, że ująłem morderców jej przybranej córki. Jednak o nic nie zapytała, uśmiechnąłem się więc filozoficznie i wciąż kiwając głową, zwróciłem jej klucze od mieszkania.

Byłem już w połowie schodów, gdy z góry dobiegło mnie jej wołanie:

– Przykro mi, Bernie! Naprawdę!

Poszedłem pieszo na południe, do Ogrodu Botanicznego. Białe jesienne niebo wypełniał exodus milionów liści, pędzonych wiatrem na wszystkie strony świata, daleko od gałęzi, które niegdyś dały im życie. Tu i ówdzie mężczyźni o kamiennych twarzach w skupieniu próbowali opanować tę drzewną diasporę. Zgarniali i palili martwe liście jesionów, dębów, buków, sykomor, klonów, kasztanowców, lip i wierzb płaczących, a gryzący szary dym snuł się w powietrzu niczym ostatnie tchnienie zbłąkanych dusz. Ale nowych liści wciąż przybywało, więc płonące stosy nie malały, i gdy tak stałem, patrząc na żar ognisk i wdychając gorące gazy roślinnej śmierci, odniosłem wrażenie, że czuję na języku smak ostatecznego końca.

Od autora

Otto Rahn i Karl Maria Weisthor wystąpili z SS w lutym 1939 roku. Rahn, doświadczony turysta pieszy, niecały miesiąc później zmarł z wychłodzenia na wycieczce górskiej w pobliżu Kufstein. Okoliczności jego śmierci nigdy nie zostały w pełni wyjaśnione. Weisthora wysłano na emeryturę w mieście Goslar, gdzie do zakończenia wojny pozostawał pod opieką SS. Zmarł w 1946 roku.

Trzynastego lutego 1940 roku utworzono publiczny trybunał, złożony z sześciu gauleiterów, którego celem było zbadanie postępów Juliusa Streichera. Trybunał orzekł, iż Streicher jest „niezdolny do przewodzenia ludziom”, po czym został zwolniony ze stanowiska gauleitera Frankonii i odsunięty od pełnienia funkcji publicznych.

W wyniku pogromu Nocy Kryształowej z 9 na 10 listopada 1938 roku śmierć poniosło około 100 osób, blisko 30 tysięcy zostało wywiezionych do obozów koncentracyjnych, zdemolowano lub spalono ponad półtora tysiąca synagog, zniszczono 7 tysięcy żydowskich przedsiębiorstw. Szacuje się, że ilość stłuczonego szkła przekroczyła roczną produkcję szkła okiennego w Belgii, skąd pierwotnie je importowano. Wysokość szkód wyceniono na setki milionów dolarów. Odszkodowania wypłacone Żydom – jeśli w ogóle do nich doszło – zostały skonfiskowane przez rząd Trzeciej Rzeszy w ramach rekompensaty za zabicie w Paryżu niemieckiego dyplomaty vom Ratha. Ta grzywna w sumie wyniosła 250 milionów dolarów.